

切現仁燕海比枝物高海逐已邦  
 三教字城之川派不初所知識文  
 陳彥行 維矣刻  
 文也福風迥壹悔  
 消羽鞠龍何火帝  
 蜀商婦 系重來  
 動巧任 到釋絲雲  
 冬苑里條 來來深只怪 奉於馬  
 天地宮黃宇 宙浩為忘日月秋收

MAI JIA

# SZYFR

Ta powieść jest jak chińska wersja  
 Pięknego umysłu napisana przez  
 chińskiego Dana Browna  
 „New Republic”

淡如雲 君內  
 出嶺

Prószyński i S-ka



動巧信初釋紛憂口無惡水玉出

CZĘŚĆ PIERWSZA  
NA POCZĄTKU

Człowiek, który w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku na małym czarnym promie opuścił Tongzhen z zamiarem studiowania za granicą, był najmłodszym członkiem siódmego pokolenia sławnego rodu handlarzy solą, Rongów z Jiangnan. Wyjeżdżał jako Rong Zilai, wrócił jako John Lillie. Z tego, co później mówili ludzie, wynikało, że on pierwszy z rodziny zerwał z tradycją kupiecką i został uczonym, a także wielkim patriotą. Taki rozwój wypadków był oczywiście bezpośrednim skutkiem wieloletniego pobytu za granicą. Kiedy jednak Rongowie wysyłali go za morze, wcale nie liczyli na fundamentalną odmianę losów klanu, lecz mieli nadzieję, że to pomoże przedłużyć życie babki Rong.

W młodości babka Rong dowiodła, że jest wspaniałą matką, w ciągu dwudziestu lat urodziła bowiem dziewięciu synów i siedem córek, z których wszyscy osiągnęli dojrzałość. Właśnie jej potomstwo podłożyło podwaliny pod fortunę Rongów, przez co ich matka miała niepodważalną pozycję na szczycie rodzinnej hierarchii. Dzięki wytrwałym staraniom dzieci i wnuków żyła o wiele dłużej, niż stałoby się to w innych okolicznościach, lecz nie była kobietą szczęśliwą. Dręczyły ją wszelkie niepokojące i skomplikowane w treści sny, często budziła się z krzykiem; nawet za dnia nie przestawała cierpieć, bo nocne koszmary nie chciały jej opuścić. A kiedy przejmowały nad nią władzę, liczna progenitura, nie wspominając już o potężnym bogactwie rodziny, wydawała się ciężarem ponad siły. Płomienie liżące kadzidło w mosiężnej misie często migotały niepewnie, wprawiane w drżenia piskliwymi krzykami babki. Co rano paru miejscowych uczonych zapraszano do dworu Rongów, by zinterpretowali sny starej damy, ale wraz z upływem czasu stawało się jasne, że żaden z nich na nic się nie przyda.

Z licznego grona ludzi wzywanych do interpretacji jej snów na babce Rong największe wrażenie zrobił młody człowiek, niedawno przybyły do Tongzhenu gdzieś z daleka. Nie tylko nie popełniał żadnych błędów w wyjaśnieniu sensu rojeń, ale niekiedy zdawał się objawiać zdolność jasnowidzenia, wskazywał osoby, które pojawią się w przyszłości, ich rolę i znaczenie. Jedyne jego młodość pozwalała ludziom wyobrazić sobie, że posiadał umiejętności ponadnaturalne – czy używając słów babki Rong, „nigdy nic dobrego nie przychodzi z zatrudniania młokosów, co wciąż mają mleko pod nosem”. Doskonale tłumaczył sny, za to gorzej radził sobie z wróżeniem. Jeśli zaczynał źle, po prostu nie potrafił wrócić na właściwą drogę. Prawdę powiedziawszy, był dobry w tłumaczeniu snów starej damy z pierwszej części nocy, lecz te, które miała przed świtem, albo sny w snach pozostawały poza jego zasięgiem. Jak sam mówił, nigdy formalnie nie studiował takich technik wróżbiarskich, zdołał jednak liźnąć trochę wiedzy, towarzyszył

bowiem dziadkowi i przysłuchiwał się mu. Ponieważ zajmował się takimi rzeczami tylko po amatorsku, trudno go było uznać za eksperta.

Babka Rong przesunęła ruchomą płytkę w ścianie i pokazała młokosowi złożone w środku sztabki srebra, błagając go, by sprowadził dziadka do Chin. W odpowiedzi usłyszała jedynie, że to niemożliwe z dwóch powodów. Po pierwsze dziadek, już bardzo majątny, od dawna nie jest zainteresowany pomnażaniem majątku. Co więcej, sama myśl o podróży przez ocean mogłaby śmiertelnie przerazić człowieka w sędziwym wieku. Z drugiej zaś strony młodzieniec podsunął starej damie praktyczną sugestię: niechaj wyśle kogoś po naukę do niego.

Nie chce góra przyjść do Mahometa, musi Mahomet przyjść do góry.

Następnym zadaniem było znalezienie właściwego kandydata spośród niezliczonej rzeszy potomków babki Rong, przy czym kandydat musiał spełniać dwa istotne warunki: żywić głębokie poczucie synowskiego obowiązku wobec seniorki rodu i być gotowym na cierpienia dla jej dobra oraz co ważniejsze, odznaczać się inteligencją i chęcią do nauki, by móc przyswoić sobie na bardzo wysokim poziomie skomplikowane techniki interpretacji snów i wróżenia w najkrótszym możliwym czasie. Po starannej selekcji wybór padł na dwudziestoletniego wnuka nazwiskiem Rong Zilai. Tak oto, uzbrojony w list polecający od młodego obcokrajowca i obciążony zadaniem znalezienia sposobu na przedłużenie pełnego udręk życia babki, Rong Zilai wyruszył przez ocean po wiedzę. Miesiąc później, kiedy burzliwą nocą parowiec Ronga przedzierał się przez spienione fale, jego babce śniło się, iż tajfun połknął statek i zatopił go, zamieniając wnuka w pokarm dla ryb. Sen tak ją przeraził, że przestała oddychać. Trauma spowodowała zawał i babka Rong umarła we śnie. Rejs Ronga Zilai, najeżony trudnościami, trwał długo, dlatego w dniu, gdy stanął przed swoim przyszłym nauczycielem i z szacunkiem wręczył mu list polecający, starzec w rewanżu dał mu inny list z wiadomością o śmierci babki. Informacje zawsze podróżują szybciej niż ludzie. Jak z doświadczenia wiemy, na metę pierwszy wbiega najszybszy biegacz.

Przybysza z daleka starzec zmierzył spojrzeniem tak przenikliwym i ostrym, że można by nim zestrzelić ptaka w locie. Wydawało się, że szczerze pragnie przyjąć zagranicznego ucznia, który pojawił się w jesieni jego życia. Przemyślawszy to sobie, Rong Zilai uznał jednak, że skoro babka Rong umarła, studiowanie wiedzy ezoterycznej straciło sens, i chociaż doceniał ofertę starca, postanowił wrócić do domu. Czekając wszakże na statek, poznał innego Chińczyka, studenta college'u, a ten zabrał go na kilka zajęć. W rezultacie Rong Zilai zmienił zdanie, odkrył bowiem, że jest wiele rzeczy, które musi poznać. Zamieszkał z nowo poznanym rodakiem; w dzień obaj uczęszczali na zajęcia z matematyki i geometrii ze studentami z Bośni i Turcji, wieczorami zaś Rong Zilai chodził na koncerty w towarzystwie studenta ostatniego roku z Pragi. Bawił się

doskonale i nie zdawał sobie sprawy, jak szybko upływa czas; kiedy wreszcie uznał, że pora wracać, minęło siedem lat. Jesienią tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku Rong Zilai wsiadł na statek wraz z kilkudziesięcioma beczkami wina i ruszył w powrotny rejs do domu. Kiedy w samym środku zimy przybił do ojczystego brzegu, wino idealnie nadawało się do picia.

Zdaniem mieszkańców Tongzhenu przez te siedem lat rodzina nie zmieniła się, klan Rongów nadal był klanem Rongów, kupcy solni kupcami solnymi, familia rozkwitała, pieniądze płynęły wielką falą. Zmienił się tylko młodzieniec, który wyjechał za granicę, teraz bowiem nie był już młody i przybrał naprawdę dziwne nazwisko: Lillie. John Lillie. Co więcej, nabył wiele dziwacznych przyzwyczajęń: nie miał warkocza, nosił krótką kurtkę zamiast długiego jedwabnego kaftana, lubił pić wino koloru krwi, jego mowa była naszpikowana słowami brzmiącymi jak świergot ptaków i tak dalej. A największe zdumienie budziło to, że nie potrafił znieść zapachu soli; kiedy szedł do portu albo do sklepu i ostra woń uderzała go w nozdrza, miał nudności, a bywało, że nawet wymiotował żółcią. Wydawało się rzeczą szczególnie okropną, że syn kupca solnego nie toleruje zapachu soli; ludzie traktowali go tak, jakby się zaraził wstydliwą chorobą. Później Rong Zilai wyjaśnił, dlaczego tak reaguje: kiedy żeglował przez ocean, spadł z pokładu i nałykał się tyle słonej wody, że o mało nie umarł. Po wypadku przez cały czas trzymał w ustach liść herbaty, w przeciwnym razie nie zdołałby przetrwać rejsu. Oczywiście wytłumaczenie sytuacji swoje zrobiło, ale przekonanie ludzi, by ją zaakceptowali, to zupełnie inna para kaloszy. Jeśli nie jest w stanie znieść zapachu soli, jak, na Boga, będzie pracował w rodzinnej firmie? Nikt nie chce szefa, który chodzi z ustami pełnymi liści herbaty.

Pojawił się szalenie drażliwy problem.

Na szczęście zanim Rong Zilai wyjechał do obcych krajów, babka Rong złożyła pisemne oświadczenie, że po powrocie ze studiów w nagrodę za synowskie oddanie należy mu się srebro ze skrytki w jej pokoju. Później dobrze wykorzystał pieniądze, dzięki nim bowiem otworzył szkołę w stolicy prowincji, mieście C, którą nazwał Akademią Matematyki Lilliego.

Była to poprzedniczka sławnego Uniwersytetu N.

Uniwersytet N zaczął się cieszyć rozgłosem, będąc jeszcze Akademią Matematyki Lilliego.

Pierwszy rozślawił akademię John Lillie. Zszokował ludzi wbrew protestom, przyjmując do akademii kobiety. Przez pierwsze lata istnienia szkoła traktowana była jak coś w rodzaju peep-show. Wszyscy, którzy mieli interes w stolicy prowincji, rezerwowali sobie czas na wizytę w akademii, żeby zobaczyć ciekawe widowisko, i zachowywali się jak na spacerze po dzielnicy czerwonych latarni. Wziąwszy pod uwagę poglądy wówczas obowiązujące, samo to, że wśród studentów akademii znalazły się kobiety, powinno wystarczyć, by władze nakazały ją zamknąć. Krążyły różne teorie wyjaśniające, dlaczego przetrwała, z nich zaś ta przedstawiona w oficjalnej genealogii rodu Rongów przypuszczalnie jest najbardziej wiarygodna. Pierwsze studentki należały do głównej gałęzi rodziny. Rongowie mogli więc powiedzieć: skoro chcemy rujnować życie własnym córkom, co wam do tego? Zachowanie wszystkiego w rodzinie okazało się dobrym pomysłem. To był jedyny powód, dla którego plotki nigdy nie zdołały doprowadzić do zamknięcia szkoły Lilliego. W podobny poniekąd sposób, w jaki wzrostowi dziec-ka towarzyszy wielki hałas, wrzawa wokół akademii tylko przysporzyła jej sławy.

Druga osoba, dzięki której akademia stała się znana, także należała do rodu Rongów: była to bratanica Johna Lilliego, dziecko narodzone ze związku jego starszego brata (wówczas już po sześćdziesiątce) z konkubiną. Przyszła na świat z wielką okrągłą głową, ale poza tym wszystko było z nią w porządku, więcej nawet, odznaczała się nieprzeciętną inteligencją. Już jako mała dziewczynka wykazywała zdolności, zwłaszcza do matematyki. Wstąpiła do akademii w wieku jedenastu lat, a rok później stanęła w szranki z doświadczonym rachmistrzem. Nikt nie wierzył własnym oczom, gdy na nią patrzyli: potrafiła pomnożyć dwie czterocyfrowe liczby w czasie nie dłuższym, niż zajęłoby splunięcie. Matematyczne problemy, nad którymi inni musieli łamać sobie głowy, ona rozwiązywała momentalnie, a przeciwnicy, rzuciwszy jej wyzwanie, podejrzewali, że oszukuje, bo z góry zna pytania.

Ślepiec zarabiający na życie przepowiadaniem przyszłości na podstawie kształtu głowy powiedział, że ta dziewczyna jest geniuszem, ktoś taki pojawia się raz na tysiąc lat.

Gdy ukończyła siedemnaście lat, wybrała się w podróż przez połowę globu wraz z kuzynem, który zamierzał studiować na uniwersytecie w Cambridge. Kiedy statek zanurzył się w gęstą mgłę nad londyńskimi dokami, sceneria zainspirowała

kuzyna (przyjemność sprawiało mu tworzenie krótkich wierszy) do ułożenia kolejnego:

Dzięki fal morskich działaniu  
Przybyłem do Wielkiej Brytanii  
Brytanio, o Brytanio  
Mgły nie zdołają ukryć twej chwały...

Obudzona przez kuzyna, gdy ten recytował głośno najświeższe dziełko, spojrziała półprzytomnie na swój złoty zegarek.

– Podróżowaliśmy przez trzydzieści dziewięć dni i siedem godzin.

Natychmiast swoim zwyczajem wpadli w doskonale wyćwiczony rytm pytań i odpowiedzi:

– Trzydzieści dziewięć dni i siedem godzin to?...

– Dziewięćset czterdzieści trzy godziny.

– Dziewięćset czterdzieści trzy godziny to?...

– Pięćdziesiąt sześć tysięcy pięćset osiemdziesiąt minut.

– Pięćdziesiąt sześć tysięcy pięćset osiemdziesiąt minut to?...

– Trzy miliony trzysta dziewięćdziesiąt cztery tysiące osiemset sekund.

Ta gra stała się częścią życia dziewczyny – ludzie traktowali ją jak ludzkie liczydło, spodziewając się, że wykona tego rodzaju obliczenia w mgnieniu oka. Ciągłe ćwiczenie doskonaliło niezwykle umiejętności. Doszło do tego, że nie używano jej imienia, została nazywana „Abakusem”. A ponieważ głowę miała bardzo wielką, niektórzy mówili o niej „Abakowa Głowa”. Wydawało się, jakby talenty matematyczne rozwijane przez pokolenia rodu Rongów podczas działalności handlowej skupiły się w tej dziewczynie, jakby zbiorowe doświadczenie spowodowało zmianę jakościową.

Kiedy przyjechała do Cambridge, ujawnił się jej – dotąd ukryty – talent do języków. Podczas gdy inni musieli zaciskać zęby i uczyć się słówek, ona łapała obcą mowę od zagranicznych współlokatorek i przychodziło jej to z niezwykle łatwością. Na początku semestru znajdowała nową współlokatorkę, a pod koniec mówiła kolejnym językiem z godną podziwu płynnością i znajomością idiomów. Oczywiście w samej metodzie nie ma nic nowego – to standardowy sposób, który okazuje się skuteczny w przypadku niemal wszystkich, którzy go stosują. Zadziwiający były rezultaty, jakie uzyskiwała. W ciągu kilku lat przyswoiła sobie siedem języków, co więcej, władała nimi nie tylko w mowie, ale także w piśmie. Pewnego dnia na terenie college’u spotkała ciemnowłosą kobietę i chciała z nią porozmawiać. Wypróbowała każdy z siedmiu języków, ale bez rezultatu, okazało



się bowiem, że dziewczyna dopiero co przyjechała z Mediolanu i mówi wyłącznie po włosku. Kiedy Abakus się o tym dowiedziała, natychmiast zaproponowała jej wspólne mieszkanie. W tym samym semestrze rozpoczęła też pracę nad projektem Mostu Matematycznego Newtona.

Most Matematyczny Newtona to jeden z charakterystycznych widoków w Cambridge. Zbudowano go z siedmiu tysięcy stu siedemdziesięciu siedmiu desek, z których każda ma inny wymiar. W sumie jest w nim dziesięć tysięcy dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć płaszczyzn stycznych, gdybyśmy więc chcieli każdą z nich przybić, w najlepszym razie potrzebowalibyśmy tyleż samo gwoździ. Newton jednak wyrzucił wszystkie gwoździe do rzeki Cam i zbudował most, który opierał się wyłącznie na grawitacji, a to czyni budowlę matematycznym cudem. Od wielu lat studenci wydziału matematyki marzyli o złamaniu tajemnicy Mostu Matematycznego – czy raczej należałoby rzec, pragnęli wykonać jego dokładną replikę na papierze. Nikomu to się nie udało. Wiele osób znalazło sposób na odtworzenie mostu, do którego zbudowania wystarczyło ponad tysiąc gwoździ, lecz tylko garstka zdołała zaprojektować wersje z mniej niż tysiącem. Najbliższy ideału był projekt Islandczyka, według niego wystarczyło jedynie pięćset sześćdziesiąt jeden gwoździ. Sławny matematyk, profesor sir Joseph Larmor (w tamtym czasie prezes Newtoniańskiego Towarzystwa Matematycznego), obiecał wówczas, że ten, kto przedstawi projekt z mniejszą liczbą gwoździ, otrzyma doktorat z matematyki Uniwersytetu Cambridge. W taki oto sposób „Abakowa Głowa” dostała stopień naukowy, ponieważ w jej modelu Mostu Matematycznego potrzeba było tylko trzysta osiemdziesiąt osiem gwoździ. Po ceremonii wdała się w pogawędkę po włosku z jednym z dziekanów, dowodząc, że w stopniu doskonałym opanowała kolejny język.

Zdarzyło się to w czasie piątego roku jej pobytu w Cambridge, kiedy miała dwadzieścia dwa lata.

W roku następnym odwiedzili ją w Cambridge dwaj bracia, którym marzyło się, by ludzie mogli szybować w powietrzu; ich wizja i brawura zrobiły na niej tak wielkie wrażenie, że pojechała z nimi do Ameryki. Dwa lata później w Karolinie Północnej pierwszy aeroplan poderwał się ponad wydmy i uniósł w niebo. Na jego brzuchu widniał napis wykonany srebrnymi literami, który uwieczniał nazwiska najważniejszych osób biorących udział w projektowaniu i budowie maszyny. Czwarty wers głosił:

Projekt skrzydeł: Rong „Abakus” Lillie z miasta C.

Takiego nazwiska używała, przebywając na Zachodzie, w genealogii rodu Rongów natomiast zapisano ją jako Rong Youying, członkinię ósmego pokolenia. A bracia, z którymi opuściła Uniwersytet Cambridge, byli pionierami lotów na maszynach cięższych od powietrza i nazywali się Wright.

Jeśli aeroplan Wrightów zabrał jej nazwisko w niebo, to ona reputację

Akademii Matematycznej Lilliego wyniosła w stratosferę. Po rewolucji Xinhai uświadomiła sobie, że los narodu jest niepewny, zerwała więc długoletnie zaręczyny z narzeczonym i wróciła do swej Alma Mater, gdzie przyjęła fotel dziekana wydziału matematyki. W tym czasie Akademia Matematyczna Lilliego zmieniła już nazwę na Uniwersytet N. Latem roku tysiąc dziewięćset trzynastego prezes Newtoniańskiego Towarzystwa Matematycznego, profesor sir Joseph Larmor, odwiedził Chiny, przywożąc ze sobą jej model Mostu Matematycznego, i taki właśnie zbudowano na terenie uniwersytetu. Wydarzenie to przysporzyło sławy Uniwersytetowi N; można powiedzieć, że profesor sir Joseph Larmor był trzecią osobą, która nadała uczelni znaczenie.

W październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku japońskie bomby spaliły Uniwersytet N na popiół. Niezwykły dar od profesora Josepha Larmora, model w skali 1:250 Mostu Matematycznego Newtona, także uległ zniszczeniu. W tym czasie kobieta, która go zaprojektowała, nie żyła od dwudziestu dziewięciu lat. Odeszła w rok po wizycie Larmora na Uniwersytecie N, mając niespełna czterdzieści lat.

Rong Youying umarła w połogu.

Zdarzyło się to tak dawno, że ci, którzy widzieli jej cierpienie i śmierć, także nie żyją, lecz historia o straszliwej agonii „Abakowej Głowy” przekazywana jest z pokolenia na pokolenie niczym opowieści o przerażającej bitwie. Wraz z kolejnymi powtórzeniami historia stawała się coraz bardziej wyrafinowana i klasyczna w szczegółach, aż wreszcie brzmiała niczym wydarzenie z sagi. Jak możecie sobie wyobrazić, podczas porodu straszliwie cierpiała – wedle wszystkich relacji jej krzyki odbijały się echem przez dwa dni i dwie noce, a odór krwi unosił się najpierw w szpitalnym pokoju, potem wywędrował na korytarz, a stamtąd na główną ulicę. Lekarz próbował technik najnowocześniejszych na równi z prymitywnymi, by pomóc dziecku się urodzić, ale główka wciąż nie wychodziła z kanału. Cały korytarz przed salą porodową zatłoczony był członkami rodziny Rongów oraz klanu Lin ze strony ojca, czas jednak mijał i po kolei odchodzili, aż zostało tylko kilka służących. Nawet najtwardszych przerażał czas trwania i przebieg tego porodu; było jasne, że radość powitania na świecie nowego istnienia nie zadośćuczyni koszmarniej śmierci matki. Raz jej koniec wydawał się bliski, kiedy indziej wszystko wskazywało, że jednak z tego wyjdzie, a czas podążał nieustępliwie ku swej bezwzględnej decyzji.

Stary pan Lillie ostatni przybył na korytarz i ostatni odszedł. Na odchodnym powiedział:

- To dziecko będzie albo geniuszem, albo diabłem.
- Jest pewne na osiemdziesiąt, nawet dziewięćdziesiąt procent, że nigdy tego dziecka nie urodzi – odparł lekarz.
- Urodzi dziecko.
- Nie, nie urodzi.
- Nie rozumiesz, ona jest niezwykłą kobietą.
- Znam kobiety i jeśli ona wyda dziecko na świat, to będzie cud.
- Jest osobą, której cuda się zdarzają!

Stary pan Lillie zamierzał natychmiast odejść, ale powstrzymał go lekarz.

- Co mam zrobić, jeśli nie będzie w stanie urodzić dziecka?

Stary Lillie milczał.

- Chcecie, żebym ratował matkę czy dziecko? – Lekarz nie ustępował.
- Oczywiście uratuj matkę! – zdecydował stary Lillie.

Czymże jednak były życzenia starego pana Lilliego wobec wszechpotężnego przeznaczenia i losu? O świcie kobieta całkiem opadła z sił po kolejnej nocy zmagania i straciła przytomność. Lekarz ocucił ją, polał lodowatą wodą i wstrzyknął

podwójną dawkę środka pobudzającego, by przygotować na ostatnie parcie. Wyjaśnił to dość prosto: jeśli ta finalna próba nic nie da, będzie ratować życie matki. Sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem, matka bowiem doznała zapaści, po raz ostatni próbując urodzić. Dziecko, syna, uratowano przez cesarskie cięcie.

Wszyscy byli wstrząśnięci widokiem jego olbrzymiej głowy. W porównaniu z głową noworodka jej była maleńka! Pierwsze dziecko z taką ogromną głową, nie wspominając już o tym, że nieszczęsnica miała wtedy prawie czterdzieści lat, stanowiło gwarancję śmierci. Bywają chwile, gdy wyroki przeznaczenia wydają się tajemnicze: kobieta, która potrafiła wysłać w niebo kilka ton metalu, skończyła jako ofiara żartu Natury.

Po narodzinach dziecka ród Linów wybrał dla niego wszelkiego rodzaju imiona: pseudonimy, tytuły grzecznościowe, imiona oficjalne i co tylko chcecie, dość szybko jednak się okazało, że to daremny wysiłek. Wielkość głowy i straszliwa historia o okolicznościach przyjścia na świat sprawiły, że nazywano go „Morderczą Głową”.

– Mordercza Głowo!

– Mordercza Głowo!

To imię nigdy nikomu się nie nudziło.

– Mordercza Głowo!

– Mordercza Głowo!

Nazywali go tak przyjaciele.

Wszyscy tak go nazywali.

Trudno w to uwierzyć, ale on niewątpliwie zasłużył na takie miano, ponieważ miał na koncie naprawdę okropne rzeczy. Ród Linów był najbogatszą rodziną w stolicy prowincji, należące do nich sklepy zapełniały po obu stronach dwukilometrowy odcinek długiego bulwaru. Kiedy Morderca dorósł, potężny majątek Linów zaczął błyskawicznie topnieć, musieli bowiem płacić jego hazardowe długi albo wyciągać go z innych kłopotów. Gdyby nie pewna kurwa, która złapała za nóż i zadźgała go na śmierć, ród Linów straciłby swój dom razem z całą resztą fortuny. Ludzie opowiadali, że Morderca po raz pierwszy popełnił czyny przestępcze jako dwunastolatek, a w chwili śmierci miał dwadzieścia dwa lata. Przez te dziesięć lat uczestniczył w kilkunastu morderstwach, uwiódł i porzucił rzeszę kobiet. W tym samym czasie przegrał górę pieniędzy i całą ulicę sklepów. Ludzi szokowało, że niezwykła kobieta, geniusz z rodzaju tych, jacy pojawiają się raz na tysiąclecie, mogła dać życie aż tak niegodziwemu synowi.

Ród Linów odetchnął z ulgą, kiedy Morderca umarł, zaraz jednak zaczęła napastować rodzinę tajemnicza kobieta. Zażądała widzenia z głową rodu. Kiedy została przyjęta, padła na kolana i bez słowa wybuchnęła płaczem. Wskazując na swój wydatny brzuch, oznajmiła:

– To jest dziecko młodego pana Lina!

W rodzinie Linów zdawano sobie sprawę, że gdyby ktoś chciał wysłać za morze wszystkie uwiedzione przez Mordercę kobiety, musiałby skorzystać z kilku statków, choć jak dotąd żadna z pokrzywdzonych nie przyszła do nich, twierdząc, że jest ciężarna, poza tą jedną, która pochodziła z innej prowincji. Dlatego potraktowali ją podejrzliwie i z gniewem, dosłownie wykopali za drzwi. Kobieta sądziła, że kopniaki spowodują poronienie, chociaż to nieszczególnie ją martwiło. Nie dała jednak za wygraną, gdy pomimo siniaków i bólu ciąża pozostała niezagrażona – zwinęła dłonie w pięści i kilkakrotnie mocno uderzyła się w brzuch, ale to też nie pomogło. Przygnębiona usiadła na środku drogi i zaczęła lamentować. Wkrótce otoczył ją wianuszek gapiów; jednemu zrobiło się żal biedaczki i zasugerował, że powinna pójść na Uniwersytet N i tam spróbować szczęścia, bo przecież oni też są krewnymi Mordercy. Kobieta powlokła się na uniwersytet i uklękła przed starym Johnem Lilliem. Był on człowiekiem bardzo prawym i zasadniczym, ogarniał go smutek, gdy miał do czynienia ze złymi postępkami innych ludzi. Współczuł głęboko wszystkim, których dotknęła niesprawiedliwość, dlatego przyjął kobietę. Następnego dnia polecił synowi, Rongowi Xiaolaiemu (ludzie nazywali go Młody Lillie), by zawiózł ją do Tongzhenu, rodzinnego miasteczka Rongów.

Dwór Rongów w Tongzhenie zajmował połowę miasteczka. Na dachach zabudowań, wciąż stłoczonych niczym łuski ryby, widać już było ślady działania czasu. Łyse placki złuszczonej farby, znaczące malowane kolumny i okapy, wyraźnie dowodziły, że wszystko się zmienia. Kiedy Stary Lillie założył akademię w stolicy prowincji, sporo młodych członków rodu Rongów przeprowadziło się, by u niego studiować, i to zapoczątkowało upadek dworu. Tylko nieliczni brali pod uwagę powrót i prowadzenie rodzinnej firmy, co było jednym z powodów, który przyspieszył ruinę. Zresztą perspektywy i tak rysowały się ponuro: po tym, gdy rząd wprowadził państwowy monopol na sól, ród Rongów utracił swoje główne źródło dochodu. Taki rozwój sytuacji silnie odbił się na postawie wielu członków rodu studiujących u Starego Lilliego: zainteresowali się metodą naukową i poznawaniem prawdy, kompletnie natomiast przestało ich obchodzić zarabianie pieniędzy i życie w luksusie. Bankructwo rodzinnej firmy i w następstwie tego pogorszenie się ich losu, jak widać, nie miało na nich żadnego wpływu. W ciągu dekady ród Rongów stracił dosłownie wszystko, co niegdyś posiadał, aczkolwiek nie lubili mówić otwarcie, w jakich okolicznościach. Ale każdy mógł na własne oczy zobaczyć przyczynę. Była to umieszczona nad główną bramą dworu tabliczka ze słowami ułożonymi z wielkich złotych liter: „Wsparł Wyprawę Północną”. Kryje się za tym historia. Kiedy Narodowa Armia Rewolucyjna dotarła do miasta C, Stary Lillie zobaczył na ulicach studentów kwestujących dla sprawy i tak go to poruszyło, że tego samego wieczoru wrócił do Tongzhenu, by sprzedać doki i połowę sklepów, jakie wchodziły w skład imperium Rongów. Za uzyskane

pieniądze kupił statek amunicji dla Wyprawy Północnej i w nagrodę dostał ową tabliczkę. Z tego też powodu Rongowie uważani byli za wielkich patriotów. Na nieszczęście niedługo potem sławny generał, który zaprojektował napis, został przestępcą poszukiwanym przez rząd Kuomintangu, co znacznie przytłumiło jej chwałę. Później rząd wykonał nową tabliczkę z identycznym napisem i złoceniami, ale z inną kaligrafią. Zwrócili się do rodu o zgodę na wymianę tabliczek, lecz Stary Lillie odmówił. Od tamtej chwili Rongowie wpadali w niekończące się kłopoty z rządem, na czym oczywiście musiały ucierpieć interesy. Stary Lillie nie zwracał uwagi na problemy firmy, zależało mu jedynie na dawnej tabliczce. Posunął się aż do stwierdzenia, że jeśli ją zdejmą, to po jego trupie.

Rongowie musieli pogodzić się z ubóstwem.

Ich dwór, który niegdyś kipiał życiem, gdy panowie i służba zajmowali się pracą, teraz był opuszczony i cichy. A kiedy na dziedzińcu pojawiali się ludzie, szybko stawało się jasne, że w większości to starcy, że o wiele więcej jest kobiet niż mężczyzn, o wiele więcej służących niż panów. Dom popadał w ruinę wraz z pogarszającą się sytuacją. Mieszkało w nim coraz mniej ludzi, zwłaszcza młodych i energicznych, dlatego wydawał się większy i opustoszały. Ptaki budowały gniazda na drzewach, pająki tkwały sieci przed drzwiami, ścieżki pomiędzy zabudowaniami zarosło zielsko, ulubione ptaszki odleciały, sztuczna góra zamieniła się w prawdziwą, ogród kwiatowy przypominał dżunglę, a tylne podwórce stały się labiryntami. W przeszłości dwór Rongów był jak piękne, eleganckie i barwne malowidło, teraz, chociaż pozostały ślady farby, pojawiły się także linie wcześniejszych szkiców, co burzyło czystość ukończonego dzieła. Gdyby ktoś chciał ukryć anonimową i tajemniczą kobietę o wątpliwym pochodzeniu, nie znalazłby lepszego miejsca.

Młody Lillie łamał sobie głowę, jak skłonić państwa Rongów do przyjęcia owej kobiety. Wszyscy członkowie siódmego pokolenia umarli, wyjątkiem był Stary Lillie mieszkający w stolicy prowincji. To czyniło państwa Rongów niekwestionowanymi głowami klanu w Tongzhenie. Rong posunął się w latach i doznał udaru, choroba odebrała mu zdrowe zmysły i na zawsze przykuła do łóżka. Zupełnie się nie liczył, cała prawdziwa władza dawno temu przeszła w ręce pani Rong. Jeśli Morderca istotnie był sprawcą ciąży, jak oświadczyła im kobieta, państwo Rongowie bez wątpienia zostali wujem i ciotką dziecka, co jednak wcale ich nie zachwyciło. Przypomniał sobie, że pani Rong jest pobożną buddystką, Młody Lillie postanowił to wykorzystać. Zaprowadził kobietę prosto do kaplicy pani Rong i tam, otuleni kadzidłem, przy akompaniamencie stukania drewnianą rybą, rozmawiali.

– Kim ona jest? – spytała pani Rong.

– Kobieta.

– Jakąkolwiek masz prośbę, lepiej od razu przejdź do rzeczy, ponieważ chcę

odmówić sutry.

– Jest brzemienna.

– Nie jestem lekarzem, więc co chcesz, żebym zrobiła?

– To bardzo pobożna buddystka, wychowała się w klasztorze. Niezamężna.

W zeszłym roku udała się na górę Putuo, by modlić się przed posągiem Buddy. Po powrocie odkryła, że jest w ciąży. Wierzysz jej?

– Jakie to ma znaczenie, czy jej wierzę?

– Jeśli jej wierzysz, przyjmiesz ją?

– A co się stanie, jeśli powiem, że jej nie wierzę?

– Jeśli jej nie wierzysz, wyrzucę ją na ulicę.

Pani Rong spędziła bezsenną noc, a Budda nie okazał się pomocny przy podjęciu decyzji. W południe jednak, kiedy Młody Lillie udawał, że zaraz wyrzuci kobietę na ulicę, nagle się zdecydowała.

– Może zostać – powiedziała. – Amitabha Budda, błogosławione niechaj będzie jego święte imię.

男  
商  
邦  
兼  
重  
兼  
董  
海  
破  
河  
漢  
錄

CZĘŚĆ DRUGA  
BIORĄC BRZEMIE  
NA BARKI



Przez dwa lata spędzałem święta i wakacje w pociągach południowych Chin, podróżowałem bowiem po kraju, by porozmawiać z naocznymi świadkami tych wydarzeń; było pięćdziesiąt jeden osób, wszyscy w średnim lub starszym wieku. Dopiero kiedy zappełniłem tysiące stronic notatkami, uznałem, że mogę wreszcie zasiąść do napisania książki. Dzięki doświadczeniom zebranych podczas podróży po regionie zdołałem zrozumieć, dlaczego południe jest inne. Tam tryskałem zdrowiem i energią: oddychałem głęboko, cieszyłem się każdą minutą, skórę miałem gładszą, nawet włosy wydawały się bardziej lśniąco i czarniejsze. Nietrudno pojąć, dlaczego postanowiłem napisać swoją książkę na południu, trudniej natomiast dociec, dlaczego po przeprowadzce tutaj zmianie uległ także mój styl. Wyczuwałem, że łagodne powietrze południa obdarza mnie odwagą i cierpliwością przy pisaniu, zajęciu, które w normalnych okolicznościach uważam za wyjątkowo uciążliwe, a równocześnie moja historia zaczęła ogarniać inne płaszczyzny, na podobieństwo bujnych pnączy oplatających południowe drzewo. Główny protagonista nadal się nie pojawił, chociaż niedługo przybędzie. Można powiedzieć, że już tu jest, tylko go nie widzicie albo – że kiedy ziarno zaczyna kiełkować, pierwsze pędy kryją się pod powierzchnią dobrze nawodnionej gleby.

Dwadzieścia trzy lata temu udziałem błyskotliwej Rong Youying stały się straszliwe cierpienia, gdy wydawała na świat Mordercę; wszyscy zapewne żywili nadzieję, że taka rzecz więcej się nie powtórzy. Jednakże powtórzyła się kilka miesięcy po tym, gdy tajemnicza kobieta zamieszkała z Rongami. Ponieważ była sporo młodsza, jej krzyki rozbrzmiewały ze zdwojoną siłą, przypominały nóż uderzający o ostrzałkę. Dryfowały przez pociemniały dwór, wprawiały płomyki świec w kołysanie i nawet po ciele niesprawnego, nieprzytomnego pana Ronga przechodziły dreszcze. Akuszerki przybywały jedna po drugiej, czasami tylko po to, by zmienić okład na świeży, każda jednak opuszczała pokój przesiąknięta intensywnym odorem, mając plamy krwi na ubraniu, jakby była rzeźnikiem. Krew ściekała z łóżka na podłogę, sięgała do progu. Wydostawszy się poza pokój, wsiąkała w szczeliny między ciemnymi kamieniami, z których ułożono ścieżkę, płynęła dalej, aż sięgnęła korzeni kilku starych śliw, jakie rosły pośród błota i zielska. Wszyscy myśleli, że poczerniałe śliwy w zdziczałym ogrodzie dawno uschły, lecz tej zimy nagle okryły się kwieciem: to dlatego, że napiły się ludzkiej krwi, powiadano. Kiedy wszakże śliwy zakwitły w styczniu, tajemnicza kobieta już nie żyła, a jej dusza odleciała, by stać się głodnym duchem straszącym na bezludnych wzgórzach.

Obecni przy tamtych wypadkach mówili, że to cud, iż zdołała wydać

na świat dziecko, niektórzy dodawali, że gdyby po urodzeniu dziecka przeżyła, byłby to kolejny cud. Tak jednak się nie zdarzyło. Rzadko kiedy jeden cud następuje zaraz po drugim. Prawdziwy problem pojawił się, kiedy akuszerka obmyła noworodka z krwi i śluzu – wszyscy przeżyli wstrząs, widząc, że dziecko to skóra zdjęta z Mordercy: miało gęste ciemne włosy, wielką głowę, nawet plamę mongolską nad pośladkami. Byli identyczni. Niewinne małe oszustwo Młodego Lilliego zostało zdemaskowane jako podła sztuczka, której ofiarą padli krewni, i tajemnicze dziec-ko w mgnieniu oka zmieniło się w bękarta mordercy. Gdyby nie to, że pani Rong stwierdziła niejakie podobieństwo noworodka do babki, świętej panny Lillie, nawet ona znalazłaby w sobie siłę, żeby porzucić go na jakimś dzikim pustkowiu. Wydaje się, że kiedy poważnie rozważano kwestię pozbycia się chłopczyka, to właśnie jego związki z babką uratowały mu życie i zapewniły dorastanie w dworze Rongów.

Dziecko uszło z życiem, lecz to z pewnością nie był powód, by gratulować Rongom, jako że nie uznawali go za członka rodziny. Przez bardzo długi czas w rozmowach nazywano go „Ponurym Żniwiarzem”. Pewnego dnia pan Auslander przypadkiem mijał frontowe drzwi domu służących, którzy opiekowali się dzieckiem. Małżonkowie uprzejmie zaprosili go do środka w nadziei, że będzie pomocny w wyborze nowego imienia dla chłopczyka. Oboje byli wtedy starzy i bardzo dla nich nieprzyjemne było zwracanie się w taki sposób do dziecka – jakby chłopiec przybył, żeby ich zabić. Przez pewien czas sami zastanawiali się nad imieniem. Próbowali nawet jakieś wymyślić, z rodzaju tych, jakie nadawano dzieciom w wiosce, ale żadne się nie przyjęło: poza nimi nikt go nie używał. Słyszając, jak sąsiedzi wołają na wychowanka „Ponury Żniwiarzu”, staruszków przechodziły dreszcze i nocami często miewali koszmary. Dlatego też zdecydowali się poprosić pana Auslandera o zastanowienie się i podanie imienia, które wszystkim się spodoba.

Pan Auslander był tym obcokrajowcem, którego przed laty zapraszano do dworu, by interpretował sny babki Rong. Uwielbiała go, aczkolwiek z pewnością nie każdemu bogaczowi przypadał do gustu. Pewnego razu w dokach wyjaśniał sen kupcowi z innej prowincji, handlującemu herbatą, a ten, niezadowolony z tłumaczenia, spuścił Auslanderowi straszliwe lanie. Miał złamane obie ręce i nogi, choć to nawet nie była połowa wszystkich obrażeń: wylupiono mu też jedno niebieskie oko. Przyczołgał się do dworu Rongów, a oni go przyjęli, z nadzieją, że dobrym uczynkiem pomogą starej damie spoczywać w pokoju. Przekroczywszy próg ich domu, nigdy więcej go nie opuścił. Rongowie znaleźli dla niego pracę, która bardzo mu odpowiadała. Uznali, że ród majątny i szanowany powinien mieć spisaną genealogię. Po latach pan Auslander poznał najrozmaitsze gałęzie rodu lepiej niż ktokolwiek inny. Poznał historię klanu, mężczyzn i kobiety, nieślubnych potomków, wiedział, kto odnosił sukcesy, a kto porażki, kto dokąd

wyjechał i co zrobił: wszystko to znajdowało się w jego notatkach. Kiedy więc przyszło do nadania imienia dziecku, inni pewnie błędziliby w ciemności, lecz pan Auslander dokładnie się orientował, z której gałęzi rodu malec pochodzi i jaki skandal otaczał jego przyjście na świat. Właśnie dlatego wybór imienia był dla niego szczególnie drażliwym problemem.

Pan Auslander przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że przed wyborem właściwego imienia należy rozwiązać kwestię nazwiska dziecka. Oczywiście powinien nazywać się Lin, ale prawdę powiedziawszy, obecnie to nazwisko wszystkim nieprzyjemnie się kojarzyło. Mógłby przyjąć nazwisko Rong, lecz to rzecz niesłychana, by ktoś przyjmował panieńskie nazwisko babki, to nie było stosowne. Naturalnie mógłby nazywać się jak matka, tylko jakie nazwisko nosiła tajemnicza kobieta? Nawet gdyby je znali, korzystanie z niego byłoby niewłaściwe: mściwie zagrzechotałyby szkielety w rodzinnej szafie! Rozmyślając o tym, pan Auslander zdecydował, że na razie to odłoży, tak samo ważne jest bowiem imię dla chłopca. Wziął pod uwagę jego wielką głowę, cierpienia, które go spotykają, że nie ma rodziców, więc będzie musiał radzić sobie w życiu bez pomocy krewnych. I nagle doznał olśnienia. Postanowił, że nazwie dziecko „Kaczątko”.

Kiedy zrelacjonował to pani Rong w jej modlitewnej komnacie, kobieta wciągnęła w nozdrza zapach kadzidła i oznajmiła:

– Chociaż ludzie także jego ojcu nadawali straszne imiona, to Morderca był odpowiedzialny za śmierć swojej matki, cudownej kobiety, która przysporzyła sławy rodowi Rongów. Nie znalazłbyś dla niego lepszego imienia, choćbyś szukał w nieskończoność. Z drugiej zaś strony to dziecko ponosi winę za śmierć bezwstydną kurwy. Ośmieliła się bluźnić przeciwko Buddzie, a za tę zbrodnię po tysiącokroć zasługuje na śmierć! Zabicie takiej osoby nie jest przestępstwem, ale wręcz czynem honorowym. Nazywanie tego biedactwa Ponurym Żniwiarzem wydaje się nieco niesprawiedliwe. W przyszłości możemy nazywać go Kaczątkiem, aczkolwiek mało prawdopodobne, by wyrósł na łabędzia.

– Kaczątko!

– Kaczątko!

Nikogo nie obchodziło, skąd się wziął i kim byli jego rodzice.

– Kaczątko!

– Kaczątko!

Nikogo nie obchodziło, czy będzie żył, czy umrze.

W tym wspomniałym dworze jedynym, który traktował Kaczątko jak istotę ludzką – jak traktowałyby każde inne dziecko – był pan Auslander, przybysz z drugiego końca świata. Codziennie po zakończeniu porannych obowiązków szedł wąską zwirowaną ścieżką, wzdłuż której rosły bujnie kwiaty, do mieszkania starego małżeństwa, żeby tam spędzić południową sjęstę. Siadał obok drewnianego kojca, w którym bawił się Kaczątko, i paląc papierosa, opowiadał w swoim języku

o śnie z ubiegłej nocy. Można by odnieść wrażenie, że mówił do Kaczątka, w rzeczywistości jednak mówił do siebie, dziecko było zbyt małe, żeby zrozumieć. Często przynosił malcowi grzechotkę albo małą glinianą zabawkę i z czasem chłopczyk zaczął uwielbiać starca. Później, gdy nauczył się chodzić, a właściwie raczkować, pierwszym miejscem, które odwiedził, był gabinet pana Auslandera w Ogrodzie Grusz.

Ogród zawdzięczał nazwę dwustuletnim gruszom. W środku stał mały drewniany domek, w którym na strychu rodzina Rongów przechowywała zapasy opium i ziół leczniczych. Zdarzyło się kiedyś, że służąca zniknęła w tajemniczych okolicznościach; wszyscy sądzili, iż uciekła z mężczyzną, później jednak znaleziono w domku jej ciało w stanie daleko posuniętego rozkładu. Nie dało się ukryć jej śmierci i wkrótce każdy członek rodu Rongów oraz cała służba o tym wiedzieli. W rezultacie Ogród Grusz stał się tematem opowieści o duchach i ludzie bali się tam chodzić; na samą wzmiankę o nim drżeli, a niegrzecznym dzieciom rodzice grozili: „Natychmiast przestań, bo zostawimy cię w Ogrodzie Grusz!”. Pan Auslander wykorzystał obawy innych przed tym miejscem i mieszkał tam, przez nikogo nie niepokoiony. Kiedy kwitły grusze, spoglądał na mglisty obłok płatków i wciągał w nozdrza ich intensywnie słodki aromat; miał poczucie, że od lat nic tutaj się nie zmieniło. Gdy kwiaty z drzew opadały, zamiatał je i suszył na słońcu, po czym rozkładał w domu, dzięki czemu mógł się cieszyć zapachem przez cały rok – jakby wiosna trwała wiecznie. Kiedy nie czuł się dobrze, parzył herbatę z płatków. Przekonał się, że rewelacyjnie działa na jego żołądek i bardzo poprawia mu samopoczucie.

Przyszedłszy raz, Kaczątka przychodził codziennie. Nic nie mówił, stał tylko pod gruszami i obserwował pana Auslandera w ciszy, nieśmiało, jak przestraszony jelonek. Chłopczyk bardzo wcześnie zaczął ćwiczyć stawanie w drewnianym kojcu, szybciej niż inne dzieci nauczył się chodzić, jednak z mówieniem radził sobie gorzej. Mając ponad dwa lata, kiedy jego rówieśnicy składali całe zdania, potrafił wydawać tylko jeden dźwięk: jia... jia... a ludzie się zastanawiali, czy przypadkiem nie jest niemową. Pewnego dnia pan Auslander, swoim zwyczajem odbywając sjęstę na rattanowym szezlongu, usłyszał przepiękny żalem głosik:

– Ta... ta! Ta... ta! Ta... ta!

Uświadomił sobie, że ktoś zwraca się do niego jak do ojca. Otworzył oczy i zobaczył Kaczątka; chłopiec z oczami pełnymi łez drobną rączką szarpał go za rękaw. Wtedy to po raz pierwszy malec odezwał się do drugiej osoby. Jego ojciec nie żył – Kaczątka zaczął go wołać i wołając, przywrócił do życia. Jeszcze tamtego dnia obcokrajowiec zabrał dziecko do Ogródu Grusz, żeby z nim zamieszkało. Kilka dni później osiemnastoletni pan Auslander wdrapał się na gruszę i zawiesił na niej huśtawkę, prezent dla Kaczątka na trzecie urodziny.

Chłopiec dorastał pośród kwiatów gruszy.

Osiem lat później, kiedy kwiaty grusz zaczęły swój coroczny taniec wokół drzew, pan Auslander spojrział w niebo na zamieć płatków. Idąc noga za nogą, wnikliwie rozważał każde słowo, którego zamierzał użyć. Co wieczór zapisywał skomponowane w dzień zdania. Po kilku dniach sformułował list do Młodego Lilliego, syna Starego Lilliego, do stolicy. List spoczywał w szufladzie ponad rok, ale kiedy starzec uświadomił sobie, że nie pozostało mu wiele życia, wyjął go i powiedział Kaczątku, żeby położył go na stosie poczty do wysłania. Toczyła się wojna, Młody Lillie nie miał stałego adresu i list trafił do niego dopiero po kilku miesiącach.

Do: Prorektora Uniwersytetu

Szanowny Panie

Nie wiem, czy list do Pana nie będzie ostatnim błędem, który w życiu popełniam. Myślę, że to może być błąd, ponieważ pragnąc spędzić więcej czasu z Kaczątkiem, wstrzymałem się z wysłaniem tego listu. Kiedy Pan go otrzyma, ja będę umierał, a w tym przypadku – nawet jeśli to błąd – nie będzie mnie to już obchodzić. Skorzystam z wyjątkowych uprawnień należnych tym, którzy lada moment odmówią dalszego noszenia ciężarów życia. Ciężary te, jeśli wolno mi to powiedzieć, w moim przypadku były liczne i ogromne. Zamierzam wszakże użyć też wszystkowiedzących oczu, którymi obdarzeni są umarli, by sprawdzić, do jakiego stopnia poważnie podchodzi Pan do punktów poruszonych w moim liście i co proponuje Pan w ich kwestii uczynić. Rzec można, że pod wieloma względami to moja ostatnia wola i testament.

Żyłem na tej trudnej i niebezpiecznej planecie długo – niemal wiek. Wiem, jak dobrze traktujecie w Waszym kraju zmarłych, nie wspominając o tym, iż wiem także, jak źle traktujecie żywych. Pierwsze godne jest najwyższych pochwał, drugie wręcz przeciwnie. I to jest przyczyna, dla której wierzę, iż wykona Pan moje ostatnie instrukcje.

Jednego tylko żałuję, a mianowicie Kaczątka. Byłem jego opiekunem przez wiele lat, *faute de mieux*, jednakże teraz słyszę dzwon bijący dla mnie i jasne jest, iż zostało mi tylko kilka dni. Czas najwyższy, by Kaczątkiem zajął się ktoś inny. Błagam Pana, by został Pan jego opiekunem. A oto trzy powody, dla których jest Pan idealnym kandydatem:

1. To dzięki Pańskiej odwadze i szczodrości – Pana i Pańskiego Ojca

(Starego Lilliego) – chłopiec przyszedł na ten świat.

2. Czy przyzna Pan to, czy nie, jest członkiem rodu Rongów, a jego babkę Pański Ojciec kochał i podziwiał najbardziej na świecie.

3. Chłopiec jest bardzo bystry. Przez ostatnich kilka lat był moją nowo odkrytą krainą. Na każdym kroku zadziwia mnie i imponuje swoją niezwykłą inteligencją. Niechaj Pana nie zwiedzie jego cokolwiek mizantropiczna i chłodna osobowość; wierzę, że mądrością nie ustępuje babce, a w dodatku są do siebie podobni jak dwie krople wody. Ona była wyjątkowo inteligentna, bardzo twórcza, miała zadziwiająco silną osobowość. Archimedes powiedział: „Dajcie mi punkt podparcia, a poruszę ziemię”. Wierzę, iż Kaczątka jest takim człowiekiem, teraz jednak potrzebuje Pana, ponieważ nie skończył jeszcze dwunastu lat.

Niechaj Pan uwierzy w moje słowa i zabierze stąd chłopca. Niechaj wychowa go Pan w swoim domu, ponieważ on Pana potrzebuje, potrzebuje Pańskiej miłości i potrzebuje wykształcenia. A najbardziej chyba ze wszystkiego potrzebuje, by Pan dał mu nazwisko.

Błagam Pana!

Błagam Pana!

Po raz pierwszy i ostatni błagam kogoś o coś.

Umierający R.J.

Tongzhen, 8 czerwca 1944 r.

Gorszego roku niż tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty nie doświadczyli mieszkańcy stolicy prowincji, miasta C – a także wszyscy pracownicy Uniwersytetu N usadowionego w jej sercu. Najpierw znaleźli się na pierwszej linii frontu, później zdeptał ich obcas marionetkowego rządu Nanjing. To spowodowało wielką zmianę nie tylko w wyglądzie miasta, ale też w sercach jego mieszkańców. Kiedy Młody Lillie otrzymał list pana Auslandera, najcięższe walki już się zakończyły, lecz chaos wywołany złymi intencjami rządu tymczasowego sięgnął punktu, od którego nie było odwrotu. Stary Lillie nie żył od wielu lat, a pozycją Młodego Lilliego na Uniwersytecie N wstrząsnął nie tylko upadek fortuny jego ojca, lecz także nieprzejednana postawa rządu marionetkowego. Pomimo tego Młody Lillie cieszył się zainteresowaniem członków rządu. Po pierwsze był sławny, co znaczyło, że jest dla nich użyteczny w sposób niedostępny dla zwykłych ludzi, po drugie rodzina Rongów sporo wycierpiała z rąk rządu Kuomintangu, liczyli więc, że okaże uległość. Kiedy rząd marionetkowy został sformowany, wspaniałomyślnie zaproponowano mu (w tamtym czasie pełnił zaledwie funkcję prorektora) stanowisko rektora; oficjele byli przekonani, iż to wystarczy, by go kupić. Nie spodziewali się, że na oczach wszystkich podrze akt mianowania i stentorowym głosem zakrzyknie: „My, Rongowie, raczej umrzemy, niż zdradzimy nasz kraj!”.

Jak można sobie wyobrazić, odpowiedź ta zapewniła Młodemu Lilliemu wielką popularność, choć też zagwarantowała, że nie dostanie żadnej państwowej posady. Już od jakiegoś czasu zastanawiał się nad sposobem uniknięcia odwetowych akcji rządu marionetkowego (oraz gwałtownych walk podjazdowych na uniwersytecie) przez ukrycie się w Tongzhenie, a list pana Auslandera bez wątpienia przyspieszył jego wyjazd. Wciąż rozważając treść listu, wysiadł z parowca. Wiało i padał deszcz. Jednym spojrzeniem wyłowił z tłumu stłoczonych ludzi zarządcę dworu Rongów. Zarządca zapytał go uprzejmie, czy miał dobrą podróż, ale on go zignorował.

– Jak się miewa pan Auslander? – zapytał bez wstępów.

– Pan Auslander nie żyje. Odszedł kilka tygodni temu.

Młody Lillie poczuł, jak serce bije mu szybciej.

– A gdzie jest dziecko?

– Kogo ma pan na myśli?

– Kaczątko.

– Nadal jest w Ogrodzie Grusz.

Chłopiec mieszkał wciąż w Ogrodzie Grusz, co było słuszne, lecz nikt nie

miał pojęcia, co tam robi, jako że rzadko wychodził, a mało kto fatygował się składaniem mu wizyt. Wiedziano, że mieszka w dworze, choć wszystko wskazywało, że błąka się z miejsca na miejsca jak zagubiona dusza, i prawie nikt go nie widywał. Według zarządcy malec był niemową.

– Nie wiem, co do mnie mówi – rzekł zarządca. – Zwykle milczy, a kiedy już się odezwie, tak samo mógłby nie zadawać sobie trudu, ponieważ nikt go nie rozumie.

Dodał jeszcze, że zdaniem służących z głównego dworu tylko dzięki temu, że stary dżentelmen z zagranicy trzykrotnie padł na kolana przed Trzecim Panem i uniżenie się kłaniał, ten zgodził się, by Kaczątko po śmierci opiekuna mógł nadal mieszkać w Ogrodzie Grusz, w przeciwnym razie wyrzuciłby chłopca na ulicę. Pan Auslander zostawił Kaczątku oszczędności zebrane w ciągu wielu dziesięcioleci, jako że rodzina Rongów nie byłaby w stanie go utrzymywać.

Następnego dnia w porze obiadowej Młody Lillie poszedł do Ogrodu Grusz. Deszcz już ustał, padał jednak przez kilka dni z rzędu, zmył budynki do czysta i utworzył pod stopami grubą, chlupoczącą warstwę błota. Każdy krok pozostawiał głębokie odciski, nawet tak głębokie, że bagno zalewało kalosze. Nigdzie nie dostrzegał innych śladów stóp, pajęczyny na drzewach były puste, pająki schowały się przed deszczem pod okapami, niektóre pracowicie przędły nowe sieci na drzwiach. Gdyby nie dym z komina i odgłos szatkowania, Młody Lillie sądziłby, że nikogo tu nie ma.

Chłopiec kroił słodki ziemniak. Na piecu w garnku z wrzątkiem podskakiwała garść ryżu. Kaczątko nie wydawał się przestraszony widokiem intruza ani też nie był zły. Spojrzał przelotnie na Młodego Lilliego i wrócił do swojego zajęcia, jakby to dziadek wrócił po krótkiej nieobecności – dziadek, a może pies? Był drobniejszy, niż Młody Lillie się spodziewał, i głowę miał nie tak wielką, jak opowiadali ludzie. Dolichocefaliczna czaszka była dziwnie zaokrąglona na czubku, niemal jakby nosił kapelusz typu homburg, może dlatego nie wydawała się nienormalnie duża. Młody Lillie nie dostrzegł w jego powierzchowności nic szczególnie zwracającego uwagę, natomiast robiło na nim wrażenie chłodne, spokojne zachowanie chłopca i to, że wyglądał jak mały starzec. Jedynymi ładnymi sprzętami w pokoju były szafka na lekarstwa (pozostałość po pierwotnym przeznaczeniu budynku), stół i fotel. Na stole leżał otwarty wielki tom, z kart unosił się zapach stęchlizny. Młody Lillie zamknął księgę, by przeczytać tytuł na grzbiecie: *Encyclopaedia Britannica*, jeden z jej tomów. Odłożył ją i spojrzał na chłopca, po czym zapytał:

– Czytasz to?

Kaczątko pokiwał głową.

– Rozumiesz treść?

Ponowne kiwnięcie.



– Pan Auslander cię uczył?

Odpowiedział tak samo jak poprzednio.

– Nic nie mówisz. Jesteś niemową? – Młody Lillie uświadomił sobie, że ton jego głosu jest ostrzejszy, niż zamierzał, jakby obwinił o coś chłopca. – Jeśli jesteś, kiwnij głową dwa razy. Jeśli nie, powiedz to. – Ponieważ się obawiał, że chłopiec może nie rozumieć chińskiego, powtórzył to po angielsku.

Kaczątko podszedł do pieca, gdzie wrzucił pokrojony słodki ziemniak do wody, i po angielsku odparł, że nie jest niemową.

Na pytanie, czy potrafi mówić po chińsku, potwierdził po chińsku.

Młody Lillie roześmiał się.

– Twój chiński jest tak samo zły jak mój angielski. Nauczyłeś się go od pana Auslandera?

Kaczątko kiwnął głową.

– Nie kiwaj głową – upomniął Młody Lillie.

– Dobrze.

– Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni mówiłem po angielsku, i moja angielszczyzna jest zardzewiała. W przyszłości będziemy raczej mówili po chińsku.

– Dobrze – zgodził się Kaczątko po chińsku.

Młody Lillie podszedł do stołu, usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

– Ile masz lat?

– Dwanaście.

– Czy poza czytaniem tych książek pan Auslander uczył cię czegoś jeszcze?

– Nie.

– I nie uczył cię, jak interpretować sny? Był z tego sławny.

– Nauczył mnie tłumaczyć sny.

– Jesteś w tym dobry?

– Tak.

– Zeszłej nocy miałem sen. Zinterpretujesz go dla mnie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Interpretuję tylko swoje sny.

– Cóż, może w takim razie powiesz mi, o jakich rzeczach śnisz...

– Śnię o najróżniejszych rzeczach.

– Widziałeś mnie w swoich snach?

– Tak.

– Wiesz, kim jestem?

– Wiem.

– Kim?

– Jest pan członkiem ósmej generacji rodu Rongów, którzy tutaj mieszkają.

Urodził się pan w tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim roku jako dwudziesty pierwszy w swoim pokoleniu. Nazywa się pan Rong Xiaolai, pański tytuł grzecznościowy to Dongqian, a przezwisko – Zeshi. Ludzie nazywają pana „Młody Lillie”. Jest pan synem założyciela Uniwersytetu N, Starego Lilliego. W tysiąc dziewięćset szóstym roku skończył pan na tym uniwersytecie matematykę, w tysiąc dziewięćset dwunastym wyjechał do Stanów Zjednoczonych i uzyskał magisterium na MIT. W tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym wrócił pan na swoją Alma Mater i tam pozostał. Obecnie jest pan prorektorem Uniwersytetu N i profesorem zwyczajnym na wydziale matematyki.

- Sporo o mnie wiesz.
- Wiem sporo o wszystkich członkach rodziny Rongów.
- Nauczył cię tego pan Auslander?
- Tak.
- Uczył cię czegoś jeszcze?
- Nie.
- Chodziłeś do szkoły?
- Nie.
- Chciałbyś chodzić do szkoły?
- Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Woda w garnku się zagotowała i napełniła pomieszczenie ciepłem, a także zapachem potrawy. Starzec wstał z zamiarem pójścia do ogrodu. Chłopiec pomyślał, że gość już odchodzi, i zawołał, by chwilę poczekał. Powiedział, że pan Auslander coś dla niego zostawił. Mówiąc to, ruszył w stronę łóżka. Wyciągnął spod niego paczkę owiniętą w papier.

- Tata powiedział, że kiedy pan przyjdzie, mam to panu dać.
- Tata? – Starzec przez chwilę się namyślał. – To znaczy pan Auslander?
- Tak.
- Co to jest? – Młody Lillie wziął paczkę.
- Wystarczy ją otworzyć, sir, a zobaczy pan.

Cokolwiek to było, zostało owinięte kilkoma warstwami brązowego papieru i wyglądało na całkiem spore. Pozornie jednak, okazało się bowiem po usunięciu opakowania, że jest tam posążek Bodhisattwy Guanyin, który mieści się na dłoni. Wyrzeźbiono go z mlecznego nefrytu, umieszczony pomiędzy oczami pojedynczy ciemny szafir wyobrażał „trzecie oko” buddyźmu znane jako *urna*. Delikatnie trzymając posążek w dłoni, Młody Lillie uważnie mu się przyglądał; natychmiast wyczuł rodzaj lodowato czystej aury: rozprzestrzeniała się na resztę jego ciała, dowód na wysoką jakość nefrytu. Wykonanie również było doskonałe, a połączenie obu tych elementów sugerowało, iż posążek ma długą i skomplikowaną historię. Starzec był przekonany, że taki skarb musi być wiele wart. Zastanawiał się nad tym, patrząc na chłopca, potem westchnął i powiedział:

- Prawie nie znałem pana Auslandera. Dlaczego miałby mi coś zostawiać?
- Nie wiem.
- Posążek jest cenny. Powinieneś go zachować.
- Nie.
- Pan Auslander przyjął cię, kiedy byłeś małym dzieckiem, i kochał cię jak syna. Powinieneś zatrzymać posążek.
- Nie.
- Tobie jest bardziej potrzebny niż mnie.
- Nie.
- A może pan Auslander martwił się, że cię oszukają, gdybyś próbował go sprzedać, i chciał, żebym zrobił to w twoim imieniu?
- Nie.

W trakcie tej wymiany zdań wzrok starca padł na papier, w który zawinięty był posążek; dostrzegł, że pokrywają go liczby, jakby ktoś pracował nad bardzo trudnym działaniem. Kiedy rozwinął wszystkie arkusze, zobaczył, że każdy zapisany jest matematycznymi obliczeniami. Zmieniając temat, zapytał:

- Czy pan Auslander uczył cię matematyki?
- Nie.
- Kto to napisał?
- Ja.
- Dlaczego?
- Próbowałem obliczyć, ile dni przeżył tata...

Choroba, która zabiła pana Auslandera, po raz pierwszy dała o sobie znać w gardle. Może był to rodzaj karmicznej zemsty za lata spędzone na tłumaczeniu snów innych ludzi – wszystko, co w życiu osiągnął, zawdzięczał eleganckiemu wysławianiu się, podobnie wszystkie doznane krzywdy wynikały z niezadowolenia wywołanego u rozmówców jego doborem słów. Zanim jeszcze rozpoczął układanie ostatniego listu do Młodego Lilliego, już właściwie stracił zdolność mówienia. Czuł, że śmierć jest blisko, postanowił zatem poczynić dla Kaczątka plany na przyszłość. Podczas tych cichych dni chłopiec co rano stawiał koło łóżka filiżankę z kwiatami grusz zalanymi wodą; ich słaby aromat budził starca, a on obserwował, jak blade wysuszone płatki ożywają w ciepłym płynie. To uspokajało go i odprężało, może nawet łagodziło ból w źle złożonych kościach. Uważał, że właśnie dzięki tym kwiatom dożył sędziwego wieku. Zaczął je zbierać, powodowany wyłącznie nudą. Z czasem docenił niezwykłą czystość barwy płatków, nie wspominając już o delikatnej konsystencji. Rozłożone pod okapami suszył na słońcu, potem wkładał je do poduszki albo sypał na blat biurka. Za każdym razem kiedy czuł ich aromat, miał wrażenie, że gdy trzyma je blisko siebie, przedłuża okres kwitnienia.

Jako że miał tylko jedno oko i nogi niesprawne po złamaniu, z trudnością się poruszał, zatem większość czasu spędzał w fotelu, co niewątpliwie przyczyniło się, że zaczął cierpieć na zaparcia; w najgorszych atakach choroby czuł, że dalsze jego życie nie ma sensu. Gdy któregoś roku na początku zimy zaparcia powróciły, stosował wszystkie zwykłe metody: co rano zaraz po przebudzeniu wypijał wielką miskę zimnej wody, a w ciągu dnia kolejne porcje płynu, licząc na wywołanie bólu brzucha. Tym razem zaparcie okazało się wyjątkowo uporczywe, przez kilka dni pił filiżankę wody za filiżanką, ale bez rezultatu. Osiągnął tylko tyle, że czuł się jeszcze gorzej, bardziej obolały i całkowicie bezradny. Pewnego wieczoru wrócił z miasta, kupiwszy tam leki; macając w ciemności po wejściu do domu, natrafił przy drzwiach na miskę zimnej wody i osuszył ją do dna. Zrobił to szybko, dopiero później uświadomił sobie, że woda miała dziwny posmak, a w gardło razem z nią spływały jakieś miękkie cząstki – przerażające doznanie. Kiedy zapalił olejną lampę, odkrył, że miska była pełna nasiąkniętych kwiatów gruszy. Może nawiał je wiatr, a może też dobrał się do nich szczur. Nigdy dotąd nie słyszał, że można pić napar z kwiatów gruszy, czekał więc niespokojnie na skutki, przygotował się nawet na śmierć. Zanim jednak przyjął zakupiony lek, poczuł ból głęboko w jelitach. Na taki ból czekał dniami i nocami i już miał pewność, że woda kwiatowa mu nie zaszkodzi. Po długim, głośnym bąku ruszył do ubikacji i wrócił całkowicie

rozluźniony.

Poprzednio po uldze następował okres poważnych zaburzeń żołądka i jelit, najpierw zaparcie, potem straszliwe biegunki, jakby musiał przejść przez obie krańcowości, by wyzdrowieć. Tym razem wszystko wskazywało, że okropny naprzemienny cykl się nie powtórzy, zaparcie ustąpiło, a on od razu poczuł się dobrze. Poważnie zainteresował się medycznymi właściwościami naparu z kwiatów gruszy. To, co wydawało się czystym przypadkiem, teraz było działaniem boskiej opatrności i odtąd przyrządzał sobie wodę z kwiatami w taki sposób, jak się parzy herbatę, a im więcej pił, tym bardziej mu napój smakował. Co roku, gdy grusze obsypywały się kwieciami, ogarniała go nieporównywalna z niczym radość i poczucie satysfakcji. Kiedy zbierał aromatyczne i delikatne kwiaty, towarzyszyło mu wrażenie, że z wolna odzyskuje dawno utracone zdrowie. Dręczony wieloletnim bólem, co noc śnił o kwiatkach gruszy, widział, jak otwierają się w słońcu, dryfują na wietrze i deszczu. To był znak nadziei, że Bóg pozwoli mu umrzeć, pozwoli odejść wraz z kwiatami gruszy.

Pewnego dnia wcześniej rano zawołał Kaczątko do siebie, a gdy chłopiec zajmował miejsce przy łóżku, starzec gestem dał znać, że prosi o papier i pióro, po czym napisał: „Kiedy umrę, chcę, żebyś do trumny włożył mi kwiaty gruszy”. Wieczorem przywołał go znowu, żeby przekazać bardziej szczegółowe informacje: „Mam osiemdziesiąt dziewięć lat, dlatego chciałbym zostać pochowany z osiemdziesięcioma dziewięcioma kwiatami gruszy”. Nazajutrz rano raz jeszcze wezwał Kaczątko, a gdy dostał papier i pióro, ostatecznie sprecyzował swoje życzenie: „Oblicz, ile jest dni w osiemdziesięciu dziewięciu latach, i pochowaj mnie z taką liczbą kwiatów”. Może starzec był zdezorientowany i przerażony w obliczu zbliżającej się śmierci, stawał bowiem coraz bardziej skomplikowane wymagania; jak widać, zapomniał, że nigdy nie uczył chłopca matematyki.

Mimo wszystko Kaczątko mógł wykonać takie obliczenia. To część życia, codzienna sprawa: średnio inteligentne dziecko, nawet jeśli nie jest dostatecznie wyuczone, będzie w stanie sobie z nimi poradzić. Jeśli przyjmiemy ten punkt widzenia, przekonamy się, że Kaczątko dostał tyle wskazówek dotyczących dodawania i odejmowania, ile potrzebował, ponieważ co roku, kiedy kwiaty zaczynały opadać z grusz, pan Auslander zbierał je, a następnie kazał chłopcu liczyć. Jeśli wynik był prawidłowy, zapisywał go na ścianie; później mógł ponownie kazać je przeliczyć i tę sumę także notował. W ten sposób, kiedy wszystkie kwiaty spadły, Kaczątko miał dokładnie przećwiczone dodawanie i odejmowanie, nie wspominając już, że rozumiał istotę liczb i miejsc dziesiętnych. Na tym wszakże jego wiedza się kończyła. Teraz musiał wykorzystać swoje, bardzo ograniczone, doświadczenia i obliczyć, ile dni przeżył jego tata, do dyspozycji mając informacje, które stary pan Auslander przygotował z myślą o nagrobku; był wśród nich rok oraz miejsce urodzenia. Z tego też powodu

obliczenia trwały w nieskończoność – otrzymanie wyniku zajęło mu cały dzień. Zapadał zmierzch, gdy Kaczątka podszedł do łóżka i pokazał swoją pracę tacie, który już nie miał nawet siły, by kiwnąć głową, dotknął tylko łagodnie dłoni chłopca, a potem po raz ostatni zamknął oczy i dlatego Kaczątka nie miał pojęcia, czy wynik był dobry. Kiedy spostrzegł, że Młody Lillie patrzy na obliczenia, po raz pierwszy uświadomił sobie, że ta znajomość może się dla niego okazać bardzo ważna; był tym poruszony i zakłopotany.

Chłopiec wykorzystał na obliczenia trzy arkusze papieru. Chociaż nie były numerowane, kiedy Młody Lillie sięgnął po ten na wierzchu, od razu wiedział, że to pierwsza strona. Zapiski zaczynały się tak:

Jeden rok: 365 dni

Dwa lata:  $365 + 365 = 730$  dni

Trzy lata:  $730 + 365 = 1095$  dni

Cztery lata:  $1095 + 365 = 1460$  dni

Pięć lat:  $1460 + 365 = 1825$  dni

Dotarłszy tak daleko, Młody Lillie zrozumiał, że chłopiec nie zna mnożenia, stąd nie miał innego wyjścia, jak korzystać z tej pracochłonnej metody. Dodając kolejne lata, uzyskał wynik dla osiemdziesięciu dziewięciu lat: 32 485 dni. Od tej liczby odjął 253 dni, co dało ostatecznie 32 232 dni.

– Zrobiłem to dobrze? – zapytał Kaczątka.

Młody Lillie wiedział, że odpowiedź jest błędna, nie każdy rok ma trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Zgodnie z kalendarzem słonecznym co cztery lata przypada rok przestępny, który ma trzysta sześćdziesiąt sześć dni. Zdawał sobie jednak sprawę, że wykonanie tak długiego dodawania jest męczące dla dwunastolatka i nie może się obyć bez błędu. Nie chciał go denerwować, odparł więc, że wynik jest prawidłowy, i pochwalił za sumienną pracę.

– W jednej sprawie masz absolutną rację – odparł. – Opierając wyliczenia na liczbie dni w całym roku, począwszy od dnia jego urodzin, oszczędziłeś sobie mnóstwo kłopotów. Jeśli się nad tym zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że gdybyś zaczął od pierwszego stycznia, zostałbyś z dwoma niekompletnymi latami na początku i końcu życia pana Auslandera i musiałbyś je doliczyć, podczas gdy dzięki swojej metodzie musisz tylko dodać liczbę dni, które przeżył od ostatnich urodzin. To naprawdę zaoszczędziło ci mnóstwo pracy.

– Teraz znalazłem o wiele łatwiejszy sposób na te obliczenia – powiedział chłopiec.

– Jaki?

– Nie wiem, jak coś takiego się nazywa, ale niech pan spojrzy na to.

Wyłowił spod łóżka kilka następnych arkuszy.

Różniły się od poprzednich wielkością i fakturą, pismo Kaczątka także było zmienione, co znaczyło, że zapisał stronicę w innym czasie. Chłopiec wyjaśnił, że

robił wyliczenia po pogrzebie taty.

Młody Lillie zobaczył, że lewa kolumna zawiera dodawanie, podczas gdy prawa – metodę obliczeń, której nazwy Kaczątko nie znał.

Jeden rok: 365 dni

$$365 \cdot 1 = 365$$

Dwa lata:  $365 + 365 = 730$  dni

$$365 \cdot 2 = 730$$

Trzy lata:  $730 + 365 = 1095$  dni

$$365 \cdot 3 = 1095$$

To oczywiste, że Kaczątko używał kropki do określenia mnożenia – nie znał prawidłowego znaku, zatem musiał wynaleźć własny. Używając podwójnej metody obliczeń, ustalił liczbę dni dla pierwszych dwudziestu lat. Począwszy jednak od dwudziestego pierwszego roku, zmienił porządek, na pierwszym miejscu postawił mnożenie, na drugim dodawanie.

Dwadzieścia jeden lat:  $365 \cdot 21 = 7665$  dni

$$7300 + 365 = 7665 \text{ dni}$$

Młody Lillie zauważył, że liczba dni uzyskana na tym etapie poprzez mnożenie została poprawiona, pierwotny wynik wynosił 6565. Od tego miejsca liczba dla każdego roku obliczana była w ten sam sposób: najpierw mnożenie, potem dodawanie, przy czym rezultat pierwszej metody nosił ślady poprawek, by zgadzać się z wynikiem dodawania. Wyniki mnożenia dla pierwszych dwudziestu lat życia pana Auslandera nie były poprawiane, co znaczyło dwie rzeczy:

1. Do obliczenia pierwszych dwudziestu lat Kaczątko korzystał z dodawania jako metody pierwotnej, a metoda z kropką była tylko rodzajem dekoracji, która jego zdaniem niekoniecznie mogła występować samodzielnie. Z drugiej zaś strony, począwszy od dwudziestego pierwszego roku, do obliczeń wykorzystywał wyłącznie mnożenie, podczas gdy dodawanie funkcjonowało tylko jako dowód matematyczny.

2. Na początku nie opanował dobrze mnożenia, stąd błędy i poprawki, które nanosił. Później jednak, gdy zrozumiał istotę mnożenia, poprawki z wolna zniknęły.

Raz na jakiś czas mnożył kolejny rok, wreszcie dotarł do czterdziestego, później nastąpił nagły przeskok do osiemdziesiątego dziewiątego, który według

jego metody liczenia z kropką składał się z 32 485 dni; od tej liczby odjął 253 dni i uzyskał wynik ostateczny wynoszący 32 232 dni, dokładnie tyle samo, ile wcześniej. Liczbę tę otoczył kółkiem, by przyciągała wzrok i wyróżniła się spośród innych.

Na ostatniej karcie widniały dość chaotyczne obliczenia, ale Młody Lillie od pierwszego spojrzenia zorientował się, że chłopak usiłował odkryć zasady mnożenia. Na samym końcu karty zostały one przedstawione. Patrząc na zapis, starzec nie potrafił powstrzymać się od czytania na głos.

Jedno jeden to jeden.

Jedno dwa to dwa.

Jedno trzy to trzy.

Dwa dwa to cztery.

Dwa trzy to sześć.

Dwa cztery to osiem...

Trzy trzy to dziewięć.

Trzy cztery to dwanaście.

Trzy pięć to piętnaście.

Trzy sześć to osiemnaście...

To, co czytał, bez wątpienia było mnożeniem.

Skończywszy, w milczeniu patrzył na chłopca, ogarnięty bardzo dziwnym i obcym wrażeniem niepewności. Zdawało się, że w małym pomieszczeniu wciąż odbija się echo jego recytacji; kiedy Młody Lillie się skoncentrował, poczuł ciepło i spokój. Właśnie w tym momencie postanowił, że zabierze chłopca. Powiedział do siebie: wojna trwa od czterech lat, końca nie widać; w każdej chwili, choć kierować będą mną najlepsze zamiary, jakieś nieprzemyślane działanie może spowodować katastrofę na mnie i tych, którzy są mi najdrożsi. To dziecko jednak jest geniuszem i jeśli teraz nie zabiorę go ze sobą, zawsze będę tego żałować.

Przed końcem wakacji letnich Młody Lillie został powiadomiony telegramem ze stolicy prowincji, że jesienią uniwersytet rozpoczyna pracę. Liczono, iż wróci tak szybko, jak to możliwe, by przygotować się do wykładów. Pomyślał, że mógłby nie podejmować tego wyzwania, ale będzie musiał przywieźć im nowego studenta. Wezwał majordomusa, powiedział, że wyjeżdża, i wręczył mu plik banknotów. Zarządca podziękował, przekonany, że dostał napiwek.

– To nie jest napiwek – oznajmił Młody Lillie. – Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Co miałyby to być?

– Zabierz Kaczątka do wsi i kup mu dwa komplety ubrań.

Majordomus stał i myślał, że chyba się przesłyszał.

Kilka dni później, kiedy przyszedł po swój napiwek, Młody Lillie powiedział:



– Pomóż chłopcu się spakować, jutro wyjeżdżamy.

Majordomus stał osłupiały i znowu myślał, że uszy go zawodzą.

Młody Lillie musiał wszystko raz jeszcze powtórzyć.

Nazajutrz rano, kiedy niebo dopiero się rozjaśniło, psy w dworze Rongów nagle zaczęły ujadać. Do pierwszego szczekacza przyłączyły się inne, aż kakofonia zmusiła każdego domownika – panów i służbę – do zerwania się z łóżka i wyjrzenia na dwór przez szpary w drzwiach. Dzięki temu, że majordomus trzymał w dłoni lampę, mieszkańcy posiadłości Rongów ujrzeli widok niezwykle, aż nie wierzyli własnym oczom. Zobaczyli Kaczątka w nowym ubraniu, niosącego walizę z wołowej skóry, z którą pan Auslander przybył wiele lat temu. Chłopiec w milczeniu podążał śladem Młodego Lilliego i desperacko próbował dotrzymać mu kroku. Wydawał się przerażony, stąpał niezdarnie, niczym zdezorientowany mały duch. Ta scena była zadziwiająca, nikt nie miał pewności, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Kiedy majordomus wrócił z portu, dowiedzieli się od niego, że wzrok ich nie mylił.

Pojawiło się mnóstwo pytań. Dokąd zabiera chłopca Młody Lillie? Dlaczego go zabiera? Czy Kaczątka kiedykolwiek wróci? Dlaczego Młody Lillie jest taki dobry dla Kaczątka? I wiele innych. Majordomus miał dwie odpowiedzi na wszystkie pytania.

Swoim panom odpowiadał:

– Nie wiem.

Młodszym służącym mówił:

– Kurwa, a kto to wie!

Jeśli koń sprawił, że świat stał się mniejszy, a statki go powiększyły, to silnik spalinowy uczynił świat magicznym. Kilka miesięcy później, kiedy armia japońska wyruszyła ze stolicy prowincji do Tongzhen, droga zajęła dywizji zmotoryzowanej zaledwie parę godzin. Były to pierwsze pojazdy mechaniczne, jakie widziano na drodze ze stolicy prowincji do Tongzhen, a ich prędkość kazała ludziom zadawać sobie pytanie, czy niebiosy wreszcie nie zlitowały się nad Głupim Starcem i jego marzeniem, by usunąć górę i zmienić położenie całego łańcucha, który stał pomiędzy miastami. Aż do tego dnia najszybszym sposobem na przemierzenie odległości pomiędzy stolicą prowincji a Tongzhenem była jazda konna. Jeśli zdołałeś znaleźć odpowiednio szybkiego konia i w stosownych momentach użyć bicia, mogłeś przebyć drogę w siedem, osiem godzin. Przed dziesięcioleciem Młody Lillie zawsze jeździł powozem konnym; chociaż podróż trwała oczywiście dłużej niż wierzchem, to pod warunkiem że woźnica nie oszczędzał zaprzęgu, istniała możliwość dotarcia do celu o zmierzchu, jeśli wyruszyło się o świcie. Teraz wszakże Młody Lillie się starzał i nie radził sobie z podskokami na wybojach, dlatego wybrał łódź. Rejs do Tongzhenu zajmował dwie doby, ponieważ łódź płynęła pod prąd. Powrót zwykle trwał krócej, choć co najmniej jedną dobę.

W trakcie rejsu Młody Lillie rozmyślał o imieniu dla chłopca. Łódź pokonała ostatni prosty odcinek przed stolicą prowincji, a on nadal nie podjął decyzji, wciąż się zastanawiał, jak rozwikłać tę wcale nie prostą kwestię. Stał przed takim samym dylematem, jak stary pan Auslander, kiedy go poproszono o wybranie imienia dla noworodka: to nie był problem z rodzaju tych, które z upływem czasu same się rozwiązują. Przemyślawszy sprawę wnikliwie, Młody Lillie postanowił odłożyć na bok wszelkie inne względy i nadać imię odpowiednie dla kogoś, kto urodził się w Tongzhenie i tam wychował; wybrał nie bez wysiłku dwa imiona i chociaż oba były cokolwiek wymuszone, na nich poprzestał: Jinzhen, co znaczy „Złota Szczerść”, i Tongzhen, czyli „Dziecięca Szczerść”. Niech chłopiec zdecyduje, które mu bardziej odpowiada.

– To bez znaczenia – odparł Kaczątko.

– A więc ja zdecyduję za ciebie – oznajmił Młody Lillie. – Myślisz, że Jinzhen będzie w porządku?

– W porządku. W takim razie będę się nazywał Jinzhen.

– Mam nadzieję, iż swoim życiem udowodnisz, że zasługujesz na to imię.

– W porządku – powtórzył Kaczątko. – Postaram się udowodnić, że zasługuję na to imię.

- Znaczy że w przyszłości będziesz lśnić jak złoto.
  - W porządku. Postaram się lśnić jak złoto.
- Po krótkiej chwili Młody Lillie zadał kolejne pytanie:
- Podoba ci się twoje imię?
  - Tak.
  - Chciałbym zmienić jeden znak w twoim imieniu. Odpowiada ci to?
  - Odpowiada.
  - Nie powiedziałem ci jeszcze, który znak chcę zmienić, więc dlaczego od razu się zgadzasz?
  - Który znak? – zapytał Kaczątko.
  - Chcę zmienić znak *zhen* oznaczający „szczerłość” na *zhen* oznaczający „perłę”. Czy to ci odpowiada?
  - Odpowiada. To *zhen* oznacza perłę.
  - Wiesz, dlaczego zmieniłem ten znak w twoim imieniu?
  - Nie.
  - A chciałbyś wiedzieć?
  - Cóż... nie wiem...

Prawdę mówiąc powodem, dla którego Młody Lillie chciał zmienić znak w imieniu, stał się przesąd. W Tongzhenie, podobnie jak w całym regionie Jiangnan, popularne było porzekadło: „Nawet diabeł boi się zniewieściałego mężczyzny”. To znaczy, że kiedy mężczyzna posiada cechy kobiece, ma w swojej naturze zarówno *yin*, jak i *yang*, przy czym oba te elementy się uzupełniają. Siłę wzmacnia uległość i w ten sposób powstaje mężczyzna doskonały, wyróżniający się spośród innych. Z tego też powodu miejscowi stworzyli milion sposobów na zrównoważenie *yin* i *yang*, włączając w to imiona, które nadawali synom. Ojcowie zwykle wiązali z synami wielkie nadzieje, dlatego często rozmyślnie nadawali im dziewczęce imię, liczyli bowiem, że to zapewni im wspaniałą przyszłość. Młody Lillie pragnął powiedzieć o tym Kaczątku, zdecydował jednak, że to nie byłoby stosowne. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli swój tok rozumowania zachowa dla siebie, ograniczył się więc do stwierdzenia:

– Dobrze, w takim razie sprawa załatwiona. Będziesz się nazywał Jinzhen, przy czym *zhen* oznacza „perłę”.

W tym czasie na horyzoncie pojawiły się już dachy miasta C.

Kiedy zeszli do portu, Młody Lillie przywołał rikszę, lecz nie pojechał do domu. Ruszył prosto do renomowanej szkoły podstawowej blisko Bramy Zachodniej, by porozmawiać z jej dyrektorem, niejakim Chengiem. Był on w przeszłości uczniem liceum stowarzyszonego z Uniwersytetem N i Młody Lillie jako student, a później młodszy asystent, często prowadził tam lekcje. Cheng odznaczał się niezwykle żywym usposobieniem, koledzy go podziwiali; robił też wrażenie na Młodym Lilliem. Liceum ukończył z bardzo dobrym wynikiem, bez

problemu został przyjęty na uniwersytet, wówczas jednak zauroczyły go mundury Armii Narodowo-Rewolucyjnej. Kiedy przyszedł się pożegnać z Młodym Lilliem, na ramieniu miał broń. Dwa lata później, w samym środku zimy, znowu odwiedził Młodego Lilliego. Wciąż miał na sobie mundur Armii Narodowo-Rewolucyjnej, tym razem jednak był bez broni. Przyglądając mu się uważniej, Młody Lillie uświadomił sobie, że nie tylko strzelby brakuje, zniknęła też ręka potrzebna do jej trzymania, pozostawiając pusty rękaw. Kiedy Cheng niezgrabnie wszedł do środka, Młody Lillie poczuł się bardzo zakłopotany. Ostrożnie ujął ocalałą dłoń dawnego ucznia – lewą – i przekonał się, że chłopak jest tak samo silny jak dawniej. Zapytał, czy może pisać tą ręką; usłyszał, że tak. Później dał mu list polecający do niedawno otwartej szkoły podstawowej koło Bramy Zachodniej, gdzie mógł zdobyć kwalifikacje nauczyciela, co dało nieszczęśnikowi szansę na nowe życie. Gdy zaczął pracę, wszyscy nazywali go Jednorękiem i to się nie zmieniło teraz, gdy został dyrektorem, ponieważ jedną ręką uczynił szkołę taką, jaka była.

Kilka miesięcy wcześniej Młody Lillie i jego żona ukryli się w szkole, kiedy w mieście toczono krwawą bitwę – zamieszkali w dobudówce do warsztatu stolarskiego. Dzisiaj, podczas spotkania z Jednorękiem, zagadnął:

– Czy dobudówka, w której mieszkałem, jest nadal pusta?

– Tak – odrzekł Jednoręki. – Trzymamy tam tylko piłki do koszykówki i piłki nożnej.

– Chciałbym, żeby mógł ją zająć ten młodzieniec. – Młody Lillie wskazał na Kaczątka.

– Kto to jest? – zapytał Jednoręki.

– Jinzhen, twój nowy uczeń – odparł Młody Lillie.

Od tamtego dnia nikt już nie nazywał chłopca Kaczątkiem. Wszyscy wołali go „Jinzhen”.

– Jinzhen!

– Jinzhen!

To nowe imię znaczyło początek życia Kaczątka w mieście i wszystkiego, co później mu się przytrafiło, a także koniec jego związków z Tongzhenem.

Jeśli zaś chodzi o wydarzenia kilku następnych lat, najbardziej wiarygodnym świadkiem jest najstarsza córka Młodego Lilliego, Rong Yinyi.

Na Uniwersytecie N do panny Rong wszyscy zwracali się per Mistrzu, aczkolwiek nie wiem, czy powodem były dobre wspomnienia o jej ojcu, czy też szacunek dla osoby zajmującej wysoką pozycję. Nie wyszła za męża, choć nie dlatego, że nigdy nie doświadczyła miłości. Chodziło raczej o to, że kochała zbyt głęboko, zbyt boleśnie. Opowiadano, iż w młodości miała chłopaka, niezwykle zdolnego studenta wydziału fizyki Uniwersytetu N; ukochany specjalizował się w technologii bezprzewodowej. Podobno z niczego potrafił w ciągu kilku godzin skonstruować radio z trzema pasmami fal. Po wybuchu wojny chińsko-japońskiej co miesiąc kolejni studenci rzucali studia, by wstąpić do wojska; nic dziwnego, skoro Uniwersytet N był kuźnią patriotyzmu w mieście C. Uczelnię opuścił też chłopak Mistrza Rong. Przez pierwsze lata mogli utrzymywać kontakt, później jednak stało się to niemożliwe. Ostatni list, który od niego otrzymała, został wysłany z miasta Changsha w prowincji Hunan wiosną roku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. Pisał, że bierze udział w supertajnych pracach badawczych dla wojska i na jakiś czas musi zerwać kontakty z rodziną i przyjaciółmi. Powtarzał, że bardzo ją kocha, żyje nadzieją, iż będzie na niego czekać. Ostatnie zdanie było najbardziej wzruszające: „Dzień, w którym Japończycy zostaną pokonani, będzie dniem naszego ślubu!”. Mistrz Rong czekała na klęskę Japonii, potem czekała na wyzwolenie, lecz on nie wracał, nie dostała też wiadomości o jego śmierci. Nie wiedziała nic o jego losie do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego, kiedy ktoś wracający z Hongkongu przywiózł dla niej wiadomość: ukochany wiele lat temu wyjechał na Tajwan, gdzie się ożenił i ma dzieci. Sugerował, żeby znalazła sobie innego.

Tak zakończyło się trwające dziesięciolecie wierne oczekiwanie. Nie trzeba dodawać, że przeżyła straszny szok, z którego właściwie nigdy się nie otrząsnęła. Dziesięć lat temu, kiedy udałem się do Uniwersytetu N na spotkanie z nią, dopiero co przeszła na emeryturę jako dziekan wydziału matematyki. Nasza rozmowa rozpoczęła się od omówienia rodzinnej fotografii wiszącej w jej salonie. Fotografia przedstawiała pięć osób. Młody Lillie i jego żona siedzieli w pierwszym rzędzie, za nimi stała Mistrz Rong, wówczas dwudziestoparoletnia, z prostymi włosami długimi do ramion; po jej lewej młodszy brat w okularach, po prawej młodsza siostra z włosami zebranymi w kucyki, siedmio-, może ośmioletnia. Zdjęcie zrobiono latem tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, kiedy młodszy brat Mistrza Rong szykował się do wyjazdu za granicę na studia; chodziło o uczczenie tej okazji. Z powodu wojny brat wrócił do domu dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku; w tym czasie rodzina utraciła jednego członka

i jednego zyskała. Utraconym członkiem była najmłodsza siostra, zmarła rok wcześniej podczas epidemii, nowym – Jinzhen, który przyłączył się tamtego lata do rodziny, kilka tygodni po jej śmierci.

### *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Moja siostra umarła w czasie letnich wakacji, miała zaledwie siedemnaście lat.

Matka i ja dowiedziałyśmy się o istnieniu Jinzhen dopiero po jej śmierci. Tata ukrył go w domu pana Chenga. Nie miałyśmy zbyt wiele do czynienia z panem Chengiem; ojciec sądził, że dyrektor zachowa istnienie chłopca w tajemnicy, nie zadał sobie trudu, by mu powiedzieć, żeby nam o nim nie wspominał. Pewnego dnia pan Cheng nas odwiedził. Nie wiem, skąd się dowiedział o śmierci mojej siostry, ale przyszedł złożyć kondolencje. Ojciec i ja byliśmy wtedy poza domem, więc przyjęła go matka i w czasie rozmowy tajemnica taty wyszła na jaw. Kiedy wrócił, mama zapytała go, co się dzieje, a on opowiedział o wszystkich nieszczęściach, które chłopca spotkały w jego krótkim życiu, o jego niezwykłej inteligencji i prośbie starego obcokrajowca. Być może dlatego, że głęboko przeżyła śmierć mojej siostry, mama wybuchnęła płaczem, słuchając o strasznym losie chłopca. Powiedziała do taty: „Yinzhi (takie imię miała moja siostrzyczka) odeszła, a ten chłopiec potrzebuje rodziny. Przyrowadź go, zamieszka z nami”.

W taki oto sposób mój braciszek Zhendi znalazł się u nas – tak brzmiało przezwisko Jinzhen.

Mama i ja tak do niego mówiłyśmy, tylko ojciec nazywał go Jinzhen. Zhendi nazywał matkę „mamą”, ale ojca – „profesorem”, do mnie zwracał się „siostrze”, więc wszystko to było cokolwiek poplątane. Oczywiście gdyby spojrzeć na drzewo genealogiczne, ja wyprzedzałam go o pokolenie, czyli powinien mówić do mnie „ciociu”.

Prawdę powiedziawszy, ani trochę nie polubiłam Zhendiego, kiedy u nas zamieszkał. Nigdy się nie uśmiechał i do nikogo się nie odzywał. Poruszał się po domu w absolutnym milczeniu, jak zjawą. Okazało się, że ma wszelkie obrzydliwe nawyki, chociażby beknięcie podczas jedzenia. Pod względem higieny także było najlepiej, budził we mnie odrazę: wieczorem nie mył stóp, tylko zdejmował buty

i zrzucał je na parter, napełniając jadalnię i korytarz ohydny smrodem. Mieszkaliśmy w domu, który ojciec odziedziczył po swoim ojcu, willi w stylu zachodnim. Na parterze mieliśmy kuchnię i jadalnię, wszystkie sypialnie znajdowały się na piętrze. Za każdym razem, kiedy schodziłam ze swojego pokoju na posiłki, widziałam jego przegniłe, cuchnące stare obuwie i na myśl, że będzie bekał przy jedzeniu, traciłam apetyt. Oczywiście problem z butami został rozwiązany niemal od razu: mama powiedziała mu, że powinien zwracać na to uwagę, codziennie myć nogi i wkładać czyste skarpety – później jego skarpety były czystsze niż reszty domowników. Umiał wiele zrobić, gotował, prał, rozpałał ogień brykietami, potrafił nawet szyć; a wszystko nawet lepiej niż ja. Oczywiście wynikało to z jego wychowania, musiał sam sobie radzić. Trudniej jednak było odzwyczaić go od bekania i puszczania wiatrów. Można człowieka oduczyć niemiłych nawyków, w jego przypadku okazało się jednak, że ma bardzo poważne problemy żołądkowe, które też stały się przyczyną jego chudości. Tata powiedział mi, że te problemy są skutkiem picia herbatki z kwiatów gruszy, ulubionego napoju pana Auslandera; niewątpliwie dobrego dla starca, ale jak można uważać, że jest korzystny dla dziec-ka! Prawdę mówiąc, kiedy dowiedzieliśmy się o jego przypadłościach gastrycznych, przyjmował więcej leków niż jedzenia. W trakcie posiłku był w stanie zjeść tylko małą miskę ryżu, mniej niż kot, a mimo to po kilku kęsach zaczynał bekać.

Pewnego dnia Zhendi zapomniał zamknąć na klucz drzwi ubikacji. Weszłam do środka, bo nie miałam pojęcia, że jest zajęta. To doprawdy było nie do zniesienia. Miałam go dosyć, chciałam, żeby wyniósł się z naszego domu. Powiedziałam rodzicom, że dłużej go nie ścierpię i chcę, żeby zamieszkał w internacie szkolnym. Chociaż to krewny, nie ma powodu, by mieszkał u nas, przecież wielu chłopców korzysta z internatu. Tato nie odezwał się ani słowem, pozwolił mówić mamie. Jej zdaniem nie byłoby w porządku kazać mu się wynosić, skoro dopiero przyjechał, ale kiedy zacznie się szkoła, może się przenieść do internatu. W tym momencie wtrącił się ojciec: „Dobrze, wraz z początkiem nauki zamieszka w internacie”. Mama dodała: „Będziemy go zabierać na weekendy, musi czuć, że to nadal jest jego dom”.

Zgodził się z nią. Sprawa została załatwiona.

Czas jednak pokazał, że wcale tak się nie stało...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Pewnego wieczoru pod koniec letnich wakacji Mistrz Rong wspomniała przy kolacji o artykule zamieszczonym w gazecie; zeszłego lata przez wiele rejonów kraju przeszła powódź, najgorsza w skutkach, odkąd zaczęto prowadzić rejestry. Niektóre miasta podupadły, było więcej żebraków niż żołnierzy. Jej matka, westchnąwszy, przypomniała, że ów kataklizm dotyczy roku podwójnie przestępnego, a w takich latach zawsze zdarzają się straszne katastrofy naturalne. W ostatecznym rozrachunku najbardziej cierpią wieśniacy. Jinzhen rzadko otwierał usta, dlatego pani Lillie dokładała starań, by włączyć go do rozmowy. Z tego właśnie powodu zapytała go, czy wie, co to jest podwójny rok przestępny. Pokręcił głową, pani Lillie wyjaśniła więc, że taki rok mamy wtedy, kiedy rok przestępny w kalendarzu słonecznym zbiega się z rokiem przestępnym w kalendarzu księżycowym. Widząc, że chłopiec chyba nie rozumie, zapytała:

– Wiesz, co to jest rok przestępny?

I znowu bez słowa pokręcił głową. Takim był typem: jeśli dało się coś wyrazić inaczej, nie otwierał ust. Pani Lillie znów zaczęła wyjaśniać, co to jest rok przestępny, jak poradzono sobie z nim najpierw w kalendarzu słonecznym, później w kalendarzu księżycowym i tak dalej. Kiedy skończyła, chłopak jak ogłuszony wpatrywał się w Młodego Lilliego i czekał, by ten potwierdził wszystko, co powiedziała jego żona.

– Właśnie – rzekł Młody Lillie. – Tak to działa.

– Chcesz powiedzieć, że moje obliczenia były błędne? – Jinzhen poczerwieniał, jakby za chwilę miał zalać się łzami.

– Twoje obliczenia? – Młody Lillie nie miał pojęcia, o czym on mówi.

– Wiek taty. Myślałem, że każdy rok ma trzysta sześćdziesiąt pięć dni.

– To nie do końca prawda... – Nim Młody Lillie skończył zdanie, Jinzhen wybuchnął płaczem.

Nie można było go uspokoić. Chociaż próbowali pocieszyć i rozweselić, nic nie skutkowało. Wreszcie Młody Lillie miał tego dość i gniewnie uderzywszy pięścią w stół, krzyknął na Jinzhen, by wziął się w karby. Ten co prawda przestał płakać, ale nie ulegało wątpliwości, że jest strasznie przygnębiony. Trzymał dłonie na udach, wbijając w nie paznokcie, jakby od tego zależało jego życie. Młody Lillie kazał mu położyć dłonie na stole, po czym przemówił do niego surowo, acz jasne było, że chce chłopca uspokoić.

– Dlaczego histeryzujesz? Jeszcze nie skończyłem. Kiedy skończę, przekonasz się, czy nadal będziesz miał ochotę szlochać. Mówiąc, że się myliłeś, oceniałem sprawę z teoretycznego punktu widzenia. Jeśli bowiem spojrzymy na to z punktu widzenia matematyki, nie będziemy mogli stwierdzić kategorycznie, że się myliłeś, ponieważ w każdych obliczeniach występują błędy możliwe do przyjęcia.

Zgodnie z moją wiedzą czas, który potrzebuje Ziemia, by wykonać pełny



obrót wokół Słońca, wynosi trzysta sześćdziesiąt pięć dni, pięć godzin, czterdzieści pięć minut i czterdzieści sześć sekund. Po co nam lata przestępne? Powód jest prosty: według kalendarza słonecznego co roku pozostaje pięć dodatkowych godzin, dlatego co cztery lata potrzebny jest rok przestępny składający się z trzystu sześćdziesięciu sześciu dni. Jednakże – a jestem pewien, że zdasz sobie z tego sprawę, jeśli się zastanowisz – gdybyś obliczył, że zwykłe lata zawierają trzysta sześćdziesiąt pięć dni, podczas gdy każdy rok przestępny ma ich trzysta sześćdziesiąt sześć, nadal nie uzyskasz całkowicie dokładnego wyniku. Wygodnie zatem dla codziennych celów nie brać pod uwagę błędu; więcej nawet, byłoby niemożliwością dokonać obliczeń na kalendarzu słonecznym bez tego dopuszczalnego błędu. Próbuję ci przez to powiedzieć, że nawet gdybyś włączył lata przestępne, wynik nadal byłby nieprawidłowy.

A teraz możesz odejść. Oblicz, ile lat przestępnych przeżył pan Auslander w ciągu swoich osiemdziesięciu dziewięciu lat, a następnie dodaj te dni do swojego pierwotnego wyniku. Następnie ustal, jak wielka jest różnica pomiędzy twoimi pierwotnymi obliczeniami a obecnymi. W obliczeniach zawierających liczby większe od czterocyfrowych dopuszczalny margines błędu zwykle wynosi jedną setną procent; jeśli błąd jest większy, obliczenia są błędne. Dobrze: powiedz mi, czy twój błąd mieści się w dopuszczalnym marginesie?

Pan Auslander zmarł w roku przestępnym, mając osiemdziesiąt dziewięć lat, co znaczy, że przeżył dwadzieścia dwa lata przestępne – to nie wydaje się dużo, ale też nie jest mało. Dodatkowy dzień w każdym roku przestępnym oznacza, że dwadzieścia dwa lata przestępne to dwadzieścia dwa dni. Dodanie tej liczby do ponad trzydziestu tysięcy dni, które pan Auslander spędził na tej ziemi, pokaże, że błąd mieścił się w dopuszczalnym marginesie. Młody Lillie podkreślił to tak wyraźnie, ponieważ chciał, by Jinzhen znalazł sposób na wybaczenie sobie popełnionego błędu. Dzięki temu, że najpierw krzyknął na chłopca, a potem mu schlebił, Jinzhen wreszcie się uspokoił.

### *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Później tato wyjaśnił nam, dlaczego pan Auslander prosił Zhendiego, by obliczył jego wiek. Myśląc o przygnębieniu, w jakie wpadł chłopiec, byłam wzruszona jego przywiązaniem do starego obcokrajowca. Z drugiej zaś strony uświadomiłam sobie, że ma skłonność do obsesji – nie wspominając o niezdolności do radzenia sobie z błędami. Później coraz wyraźniej widzieliśmy, że Zhendi czasami bywał bardzo uparty i wybuchowy, choć najczęściej pozostawał spokojny i zamknięty w sobie. W najróżniejszych trudnych sytuacjach zachowywał się tak,

jakby nic się nie stało – prawdę mówiąc, potrafił tolerować rzeczy dla innych absolutnie nie do przyjęcia. Kiedy jednak przekroczona została niewidzialna granica, kiedy coś dotknęło najbardziej delikatnej części jego psychiki, bardzo łatwo tracił kontrolę nad sobą, co zawsze wyrażało się jakimś drastycznym czynem. Mogłabym podać mnóstwo przykładów. Weźmy pierwszy z brzegu: naprawdę kochał moją mamę, dlatego pewnego dnia w sekrecie napisał wiadomość własną krwią. Brzmiała ona: „Tata nie żyje. Resztę mojego życia poświęcę opiece nad mamą”.

Kiedy miał siedemnaście lat, poważnie zachorował i długo leżał w szpitalu. Wtedy też mama odkryła tamtą wiadomość, gdy szukała w jego pokoju rzeczy, o które prosił. Na kartce wsuniętej za oprawę pamiętnika widniały wielkie znaki. Wyglądało, że pisał opuszkami palca. Nie zanotował daty, stąd nie wiedzieliśmy, kiedy owe zdania zostały napisane, choć nie ulegało wątpliwości, że musiał minąć jakiś czas. Sądzę, że zrobił to w pierwszym lub drugim roku pobytu w naszym domu. Ślady działania czasu na papierze i wyblakłe pismo z całą pewnością świadczą, że kartka leżała tam dość długo.

Moja matka była kobietą bardzo łagodną i życzliwą, wszystkich traktowała po przyjacielsku i nie zmieniała się podczas swojego długiego życia. Jeśli się zastanowić nad jej relacjami z Zhendim, wydaje się, że przyjaźń jakby została im przeznaczona, ponieważ od samego początku zadziwiająco dobrze między nimi się układało. Łączył ich ten rodzaj porozumienia bez słów, jakie zwykle istnieje tylko pomiędzy członkami najbliższej rodziny. Od pierwszego dnia mama nazywała go Zhendi. Nie wiem, skąd wzięła to imię; niewykluczone, że gdy zmarła moja młodsza siostra – odeszła w tym samym czasie – mama przeniosła swoje uczucia na niego. Po śmierci Yinzhi bardzo długo nie wychodziła z domu, siedziała w pokoju i płakała. Śniły się jej koszmary i często sobie wyobrażała, że widzi zmarłą córkę. Jednakże od przybycia Zhendiego jej stan stopniowo się poprawiał. Może tego nie wiesz, ale Zhendi potrafił tłumaczyć sny. Robił to znakomicie, jak rasowy szaman. Był też chrześcijaninem i codziennie czytał fragment Biblii po angielsku, mimo że całe ustępy znał na pamięć. Myślę, że mama tak szybko poradziła sobie z żalobą i traumą wyłącznie dzięki temu, iż Zhendi tłumaczył jej sny i opowiadał historie z Biblii. Trudno właściwie wyjaśnić, dlaczego tak się polubili. Oczywiście ona kochała Zhendiego, zawsze uważała, że jest on członkiem rodziny, szanowała go i dbała o niego. Nikt natomiast w tamtym czasie nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko wpłynęło to na Zhendiego i z jaką determinacją pragnął się odwdzięczyć za wszystko, co dla niego robiła. Właśnie dlatego w tajemnicy napisał wiadomość własną krwią. Moim zdaniem Zhendiemu w dotychczasowym życiu brakowało uczucia, w szczególności zaś nigdy nie doświadczył matczynej

miłości. Troska okazywana przez mamę – gotowała mu trzy posiłki dziennie, szyla ubrania, pytała, czy nie jest mu za gorąco albo za zimno – okazała się dla niego nowym, nieznanym doświadczeniem, bardzo go poruszającym. Wraz z upływem czasu robiła dla niego coraz więcej, a on nie potrafił poradzić sobie z emocjami i znalazł taki sposób na wyrażenie wdzięczności. Oczywiście wybrał drogę bardziej niż trochę melodramatyczną, ale zrobił tak, jak czuł, że powinien postąpić. Jeśli wolno mi ocenić sprawę z perspektywy, uważam, iż obecnie powiedzielibyśmy, że Zhendi był dzieckiem autystycznym.

Mogłabym przytoczyć mnóstwo innych przykładów podobnego zachowania i niewykluczone, że później o nich opowiem. Teraz jednak musimy wrócić do tamtego wieczoru, kiedy wpadł w histerię, sprawa bowiem nie jest jeszcze skończona...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Następnego dnia wieczorem, znowu przy kolacji, Jinzhen wrócił do kwestii, którą wczoraj omawiano. Powiedział, że pan Auslander przeżył dwadzieścia dwa lata przestępne, stąd można by pomyśleć, iż w swoich obliczeniach pomylił się o dwadzieścia dwa dni, gdy w rzeczywistości błąd wynosi dwadzieścia jeden dni. To wydawało się głupotą! Jeśli ktoś przeżył dwadzieścia dwa lata przestępne, należy dodać po jednym dniu za każdy rok – dwadzieścia dwa dni. Dlaczego powiedział, że było ich dwadzieścia jeden? Wszyscy, włącznie z panią Lillie, pomyśleli, że mu się pokręciło. Kiedy jednak wytłumaczył, o co mu chodzi, pojęli, że miał rację.

Młody Lillie wyjaśnił, że wprowadzono rok przestępny, ponieważ w rzeczywistości każdy rok to trzysta sześćdziesiąt pięć dni, pięć godzin, czterdzieści osiem minut i czterdzieści sześć sekund, stąd co cztery lata dodaje się kolejne dwadzieścia cztery godziny. Ale oczywiście liczba godzin wymagających dodania nie jest równa dokładnie dwudziestu czterem, ponieważ Ziemia musiałaby okrążyć Słońce w czasie trzystu sześćdziesięciu pięciu dni i sześciu godzin. Ile wynosi błąd? Co roku to jedenaście minut i czternaście sekund, czyli innymi słowy w ciągu czterech lat przyjmuje się błąd w wysokości czterdziestu czterech minut i pięćdziesięciu sześciu sekund. Znaczy że w każdym cyklu roku przestępnego tyle czasu jest dodawane. Ludzkość kradnie ten czas Ziemi. Pan Auslander przeżył dwadzieścia dwa lata przestępne, tak więc szesnaście godzin, dwadzieścia osiem minut i trzydzieści dwie sekundy nieistniejącego czasu należy dodać do długości jego życia.

Jednakże, jak podkreślił Jinzhen, według jego pierwotnych obliczeń pan

Auslander przeżył trzydzieści dwa tysiące dwieście trzydzieści dwa dni; wynik ten uzyskał nie dzięki obliczeniu, ile dni jest w osiemdziesięciu ośmiu latach, lecz ile dni jest w osiemdziesięciu ośmiu latach plus sto dwanaście dni. Nie ulega oczywiście wątpliwości, że pominął istnienie lat przestępnych, ale prawdą też jest, że długość doby nie wynosi dokładnie dwadzieścia cztery godziny – do każdej trzeba dodać niemal minutę. W trakcie stu dwunastu dni będzie to sześć tysięcy czterysta dwadzieścia jeden sekund, czyli godzina i czterdzieści siedem minut. Należy ją odjąć od sumy szesnastu godzin, dwudziestu ośmiu minut i trzydziestu dwóch sekund, co daje nowy wynik w wysokości czternastu godzin, czterdziestu jeden minut i trzydziestu dwóch sekund. Tyle wynosi prawdziwa wielkość nieistniejącego czasu dodanego do życia pana Auslandera według nowoczesnego kalendarza.

Jak wynika z jego informacji, ciągnął Jinzhen, pan Auslander urodził się w południe i umarł o dziewiątej wieczorem, czyli na początku i na końcu należy uwzględnić co najmniej dziesięć godzin czasu, który nie istnieje, nie wspominając o tych czternastu godzinach, czterdziestu jeden minutach i trzydziestu dwóch sekundach, jakie nagromadził w ciągu swojego życia. Niezależnie od sposobu obliczania, do wieku pana Auslandera dodana została cała doba nieistniejącego czasu. Widać było wyraźnie, że Jinzhen poświęcił dużo czasu na zastanawianie się nad znaczeniem roku przestępnego. Można powiedzieć, że biorąc pod uwagę lata przestępne, powiększył liczbę dni spędzonych na tej ziemi przez pana Auslandera o dwadzieścia dwa, później zaś skorygował swój błąd o dwadzieścia cztery godziny.

Mistrz Rong mówiła, że oboje z ojcem byli zdumieni tym postępowaniem. Zaimponował im i wzruszył ich ten dowód na kryształowo czysty intelekt chłopca. Jednakże najbardziej zadziwiająca rzecz miała dopiero się wydarzyć. Kilka dni później, kiedy wróciła po południu do domu, matka (w kuchni zajmowała się gotowaniem) powiedziała jej, że ojciec jest w pokoju Zhendiego i prosi, żeby do nich dołączyła. Na pytanie o powód, odparła, że Zhendi wymyślił jakieś matematyczne twierdzenie, które ojca wprowadziło w podziw.

Jak wcześniej wspomniano, po pierwsze, przy ostatnich stu dwunastu dniach życia starego pana Auslandera nie uwzględniono istnienia roku przestępnego, po drugie, jeśli będziemy utrzymywać, iż doba składa się tylko z dwudziestu czterech godzin, w rzeczywistości co roku pomijamy godzinę i czterdzieści siedem minut albo sześć tysięcy czterysta dwadzieścia jeden sekund i tyle też wynosi roczny błąd. W pierwszym cyklu roku przestępnego można odjąć ten nieuwzględniony czas od czasu nieistniejącego:  $-6421 + 2696$  sekund (ostatnia liczba to liczba sekund w czterdziestu czterech minutach i pięćdziesięciu sześciu sekundach). W drugim cyklu roku przestępnego wielkość czasu nieistniejącego wynosi  $(-6421 + 2 \times 2696)$  sekund; obliczamy w ten sposób aż do ostatniego roku przestępnego:

(- 6421 + 22 x 2696) sekund. Jinzhen obliczył brakujący czas, którego nie wziął pod uwagę w pierwotnej liczbie dni przeżytych przez pana Auslandera, czyli osiemdziesiąt osiem lat i sto dwanaście dni albo trzydzieści dwa tysiące dwieście trzydzieści dwa dni, i przedstawił to w dwudziestu trzech liniach eleganckich działań:

( - 6421)  
( - 6421 + 2696)  
( - 6421 + 2 x 2696)  
( - 6421 + 3 x 2696)  
( - 6421 + 4 x 2696)  
( - 6421 + 5 x 2696)  
( - 6421 + 6 x 2696)  
...  
( - 6421 + 22 x 2696)

Na podstawie tych działań, nie korzystając z cudzych wskazówek, stworzył matematyczny wzór:

$$X = [(pierwsza\ wartość + ostatnia\ wartość) \times liczba] / 21$$

Absolutnie samodzielnie stworzył wzór matematyczny.

### *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Wzory matematyczne nie są aż tak dziwne i zawile, żeby zwykli ludzie nie potrafili ich tworzyć. Prawdą jest, iż każdy, kto dobrze zna matematykę, może ująć swoją wiedzę w kształt wzorów – naturalnie pod warunkiem że wie o ich istnieniu. Powiedzmy, że zamknę cię w ciemnym pokoju, wpierw szczegółowo opisawszy jego zawartość, a potem zażądam, żebyś znalazł określony przedmiot, to mimo absolutnej ciemności zapewne sobie poradzisz. Jeśli wykorzystasz swoją inteligencję, będziesz ostrożnie stawiał kroki i macał wokół siebie dłońmi, stopniowo odkrywając położenie przedmiotów, powinieneś znaleźć ten, o który prosiłam. Natomiast jeślibym ci nie powiedziała, co jest w pokoju, ale kazała znaleźć konkretną rzecz, mało prawdopodobne, by ci się udało.

Gdyby Zhendi miał do czynienia z prostym szeregiem liczb, na przykład 1, 3, 5, 7, 9, 11 (co nie jest skomplikowane i nieregularne) i opracował dla niego wzór matematyczny, łatwiej byłoby to zrozumieć, a my tak bardzo byśmy się nie dziwili. Można to porównać do sytuacji, kiedy robisz mebel, nie dostawszy żadnej wskazówki od stolarza. Nie ma znaczenia, że inni ludzie wykonali taki sam mebel dużo wcześniej – twoje zdolności zrobiłyby na nas wrażenie. Gdyby zaś narzędzia i materiał, które miałeś do dyspozycji, były złej jakości, przyrzady zardzewiałe, drewno nieoheblowane, a tobie jednak udało się zrobić porządny mebel, zaimponowałbyś nam podwójnie. To właśnie uczynił Zhendi: wziął kamienną siekierę i drzewo rosnące w lesie, po czym zamienił je w piękny mebel. Byliśmy oszołomieni, nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Po prostu nie mieściło się nam w głowie!

Uznaliśmy, iż trzymanie go w szkole podstawowej nie jest dobrym pomysłem, dlatego tato zdecydował, że zapisze go do liceum stowarzyszonego z Uniwersytetem N. Szkoła była usytuowana przy tej samej ulicy co nasz dom, więc oddanie do internatu byłoby pewnie bardziej szkodliwe dla kruchej psychiki Zhendiego, niż gdybyśmy po prostu wyrzucili go na bruk. Decydując się na posłanie Zhendiego do liceum, ojciec postanowił, że chłopak będzie nadal z nami mieszkał. Tak więc od czasu kiedy do nas przyjechał, wyprowadził się dopiero wtedy, gdy dostał pierwszą pracę...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Dzieci lubią nadawać sobie przezwiska; każde dziec-ko choć odrobinę dziwne przekona się, że koledzy znajdą dla niego przezwisko. Kiedy uczniowie w szkole zobaczyli głowę Jinzhena, nazwali go „Wielka głowa”. Później stwierdzili, że ma osobliwe nawyki: uwielbiał liczyć hordy mrówek maszerujących po boisku i podczas tej czynności zupełnie nie zwracał uwagi na inne rzeczy, zimą zawsze nosił przetarty stary szal obsyty psim futrem (był to prezent od starego pana Auslandera), bekał i puszczał wiatry w klasie, nie próbując się powstrzymać, pozwalał po prostu, żeby odór utrzymywał się w powietrzu. Koledzy nie wiedzieli, co o nim myśleć. I jeszcze jedno: zawsze odrabiał prace domowe w dwóch wersjach, po chińsku i po angielsku. Ze względu na te dziwactwa uważano, że chłopak jest głupi. A z drugiej strony oceny miał rewelacyjne, naprawdę imponujące, lepsze niż to, co reszta uczniów razem mogłaby osiągnąć. Koledzy wymyślili więc nowe przezwisko: „Łebski idiota”, przez co rozumieli „głupiego uczonego”. Było ono szczególnie trafne, ponieważ

określało jego zachowanie zarówno w klasie, jak i poza nią. Jak wszystkie przezwiska, to także zdawało się uwłaczać jego posiadaczowi, a równocześnie zawierało w sobie element pochwały, stanowiło idealną mieszankę pogardy i szacunku, dlatego wszyscy uznali, że to odpowiednie przezwisko dla niego. Tak go wołali:

– Łebski idiota!

– Łebski idiota!

Pięćdziesiąt lat później odwiedziłem uniwersytet. Mnóstwo osób nie miało pojęcia, o kim mówię, kiedy wspominałem Jinzhena, ale gdy powiedziałem „Łebski idiota”, to jakbym wprawił w ruch pociąg wspomnień: przezwisko przywoływało na pamięć wiele opowieści. Jeden z moich rozmówców, stary dżentelmen, który w przeszłości był nauczycielem klasy Jinzhena, z radością podzielił się ze mną taką historią:

Pamiętam jedną interesującą rzecz. Podczas przerwy któryś z uczniów zauważył mrówki na korytarzu i zawołał Jinzhena. Powiedział: „Lubisz liczyć mrówki, no nie, więc może policzysz, ile ich tutaj mamy?”. Widziałem to na własne oczy: podszedł i policzył kilkaset mrówek, tak po prostu. Kiedyś pożyczył ode mnie książkę, leksykon przysłów i aforyzmów. Oddał mi po kilku dniach. Mówiłem, że może jeszcze potrzymać, ale odparł, że jej nie potrzebuje, bo już zapamiętał całość. Później przekonałem się, że potrafi wyrecytować ten cholerny leksykon z pamięci! Mogę stwierdzić, że z wielu, bardzo wielu uczniów, których uczyłem w czasie mojej kariery zawodowej, żaden nawet nie zbliżył się do niego, jeśli chodzi o inteligencję czy umiejętności akademickie. Jego pamięć, zdolności twórcze, zrozumienie, umiejętność liczenia, ekstrapolowania z dowodów, tworzenia podsumowań, podejmowania decyzji... Pod bardzo wieloma względami jego talenty były naprawdę zdumiewające; zwykli ludzie nawet nie są w stanie sobie wyobrazić, co potrafił. Moim zdaniem nie musiał marnować czasu w liceum i mógłby pójść od razu na uniwersytet, ale dyrektor odmówił – powiedział, że stary pan Rong sprzeciwia się takiemu rozwiązaniu.

Starym panem Rongiem, o którym mówił, był Młody Lillie.

Nie zgodził się na propozycję nauczyciela z dwóch powodów. Po pierwsze martwiło go, że Jinzhen przez sporą część dzieciństwa był odcięty od innych ludzi, teraz więc musiał się nauczyć budowania normalnych relacji społecznych, spędzać więcej czasu z rówieśnikami, dorastać naturalnie. Stawianie go w sytuacji, gdzie będzie otoczony ludźmi dużo starszymi, byłoby niezwykle szkodliwe dla jego

trudnej i introwertycznej osobowości. Po drugie odkrył, że Jinzhen często postępuje głupio: usiłował ukryć przed nim oraz nauczycielami, że próbuje udowodnić teorie, które inni ostatecznie wyjaśnili – może chodziło o to, że był za mądry. Młody Lillie uważał, że ktoś bez najmniejszego doświadczenia życiowego, ale obdarzony nieprzeciętną inteligencją musi posuwać się wolno, w przeciwnym razie będzie marnował swój geniusz na odkrywanie rzeczy, które ludzie już znali.

Później stało się jasne, że muszą mu pozwolić na przeskoczenie klas, nauczyciele bowiem nie będą mogli pracować – zasypywał nauczycieli w liceum gradem pytań, na które po prostu nie potrafili odpowiedzieć. Nic nie można było na to poradzić, Młody Lillie został zmuszony do skorzystania z rad grona pedagogicznego. Skoro raz powstał precedens, Jinzhen przeskakiwał z klasy do klasy, w rezultacie więc kiedy jego koledzy z pierwszego roku spędzonego w szkole dotarli do ostatniego, jego już dawno nie było. Zdał egzaminy wstępne na uniwersytet z najlepszymi wynikami: sto procent z matematyki, siódme miejsce w prowincji. Oczywiście dostał się na wydział matematyki Uniwersytetu N.

1 Zgodnie z konwencjami wzór wyglądałby następująco:  $S = [(A1 + An) \times n] / 2$ .



Wydział matematyki Uniwersytetu N był słynny; prawdę powiedziawszy, często nazywano go kolebką najlepszych matematyków w kraju. Mniej więcej piętnaście lat temu sławny pisarz z miasta C przypadkiem podsłuchał ludzi wygłaszających pogardliwe sądy o jego rodzinnym mieście. Zareagował w sposób prawdziwie godny uwagi. Rzekł: „Nawet jeśli miasto C jest dwa razy bardziej zrujnowane i zacofane, niż było w przeszłości, nadal możemy się pochwalić renomowanym Uniwersytetem N. Gdyby zaczął chylić się ku upadkowi, wciąż będą mieli wydział matematyki, który należy do najlepszych na świecie. Jak możecie z takim lekceważeniem o nas mówić!”

W jego zamierzeniu był to żart, faktem jest jednak, że wydział matematyki Uniwersytetu N zawsze cieszył się wielkim uznaniem.

Pierwszego dnia pobytu Jinzhena na uniwersytecie Młody Lillie dał mu pamiętnik. Na wklejce napisał przesłanie:

„Jeśli chcesz zostać matematykiem, trafiłeś do najlepszego miejsca w kraju, by rozwijać swój talent. Jeżeli nie chcesz zostać matematykiem, nie musisz studiować na uniwersytecie, ponieważ już znasz matematykę w takim zakresie, że wystarczy ci do końca życia”.

Przypuszczalnie nikt, w przeciwieństwie do Młodego Lilliego, nie zdawał sobie sprawy z wyjątkowego talentu matematycznego, który krył się pod dziwną powierzchownością Jinzhena. Z tego też powodu nawet nie pomyślano, że chłopak może zostać matematykiem. Jak wynika z notki w pamiętniku Jinzhena, Młody Lillie był przekonany, że w przyszłości inni także dostrzegą niezwykle talent matematyczny chłopca. Martwił się jednak, że uznanie Jinzhena za geniusza teraz przyniosłoby mu wielką szkodę, dlatego usiłował odwlec to w czasie o rok lub dwa, pozwolić mu skupić się na studiach, wierzył bowiem, że tajemniczy fenomen matematyczny wcześniej lub później objawi się w pełnym blasku.

Jak się okazało, Młody Lillie chyba był zbyt konserwatywny. Już po dwóch tygodniach zajęć profesor Jan Liseiwicz dołączył do niego na liście tych, którzy zauważyli talenty chłopca. Powiedział: „Widzę, że Uniwersytet N przyjął kolejnego dobrego matematyka. Niewykluczone, że będzie on jednym z największych matematyków naszych czasów. W najgorszym razie najlepszym,

jakiego nam udało się spotkać”.

Jan Liseiwicz był niemal rówieśnikiem stulecia. Urodził się w tysiąc dziewięćset pierwszym roku w polskiej arystokratycznej rodzinie. Jego matka, Żydówka, przekazała mu w spadku cechy, uważane w tamtych czasach za typowe dla Żyda: wydatne czoło, jastrzębi nos, ciemne kręcone włosy. Odznaczał się wyjątkową inteligencją: jego pamięć zdumiewała ludzi, w testach Bineta-Simona osiągał wyniki niemieszczące się na skali. Już jako czterolatek miał obsesję na punkcie gier, w których uczestnicy wystawiali przeciwko sobie swój intelekt – w tym wieku zaczął grać w szachy i uczył się różnych wariantów. Kiedy skończył sześć lat, nikt z rodziny ani przyjaciół nie ośmielał się mierzyć z nim w grze. Wszyscy, obserwując go przy szachownicy, mówili to samo: jest geniuszem, taki trafia się może raz na stulecie. Inni komplementowali jego matkę: „Urodził się kolejny wybitny żydowski matematyk!”.

W wieku czternastu lat Jan Liseiwicz towarzyszył rodzicom na przyjęciu weselnym u pewnej arystokratycznej rodziny. Na uroczystości obecna była także rodzina Michaela Steinrodera, w owym czasie jednego z najslawniejszych matematyków na świecie, który był dyrektorem Instytutu Matematyki Uniwersytetu Cambridge oraz arcymistrzem szachowym. Liseiwicz senior powiedział mu, że ma nadzieję, iż pewnego dnia jego syn będzie mógł studiować w Cambridge.

– Są dwa sposoby, by spełniło się to pragnienie. Albo syn zda przeprowadzane co roku egzaminy wstępne, albo zdobędzie Nagrodę Newtona z matematyki lub fizyki, przyznawaną co dwa lata przez Royal Society – odrzekł arogancko Steinroder. (Nagrodę z matematyki przyznawano w latach nieparzystych, nagrodę z fizyki w parzystych. Pierwszych pięciu wysoko ocenianych uczestników mogło studiować na Uniwersytecie Cambridge bez konieczności zdawania egzaminów wstępnych oraz opłacania chesnego).

W tym momencie wtrącił się młody Jan Liseiwicz:

– Słyszałem, że jest pan uważany za najlepszego w świecie amatorskiego szachistę. A może rozegramy partię? Jeśli wygram, to z pewnością powinno się mnie przyjąć bez konieczności zdawania egzaminów wstępnych?

– Z radością z tobą zagram – odparł Steinroder poważnie – ale pozwól, że jasno to powiem: za wygraną żądasz ode mnie wielkiej przysługi. Chętnie ją spełnię, w rewanżu jednak, jeśli przegrasz, stawiam pewien warunek. W ten sposób gra będzie sprawiedliwa. Jeżeli się nie zgodzisz, nie gramy.

– Proszę powiedzieć, co mam zrobić.

– Po przegranej nigdy nie będziesz mógł ubiegać się o przyjęcie na Uniwersytet Cambridge.

Liczył, że odstraszy Jana, ale jedyną osobą, która się przeraziła, był ojciec chłopca. Burzliwe protesty Liseiwicza seniora sprawiły, że syn zaczął się wahać,

podjął jednak decyzję i oznajmił z przekonaniem:

– Dobrze!

Otoczeni kręgiem gapiów, rozpoczęli przesuwając pionki po szachownicy. Po niecałej półgodzinie Steinroder wstał od stołu i ze śmiechem zwrócił się do Liseiwicza:

– W przyszłym roku niech pan przywiezie syna do Cambridge.

– Jeszcze nie skończyliście partii – odparł Liseiwicz.

– Naprawdę pan sądzi, że nie jestem w stanie stwierdzić, kiedy mnie pokonano? – zapytał matematyk, po czym zwrócił się do młodego Jana: – Myślisz, że możesz mnie pokonać?

– W obecnej chwili mam tylko trzydzieści procent szans na zwycięstwo, pan siedemdziesiąt – odrzekł chłopiec.

– Zgadza się – powiedział matematyk. – A z drugiej strony, ponieważ zdajesz sobie z tego sprawę, istnieje co najmniej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt procent szans, że zdołasz zmusić mnie do popełnienia błędu. Doskonale sobie poradziłeś i mam nadzieję na rozegranie kolejnych partii, kiedy przyjedziesz do Cambridge.

Dziesięć lat później Jan Liseiwicz (wówczas zaledwie dwudziestoczteroletni) został uznany przez austriackie czasopismo *Monatshefte für Mathematik* za jedną ze wschodzących gwiazd w świecie matematyki. W roku następnym zdobył najwyższą nagrodę dla matematyka: Medal Fieldsa. Ludzie nazywają go równoważnikiem Nagrody Nobla dla matematyków, choć w rzeczywistości o wiele trudniej go dostać, jako że Nagrodę Nobla przyznaje się co rok, podczas gdy Medal Fieldsa raz na cztery lata.

W Cambridge z Liseiwiczem studiowała pewna młoda dziewczyna, należąca do jednej z młodszych gałęzi austriackiej rodziny cesarskiej. Zakochała się do szaleństwa w młodym zdobywcy Medalu Fieldsa, on jednak traktował ją obojętnie. Pewnego dnia odwiedził go ojciec dziewczyny – oczywiście nie dlatego, że miał nadzieję, iż młody matematyk poślubi jego córkę, lecz dlatego, że chciał przedyskutować z nim pomysły na poprawę stanu wiedzy matematycznej w Austrii. Zapytał młodzieńca, czy gotów jest pomóc w realizacji tego zamierzenia. Liseiwicz chciał się dowiedzieć, o co dokładnie chodzi, i usłyszał:

– Ja dam pieniądze, ty znajdziesz odpowiednich ludzi. Wspólnie powinniśmy stworzyć solidny instytut badawczy.

– Jaką sumę gotów jest pan zainwestować? – zapytał Liseiwicz.

– Powiedz, ile potrzebujesz.

Liseiwicz rozmyślał o tym przez dwa tygodnie i opracował wzór matematyczny do obliczenia korzyści dla jego własnej przyszłej kariery oraz dziedziny w ogólności. Wynik świadczył jednoznacznie, że wyjazd do Austrii jest ryzykowniejszy niż pozostanie w Cambridge, jakkolwiek by na to patrzeć.

Tak więc wyjechał do Austrii.

Mnóstwo osób sądziło, że wybrał Austrię na życzenie dwóch osób, bogatego ojca i zadurzonej córki. Niektórzy wyobrażali sobie, że ten młody szczęściarz poślubi dziewczynę i zarazem osiągnie wysoki szczebel kariery. W rzeczywistości zyskała jednak tylko jego kariera. Wykorzystał niewyczerpane zasoby habsburskiego księcia do zbudowania najlepszego matematycznego instytutu badawczego w Austrii i zgromadził tam wielu doskonałych matematyków – w rezultacie młoda kobieta, która tak rozpaczliwie pragnęła go poślubić, w ich gronie znalazła zastępcę. Krążyły plotki, że jest homoseksualistą, i swoim zachowaniem zdawał się je potwierdzać: nigdy nie zatrudnił kobiety w swoim instytucie, nawet w sekretariacie, pracownikami pomocniczymi też byli wyłącznie mężczyźni. Co więcej, redakcje gazet, które chciały przeprowadzić z nim wywiad, szybko się zorientowały, że lepiej posyłać dziennikarza. Co prawda zjawiały się u niego dziennikarki, ale wracały z pustymi rękoma, choć powodem mogła być przede wszystkim jego skryta natura, a nie inne względy.

### *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku Jan Liseiwicz przybył na Uniwersytet N z wizytą naukową – przypuszczam, że szukał nowych talentów. Oczywiście nie spodziewał się, że w ciągu następnych kilku tygodni dojdzie do wydarzeń, które wstrząsną światem. Kiedy się dowiedział, że Hitler zajął Austrię, nie miał innego wyboru, niż pozostać na Uniwersytecie N, w każdym razie do czasu, aż sytuacja w Europie nieco się wyjaśni. Dostał list od przyjaciela ze Stanów Zjednoczonych, który pisał, że sprawy w Europie potoczyły się w bardzo złym kierunku. Nazistowska flaga powiewała nad kolejnymi państwami: Austrią, Czechosłowacją, Węgrami i Polską, a Żydzi zmuszani byli do ucieczki. Jeśli zdecydowali się zostać, trafiali do obozów. To wtedy uświadomił sobie, że nie ma dokąd się udać, że utknął u nas nie wiadomo na jak długo. Przyjął stanowisko profesora matematyki, chociaż wciąż czekał na okazję wyjazdu do Stanów. W tym czasie jego osobowość (a może ciało) przeszła tajemniczą i nieoczekiwaną przemianę – niemal z dnia na dzień ogarnął go nieprzeparty pociąg do młodych kobiet na uniwersytecie. Nie ulegało wątpliwości, że zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu. Sprawiał wrażenie dziwnego drzewa, które obsypało się innym kwieciami, kiedy zasadzono je w odmiennych warunkach, a później wydało inne owoce. Decyzję o wyjeździe do Ameryki nadwątlili to nowe zainteresowanie płcią odmienną; dwa lata później ożenił się z młodą asystentką z wydziału fizyki – on miał czterdzieści lat, ona była dobrych czternaście lat młodsza. Małżeństwo po raz

kolejny opóźniło wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Przez następną dekadę Liseiwicz nie wracał do tego pomysłu.

Każdy zorientowany w świecie matematyki dostrzegał, że po przyjeździe do Chin Jan Liseiwicz bardzo się zmienił, był cudownym mężem i ojcem, natomiast coraz mniej pozostawało w nim z oryginalnego i twórczego matematyka. Być może jego wyjątkowe talenty wiązały się nierozzerwalnie z nieustatkowanym życiem, stąd gdy się ożenił, geniusz go opuścił. Faktem jest, że gdyby komuś przyszło do głowy zapytać go o to, miałby trudności ze stwierdzeniem, czy jego czyny zniszczyły talent, czy też zniknął on sam z siebie. Jak powie wam każdy matematyk, przed przyjazdem do Chin Jan Liseiwicz napisał dwadzieścia siedem artykułów, które zdobyły międzynarodowe uznanie, lecz w Chinach nie napisał nic. Na świat przyszli jego synowie i córki. Było tak, jakby geniusz wybitnego matematyka rozpląnął się w objęciach kobiety i przekształcił w gromadkę cudownych niemowląt. Patrząc na to, co mu się przytrafiło, zaczęto wierzyć, iż ziarno prawdy tkwi w starym powiedzeniu, że Wschód to Wschód, a Zachód to Zachód – dlatego tych dwoje nigdy nie powinno się spotkać. Wprost nie mieściło się w głowie, że ten dziwny człowiek w tajemniczy sposób przeszedł taką fundamentalną przemianę. Nikt do końca nie uświadamiał sobie, co się dzieje, wszyscy jednak widzieliśmy rezultaty.

Mimo że utracił blask geniuszu, Jan Liseiwicz oczywiście pozostał absolutnie wyjątkowym nauczycielem. Można powiedzieć, że im mniej było w nim z oryginalnego, twórczego matematyka, tym lepszym i bardziej szanowanym stawał się nauczycielem. Wykładał na wydziale matematyki Uniwersytetu N przez jedenaście lat i możliwość zostania jego studentem poczytywano sobie za zaszczyt, otwierała też drogę do kariery wybitnym matematykom. Dam tylko jeden przykład: z grupy studentów Uniwersytetu N, którzy zdobyli międzynarodowe uznanie w swojej dziedzinie, on uczył połowę z nich w czasie tych jedenastu lat, gdy tutaj pracował. Naturalnie bycie jego studentem trudno było uznać za synekurę. Po pierwsze, słuchacze musieli znać angielski (po zajęciu Austrii przez Hitlera Liseiwicz przysiągł, że nigdy więcej nie będzie posługiwał się niemieckim). Po drugie, nie pozwalał robić notatek na zajęciach. Po trzecie, kiedy przedstawiał problem, często ograniczał się do połowy danych albo też część z rozmysłem prezentował błędnie; nigdy też tego nie korygował, w każdym razie nie przy tej samej okazji. Jeśli przypadkiem przypominał sobie o tym kilka dni później, mógł przedstawić problem prawidłowo, ale jeśli zapomniał, zupełnie się tym nie przejmował. Ta mała sztuczka bardziej niż inne powodowała, że wielu mniej inteligentnych studentów rezygnowało w połowie studiów lub przenosiło się na inny wydział. Całą teorię edukacyjną Liseiwicza streścić można w jednym

zdaniu: Interesująca, choć błędna teoria zawsze jest lepsza od nudnego, acz doskonałego dowodu. Jeśli się nad tym zastanowić, swoje triki stosował dlatego, żeby zmusić studentów do myślenia, pobudzić ich wyobraźnię i skłonić do rozwijania twórczych zdolności. Na początku każdego nowego roku akademickiego witał pierwszy rok tym samym przesłaniem, ubranym w dziwną mieszaninę chińskiego i angielskiego: „Jestem dzikim zwierzęciem, nie treserem zwierząt. Będę was ścigał w górach i lasach, a wy musicie dołożyć wszelkich starań, by mnie wyprzedzać. Im szybciej pobiegniecie, tym szybciej będę was gonił. Jeśli będziecie biec wolno, ja też zwolnię. Cokolwiek się zdarzy, musicie podążać, w żadnym razie nie możecie się zatrzymać niezależnie od trudności, na jakie się natkniecie. W dniu, w którym się zatrzymacie, nasze relacje przestają istnieć, podobnie jak w dniu, gdy wbiegniecie daleko w las i znikniecie z widoku. W pierwszym przypadku ja z was zrezygnuję, w drugim to wy się uwolniliście. Dobrze, pora rozpocząć bieg, przekonamy się, kto od kogo się oswobodzi”.

Oczywiście bardzo trudno było się od niego uwolnić, choć wystarczały do tego proste środki. Studentom pierwszego roku na początku każdego semestru Liseiwicz zapisywał podchwytliwe równanie w prawym górnym rogu tablicy. Jeśliby któryś z nich je rozwiązał, oceniłby go na sto procent i przez resztę semestru student mógłby tylko przysłuchiwać się zajęciom, jeśliby chciał. Można powiedzieć, że zdobyłby sobie wolność na resztę semestru. Następnie Liseiwicz pisał nowe równanie w tym samym miejscu na tablicy i czekał na dobrą odpowiedź. Gdyby ktoś rozwiązał trzy równania z rzędu, Liseiwicz dałby mu indywidualne zadanie, które byłoby równocześnie pracą dyplomową. Jeśliby i temu podołał, ukończyłby studia z najlepszymi ocenami, nawet jeśli uczęszczał na uniwersytet tylko kilka dni. Oczywiście w ciągu prawie dziesięciu lat, które Liseiwicz do tej pory spędził na uczelni, nie było nikogo, kto by się zbliżył do takiego wyniku – rozwiązanie jednego lub dwóch równań było niezwykle trudnym osiągnięciem.

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Jinzhen trafił do grupy Liseiwicza i ze względu na niski wzrost (miał szesnaście lat) siedział w pierwszym rzędzie. Widział wyraźniej niż pozostali koledzy ostre błyski w jasnoniebieskich oczach Liseiwicza. Profesor był wysoki, a stojąc na katedrze, wydawał się jeszcze wyższy. Wzrok miał utkwiony w ostatnim rzędzie krzesel. Jinzhen od czasu do czasu czuł krople śliny, kiedy wykładowca się ekscytował, i nagle wydechy, kiedy podnosił głos. Mówił o tych suchych, abstrakcyjnych notacjach matematycznych głosem pełnym emocji.

Czasami wymachiwał rękoma i krzyczał, czasami chodził wolno tam i z powrotem i recytował. Kiedy stał na katedrze, wyglądał jak poeta, a może generał. Po skończonych zajęciach wychodził bez słowa. Tym razem wszakże jego wzrok przypadkiem padł na szczupłego młodzieńca w pierwszym rzędzie. Chłopak głowę miał pochyloną nad arkuszem papieru i pracował nad jakimś zadaniem. Wydawał się całkowicie tym zaabsorbowany, jak student podczas egzaminu. Dwa dni później odbyły się drugie zajęcia. Liseiwicz zajął miejsce na katedrze i zapytał:

– Czy ktoś z was nazywa się Jinzhen? Jeśli tak, niech podniesie rękę.

Zobaczył wtedy, że jest to młodzieniec z pierwszego rzędu, którego zauważył na poprzednich zajęciach. Machnąwszy kilkoma arkuszami papieru, zwrócił się do chłopaka:

– Położyłeś pod moimi drzwiami, tak?

Jinzhen kiwnął głową.

– A zatem powiem ci, że w tym semestrze nie musisz uczęszczać na zajęcia.

Rozległ się głośny gwar.

Liseiwiczowi coś jak widać sprawiło wielką przyjemność, ponieważ z uśmiechem na twarzy czekał, aż sala się uciszy. Kiedy zapanował spokój, ponownie napisał równanie na tablicy – tym razem w lewym górnym rogu – po czym powiedział:

– Popatrzmy, jak Jinzhen rozwiązał problem. To nie jest rzecz wybiegająca poza program. Jego rozwiązanie będzie tematem dzisiejszych zajęć.

Napisawszy odpowiedź Jinzhena na tablicy, tłumaczył ją od początku do końca. Później wykorzystał inne metody do przedstawienia trzech alternatywnych rozwiązań, dzięki czemu studenci mieli poczucie, że uczą się poprzez porównanie, smakują dziwną radość osiągnięcia tego samego celu różnymi drogami. Temat zajęć rozwijał się krok po kroku, podczas gdy Liseiwicz wyjaśniał każdą metodę. Kiedy skończył, zapisał nowe zadanie w prawym górnym rogu tablicy i powiedział:

– Byłbym bardzo zadowolony, gdyby ktoś na przyszłe zajęcia potrafił to rozwiązać. Tak będziemy postępować: na jednych zajęciach podam problem, wy udzielicie odpowiedzi na następnych.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że szanse na coś takiego są niezmiernie nikłe. Wyrażając to w procentach, musielibyśmy posłużyć się ułamkiem, a nawet wtedy byłoby to zaokrąglenie. Rachunek prawdopodobieństwa często bywa niedbałą metodą określania przyszłości – przedstawia możliwe jako niemożliwe. Ludzie rzadko zachowują się w sposób tak uporządkowany jak rachunek prawdopodobieństwa, potrafią sprawić, że niemożliwe staje się możliwe, że ziemia zmienia się w niebo. Dowodzi to, że nieba i ziemi nie rozdziela wielka otchłań: ułamek więcej i ziemia staje się niebem, ułamek mniej i niebo zmienia się w ziemię. Liseiwicz w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, że ten milczący, wycofany

chłopak będzie wprawiał go w konfuzję, jeśli chodzi o naturę obiektów, którym się przyglądał: zdecydowawszy, że to ziemia, mógł udowodnić, że to niebo. Innymi słowy Jinzhen rozwiązał od razu problem, który profesor Liseiwicz dla niego przygotował!

Oczywiście w tej sytuacji nadeszła pora na trzecie zadanie. Kiedy profesor napisał je w górnym prawym rogu tablicy, odwrócił się i zamiast przemówić do całej grupy, swój komentarz skierował wprost do Jinzhena:

– Jeśli na to także udzielisz odpowiedzi, podam ci problem do rozwiązania.

Mówił o problemie, który będzie podstawą pracy dyplomowej.

Jinzhen rozwiązał trzy zadania, zajęło mu to ponad tydzień.

Trzeci problem wymagał więcej czasu niż dwa pierwsze, dlatego Jinzhen na następnych zajęciach nie przedstawił rozwiązania. Profesor zakończył czwarty wykład w semestrze, zszedł z katedry i zwrócił się do niego:

– Mam już dla ciebie temat pracy dyplomowej. Możesz wpaść do mnie i odebrać go, kiedy rozwiążesz zadanie.

Po tych słowach opuścił salę.

Ożeniwszy się, Jan Liseiwicz wynajął dom przy alei Sanyuan, tuż koło uniwersytetu. Oficjalnie tam mieszkał, choć w rzeczywistości najczęściej korzystał z pokoiów należących do wydziału, które zajmował jako kawaler. Jego mieszkanie, na drugim piętrze, składało się z kilku pokoi i łazienki. Czytał tutaj, pracował naukowo – to była jego biblioteka i biuro w jednym. Tamtego popołudnia odpoczywał i słuchał radia. Przeszkodził mu w tym tupot na schodach. Ciężkie kroki zatrzymały się pod jego drzwiami, zamiast jednak pukania rozległ się szelest, jakby wąż sunął przez zeschnięte liście, coś wepchnięto pod drzwi. Po chwili Liseiwicz zobaczył kilka kartek papieru. Gdy je podniósł, momentalnie rozpoznał znajome pismo: Jinzhen. Przerzucał kartki, by sprawdzić rozwiązanie: było prawidłowe. Jak uderzony biczem, chciał otworzyć drzwi i zawołać Jinzhena, żeby wrócił. Zanim jednak doszedł do progu, zawahał się, usiadł na sofie i zaczął studiować rozwiązanie. Kiedy przeczytał całą pracę uważnie, podbiegł do okna, otworzył je i ujrawszy odchodzącego wolnym krokiem Jinzhena, wołał go po imieniu, ile sił w płucach. Chłopak usłyszał, odwrócił się i zobaczył, że profesor gestem ręki pokazuje, żeby przyszedł z powrotem.

Jinzhen usiadł naprzeciwko profesora.

– Kim ty jesteś?

– Jestem Jinzhen.

– Nie. – Liseiwicz się uśmiechał. – Pytam, z jakiej rodziny pochodzisz? Gdzie się urodziłeś? Gdzie chodziłeś do szkoły? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że już cię wcześniej spotkałem. Kim są twoi rodzice?

Młodzieniec się zawahał. W gruncie rzeczy nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.



– Ach! Przypominam sobie! – wykrzyknął nagle profesor. – Wyglądasz jak ta kobieta, której posąg stoi przed głównym budynkiem, panna Lillie, tak, Rong „Abakus” Lillie, właśnie! Powiedz, jesteś jej krewnym? Synem... nie, wnukiem?

Chłopak jakby tego nie słyszał; wskazał kartki leżące na sofie, po czym zapytał:

– Zrobiłem to dobrze?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jesteś krewnym panny Lillie?

Jinzhen nie potwierdził ani nie zaprzeczył, tylko odparł twardo:

– Musi pan porozmawiać z profesorem Rongiem, to mój opiekun. Nie wiem nic o rodzicach.

Próbował po prostu unikać dyskusji o swojej rodzinie, był to bowiem dla niego bardzo trudny temat, nie spodziewał się jednak, że Liseiwicz przejdzie do jeszcze gorszych pytań. Wpatrując się podejrzliwie w Jinzhena, rzekł:

– Och, doprawdy... W takim razie powiedz, samodzielnie rozwiązałeś moje zadania czy ktoś ci pomógł?

Jinzhen się wyprostował.

– Oczywiście, że zrobiłem to sam!

Tamtego wieczoru Jan Liseiwicz złożył wizytę Młodemu Lilliemu. Widząc go, Jinzhen pomyślał, iż zagraniczny profesor nadal przypuszcza, że ktoś mu pomagał. W rzeczywistości jednak, chociaż Liseiwicz wcześniej taką możliwość dopuścił, natychmiast ją odrzucił, gdyby bowiem profesor albo jego córka podpowiedzieli rozwiązanie, nigdy nie wyraziliby tego w taki sposób. Po wyjściu Jinzhena jeszcze raz przejrzał jego prace i nie krył podziwu. Metoda przeprowadzenia dowodu była nietypowa i imponująca, naiwna, a jednak świadczyła zarówno o logice, jak i o inteligencji Jinzhena. Liseiwicz nie potrafił ująć swoich uczuć w słowa. Dopiero podczas rozmowy z Młodym Lilliem stopniowo odkrywał sposób na wyrażenie przemyśleń.

– Powiedziałbym, że to jest tak, jakbyśmy poprosili go, by poszedł po rzecz znajdującą się w labiryncie tuneli; panuje w nim nieprzenikniony mrok, człowiek nie widzi nawet własnych pięciu palców przysuniętych do twarzy, co więcej, w labiryncie pełno jest skrzyżowań, rozgałęzień i pułapek. Jeśli nie mamy źródła światła, nie jesteśmy w stanie ruszyć z punktu wyjściowego. Aby odnaleźć drogę przez labirynt, najpierw musimy zaopatrzyć się w światło. Istnieje mnóstwo możliwych źródeł. Możemy wziąć pochodnię, lampę oliwną, patyk czy nawet wiązkę chrustu. Ten chłopak jest do tego stopnia ignorantem, że nie wie o istnieniu takich narzędzi, zresztą gdyby wiedział, nie potrafiłby ich znaleźć. Więc się do nich nie zbliża, natomiast posługuje się lustrem, ustawia je pod takim kątem, by załamywało promienie słoneczne i posyłało do tunelu, gdzie on poszukuje rzeczy. Docierając do zakrętu, ustawia kolejne lustro. Dzięki jednemu słabemu snopowi światła omija wszelkie pułapki i niebezpieczeństwa. Dla mnie najbardziej

tajemnicze jest to, że kiedy dochodzi do rozgałęzienia, jakiś rodzaj szóstego zmysłu podpowiada mu, w którą stronę powinien się udać.

W ciągu niemal dziesięcioletniej znajomości Młody Lillie nigdy nie słyszał, by Jan Liseiwicz o kimkolwiek wyrażał się tak pochlebnie. Trudno było skłonić kogoś takiego jak profesor do uznania czyichś matematycznych zdolności, ale Jinzhena wychwalał pod niebiosa. Młody Lillie pomyślał: Ja pierwszy odkryłem talent tego chłopaka, a Liseiwicz jest drugi i nie robi nic poza potwierdzeniem mojego odkrycia. A z drugiej strony co może być lepsze niż potwierdzenie przez człowieka o takim autorytecie? Obaj byli coraz bardziej zadowoleni.

Okazało się jednak, że w kwestii dalszych studiów Jinzhena ich opinie różnią się diametralnie. Liseiwicz uważał, że chłopak wie dostatecznie dużo i ma niezwykle zdolności, dlatego nie musi uczęszczać na kurs podstawowy, może od razu zabrać się do pisania pracy dyplomowej.

Młody Lillie się z nim nie zgadzał.

Jak wiemy, Jinzhen izolował się od innych ludzi, lubił spędzać czas w samotności. Miał bardzo małe doświadczenie w kontaktach ze swoimi rówieśnikami. To właśnie stanowiło słaby punkt jego osobowości i mogło spowodować w przyszłości wielkie zagrożenie. Młody Lillie dokładał starań, by naprawić szkody wyrządzone przez wychowanie chłopca we wczesnym dzieciństwie. Pod wieloma względami nieprzystosowanie społeczne Jinzhena i jego chwiejny charakter, milcząca wrogość wobec ludzi zostałyby złagodzone, gdyby spędzał więcej czasu z młodymi osobami w swoim wieku – mógłby się bardziej odprężyć. Był dużo młodszy od studentów wydziału matematyki, a Młody Lillie przypuszczał, że chłopiec już dużo wcześniej niebezpiecznie odseparował się od rówieśników. Gdyby zmuszono go do wejścia do społeczności złożonej z jeszcze większej liczby dorosłych, mogłoby to bardzo niekorzystnie wpłynąć na jego rozwój. Młody Lillie nie czuł się na siłach teraz tego tłumaczyć, poruszać spraw, o których wolałby nie rozmawiać. Wszystko to było bardzo skomplikowane, a chłopak miał prawo do odrobiny prywatności. Mógł tylko stwierdzić, że nie zgadza się z punktem widzenia profesora:

– Mamy w Chinach porzekadło: „Żelazo potrzebuje czasu i wysiłku, by stać się stalą”. Jinzhen jest niezwykle bystry, to prawda, lecz równocześnie brakuje mu wiedzy o zwykłych, codziennych sprawach. Jak sam powiedziałeś, są narzędzia, którymi można oświetlić sobie drogę, leżą pod ręką, ale on żadnego nie weźmie – znajdzie jakiś pokręcony i nietypowy sposób na zrobienie czegoś bardzo prostego. Moim zdaniem nie robi tego celowo; nie ma wyboru, ponieważ zmusza go do tego brak podstawowej wiedzy. Wspaniale, że w takich okolicznościach potrafi pomyśleć o wykorzystaniu lustra do oświetlenia drogi, jeśli jednak do końca życia będzie wykorzystywał swój geniusz w taki sam sposób, marnując czas na znalezienie sposobu, by osiągnąć coś, co można świetnie zrobić prosto, zapewne

zaspokoi swoją intelektualną ciekawość, ale jaki w tym sens? Tak więc uważam, że dla dobra jego edukacji ważne jest, by studiował, uczył się o rzeczach innym już znanych. Dopiero kiedy zdobędzie wiedzę podstawową, może wyruszyć na badanie absolutnie nieznanymi terytoriów.

Słyszałem, że po powrocie z zeszłorocznych podróży przywiozłeś ze sobą bogatą bibliotekę. Kiedy ostatnio byłem u ciebie w domu, miałem nadzieję, że będę mógł pożyczyć kilka książek. Zobaczywszy jednak kartkę przypiętą do półki z ostrzeżeniem: „Nawet nie próbuj pytać”, uszanowałem zakaz. Ale tak sobie pomyślałem, że czułbym się bardzo zobowiązany, gdybyś był gotów uczynić wyjątek i pozwolił Jinzhenowi przeczytać książki z twojej biblioteki. Jestem pewien, że niezmiernie by mu to pomogło. Jak mówi przysłowie, w książkach można znaleźć dwory ze złota.

Teraz z kolei Jan Liseiwicz zaprotestował.

Faktem jest, że w tamtym czasie wiele mówiono o dwojgu dziwakach na wydziale matematyki. Pierwszym była profesor Rong Yinyi (Mistrz Rong), która jak skarb przechowywała stosik listów, wciąż myśląc o ukochanym, chociaż mogła wyjść za jednego ze swoich wielbicieli, drugim zaś – profesor z zagranicy, Jan Liseiwicz. Bardziej obchodziło go kilka półek z matematycznymi książkami niż żona; z całą pewnością nie pozwalał, by ktokolwiek poza nim samym brał je do ręki. Młody Lillie mógł mówić, co mu się podobało, ale nie żywił przesadnej nadziei, iż Liseiwicz zmieni zdanie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że szanse na to są bliskie zera.

Kiedy tamtego wieczoru Jinzhen przy kolacji wspomniał, że profesor Liseiwicz pożyczył mu kilka książek i zgodził się, by w przyszłości brał z półek, co będzie chciał, Młody Lillie poczuł, jak serce mu dudni. Uświadomił sobie, że wbrew swemu przekonaniu, iż wszystkich wyprzedzał, w rzeczywistości Liseiwicz pozostawił go daleko w tyle. Bardziej niż cokolwiek innego ta sprawa pomogła mu zrozumieć, jak ważny jest Jinzhen dla Liseiwicza: był niezastąpiony. Profesor miał nadzieję, że Jinzhen dokona rzeczy wielkich, o wiele większych, niż Młody Lillie mógł sobie wyobrazić.

Spośród dwojga dziwaków na wydziale matematyki Mistrz Rong miała bardzo smutną historię i ludzie darzyli ją wielkim szacunkiem. Z drugiej zaś strony profesor Liseiwicz wydawał się robić z igły widły i wiele o nim mówiono. Tam, gdzie w normalnych okolicznościach dużo się o kimś mówi, zwykle kończy się to wiecznymi plotkami. Stąd też o profesorze krążyło mnóstwo plotek, więcej niż o Mistrzu Rong. Prawie każdy na uniwersytecie miał do opowiedzenia jakąś historię. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że nigdy nikomu nie pożyczał książek, usłyszeli też, że teraz pożycza je jednej osobie – tak się dzieje, gdy sławna osoba robi coś nieistotnego. Można to porównać do konwersji masy w energię. Ludzie nieustannie plotkowali, zadając pytanie, dlaczego profesor Liseiwicz jest nad wyraz miły dla Jinzhena i tylko dla niego? To niemal tak, jakby pozwalał chłopcu sypiać ze swoją żoną. Niektórzy uważali, że zagraniczny profesor docenia intelekt swojego studenta i ma nadzieję, że dokona on rzeczy wielkich, chociaż teoria, że robi to wyłącznie z przyjaźni, nie była zbyt popularna. Ci, którzy twierdzili, że profesor Liseiwicz wykorzystuje geniusz Jinzhena, zakrzyczeli resztę.

Wspomniała o tym nawet Mistrz Rong, gdy przeprowadziłem z nią wywiad.

### *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Pierwszej zimy po zakończeniu drugiej wojny światowej Jan Liseiwicz pojechał do Europy. Mróz nie odpuszczał, aczkolwiek podejrzewam, że w Europie było jeszcze gorzej, ponieważ profesor nie zabrał ze sobą rodziny – pojechał sam. Kiedy wrócił, tatuś pożyczył z uniwersytetu forda i powiedział, żebym pojechała po Lisewicza do portu. Zdumiał mnie widok profesora – siedział na masywnej drewnianej skrzyni rozmiarów mniej więcej trumny, na której po chińsku i angielsku wypisano jego nazwisko i adres Uniwersytetu N. Z powodu wielkości i wagi skrzynia nie zmieściła się do samochodu, musiałam wynająć wóz i czterech krzepkich mężczyzn do przetransportowania jej na wydział. Po drodze zapytałam Lisewicza, dlaczego przywiózł aż tyle książek, na co z ekscytacją odparł: „Prowadzę nowe badania i potrzebuję tych książek!”.

Można powiedzieć, że w czasie podróży do Europy Liseiwicz przywrócił do życia zainteresowanie badaniami, które przez wszystkie te lata pozostawało w uśpieniu. Zamierzał rozpocząć badania w rozległej nowej dziedzinie, sztucznej

inteligencji. W dzisiejszych czasach wszyscy o tym słyszeli, wtedy jednak na świecie zbudowano dopiero pierwszy komputer<sup>2</sup>. Stąd wziął się pomysł – profesor wyprzedzał większość swoich współczesnych w zrozumieniu potencjału tkwiącego w tej dziedzinie. Wziąwszy pod uwagę rozległy zakres projektu badawczego, przywiezione książki stanowiły zaledwie drobną cząstkę całości. Nic dziwnego, że nie miał ochoty nikomu ich pożyczać.

Problem w tym, iż zakaz objął wszystkich poza Zhendim, dlatego ludzie snuli najrozmaitsze przypuszczenia. Na wydziale matematyki krążyły zresztą przeróżne historie o geniuszu Zhendiego: że ukończył czteroletnie studia w dwa tygodnie, że na sam jego widok pot perlił się na twarzy profesora Liseiwicza i zanim się obejrzeliśmy, niektórzy ludzie, niemający zielonego pojęcia, jak to wygląda w praktyce, opowiadali, że zagraniczny profesor wykorzystuje inteligencję Zhendiego do rozwoju swoich badań. Tego rodzaju plotki ciągle wybuchają w akademickim świecie – stawiają profesorów w złym świetle i ludziom podoba się podejrzenie, że osiągnęli oni swoją pozycję, kradnąc pracę innych – tak po prostu jest.

Kiedy o tym usłyszałam, poszłam prosto do Zhendiego i zapytałam o to. Odparł, że to stek kłamstw. Ojciec także go o to pytał i także usłyszał taką odpowiedź.

- Słyszałem, że każde popołudnie spędzasz w jego domu. Czy to prawda?
- Tak – odrzekł Zhendi.
- Co tam robisz?
- Czasem czytam książki, czasem gramy w szachy.

Zhendi odpowiadał z przekonaniem, my jednak mieliśmy wrażenie, że tam, gdzie jest dym, musi też być ogień – martwiliśmy się, że nas okłamuje. Miał dopiero szesnaście lat i zupełnie nic nie wiedział o tym, jak bardzo skomplikowany może być świat; nie mogliśmy wykluczyć, że go oszukano. No cóż, kilka razy znalazłam pretekst, by pójść do domu Liseiwicza i zobaczyć, co robią, i za każdym razem przekonywałam się, że istotnie grali w szachy, standardową międzynarodową grę. Zhendi często grał z moim ojcem i był dobrym szachistą – obaj dorównywali sobie poziomem. Czasami grał też z mamą w pchelki, ale tu chodziło wyłącznie o zabawę. Kiedy zobaczyłam ich przy szachownicy, pomyślałam, że Liseiwicz robi to, żeby mieć towarzystwo, bo wszyscy wiedzieli,

że gra na poziomie arcymistrzowskim.

W rzeczywistości działo się coś zupełnie innego.

Według tego, co powiedział mi sam Zhendi, grali z Liseiwcem w najróżniejsze rodzaje szachów: standardowe, go, chińskie, bitewne i tak dalej. Czasami udało mu się pokonać Liseiwicza w szachach bitewnych, nigdy jednak nie wygrał w pozostałych. Zhendi mówił, że profesor gra we wszystkie odmiany na zadziwiająco wysokim poziomie, tak więc udało mu się wygrać w szachach bitewnych jedynie dlatego, że zwycięstwo w tej odmianie nie zależy wyłącznie od umiejętności gracza, co najmniej w połowie decyduje o nim szczęście. Jeśli się nad tym zastanowić, to mimo że pchełki są prostszą grą od szachów bitewnych, umiejętności gracza są w niej ważniejsze i od szczęścia zależy niewiele. Zdaniem Zhendiego, szachy bitewne, ściśle rzecz biorąc, nie powinny być w ogóle uważane za odmianę szachów, a przynajmniej nie należy ich traktować jak szachów dla dorosłych.

Pewnie się dziwisz, dlaczego Liseiwicz grał z Zhendim, skoro ten nie był godnym przeciwnikiem?

Pozwól, że to wyjaśnię. Wszystkie odmiany szachów są łatwe do nauczenia w tym sensie, że nie wymagają od graczy rozwijania specjalnych umiejętności – wystarczy, że poznasz podstawowe reguły i się ich trzymasz. Ale kiedy zaczniesz grać, musisz ujawnić całkowicie inne cechy niż te, które są potrzebne w grach opartych na umiejętnościach fizycznych. W tych ostatnich ćwiczenia sprawiają, że stajesz się coraz lepszy, z gracza początkującego przechodzisz do kategorii graczy doświadczonych, później zdolnych, wreszcie wybitnych. Im więcej grasz w szachy, tym bardziej szachy stają się skomplikowane, nabywając bowiem doświadczenia, uczysz się kolejnych wariantów, a to otwiera przed tobą nowe drogi – przypomina spacer po labiryncie. W bramie jest tylko jedna droga, im dalej jednak się zapuszczasz, tym więcej skrzyżowań napotykasz i stajesz przed nowymi wyborami. Z tego powodu gra w szachy jest tak bardzo złożona; jest też inna przyczyna: jeśli dwóch przeciwników równocześnie wędruje przez labirynt, to gdy jeden posuwa się do przodu, próbuje też zablokować drugiego, który robi to samo – ruch do przodu i blok, ruch do przodu i blok – cóż, to zwiększa poziom trudności już i tak niezwykle skomplikowanej gry. Na tym polegają szachy: masz standardowe otwarcie i tajemne manewry, pionki, które trzymasz pod ręką, i te, które posyłasz na drugi koniec szachownicy, myśląc przeciwnika. W normalnych okolicznościach każdy, kto zna większość wariantów, ma większe pole do manewrów i może swoje ruchy otoczyć większą tajemnicą. A kiedy przeciwnik jest zdezorientowany i nie

potrafi ustalić kierunku ataku, znaczy, że stworzył najlepsze warunki do wygranej. Jeśli chcesz dobrze grać w szachy, musisz się nauczyć wariantów, ale nie tylko. Istotą wariantów jest to, że wszyscy je znają.

Co to jest wariant?

Najlepiej go porównać do drogi wydeptanej w dżungli przez wiele stóp – z jednej strony możesz być pewien, że jest to trakt prowadzący z A do B, z drugiej wiesz, że jest dostępny dla każdego. Skoro ty możesz nim wędrować, inni także. Albo weźmy inny przykład: warianty są jak broń konwencjonalna. Jeśli walczysz przeciwko ludziom, którzy wcale nie są uzbrojeni, twoja broń zabije ich w mgnieniu oka. Jeśli jednak przeciwnik dysponuje takimi samymi rodzajami broni konwencjonalnej, ty możesz porozkładać miny, ale on po prostu wyśle saperów, żeby je usunęli, będziesz więc marnował czas. Wyślesz samoloty, ale on zobaczy je na radarze wyraźnie jak na dłoni i strąci. W takich okolicznościach potrzebujesz sekretnej broni, by zwyciężyć na polu walki. W szachach istnieje wiele rodzajów sekretnej broni.

Liseiwicz nie rezygnował z gry w szachy z Zhendim, ponieważ zdał sobie sprawę, że chłopak dysponuje całym arsenałem sekretnej broni. Wydawało się, że potrafi z niczego wykoncipować całkiem sporo dziwnych i podchwytliwych ruchów, wywołując u przeciwnika poczucie, że ktoś kopie tunel pod jego stopami. Naprawdę mógł wprawić w konsternację, bo pionek, który uważałeś za martwy, w jego dłoniach nagle okazywał się istotny dla następnego posunięcia. Zhendi grał w szachy od niedawna, miał małe doświadczenie i znał niewiele wariantów, dlatego standardowe ruchy były dla niego wielką tajemnicą. Każdy z tych ruchów wykorzystuje tysiące osób – można na nich polegać, raz po raz udowadniając swoją wartość; tak więc wszelkie dziwne i podchwytliwe posunięcia, które wymyślał Zhendi, były nieskuteczne wobec wypróbowanych i sprawdzonych, dlatego raz po raz przegrywał.

Liseiwicz powiedział mi kiedyś, że powodem przegranych Zhendiego nie jest inteligencja, ale brak doświadczenia, znajomości wariantów i umiejętności.

– Od czwartego roku życia grałem w najróżniejsze odmiany szachów i przez lata poznałem warianty dla każdej odmiany jak własną kieszeń. Oczywiście trudno Jinzhenowi mnie pokonać. Faktem jest, że nikt z najbliższego kręgu znajomych nie jest w stanie ze mną wygrać; bez strachu, że ktoś zaprzeczy, mogę powiedzieć, że jestem szachowym geniuszem. Co więcej, grając przez tak długi okres, udoskonałem swoje umiejętności. O ile Zhendi nie poświęci kilku lat wyłącznie

na doskonalenie szachowych umiejętności, nigdy nie zdoła mnie pokonać. Sedno sprawy tkwi w tym, że kiedy wystawiamy przeciwko sobie nasze siły, często odczuwam krzepiące zaskoczenie, które sprawia mi niezwykłą radość, i dlatego z nim gram.

Tak brzmiały jego słowa.

Kolejna partia szachów!

I następna!

Jako że Zhendi i Liseiwicz ciągle grali w szachy, blisko się zaprzyjaźnili; szybko wyszli poza zwykłą relację nauczyciel–uczeń i zostali dobrymi przyjaciółmi, którzy razem chodzą na spacer i jadają posiłki. Z tego samego powodu Zhendi spędzał coraz mniej czasu w domu. Wcześniej podczas letnich i zimowych wakacji prawie nie wystawiał nosa za drzwi, mama często musiała dosłownie wyrzucać go z domu, żeby pooddychał trochę świeżym powietrzem. Tamtej zimy jednak Zhendiego w ciągu dnia prawie nie było w domu; sądziliśmy, że gra w szachy z Liseiwiczem, ale później odkryliśmy, że było inaczej. Oni nie grali w szachy, tylko tworzyli reguły nowej gry planszowej.

To, że tworzyli własną odmianę szachów (Zhendi nazywał ją szachami matematycznymi), z pewnością wyda ci się mało prawdopodobne. Później wiele razy widziałam, jak w nie grali: to rzeczywiście było dziwaczne. Szachownica miała niemal te same rozmiary co blat biurka, i stały na niej dwa obozy wojskowe, jeden w kształcie znaku #, drugi w kształcie krzyża koptyjskiego. Do gry używali tabliczek madzonga, a nie bierek szachowych. Przez szachownicę prowadziły cztery szlaki, każdy gracz miał do dyspozycji po dwa wychodzące z obozów. Pionki, które startowały z obozu #, miały ustalone pozycje, w pewnym sensie podobne do otwarcia w szachach chińskich, natomiast pionki w obozie krzyża koptyjskiego mogły zacząć gdziekolwiek – układ był zależny od przeciwnika. Oczywiście kiedy przeciwnik rozstawiał twoje pionki, myślał wyłącznie o własnym planie kampanii, dlatego umieszczał je na pozycjach najbardziej korzystnych dla siebie. Po rozpoczęciu gry przejmowałaś kontrolę nad swoimi pionkami. Naturalnie twoim zadaniem było przy pierwszej nadarzającej się możliwości przesunąć je z pozycji korzystnej dla przeciwnika na korzystną dla ciebie. Pionek mógł wędrować pomiędzy obozami i na im mniej przeszkód natrafiałeś przy przesuwaniu pionków w stronę obozu wroga, tym większą miałaś szansę na zwycięstwo. Jednakże reguły rządzące okolicznościami, w których mogłeś równocześnie przesunąć pionki do obozu wroga, były bardzo surowe, taki ruch



wymagał starannego planowania i przygotowań. Co więcej, kiedy pionek znalazł się w obozie wroga, zmieniał się sposób, w jaki mógł się poruszać. Największa różnica w sposobie poruszania polegała na tym, że pionki w obozie # nie mogły przesuwac się po przekątnych ani przeskakiwać innych pionków. Oba te rodzaje były dozwolone w obozie krzyża koptyjskiego. W porównaniu z szachami standardowymi największa różnica sprowadzała się do tego, że musiałeś się zastanawiać, jak przesuń pionki po dwóch traktach, które do ciebie należą, co znaczyło, iż musiałeś się upewnić, że stoją na właściwych pozycjach do wykonania ruchów, które zaplanowałeś, że przy pierwszej nadarzającej się sposobności przestawisz pionki z niekorzystnych miejsc na korzystne, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, ty i przeciwnik będziecie mogli symultanicznie przesunąć pionki do obozów wroga. Można powiedzieć, że grałeś z przeciwnikiem, ale też przeciwko sobie – odnosiło się wrażenie, jakby każdy gracz miał dwóch różnych przeciwników. Gra była jedna, a równocześnie także trzy gry, ponieważ każdy z graczy prowadził grę przeciwko sobie i oponentowi.

Bardzo skomplikowana i dziwna gra. Najlepsze porównanie, jakie przychodzi mi do głowy, to sytuacja, gdzie oboje tocymy bitwę, ale zaraz na początku odkrywamy, że moje oddziały są pod twoją komendą, a twoje pod moją. Pomyśl, jak dziwną i skomplikowaną rzeczą byłaby bitwa, w której dowodziłbyś wyłącznie wojskami wroga – dziwaczność w niektórych przypadkach może być rodzajem złożoności. W grę o takim stopniu skomplikowania większość ludzi po prostu nie potrafiła grać. Liseiwick powiedział, że zaprojektowana została wyłącznie dla matematyków i dlatego nazwali ją szachami matematycznymi. Kiedyś, opowiadając mi o grze, oznajmił triumfalnie: „Ta gra jest rezultatem badań nad czystą matematyką: wzięwszy pod uwagę poziom wiedzy matematycznej wymagany do poradzenia sobie z jej złożonością, że nie wspomnę już o skomplikowanych regułach, subtelnym sposobie, w który subiektywna rola gracza przekształca porządek strukturalny – doprawdy można to porównać jedynie z ludzką inteligencją”.

Wtedy przypominałam sobie o jego aktualnym temacie badań: sztuczna inteligencja. Nagle poczułam się niekomfortowo, zadałam sobie bowiem pytanie, czy szachy matematyczne nie są przypadkiem częścią jego badań. Gdyby tak było, nie ulega wątpliwości, że Zhendi został wykorzystany – Liseiwick maskował swoje poczynania udawaniem, że chodzi wyłącznie o tworzenie gry. Później dopilnowałam, żeby zapytać Zhendiego, dlaczego postanowili ułożyć szachy matematyczne i jak wyglądała praca nad nimi.

Odparł, iż lubili grać ze sobą w szachy, ale nie istniała szansa, żeby mógł

kiedykolwiek pokonać Liseiwicza, gracza wyjątkowo dobrego, co sprawiło, że wpadł w przygnębienie i stracił ochotę do gry. Zaczęli więc myśleć o stworzeniu nowej odmiany szachów, w której obaj zaczynaliby od tego samego poziomu i żaden nie miałby przewagi w znajomości wszelkich możliwych wariantów. Zamierzali tak ułożyć reguły, by zwycięstwo zależało wyłącznie od inteligencji. Zhendi mówił, że przy projektowaniu gry on był odpowiedzialny za planszę, a Liseiwicz tworzył reguły ustalające sposób poruszania się pionków. Uważał, że gdyby ktoś chciał określić jego wkład w grę, wynosiłby on około dziesięciu procent. Jeśli gra istotnie była częścią badań Liseiwicza, to wkład Zhendiego był znaczący i zasługiwał na uznanie. Zapytałam więc o pracę Liseiwicza nad sztuczną inteligencją. Zhendi odparł, że nic o tym nie wie i o ile się orientuje, nie pracuje nad takimi zagadnieniami. Zapytałam: „Dlaczego uważasz, że nie pracuje?”. Odpowiedział: „Nigdy o tym nie wspominał”.

Wszystko to było bardzo dziwne.

Pomyślałam, że Liseiwicz przy każdym spotkaniu zarzuca mnie historiami o nowym przedsięwzięciu, a teraz okazuje się, że Zhendi, który spędza z nim codziennie sporo czasu, nic o tym nie wie. Byłam pewna, że coś się dzieje. Później zapytałam o to Liseiwicza. Odparł krótko, że nie dysponujemy odpowiednim wyposażeniem, niezbędnym do kontynuowania prac, dlatego zrezygnował.

Naprawdę zrezygnował?

Czy tylko tak powiedział?

Szczerze mówiąc, cała ta sprawa bardzo mi się nie podobała. Nie muszę dodawać, że gdyby jedynie udawał, iż zarzucił badania, mielibyśmy poważny problem, ponieważ tylko ktoś zaangażowany w nieetyczne (jeśli nie przestępcze) działania, czuje potrzebę ukrywania się przed innymi. Jeśli poczynania Liseiwicza istotnie miały nieetyczny charakter, to mógł wykorzystywać tylko jedną osobę: biednego małego Zhendiego. Wydział huczał od plotek, które już wcześniej zmusiły mnie do zastanowienia się nad niezwykle dziwnym związkiem, jaki wytworzył się pomiędzy Liseiwiczem a Zhendim – bałam się, że chłopca oszukano i wykorzystano. Był wtedy jeszcze dzieckiem, bardzo niedojrzałym emocjonalnie i naiwnym, kompletnie nieświadomym tego, jak nieprzyjemni mogą być ludzie. Gdyby ktoś szukał kozła ofiarnego, wybrałby taką osobę: niewinną, samotną, bojaźliwą; osobę, którą można zastraszyć i zmusić do milczenia, która cierpi bez słowa skargi.

Na szczęście niedługo potem Liseiwicz zrobił coś absolutnie nieoczekiwanego, co sprawiło, że moje obawy stały się bezpodstawne.

*Ciąg dalszy nastąpi.*

2 Pierwszy komputer ENIAC zbudowano w 1946 roku.

Jan Liseiwicz i Jinzhen zakończyli tworzenie reguł szachów matematycznych wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Niedługo potem, czyli niedługo po wyzwoleniu stolicy prowincji, miasta C, Liseiwicz otrzymał zaproszenie z czasopisma „Annals of Mathematics” do udziału w konferencji organizowanej przez UCLA. Aby ułatwić podróż uczestnikom z Azji, podano adres kontaktowy w Hongkongu, pod którym mieli się spotkać i stamtąd wspólnie odbyć drugą część podróży. Liseiwicz nie spędził w Stanach dużo czasu, może półtora miesiąca, i wrócił na uniwersytet tak szybko, że ludziom trudno było uwierzyć, iż naprawdę w takim krótkim okresie zdążył odwiedzić Amerykę. Miał jednak mnóstwo dowodów na swój pobyt, a były to oferty pracy z uniwersytetów i instytutów naukowych w Polsce, Austrii i Stanach oraz fotografie przedstawiające go w towarzystwie Johna von Neumanna, Lloyda Shapleya, Irvina Cohena i innych sławnych matematyków. Co więcej, przywiózł ze sobą tegoroczne pytania do Konkursu Matematycznego Putnama.

### *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Putnam to amerykański matematyk; jego pełne nazwisko brzmiało William Lowell Putnam i nazywano go „drugim Gaussem”. W tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku Towarzystwo Amerykańskich Matematyków w porozumieniu z wieloma uniwersytetami ustanowiło coroczny Konkurs Matematyczny Putnama, który cieszy się wielkim zainteresowaniem całego środowiska, podczas tego konkursu bowiem odkrywane są nowe talenty wśród studentów. Konkurs ma na celu sprawdzenie podstawowych zasad, których uczą się studenci, pytania jednak są niewyobrażalnie trudne i żeby na nie odpowiedzieć, trzeba naprawdę błysnąć wiedzą. Mimo że co roku uczestnicy konkursu należą do najlepszych na swoich uczelniach, to z powodu aż tak podwyższonego stopnia trudności zadań większość uzyskuje wynik zbliżony do zera.

Trzydziestu najlepszych dostaje oferty od świetnych uniwersytetów w Ameryce i na świecie – na przykład Harvard proponuje pierwszej trójce wysokie stypendia na wszystkich wydziałach. W tamtym roku konkurs składał się z piętnastu pytań, na które należało odpowiedzieć w ciągu czterdziestu pięciu minut; maksymalna ocena wynosiła 150 punktów. Zdobywca pierwszego miejsca

uzyskał 76,5 punktu, a żeby się znaleźć w pierwszej dziesiątce, należało zdobyć ponad 37,55 punktu.

Liseiwicz przywiózł pytania, ponieważ chciał sprawdzić Zhendiego – i tylko jego, pozostali (w tym profesorowie) zostaliby narażeni na niepotrzebny wysiłek i stres, gdyby kazano im rozwiązać te zadania, tak więc lepiej było zostawić ich w spokoju. Zanim jednak przeegzaminował Zhendiego, zamknął się w swoim gabinecie na trzy kwadransy i zasiadł do rozwiązywania, po czym ocenił to, czego dokonał. Okazało się, że zdobył mniej punktów niż najlepszy tegoroczny uczestnik, bo odpowiedział prawidłowo tylko na osiem pierwszych pytań, dziewiątego nie skończył. Gdyby oczywiście miał kilka minut więcej, zadanie także rozwiązałby prawidłowo, ale ograniczenia czasowe były drakońskie. Nie bez powodu. Celem Konkursu Matematycznego Putnama było zwrócenie uwagi na dwie ważne kwestie:

1. Matematyka to najbardziej naukowa z nauk.
2. Matematyka jest nauką o czasie.

Robert Oppenheimer, którego często nazywa się ojcem bomby atomowej, wypowiedział słynne słowa: „W nauce czas jest prawdziwą przeszkodą. Gdybyśmy mieli nieograniczony czas, każdy mógłby poznać wszystkie tajemnice wszechświata”. Niektórzy twierdzą, że przez zbudowanie pierwszej na świecie bomby atomowej znalazł najlepszy sposób na rozwiązanie problemu, jak zakończyć drugą wojnę światową. Jeśli jednak się nad tym zastanowimy, to czy gdyby Hitlerowi udało się skonstruować bombę atomową, w rezultacie ludzkość nie stanęłaby wobec jeszcze gorszego problemu?

Zhendi w ciągu czterdziestu pięciu minut odpowiedział na sześć pytań. Liseiwicz uznał, że w rozwiązaniu jednego popełnił błąd, majstrując przy pytaniu, stąd nie dostał za nie punktów. Ostatnie zadanie było problemem logicznym i Zhendiemu zostało tylko półtorej minuty na zastanowienie się nad nim. Nie miał czasu, więc nawet nie zaczął pisać rozwiązania, pomyślał tylko o tym i w ostatniej sekundzie naskrobał prawidłową odpowiedź. To było niezwykle osiągnięcie i kolejny dowód na nieprzeciętny intelekt Zhendiego. Ocena tego zadania zależała od egzaminatora, jeden mógł przyznać maksimum punktów, inny kilka odjąć, kierowali się bowiem własną opinią o zdolnościach studenta. W najgorszym wypadku Zhendi dostałby 2,5 punktu, dlatego po rozważeniu sprawy Liseiwicz postanowił być surowy i tyle mu dał. W sumie chłopak dostał 42,5 punktu.

Gdyby Zhendi mógł wziąć udział w konkursie, trafiłby do grona faworytów, a to dałoby mu szansę studiowania na uniwersytecie w Ivy League z pełnym stypendium i sławą, jaką w świecie matematyki cieszyli się zwycięzcy konkursu Putnama. Ponieważ jednak Zhendi formalnie nie wziął udziału w konkursie, to gdybyś komuś pokazał jego odpowiedzi, człowiek ten roześmiałby ci się w twarz. Nikt nie uwierzyłby, że jakiś smarkacz z miasta w Chinach, o którego istnieniu świat nie miał pojęcia, mógł zdobyć tyle punktów – wszyscy pomyśleliby, że próbujesz ich nabrać. W dodatku głupio. Nawet Liseiwicz, patrząc na arkusz z odpowiedziami, miał wrażenie, że w jakiś sposób został oszukany. Ale naturalnie odniósł tylko wrażenie, ponieważ wiedział, że tak wygląda prawda – wiedział, że Zhendi w żaden sposób nie oszukiwał – i tak to, co na początku było zabawą, potraktował bardzo poważnie.

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Liseiwicz najpierw poszedł do Młodego Lilliego i powiedział, że dał Jinzhenowi do rozwiązania zadania z Konkursu Matematycznego Putnama. Wyraził swoje zdanie w tej kwestii:

– Mówię ci, Jinzhen jest najlepszym studentem, jakiego ten uniwersytet kiedykolwiek miał, a w przyszłości może się stać najlepszym studentem na Harvardzie, MIT, Princetonie, Stanfordzie czy na innej światowej klasy uczelni. Dlatego powtarzam, najlepiej, żeby wyjechał na studia za granicę. Harvard, MIT, gdzie indziej.

Młody Lillie milczał.

– Powinieneś uwierzyć w jego zdolności i dać mu tę możliwość – naciskał Liseiwicz.

Młody Lillie pokręcił głową.

– Obawiam się, że to nie wchodzi w grę.

– Dlaczego? – Liseiwicz zrobił wielkie oczy.

– Nie mamy pieniędzy – odparł szczerze Młody Lillie.

– Musiałbyś zapłacić tylko za jeden semestr. Jestem przekonany, że od drugiego dostawałby stypendium.

– Pierwszy semestr nie jest problemem. – Młody Lillie gorzko się uśmiechnął. – W naszej obecnej sytuacji nie bylibyśmy nawet w stanie zapłacić za jego podróż.

Liseiwicz wyszedł rozczarowany.

Po części to uczucie wynikało z naturalnego w tej sytuacji smutku, że marzenie o wspaniałej przyszłości studenta nie może się zrealizować, po części zaś zabarwione było podejrzeniem. Nigdy nie zgadzali się z Młodym Lilliem w kwestii

akademickiej przyszłości Jinzhena, teraz więc nie wiedział, czy ten mówi prawdę, czy też po prostu jest to pretekst, by nie brać udziału w tym planie. Pomyślał, że druga możliwość przypuszczalnie jest prawdziwa, bo nie potrafił uwierzyć, że rodzina tak majątna jak Rongowie może mieć kłopoty finansowe.

Niestety, Młody Lillie mówił prawdę. Jan Liseiwicz nie wiedział, że kilka miesięcy wcześniej resztki rodzinnej posiadłości w Tongzhenie objęła reforma rolna i pozostało im tylko kilka zrujnowanych budynków w starym dworze. W stolicy prowincji nadal mieli firmę, ale przed kilkoma dniami na ceremonii powitania nowego burmistrza Młody Lillie (członek rodziny dobrze znanej z patriotyzmu) sprezentował ją władzom miasta C na znak swojego poparcia dla powstałej Chińskiej Republiki Ludowej. Decyzja, by wybrać tego rodzaju publiczną okazję na przekazanie daru, mogła się wydawać próbą pochlebstwa z jego strony, w rzeczywistości jednak wcale tak nie było – okoliczności ustalał obdarowany. Co więcej, Młody Lillie zgodził się z argumentem, że będzie to przykład zachęcający członków innych bogatych i liczących się w społeczności rodzin do poparcia nowego rządu. Mogę kategorycznie stwierdzić, że Rongowie byli wielkimi patriotami, a Młody Lillie nie stanowił wyjątku – pozbawił się fortuny, by zademonstrować lojalność wobec ludowej republiki. Wsparcie wynikało zarówno z uznania dla obecnej sytuacji w państwie, jak i z osobistych doświadczeń – dobrze pamiętał niesprawiedliwe potraktowanie przez rząd Kuomintangu. Tak czy owak, kiedy Młody Lillie odziedziczył schedę po przodkach, część dawnego majątku zniknęła, część była zrujnowana, a część podzielona tak bardzo, że w gruncie rzeczy nic nie zostało. Osobiste oszczędności Młodego Lilliego pochłonęła walka o uratowanie życia córki. Pensji mu nie podniesiono, a koszty utrzymania rosły i utracił wszystkie inne możliwe źródła dochodów. Teraz Jinzhen pragnął wyjechać na studia i chociaż popierał go całym sercem, w żaden sposób nie mógł mu pomóc.

Wreszcie Liseiwicz zrozumiał, co się stało. Okazało się to kilka miesięcy później; dostał list od doktora Gábora Szegő, ówczesnego dziekana Wydziału Matematyki na Uniwersytecie Stanfordzkim, w którym ten informował, że Jinzhen otrzymał stypendium. Do listu załączono sto dziesięć dolarów na bilet. Suma ta pochodziła z funduszków wydziałów i wydatkowano ją wyłącznie dzięki, jak się okazało, skutecznym zabiegom Liseiwicza. Napisał do doktora Szegő list zawierający trzy tysiące słów, a teraz te słowa wróciły, przekształcone w pełni refundowane miejsce na studiach doktoranckich w Stanfordzie oraz bilet na statek. Kiedy powiedział o tym Młodemu Lilliemu, z radością zobaczył, jak bardzo starzec się ucieszył.

Kiedy Jinzhen przygotowywał się do spędzenia ostatniego lata na uniwersytecie przed wyjazdem do Stanfordu, bardzo poważnie zachorował. I właśnie ta choroba zdecydowała, że resztę swojego życia spędził w Chinach.

## *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Jego nerki przestały pracować!

Zhendi o mało nie umarł!

Na początku choroby lekarz powiedział nam, że chłopak umrze – w najlepszym razie pożyje pół roku. Przez ten czas śmierć go nie odstępowała; obserwowaliśmy, jak młodzieniec, który zawsze był szczupły, teraz puchnie do olbrzymich rozmiarów, chociaż waga jego ciała nie przestawała spadać.

Cierpiał na obrzęk. Niewydolność nerek spowodowała, że ciało Zhendiego wyglądało, jakby było z ciasta nieustannie fermentującego, puchł, przez co stał się lekki i delikatny jak puszek bawełny; człowiek się bał, że rozpadnie się na kawałki, jeśli szturchnie go palcem. Lekarze stwierdzili, że Zhendi przeżył cudem – prawdę mówiąc, on powstał z martwych. Spędził w szpitalu blisko dwa lata i przez cały ten czas nie mógł spożywać soli, która dla niego była trucizną. Walka o życie wyczerpała go. Pieniądze przysłane ze Stanfordu na opłacenie podróży poszły na koszty leczenia, a stypendium, dyplom, studenckie życie, naukową karierę połąkła przerażająca terażniejszość i z dnia na dzień stawały się bledszym, bardziej mglistym marzeniem. Cała ciężka praca Liseiwicza poszła na marne – pragnął stworzyć wspaniałą przyszłość dla swojego najlepszego ucznia, a teraz musiał stawić czoło dwóm bardzo nieprzyjemnym faktom: po pierwsze, pieniądze zostały wydane i nie istniał cień szansy, by w obecnym położeniu finansowym Rongowie mogli oddać sto dziesięć dolarów. Po drugie, ludzie, na których Liseiwicz opierał własne przyszłe bezpieczeństwo (włączając w to mnie), podejrzewali go o najgorsze możliwe motywy.

Poczynania Liseiwicza pokazały czystość jego intencji i dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że był szczerze przywiązany do Zhendiego. Zastanówmy się: gdyby rzeczywiście wykorzystywał chłopaka, by osiągnąć postępy w swoich badaniach, w żadnym razie nie zachęcałby go do wyjazdu do Stanfordu. Na tym świecie nie ma prawdziwych tajemnic, prawda z czasem zawsze wychodzi na jaw. Tajemnicą Liseiwicza było przekonanie głębsze niż u kogokolwiek innego, że Zhendi jest prawdziwie rzadkim geniuszem matematycznym. Może widział w nim siebie jako chłopca – kochał go tą samą bezinteresowną miłością, którą kochał własne dzieciństwo, i było to uczucie poważne i całkowicie niewinne.



Dopiero dużo później okazało się, że Liseiwicz jednak potraktował Zhendiego niesprawiedliwie. Dowiedzieliśmy się o tym przy sprawie szachów matematycznych, które wspólnie stworzyli. Gra stała się bardzo popularna w matematycznych kręgach w Europie i Ameryce – grało w nią wielu matematyków, tylko że teraz nie nazywano jej szachami matematycznymi, lecz szachami Liseiwicza. Przez lata czytałam wiele artykułów o szachach Liseiwicza i wynikało z ich treści, że gra cieszy się wielkim uznaniem. Czasami jej znaczenie porównywano nawet do znaczenia teorii szachów von Neumanna jako gry dwuosobowej o sumie zerowej. Mówiono, że podczas gdy jego koncepcja była szczególnie ważna w teorii ekonomii, szachy Liseiwicza miały ogromne znaczenie w strategii wojskowej. Chociaż na praktyczne zastosowania obu gier trzeba było jeszcze poczekać, twierdzono, że ich znaczenie teoretyczne jest potężne. Ludzie wskazywali na Liseiwicza, najmłodszego w dziejach zdobywcę Medalu Fieldsa, i mówili, że jest ozdobą świata matematyki, chociaż po wyjeździe do Chin nie dokonał w nauce niczego istotnego z wyjątkiem stworzenia szachów, które stały się najważniejszym i finalnym osiągnięciem w jego późniejszej karierze.

Szachy matematyczne stworzyli wspólnie Jan Liseiwicz oraz Zhendi, a to znaczy, że temu ostatniemu też należą się laury. Kiedy Liseiwicz nazwał szachy swoim nazwiskiem, przekreślił rolę Zhendiego, wymazał go z tej historii, a całą zasługę przypisał sobie. Chociaż postąpił nieuczciwie wobec Zhendiego, obaj bardzo się lubili i profesor dokładał wszelkich starań, by chłopcu zapewnić wspaniałą przyszłość...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Na początku lata tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku pewnego wieczoru zaczęło lać i padało bez przerwy do rana. Ogromne krople rozбивały się o kafle i czasami brzmiało to jak stukanie młotkiem, czasami jak głuche tąpnięcia. Bębnienie deszczu w dach nasuwało na myśl monstrualnie wielką stonogę, która ucieka przed niebezpieczeństwem. Zmiany w natężeniu hałasu wywoływał wiatr przybierający na sile – w mocniejszych porywach odgłos stawał się ostrzejszy, a równocześnie było słycać grzechotanie okiennych framug. Z powodu szaleństw natury Młody Lillie nie spał zbyt dobrze. Po bezsennej nocy bolała go głowa i oczy miał podpuchnięte. Słuchał deszczu i wiatru, myśląc przy tym, że starzeje się i on, i jego dom. Wreszcie przed świtem zapadł w sen, choć ocknął się bardzo szybko, chyba coś go obudziło. Pani Lillie powiedziała, że odgłos silnika.

– Wygląda, że przed domem zatrzymał się samochód. Zaraz odjedzie.

Chociaż Młody Lillie wiedział, że już nie zaśnie, pozostał w łóżku. O świcie wstał w sposób, w jaki czyni to starzec, poruszając się ostrożnie, delikatnie, niemal bezszelestnie jak cień. Nie poszedł nawet do łazienki, tylko od razu ruszył na parter. Żona zapytała go, co tu robi. Nie wiedział. Szedł po omacku, a kiedy dotarł do drzwi, otworzył je. Frontowe drzwi składały się z dwóch części, wewnętrzna otwierała się do domu, zewnętrzna na dziedziniec. I właśnie tę coś blokowało, bo zdołał ją tylko uchylić, może na trzydzieści stopni. Zwykle latem na zewnętrznej framudze wisiała zasłona z tkaniny, tak że w ciągu dnia można było drzwi zostawić otwarte i ludzie nie widzieli wnętrza domu. Starzec nie miał pojęcia, co blokuje drzwi, musiał więc precyzyjnie się bokiem przez szparę. Odkrył, że maleńkie podwórko zapełniają dwa wielkie kartonowe pudła. Pierwsze blokowało drzwi, nie pozwalając wejść ani wyjść, drugie już namokło na deszczu. Próbował przepchnąć je w suche miejsce, ale nie dał rady, zawartość nie mogłaby być cięższa, gdyby to były kostki brukowe. Zrobił krok w tył i zobaczył, że pudło przykryte jest kilkoma arkuszami papieru olejowego, później zaś dostrzegł, że na wierzchu leży list przyciśnięty kamieniem, który zazwyczaj domownicy podstawiali pod drzwi.

Podniósł list – nadawcą był Jan Liseiwicz.

Drogi Lillie,

wyjeżdżam, a ponieważ nie chcę narażać Cię na kłopoty, postanowiłem, że pożegnaj się tym listem – ufam, że mi wybaczysz.

Muszę porozmawiać z Tobą o Jinzhenie; prawdę mówiąc, nie zaznam spokoju, póki Ci nie powiem tego, co chcę, żebyś wiedział. Po pierwsze, mam nadzieję, że niedługo mu się poprawi. Po drugie, liczę, że poczynisz najlepsze możliwe ustalenia na przyszłość, dzięki czemu jego geniusz da nam (a rozumiem przez to całą ludzkość) wspaniałe korzyści.

Moim zdaniem Jinzhen najlepiej wykorzystałby swój niezwykły talent, gdyby zajął się rozległym i skomplikowanym tematem matematycznym. Tu jednak pojawia się nowy problem. Świat się zmienił, ludzie stają się coraz bardziej krótkowzroczni i zorientowani na zysk, chcą widzieć natychmiastowe i konkretne korzyści i coraz mniej interesują się kwestiami czysto teoretycznymi. To kompletna głupota, wcale nie mniejsza niż całkowite podporządkowanie rozkoszy umysłu rozkoszom ciała. Nie możemy jednak zmienić tego faktu, podobnie jak nie możemy zagwarantować, że plaga wojny zostanie wyeliminowana z naszego społeczeństwa. Z tego też powodu zacząłem się zastanawiać, czy nie należałoby zachęcić go do zajęcia się projektami technicznymi, które dają natychmiastową praktyczną korzyść. Zaletą takich badań jest to, że przynoszą dużo satysfakcji: każdy kolejny rezultat pcha badacza do następnego, dając mu poczucie spełnienia. Minusem jest, że po ukończeniu pracy traci kontrolę nad swoim dziełem – jego osobiste życzenia zostaną zignorowane. A może ono dać światu wielką korzyść albo wielką szkodę – w obu wypadkach uczonej nie ma wyboru, może tylko stać z boku. Mówi się, że Oppenheimer obecnie bardzo żałuje pracy nad bombą atomową i chciałby unieważnić swoje dokonania – gdyby mógł je zniszczyć uderzeniem młota jak posąg, jestem pewien, że zrobiłby to. Czy jednak taka rzecz jest możliwa? Z chwilą gdy dzin opuszcza butelkę, nie możesz z powrotem go w niej zamknąć.

Gdybyś uznał, że Jinzhen powinien zająć się badaniami naukowymi, pozwól, że zasugeruję, by pracował nad sztuczną inteligencją. Kiedy rozwiążemy tę szczególną tajemnicę, zdołamy stworzyć maszynę pod pewnymi względami naśladowującą ludzki umysł, a następnym krokiem będzie zbudowanie robotów, nieożywionych istot ludzkich. Nauka rozpoczęła już odkrywanie sekretów różnych organów, oczu, nosów, uszu i teraz jesteśmy na kolejnym etapie, potrafimy zbudować sztuczne skrzydła. Dlaczego nie mielibyśmy pracować nad sztuczną inteligencją? Faktem jest, że powstanie komputera wiąże się ze stworzeniem rodzaju sztucznej inteligencji, aczkolwiek w całości skupionej na obliczeniach. Skoro już umiemy zbudować urządzenie, które potrafi wykonywać takie funkcje, to z pewnością inne aspekty nie mogą znajdować się daleko poza naszym zasięgiem? Pomyśl o tym przez chwilę: gdybyśmy mieli takie nieożywione istoty ludzkie

zbudowane z metalu, roboty napędzane elektrycznością, do ilu rzeczy moglibyśmy je wykorzystać! Obecna generacja tak bardzo ucierpiała od wojen – na przestrzeni niecałego półwiecza zostaliśmy zmuszeni do stoczenia dwóch wojen światowych. Co więcej, podejrzewam (w istocie już mam dowody), że niedługo wybuchnie trzecia – to straszne! Moim zdaniem ludzkość obecnie jest zdolna uczynić wojnę jeszcze bardziej przerażającą, okrutną, okropną niż w jakimkolwiek punkcie historii. Teraz możliwe jest zabicie wprost niewiarygodnej liczby ludzi na jednym polu bitwy, pozbawienie ich życia w tym samym czasie, w ułamku sekundy, w chwili gdy wybucha bomba. Wydaje się, że nigdy nie wyeliminujemy wojen, a jednak mamy nadzieję, że pewnego dnia oczyścimy świat z tej plagi przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Ludzkość stoi przed wieloma straszliwymi problemami, które wymagają tytanicznej pracy i badań przeprowadzanych w niebezpiecznych warunkach... Wydaje się, że ludzkość nie potrafi wydobyć się z kłopotów, które ją dręczą.

Jeśli uda nam się stworzyć sztuczną istotę – robota, stwora z metalu, bez ciała i krwi – będziemy mogli skierować ją tam, gdzie obecnie ludzie pracują w prawdziwie nieludzkich warunkach, i kazać spełnić nasze bardziej przewrotne żądania. Jestem przekonany, że nikt się nie sprzeciwi. Ten dział badań naukowych będzie miał niezmierną wprost wartość praktyczną i cudowną przyszłość. Pierwszym krokiem jest rozwiązanie tajemnicy sztucznej inteligencji. W pewnym momencie podjąłem decyzję, że resztę życia poświęcę na rozwiązanie problemów łączących się ze sztuczną inteligencją, zanim jednak zdążyłem zacząć, zostałem zmuszony do rezygnacji z tego pomysłu. Nigdy nikomu nie mówiłem, dlaczego porzuciłem ten zamysł – teraz powiem tylko, że powodem nie była jakaś szczególna trudność albo brak zdolności, ale wyraźny rozkaz Żydów. Przez ostatnich kilka lat pracowałem dla nich nad bardzo ważnym zagadnieniem – ich obecne kłopoty i nadzieje na przyszłość głęboko mnie poruszyły, tak więc dla ich dobra zrezygnowałem. Wyjawiłem Ci to, licząc na rozbudzenie Twojej ciekawości.

Pozwól, że zwrócę Ci uwagę: bez Jinzhena nie zdołasz nic zrobić. Chodzi mi o to, że w razie gdyby Jinzhen umarł, powinieneś zarzucić pomysł pracy nad tym projektem, ponieważ jesteś za stary. Jeśli Jinzhen przeżyje, niewykluczone, że będziesz świadkiem, jak jedna z ostatnich wielkich tajemnic zostanie rozwiązana przez stworzenie sztucznej inteligencji. Uwierz mi, Jinzhen przypuszczalnie jest najlepszym kandydatem do tej pracy – po to się urodził, Bóg go wybrał, by tego dokonał. Jak wspomniałem wcześniej, marzenia są najbardziej tajemniczym przejawem ludzkiego ducha, a on ma z nimi do czynienia dzień i noc od wczesnego dzieciństwa. Wraz z upływem czasu udoskonalił niezwykle zdolności tłumaczenia snów. Mimo że nie zdaje sobie z tego sprawy, od samego początku świadomego

życia rozpoczął przygotowania do badań nad tajemnicami ludzkiej inteligencji. Do tego został stworzony!

Pozwól, że na koniec powiem, że jeśli Ty i Bóg zgadzacie się, iż Jinzhen przyszedł na świat, żeby rozwijać naukę o sztucznej inteligencji, to niniejszy list będzie pomocny. Jeśli natomiast Ty albo Bóg jesteście zdeterminowani przeszkodzić mu w podążaniu tą drogą, oddaj mój list do biblioteki uniwersyteckiej, by mógł służyć jako pamiątka po dwunastu szczęśliwych latach pracy, które tutaj spędziłem.

Mam nadzieję, że Jinzhen wkrótce wyzdrowieje!

Jan Liseiwicz

Napisano w wigilię wyjazdu

Młody Lillie czytał list, siedząc na kartonowym pudle. Wiatr targał kartkami, krople deszczu porywane wiatrem rozbijały się o papier, jakby one też chciały poznać zawartość listu. Może dlatego, że nie spał zbyt dobrze, a może dlatego, że list dotknął jakiegoś ukrytego zakątka jego umysłu, starzec siedział w milczeniu długo po skończonej lekturze. Siedział bez ruchu i wpatrywał się przed siebie. Wreszcie się ocknął. Zwracając twarz w stronę wiatru i deszczu, nagle powiedział:  
– Żegnaj, Janie. Mam nadzieję, że będziesz miał dobrą podróż...

Zapis wywiadu z Mistrzem Rong

Jan Liseiwicz zdecydował się na wyjazd po tym, kiedy jego teścia skazano na śmierć jako zbrodniarza wojennego.

Jak zapewne wiesz, Liseiwiczowi oferowano wiele możliwości wyjazdu, zwłaszcza po zakończeniu drugiej wojny światowej. Uniwersytety i instytuty naukowe na Zachodzie chciały go mieć u siebie i jego szuflada była wypchana zaproszeniami. Nie zamierzał jednak wyjeżdżać – przywiózł ze sobą tamtą wielką skrzynię książek, a trochę później nie tylko kupił dom przy alei Sanyuan, w którym mieszkał przez lata, ale też cały dziedziniec. Pracował ciężko nad swoim chińskim i posługiwał się nim lepiej niż kiedykolwiek. Ogłosił, że zamierza ubiegać się

o obywatelstwo (nie zrealizował jednak tego planu). Jestem przekonana, że Liseiwicza łączyły z teściem bliskie relacje. Teść był synem absolwenta uniwersytetu i członkiem bardzo bogatej rodziny – jednej z najznacześniejszych szlacheckich rodzin w regionie. Kiedy córka oznajmiła, że chce poślubić obcokrajowca, ostro się temu sprzeciwił, a gdy stwierdziła, że i tak za niego wyjdzie, postawił obojgu surowe warunki. Liseiwicz usłyszał, że nigdy nie będzie mógł zamieszkać z żoną za granicą, że nie będzie mógł się z nią rozwieść, że musi się nauczyć chińskiego, że dzieci, jeśli się urodzą, będą nosić nazwisko matki. Jak widać, teść Liseiwicza, chociaż należał do znamienitej szlacheckiej rodziny, nie miał manier dżentelmena. Był z rodzaju tych nieprzyjemnych osób, które wykorzystają swoje bogactwo i władzę, żeby terroryzować innych. Łatwo sobie wyobrazić, że kiedy ktoś taki znajdzie się na wysokim stanowisku, wielu będzie czuło do niego urazę. Co więcej, za czasów rządu marionetkowego zajmował ważne stanowisko w administracji prowincji i był wplątany w jakieś podejrzone machinacje z Japończykami. Po wyzwoleniu rząd ludowy zdecydował się z nim rozprawić. Aresztowano go i odbył się proces, w którym skazano go na śmierć. W okresie, o którym mówię, czekał w więzieniu na egzekucję.

W czasie poprzedzającym wyznaczoną datę Liseiwicz zwrócił się do każdego profesora i studenta, do każdego, kto przyszedł mu na myśl, także do mojego ojca i do mnie, z prośbą o podpisanie listu do rządu – próbował uratować teścia. Wszyscy odmówili. Jestem pewna, że to Liseiwicza głęboko dotknęło, ale naprawdę nie mieliśmy innego wyjścia. Nie że nie chcieliśmy pomóc – po prostu nie mogliśmy nic zrobić. Ówczesna sytuacja nie była z rodzaju tych, w których garstka ludzi może coś zmienić przez protesty czy demonstrację. Mój ojciec poszedł do burmistrza, ale usłyszał tylko: „Teraz jedynie przewodniczący Mao może go uratować”. Co znaczyło, że dla teścia Liseiwicza nie było nadziei!

W tamtych czasach rząd ludowy brał na cel ludzi takich jak on – tyranów, którzy wykorzystywali swoją pozycję, by życie miejscowych zamienić w piekło. Mieliśmy do czynienia ze sprawą wagi państwowej i nikt nic nie mógł na to zaradzić. Liseiwicz nas nie rozumiał, zbyt naiwnie oceniał sytuację. Byliśmy bezsilni i w rezultacie go zraniliśmy.

Nikommu nawet się nie śniło, że zdoła on wykorzystać rząd państwa X, by uratować teścia przed plutonem egzekucyjnym. Niewiarygodne! Zwłaszcza kiedy wziąć pod uwagę, że w tamtym czasie nasze kraje traktowały się wzajemnie z otwartą wrogością – możesz sobie wyobrazić, jak było to trudne. Wszystko wskazuje, że państwo X wysłało do Pekinu specjalnego wysłannika, który miał omówić sprawę z naszym rządem. Skończyło się na tym, że sprawa trafiła

do samego przewodniczącego Mao – do niego albo do Czou En-laja! Ostateczną decyzję musiał podjąć ktoś z garstki najważniejszych w politbiurze. To naprawdę nie mieściło się w głowie!

W rezultacie teść Liseiwicza został zwolniony, a w rewanżu państwo X pozwoliło dwóm naszym uczonym wrócić do domu – wcześniej nie mogli wyjechać. To było niemal tak, jakby ten okropny starzec, który zasłużył na wszystko, co miało go spotkać, stał się nagle skarbem narodowym. Oczywiście dla państwa X nic nie znaczył, zależało im na Liseiwiczu. Wyglądało na to, że nie było ceny zbyt wysokiej, której by za niego nie zapłacili. Pytanie brzmiało, dlaczego państwo X z taką determinacją dążyło do ściągnięcia Liseiwicza do siebie? Bo był światowej sławy matematykiem? Musiało w tym być coś więcej, ale co, na Boga, mogło to być, nie miałam najmniejszego pojęcia.

Niedługo po zwolnieniu teścia z więzienia Liseiwicz wraz z całą rodziną wyjechał do państwa X.

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Kiedy Liseiwicz wyjeżdżał, Jinzhen nadal leżał w szpitalu, aczkolwiek teraz nic mu nie groziło. Rosły rachunki za leczenie i szpital zgodził się na prośbę pacjenta, by na okres rekonwalescencji mógł wrócić do domu. Przyjechały po niego Mistrz Rong i jej matka. Lekarz pomyślał – rzecz naturalna – że któraś z kobiet jest matką Jinzhena, choć jedna wydawała mu się nieco za stara, druga za młoda, więc zapytał wprost:

– Która z was jest matką pacjenta?

Mistrz Rong już otwierała usta, by to wyjaśnić, ale uprzedziła ją matka.

– Ja! – oznajmiła głośno i dobitnie.

Lekarz powiedział, że choroba Jinzhena została opanowana i chłopak jest w stanie stabilnym, wymaga jednak ponadrocznej specjalnej terapii, by w pełni wrócić do zdrowia.

– W ciągu najbliższych dwunastu miesięcy będzie pani musiała opiekować się nim jak niemowlęciem, w przeciwnym razie może dojść do nawrotu.

Słuchając szczegółowych zaleceń, pani Rong uświadomiła sobie trafność tego porównania. Trzy elementy terapii były kluczowe:

1. Jego odżywianie wymaga surowych ograniczeń.
2. W nocy trzeba go budzić w określonych odstępach, żeby opróżnił pęcherz.

### 3. Codziennie o stałych porach będzie dostawał leki, w tym zastrzyki.

Pani Rong włożyła okulary i notowała słowa lekarza; następnie przeczytała swoje zapiski, po czym zadawała pytania, by się upewnić, że nie popełniła żadnej pomyłki. W domu poprosiła córkę o przyniesienie tablicy i kredy z uniwersytetu, by zapisać zalecenia medyka. Umieściła tablicę na klatce schodowej, żeby widzieć ją za każdym razem, kiedy będzie wchodzić albo schodzić po schodach. Ponieważ nocą regularnie wstawiała, żeby budzić co jakiś czas Jinzhena, zajęli z Młodym Lilliem osobne sypialnie. Koło łóżka miała dwa budziki, jeden dzwonił tuż po północy, drugi nad ranem. Po rannym opróżnieniu pęcherza Jinzhen zasypiał, ale pani Rong już się nie kładła, musiała przygotować dla niego pierwszy z pięciu posiłków przewidzianych na dzień. Była dobrą kucharką, teraz jednak gotowanie stało się najtrudniejszym i niezwykle czasochłonnym zajęciem. Za to dawanie zastrzyków okazało się dość łatwe, bo przecież przez całe życie szyła bambosze i robiła dziury w grubych warstwach filcu, dlatego denerwowała się i wahała tylko przez pierwsze dni. Przyrządzanie jedzenia natomiast, tak, by nie było pozbawione smaku i jałowe, stało się dla niej wyzwaniem i źródłem troski. Na tym etapie Jinzhen był nienormalnie wrażliwy na sól, a równocześnie jego życie od soli zależało – dostanie jej za dużo i nastąpi nawrót choroby, dostanie za mało i powrót do zdrowia potrwa dłużej niż to konieczne. Lekarz dał jej w tej kwestii szczegółowe wskazówki: na początku rekonwalescencji pacjent może dostawać zaledwie mikrogramy soli, z czasem ta ilość stopniowo będzie się zwiększać.

Oczywiście jeśli ilość soli, którą człowiek przyjmuje dziennie, można zmierzyć w gramach lub uncjach, sprawa jest prosta, wystarczy zaopatrzyć się w dobrą wagę. Problemu, przed którym stanęła rodzina Rongów, nie dało się tak łatwo rozwiązać, pani Rong nigdzie nie mogła zdobyć odpowiednio dokładnej wagi, musiała więc polegać na własnych ostrożnych i cierpliwych szacunkach. Przyniosła do szpitala mnóstwo różnych potraw i poprosiła lekarzy o stwierdzenie, czy są odpowiednio mało słone. Wcześniej zanotowała, ile do każdej dodała soli – policzywszy ziarenka – i kiedy lekarze wydali werdykt, pięć razy dziennie wkładała okulary i wydzielala białe lśniące kryształki, jakby były tabletkami, które uratują Jinzhenowi życie.

Z najwyższą ostrożnością dodawała soli do jego potraw; jakby przeprowadzała eksperyment naukowy.

Dzień mijał za dniem, noc za nocą, miesiąc za miesiącem, a jej staranność i cierpliwość przechodziły próbę, jakby istotnie opiekowała się niemowlęciem. Czasami w chwilach przerwy między okresami tej harówki wyjmowała list, który Jinzhen napisał własną krwią. Zatrzymała go, nie do końca wiedząc, dlaczego to robi. Teraz, gdy patrzyła na ten kawałek papieru, była bardziej niż kiedykolwiek



pewna, że wszystkie jej wysiłki są tego warte – list zachęcał ją do powrotu do pracy ze zdwojoną energią. Bardziej niż cokolwiek innego on właśnie odciągnął Jinzhena z nad grobu.

Kiedy nadeszła wiosna, Jinzhen wrócił na uniwersytet.

Liseiwicz wyjechał, ale pozostawił część siebie.

Podczas gdy Jinzhena pielęgnowano, Liseiwicz trzykrotnie kontaktował się z Młodym Lilliem. Pierwszy raz niedługo po przyjeździe do państwa X: wysłał pocztówkę z pięknym krajobrazem, a na odwrocie napisał pozdrowienia i adres; adres domowy, zatem nie wiadomo było, gdzie pracuje. Druga wiadomość nadeszła krótko po pierwszej, odpowiedź na list Młodego Lilliego. Liseiwicz pisał, że bardzo się cieszy, iż stan Jinzhena się poprawia. O pracy napisał ogólnie, tylko tyle, że zatrudnił się w instytucie naukowym, ale nie podał jego nazwy ani nie wyjaśnił, czym dokładnie się zajmuje – można było odnieść wrażenie, że nie wolno mu o tym mówić. Trzeci list Młody Lillie otrzymał tuż przed chińskim Nowym Rokiem – w wigilię Bożego Narodzenia, a znaczek przedstawiał choinkę. Liseiwicz pisał, że niedawno dostał niesamowitą wiadomość od przyjaciela: Uniwersytet Princeton połączył kilka niezależnych ekip badawczych i stworzył instytut, który rozpocznie prace nad sztuczną inteligencją, a kierować nim będzie sławny matematyk Paul Samuelson. „Znaczy, że nie tylko ja zdałem sobie sprawę z wartości i wagi tej dziedziny... O ile wiem, jest to pierwsza na świecie grupa nad tym pracująca”.

Zakładając, że Jinzhen naprawdę czuje się lepiej (i rzeczywiście w tym czasie niemal w pełni odzyskał zdrowie), liczył, że on też będzie mógł rozpocząć badania z tej dziedziny. Stwierdził bez ogródek, że gdyby w Chinach było to niemożliwe, chłopak powinien wyjechać i znaleźć lepsze miejsce do pracy. Młody Lillie nie może pozwolić, by krótkotrwałe korzyści czy problemy przeszkodziły Jinzhenowi w osiągnięciu rzeczy wielkich, do których jest zdolny. Być może obawiał się, że Młody Lillie będzie się upierał, żeby Jinzhen został z nim, dlatego w swoją argumentację wplótł nawet chińskie przysłowie: „Doskonałego miecza nie można używać do rąbania drewna”.

„Tak czy owak – pisał – powodem, dla którego w przeszłości nalegałem, by Jinzhen studiował w Ameryce, dla którego chcę, by teraz się zdecydował, jest to, że dysponują tutaj odpowiednim sprzętem wspierającym jego pracę. Jeśli przyjedzie, przekona się, że wszystko jest o wiele łatwiejsze”.

I zakończył list tak:

„Bóg zesłał nam Jinzhena, by zajmował się tą dziedziną. W przeszłości martwiłem się, że nie będziemy w stanie zapewnić mu właściwego środowiska, nie wspominając o wsparciu koniecznym do poradzenia sobie z trudnościami, na które

się natknę. Teraz jednak wierzę, że możemy dać mu właściwe miejsce, gdzie będzie mógł pracować i swobodnie oddychać, a jest nim Uniwersytet Princeton. Jest w Twoim kraju żart o dziewczynie, która szyje suknię ślubną dla innej panny młodej – może pewnego dnia ludzie odkryją, że jedyne, co osiągnęła grupa Paula Samuelsona, to skrojenie sukni dla chińskiej panny młodej”.

Młody Lillie czytał list w czasie przerwy między zajęciami. Z głośnika tuż za oknem na cały regulator płynęła popularna piosenka:

Z głowami wysoko podniesionymi,  
Uśmiechając się do niebezpieczeństw,  
Przekraczamy rzekę Yalu.

Na stole przed nim leżała gazeta, którą wcześniej przeglądał, w nagłówku krzyczał jeden z politycznych sloganów tamtego okresu: „Imperializm amerykański jest papierowym tygrysem”. Słuchał budzącej emocje piosenki, patrząc na wybitą grubą czcionką nagłówek, i czuł kompletną bezradność. Nie miał pojęcia, co powinien odpowiedzieć Liseiwiczowi, i bał się, jakby ktoś ukryty w cieniu czekał, aż weźmie pióro do ręki. W tamtym okresie pełnił funkcję prorektora Uniwersytetu N, ale był też zastępcą burmistrza miasta C. W taki sposób Chińska Republika Ludowa nagrodziła rodzinę Rongów za patriotyzm i przekazywane z pokolenia na pokolenie oddanie nauce. To był najszczęśliwszy okres w jego życiu; nie należał do ludzi, których obchodzi wyłącznie własna kariera, lecz nie byłby człowiekiem, gdyby go to nie cieszyło. Rodzina Rongów doświadczyła upadku, a teraz dobre czasy wróciły i Młody Lillie cenił sobie każdą minutę. Jedynie dlatego, że otaczała go aura intelektualisty z wieży z kości słoniowej, ludzie sądzili, że nie docenia obecnej przychylności losu.

Młody Lillie nie odpisał Janowi Liseiwiczowi. Wziął jego list oraz dwie gazety pełne opisów krwawych bitew toczonych między armią amerykańską a ochotniczą armią Chin w Korei, zaniósł je do Jinzhena i kazał chłopcu odpisać.

– Podziękuj mu – powiedział – ale napisz, że z powodu wojny koreańskiej nie możesz wyjechać. Jestem przekonany, że taki rozwój wypadków bardzo go zasmuci; mnie też zasmucił, chociaż ty straciłeś na tym najwięcej. Myślę, że w tej sprawie Bóg nie był po twojej stronie.

Później, kiedy Jinzhen poprosił go, żeby przeczytał brudnopis listu, starzec sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o swojej wcześniejszej radzie. Po lekturze

pierwszej połowy, w której chłopak wyrażał żal i rozczarowanie, oddał mu list i rzekł:

– Najlepiej zrobisz, jeśli wytniesz artykuły z prasy i pošlesz je razem z listem.

To było wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

Po chińskim Nowym Roku Jinzhen wrócił na uczelnię. Oczywiście nie poszedł na Stanford czy Princeton, tylko na Uniwersytet N. Wrzucając do skrzynki pocztowej kopertę z ostrożnie napisanym listem i kilkoma wycinkami prasowymi, zamykał jedną z dróg, którą jego życie mogło wejść do historii. Jak powiedziała Mistrz Rong, jedne listy zapisują historię, inne je tworzą: to był list, który zmienił całe życie jednego człowieka.

### *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Zanim Zhendi wrócił na studia, tato przedyskutował ze mną kwestię, czy powinien dołączyć do swojej grupy, czy zacząć od początku. Wiedziałam, że miał fantastyczne oceny, ale spędził na uczelni zaledwie trzy tygodnie. Co więcej, dopiero niedawno wrócił do zdrowia po ciężkiej chorobie i w żadnym razie nie dałby sobie rady z nawałem pracy. Bałam się, że posyłając Zhendiego na trzeci rok, narazimy go na zbyt wielką presję, zaproponowałam więc, by zaczął od pierwszego roku. Ostatecznie jednak władze uniwersytetu zdecydowały, by dołączył do swojej dawnej grupy. Zhendiemu też na tym zależało. Pamiętam, co powiedział: „Bóg chciał, żebym zachorował, bo dzięki temu zostałem zmuszony do oderwania się na pewien czas od naukowych książek – martwił się, że mogę stać się ich więźniem i utracić kreatywność, a wówczas nigdy nic bym nie osiągnął”.

Dziwne stwierdzenie, nie sądzisz? Wydaje się niemal szalone.

Zhendi w przeszłości cierpiał z powodu bardzo niskiej samooceny, ale choroba najwyraźniej go zmieniła. Prawdę mówiąc, zmieniły go książki, które pochłaniał, a które nie miały nic wspólnego z matematyką. W czasie rekonwalescencji przeczytał wszystkie książki moje i ojca, zwłaszcza literaturę piękną. Czytał je niezwykle szybko i w bardzo dziwny sposób: niektóre brał, kartkował pierwsze stronicie i natychmiast odkładał. Ludzie sądzili, że czyta je od deski do deski i dlatego nazywali go „Mały Tuk”, od bohatera baśni H.C. Andersena, który uczył się lekcji, wkładając na noc podręczniki pod poduszkę. To oczywiście był nonsens. Zhendi rzeczywiście czytał szybko, w większości książki, które zabierał z naszych półek, wracały na miejsce w ciągu dwudziestu czterech

godzin. Szybkie czytanie wiąże się z czytaniem dużo, im więcej czytasz, tym więcej wiesz i w rezultacie szybciej radzisz sobie z następnym tekstem. Lektura książek wykraczających poza przedmiot, który Zhendi studiował na uniwersytecie, sprawiła, że zaczął tracić zainteresowanie podręcznikami. Z tego też powodu opuszczał zajęcia – czasami nawet moje. Podsumowanie jego ocen i liczby opuszczonych godzin, dokonane na koniec pierwszego semestru, było dla nas szokiem: zajmował pierwsze miejsce w swojej grupie, zostawiając innych daleko w tyle. Wyprzedzał kolegów także pod względem liczby książek wypożyczonych z biblioteki uniwersyteckiej – w semestrze ponad dwieście z najróżniejszych dziedzin: filozofii, literatury, ekonomii, sztuki, wojskowości. Z tego też powodu tatuś w czasie letnich wakacji zabrał go na strych i wskazując dwie skrzynie z książkami, powiedział: „To nie są zwykłe podręczniki. Zostawił je Liseiwick. Kiedy nie będziesz miał nic do roboty, może do nich zajrzysz? Chociaż obawiam się, że możesz ich nie zrozumieć”.

Minął kolejny semestr, a mniej więcej koło marca, kwietnia następnego roku akademickiego koledzy Zhendiego zaczęli pisać prace dyplomowe. Wtedy też zwróciło się do mnie kilku profesorów z naszego wydziału, ponieważ mieli poważne zastrzeżenia do tematu, który wybrał Zhendi. Liczyli, że z nim porozmawiam i skłonię do jego zmiany, w przeciwnym razie żaden z nich nie będzie mógł zostać promotorem Zhendiego. Gdy zapytałam, o co chodzi, odparli, że to problem polityczny.

Zhendi postanowił, iż napisze pracę opartą na teorii binarnej natury pewnych stałych matematycznych, której autorem był sławny matematyk Georg Weinacht. Zamierzał w niej przedstawić dowód matematyczny na tę teorię. Problem jednak polegał na tym, że w tamtym okresie Georg Weinacht znany był w matematycznych kręgach ze swoich antykomunistycznych poglądów – mówiono, że do drzwi gabinetu przypiął kartkę: „Komunistom i towarzyszącej im wstępu surowo wzbroniony”. Podczas najbardziej krwawych rzezi w trakcie wojny koreańskiej publicznie zachęcał armię amerykańską do przekroczenia rzeki Yalu. Wiem, że nauka jest międzynarodowa, nie zna granic i nie wpływają na nią żadne „izmy”, w przypadku Weinachta jednak niezwykle silna postawa antykomunistyczna przyćmiła jego teorie matematyczne i nadała im polityczny wymiar. W tamtym okresie wiele państw komunistycznych, w ślad za Związkiem Radzieckim, odmawiało wiarygodności teoriom Weinachta, nawet nie wspomniano o jego pracach, a jeśli już o nich dyskutowano, stawały się obiektem krytycznych uwag. Udowodnienie jednej z jego teorii byłoby pójściem pod prąd obowiązujących w kraju poglądów. Ta niezwykle delikatna kwestia niosła niebezpieczne implikacje polityczne.

Cóż, nie wiem, jaki robak zagnieździł się w głowie taty – może przekonali go żelazne dowody Zhendiego – w każdym razie w okresie, kiedy wszyscy inni albo unikali tej sprawy, albo liczyli, że przekona chłopaka do zmiany tematu, on opowiedział się po stronie Zhendiego i został jego promotorem. Nieustannie też zachęcał go, by pracował nad wybranym tematem.

Ostatecznie tytuł pracy dyplomowej Zhendiego brzmiał: *Stała jako liczba definiowalna, a zarazem niewymierna*. Temat wykraczał daleko poza wszystko, czego Zhendi uczył się na uniwersytecie, i należał do tych, których spodziewać się można w pracy magisterskiej. Nie ulegało wątpliwości, że na jego wybór wpłynęła lektura książek ze strychu...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Podczas lektury pierwszego szkicu pracy Jinzhena Młody Lillie popadł w zachwyt. Zahipnotyzował go niezwykle przenikliwy i logiczny tok myślenia, chociaż uważał, że część dowodów matematycznych jest niepotrzebnie skomplikowana i wymaga poprawy, w celu uproszczenia wyводу i usunięcia zbędnych elementów. Aby przedstawić podstawowe dowody (w niektórych wypadkach niezwykle rozbudowane), Zhendi musiał skorzystać zarówno z dość skomplikowanych, jak i prostych środków, popisał się wiedzą wykraczającą daleko poza matematykę. Pierwsza wersja pracy liczyła dwadzieścia tysięcy znaków, ostateczna – po kilku redakcjach – miała ich dziesięć tysięcy. Później opublikowano ją w czasopiśmie „Matematyka Popularna” i narobiła szumu w środowisku chińskich matematyków. Nikt jednak nie wierzył, że Zhendi napisał ją samodzielnie, ponieważ redakcje znacząco podniosły jej jakość. To naprawdę nie wyglądało na pracę licencjacką, ale na przełomowy artykuł znanego uczonego.

Zalety i braki pracy Zhendiego widać było na pierwszy rzut oka. Co do zalet: wychodząc od stałej matematycznej, rozwinął teorię binarną Georga Weinachta w czysto matematyczne rozwiązanie jednego z głównych problemów, przed którymi stali naukowcy pracujący nad sztuczną inteligencją. To dawało czytelnikowi coś w rodzaju poczucia, że dostrzegł niewidzialny wiatr złapany w ludzką dłoń. Brakiem natomiast było, iż praca w całości opierała się na założeniu, że  $\pi$  to stała – na takiej przesłance zbudowano wszystkie dowody, dlatego czytelnik nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że ten konkretny zamek postawiono na piasku. Gdybyśmy chcieli postawić go na solidniejszych fundamentach, gdybyśmy chcieli pokazać naukową wartość pracy, musielibyśmy na wstępie udowodnić, że  $\pi$  istotnie jest prawdziwą stałą. Mimo że kwestię tę

podnosili matematycy już wieki temu, nadal jednoznacznie jej nie udowodniono. Współcześnie większość matematyków uważa  $\pi$  za stałą, dopóki jednak nie ma dowodu, dopóty obracamy się w królestwie założeń – nie można wymagać, żeby wszyscy się z tym zgadzali. Podobnie do czasu, gdy Newton zauważył, że jabłko zawsze spada na ziemię, i wyraził to w swojej teorii grawitacji, każdy miał prawo wątpić w istnienie przyciągania.

Oczywiście jeśli nie wierzymy, że  $\pi$  to stała, praca dyplomowa Jinzhena jest dla nas kompletnie bezużyteczna, bo opiera się na fałszu. Z drugiej zaś strony jeśli przyjmujemy, że  $\pi$  jest stałą, będziemy zdumieni tym, co udało mu się osiągnąć – przypominało to wygięcie żelaznego pręta w kształt kwiatu. Jinzhen w swojej pracy sugerował, że inteligencję człowieka należy traktować jak stałą matematyczną i nieskończoną liczbę niewymierną. Jeśli zgodzimy się z tą koncepcją, w grę zaczyna wchodzić druga część teorii binarnej Georga Weinachta, mogąca służyć do rozstrzygnięcia jednego z najważniejszych problemów związanych ze stworzeniem sztucznej inteligencji. Inteligencja ludzka zawiera także element dezorientacji, która jest niedefiniowalna, ponieważ jest to coś, czego w pełni nie rozumiemy, a także nie jesteśmy w stanie powtórzyć. Z tego powodu Jinzhen wysunął tezę, że w obecnych okolicznościach perspektywa całkowitego zastąpienia ludzkiej inteligencji sztuczną nie powinna budzić wielkiego optymizmu, ponieważ możemy najwyżej w przybliżeniu zbudować model mózgu.

Powinienem wspomnieć, że wielu matematyków, w tym także współczesnych, całkowicie zgadza się ze stanowiskiem Zhendiego. Rzec można, iż jego wnioski to nic nowego, ciekawe jest natomiast, że zaczynając od śmiałej hipotezy o binarnej naturze stałej matematycznej  $\pi$ , zbudował dowód wywiedziony z czystej matematyki. W każdym razie taką próbę podjął, problem tylko polega na tym, że materiały, których używał (fundamenty jego domu), nie zostały dowiedzione.

Ujmując to inaczej: gdyby pewnego dnia komuś udało się udowodnić, że  $\pi$  to stała, wówczas wartość pracy Zhendiego byłaby oczywista. Niestety, taki dzień jeszcze nie nadszedł, zatem jego praca nadal jest bezsensowna, a jedynym sukcesem autora jest pokazanie własnej inteligencji i odwagi. Jednak z powodu jego związków z Młodym Lilliem wielu osobom nie mieściło się w głowie, że napisał ją samodzielnie, stąd kwestionowali jego geniusz. W istocie praca dyplomowa nie przyniosła Jinzhenowi nic dobrego: pod żadnym względem nie zmieniła jego życia, aczkolwiek zmieniła ostatnie lata Młodego Lilliego...

*Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Mogę kategorycznie stwierdzić: Zhendiemu nikt nie pomagał. Tata powiedział mi, że poza poleceniem kilku książek i napisaniem wstępu nie miał nic wspólnego z zawartością jego pracy – była dziełem Zhendiego. Pamiętam treść wstępu. Tata pisał: „Najlepszym sposobem na poradzenie sobie z naszymi demonami jest wyjście naprzeciwko im i walka z nimi – niechaj zobaczą, jacy jesteśmy silni. Ge-org Weinacht jest demonem bezczeszczącym święte komnaty nauki i przez długi czas uchodziło mu na sucho morderstwo. Teraz nadeszła pora, by złożyć tego demona do grobu. Niniejsza praca posłuży do umieszczenia wysoce zgubnych teorii Weinachta na właściwym miejscu, i chociaż pewne struny, które potrąca, brzmią głucho i niewyraźnie, w całej reszcie dźwięczy prawda”.

Niedługo po opublikowaniu pracy tata udał się do Pekinu. Nikt nie wiedział, co zamierzał, pewnego dnia nagle wyjechał, nikomu nic nie mówiąc. Mniej więcej po miesiącu na Uniwersytecie N zjawił się człowiek z trzema decyzjami władz centralnych i dopiero wtedy pojęliśmy, że to musiał być powód podróży taty do Pekinu. Owe trzy decyzje sprowadzały się do tego, że:

Ojciec ma pozwolenie na rezygnację z funkcji rektora.

Rząd zapewni pieniądze niezbędne do założenia komputerowego ośrodka badawczego na uniwersytecie.

Tato będzie odpowiedzialny za utworzenie tego ośrodka.

W tamtym czasie wiele osób liczyło na przyjęcie do ośrodka, ale po rozmowach z nimi ojciec uznał, że nikt nie dorównuje Zhendiemu, od którego rozpoczął rekrutację. Później okazało się, że tylko on jest w stanie podołać zadaniu – pozostali byli jego asystentami, pomagającymi w codziennych obowiązkach. Zaczęto podejrzewać, że ośrodek badawczy o międzynarodowym standardzie został zmonopolizowany przez członków rodziny Rongów, i pojawiło się mnóstwo plotek.

Kiedy tatuś był urzędnikiem państwowym, dokładał wszelkich starań, by udowodnić swój obiektywizm, zwłaszcza gdy chodziło o zatrudnianie nowych pracowników; unikał przyjmowania do pracy osób mających jakiegokolwiek powiązania z rodziną i wykazywał przy tym taką determinację, że wręcz sprawiał wrażenie okrutnego. Nasza rodzina założyła Uniwersytet N i gdybyś zebrał wszystkich członków rodu, którzy pracowali na nim przez pokolenia, w najgorszym razie byłoby ich dość, żeby zapełnić miejsca przy kilku stołach jadalnych. Dziadek (Stary Lillie) opiekował się krewnymi, znajdował dla nich



posady rządowe, a tym, którzy studiowali, dawał możliwość rozwoju talentu, odwiedzania innych instytucji i uczenia się tam nowych rzeczy... Jeśli natomiast chodzi o ojca, należy zastrzec, że na początku piastował stanowisko, ale nie miał realnej władzy, więc gdyby nawet chciał pomóc, nie byłby w stanie. Później, mając już i stanowisko, i władzę, mógłby pomóc, ale nie chciał. W okresie pełnienia funkcji rektora nie dał pracy ani jednemu członkowi rodziny Rongów, niezależnie od kwalifikacji danej osoby. Tak było nawet ze mną: wydział kilkakrotnie rekomendował mnie do awansu na prodziekana, ale on za każdym razem odrzucał moją kandydaturę. Przekreślał moje nazwisko w taki sam sposób, w jaki nauczyciel przekreśla błąd w egzaminie pisemnym. To, co przydarzyło się mojemu bratu, było jeszcze gorsze: wrócił do kraju z doktoratem z fizyki i naprawdę powinien był pracować na Uniwersytecie N, ale tata powiedział, żeby poszukał sobie innego miejsca. Pomyśl tylko: dokąd mógł się udać w mieście C? Ostatecznie wylądował na Uniwersytecie Normalnym, ponieważ jednak zarówno warunki pracy, jak i poziom studentów były tam drastycznie gorsze, w następnym roku przyjął propozycję z uniwersytetu w Szanghaju. Mama była z tego powodu bardzo zła na tatę. Uważała, że świadomie zmusza rodzinę do rozłąki.

Cóż, jeśli chodziło o przyjęcie Zhendiego do nowego ośrodka badawczego, wszystkie zasady ojca dotyczące krewnych wyleciały za okno. Zignorował plotki i robił, co chciał – jakby ta cała sprawa go opętała. Nikt nie rozumiał, co mogło wywołać taką zmianę w jego podejściu, ale ja wiedziałam, ponieważ pewnego dnia pokazał mi list, który Jan Liseiwicz napisał przed wyjazdem. Powiedział: „List Liseiwicza mnie kusił, ale czynnikiem decydującym była praca dyplomowa Jinzhena. Wcześniej sądziłem, że cała ta sprawa jest niemożliwa, dopiero po przeczytaniu jego pracy uznałem, że trzeba spróbować. W młodości żywiłem nadzieję, iż pewnego dnia będę w stanie dokonać znaczącego wkładu w naukę. Może jest za późno, ale dzięki Jinzhenowi zyskałem przekonanie, że warto tę próbę podjąć. Wiesz, Liseiwicz ma absolutną rację: bez Jinzhena nie miałbym cienia nadziei, a z nim kto wie, co możemy osiągnąć. W przeszłości zawsze umniejszałem geniusz tego chłopaka, teraz zamierzam dać mu prawdziwą szansę, by pokazał, co potrafi...”

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Tak to się odbyło. Jak powiedziała Mistrz Rong, ojca do pracy nad projektem zainspirował Jinzhen – jakże mógłby dać tę posadę komu innemu? Jinzhen nie tylko odmienił ostatnie lata życia ojca, ale też jedną z zasad, którymi się dotąd kierował – można powiedzieć, że zmienił jego wiarę w ludzkość. Na sam

koniec życia stary dżentelmen powrócił do marzeń młodości – postanowił, że dokona konkretnego wkładu w rozwój nauki, więcej nawet, powiedział, że nie zawahałby się odrzucić jako bezwartościowe wszystkie swoje dotychczasowe osiągnięcia, wszystko, co zrobił, pełniąc stanowisko państwowe. To od zawsze był jeden z problemów, przed którymi stoją chińscy intelektualiści – traktują karierę akademicką jako fundamentalnie niezgodną ze stanowiskiem państwowym. Teraz starszy pan zaczynał od nowa, a czy będzie to tragedia, czy też źródło radości, czas pokaże.

Przez następne kilka lat obaj całkowicie pogrążyli się w pracy – niewiele mieli do czynienia z tym, co działo się w świecie zewnętrznym. Czasami brali udział w konferencjach matematycznych i wspólnie opublikowali sześć artykułów: to wszystko. Z tych, które ukazały się w czasopiśmie naukowych, wynikało jasno, że ich praca posuwa się do przodu; z całą pewnością wyprzedzali wszystkie ośrodki w kraju i nie pozostawali zbyt daleko za zagranicznymi. Pierwsze dwa artykuły po publikacji w Chinach przedrukowano w trzech międzynarodowych czasopiśmie, co wskazywało na wagę rezultatów, które osiągnęli. Mniej więcej w tamtym okresie redaktor naczelny czasopisma „Time” w Stanach Zjednoczonych, Roy Alexander, ostrzegł amerykański rząd: następny komputer zostanie zbudowany przez Chińczyków! Nazwisko Jinzhena było sensacją.

Oczywiście media jak zwykle siały panikę. Jeśli ktoś uważnie przeczytał te dwa artykuły, ignorując powstały wokół nich szum, od razu stwierdzał, że autorzy natrafili na bardzo poważne problemy w swoich badaniach. To rzecz całkowicie normalna, wszak komputer to nie ludzki mózg, w przypadku ludzi wystarczy przecież, że mężczyzna prześpi się z kobietą i proszę bardzo, oto mamy nowego osobnika. Jasne, w niektórych przypadkach podczas tego procesu coś idzie źle i rezultatem jest człowiek upośledzony umysłowo. Pod wieloma względami to, co próbujemy zrobić, tworząc sztuczną inteligencję, można porównać do przekształcenia osobnika upośledzonego umysłowo w bystrego, a to bardzo, bardzo trudne zadanie. I właśnie ze względu na jego złożoność nie można wykluczyć niepowodzeń, będących źródłem frustracji. W rzeczywistości byłoby dziwne, gdyby frustracje i niepowodzenia skłoniły kogoś do rezygnacji. Kiedy później Młody Lillie pozwolił Jinzhenowi odejść, nikt nie wierzył w jego wyjaśnienia. Powiedział:

„Napotkaliśmy w naszych badaniach poważne problemy i nie widzę możliwości sukcesu, gdybyśmy kontynuowali. Nie chcę, by tak utalentowany młodzieniec podążał ze mną wątpliwą drogą, narażając na ryzyko swoją przyszłość. Pragnę się upewnić, że będzie robił coś ważnego.

To było latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku.

Wszyscy na uniwersytecie mówili wtedy o człowieku, który przyjechał i zabrał ze sobą Jinzhena. Szeroko dyskutowano, dlaczego Młody Lillie zgodził się

na wyjazd chłopaka, ale nikt nie potrafił udzielić dobrej odpowiedzi – to była część tajemnicy.

Ów człowiek kulał.

To także była część tajemnicy.

消羽翔龍何火帝高良人皇如帝

CZĘŚĆ TRZECIA  
PIERWSZY ZWROT

Człowiek ten nosił nazwisko Zheng i kulał. Może z powodu widocznej na pierwszy rzut oka ułomności odnosiło się wrażenie, że nie potrzebuje imienia, że to niekonieczny ozdobnik, jak biżuteria. Pojawi się w kilku istotnych zwrotach w niniejszej opowieści, niekiedy anonimowo, niekiedy jako Kulawy Zheng.

– Kulawy Zheng!

– Kulawy Zheng!

Samo to, że ludzie nie mieli obiekcji, by tak się do niego zwracać, mówi nam o jednym ważnym fakcie dotyczącym tego człowieka: fizyczne kalectwo nie definiowało jego życia. Jeśli się nad tym zastanowić, istnieją dwa możliwe powody takiego zachowania. Po pierwsze, Kulawy Zheng nabawił się swojej ułomności w rezultacie honorowej rany – stanowiła dowód, że kiedyś nosił broń i walczył ramię w ramię z towarzyszami. Po drugie, kalectwo nie było aż tak wielkie, po prostu miał nieco krótszą lewą nogę. W młodości taką różnicę dało się skorygować butem o grubszej podeszwie, ale po pięćdziesiątce pozostało mu tylko podpieranie się laską. Kiedy go poznałem, korzystał z laski, aczkolwiek nie należał do tych starszków, których można przegapić. To było na początku lat dziewięćdziesiątych.

Tamtego lata, w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym, Kulawy Zheng miał trzydzieści kilka lat i był silnym, zdrowym mężczyzną. Dzięki podeszwie na lewym bucie nikt nie zdawał sobie sprawy z jego fizycznej niesprawności, utykanie zniknęło i dla obserwatora z zewnątrz niczym nie różnił się od innych. Pracownicy uniwersytetu przez czysty przypadek odkryli, co z nim jest nie w porządku.

Po południu w dniu, gdy na uniwersytet przyjechał Kulawy Zheng, wszyscy studenci siedzieli w głównym audytorium, słuchając relacji o bohaterskich czynach walecznych bojowników armii Chińskich Ochotników Ludowych. W kampusie panował spokój, pogoda była piękna, słońce nie prażyło i łagodny wiatr delikatnie poruszał liśćmi na platanach po obu stronach alei. Lekki poszum sprawiał, że wrażenie ciszy spowijającej uniwersytet jeszcze się pogłębiało. Ten spokój wydał się Zhengowi tak niezwykły, że kazał kierowcy dżipa się zatrzymać; powiedział, żeby za trzy dni przyjechał po niego do uniwersyteckiego hotelu dla gości. Wysiadł i samotnie ruszył przez kampus. Przed mniej więcej piętnastu laty spędził trzy lata w liceum przy uniwersytecie i rok na studiach. Po tak długiej nieobecności zdawał sobie sprawę ze wszystkich zmian, jakie zaszły w jego Alma Mater, i ogarnęła go dziwna nostalgia – wydawało się, że wiele wspomnień z przeszłości napiera na niego, gdy kroczył wolno, jakby każdy krok przywoływał je do życia. Kiedy

zebranie studentów dobiegło końca, stał przed audytorium. Z sali wylewał się ludzki strumień i rozprzestrzeniał się niczym powódź. W ułamku sekundy zagarnął Zhenga. Nerwowo podążył za tłumem, bojąc się, że ktoś na niego wpadnie, bo gdyby upadł, niesprawna noga nie pozwoliłaby mu się podnieść. Studenci wciąż wychodzili, Zheng znalazł się na końcu, ale maruderów przybywało i maszerował z nimi ramię w ramię. Otaczający go młodzi ludzie byli jednak ostrożni, za każdym razem gdy mu się zdawało, że ktoś go przewróci, człowiek ów cofał się w samą porę, by uniknąć zderzenia. Nikt nie patrzył za siebie, nikt nawet go nie zauważył; wszystko wskazywało, że specjalny but ukrył jego kalectwo przed przypadkowymi gapiami. Może ta świadomość dodała mu pewności siebie, w każdym razie ogarnęła go nagła sympatia do tych studentów obojga płci, takich jasnych i pełnych życia, rozgadanych – jakby niósł go wartki strumień. Poczul się odmłodzony, czas cofnął się o piętnaście lat.

Kiedy doszli do boiska, tłum rozpadł się jak fala uderzająca o piasek. Teraz Zhengowi nie groziła już utrata równowagi. I właśnie w tym momencie coś spadło mu na kark. Zanim zdążył zareagować, wokół rozległy się krzyki: „Deszcz!”, „Pada!”. Po pierwszym okrzyku nikt się nie poruszył, wszyscy tylko unieśli głowy. Chwilę później błyskawica przecięła niebo i lunął deszcz, jakby ktoś odkręcił wąż pod wysokim ciśnieniem. Tłum się rozproszył na podobieństwo przerażonych kur – jedni biegli przed siebie, drudzy z powrotem do sali audytoryjnej, jeszcze inni w stronę najbliższych budynków albo garaży. Na boisku zapanował chaos. Zheng miał twardy orzech do zgryzienia – nie mógł biec i nie mógł nie biec. Jeśli pobiegnie, ludzie się zorientują, że ma chromą nogę, jeśli nie pobiegnie, przemoknie do suchej nitki. Może nawet nie miał szczególnej ochoty do biegu, w przeszłości stał pod wrogim ostrzałem, dlaczego więc miałby się bać deszczu? Jasne, że perspektywa przemoknięcia go nie martwiła, ale nogi słuchały rozkazów pochodzących z innych części jego mózgu: zaczął skakać, przesuwał do przodu jedną stopę, drugą włókł za sobą. W taki sposób mógł biec, w taki sposób biega człowiek kulawy, skokami, jakby w podeszwie buta tkwił mu odłamek szkła.

Reszta ludzi była zbyt zaabsorbowana skuteczną ucieczką przed deszczem, żeby zwracać na niego uwagę. Szybko znaleźli schronienie w pobliskich budynkach, on natomiast wciąż znajdował się na środku boiska. Przecież wcale nie chciał biec, przeszkadzała mu w tym chora noga, nadal też niósł walizkę, nic więc dziwnego, że był taki powolny! Oczywiście, że wszyscy go wyprzedzili! Teraz na rozległym boisku widać było tylko jego, wyróżniał się jak napuchnięty kciuk. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, postanowił jak najszybciej zejść z boiska, co znaczyło, że musi skakać szybciej. To było bohaterkie, to było komiczne; dla tych, którzy na niego patrzeli, wydawało się częścią spektaklu. Znaleźli się nawet tacy, którzy dopingowali:

– Szybciej!

– Szybciej!

Te okrzyki przyciągnęły uwagę większej liczby ludzi. Wydawało się, że wszystkie oczy śledzą jego bieg, niemal czuł, jak spojrzenia przygważdżają go do ziemi. Postanowił, że zwolni, i wesoło pomachał obiema rękami: tym gestem dziękował swoim kibicom. Ruszył normalnym krokiem, z uśmiechem na twarzy, jak aktor schodzący ze sceny. W tamtej chwili wydawało się, że bieg był udawany, że to przedstawienie. W rzeczywistości coś, co zawsze próbował ukryć, zostało jaskrawo ujawnione. Można powiedzieć, że nagła ulewa zmusiła go do odegrania roli, która odkryła tajemnicę jego chorej nogi. Z jednej strony wprawiło go to w zakłopotanie, z drugiej zaś – zagwarantowało, że wszyscy dowiedzieli się, iż jest... kulawy! A przy tym zabawny i przyjacielski. Kiedy przed piętnastu laty opuszczał to miejsce po spędzeniu tutaj czterech lat, nikt nie zauważył jego ułomności. Tym razem jednak w ciągu kilku minut stał się sławny na całym uniwersytecie. Kilka dni później, gdy odjechał, zabierając Jinzhena w swej tajemniczej misji, wszyscy mówili: „Zabrał go ten kaleka, który tańczył na deszczu”.

===OAozBjVQZFMxV2JUYlBmVDYPPwg4WTgJOl9rWGxeZwU=

Przybył, żeby kogoś ze sobą zabrać.

Ktoś taki jak on zjawiał się co roku latem na Uniwersytecie N, żeby zabrać ludzi. Kimkolwiek był i jak wyglądał, zawsze miał dystygowane rysy. Wszyscy, jak widać, dysponowali znacznymi środkami, wszyscy byli bardzo tajemniczy i gdy tylko się pojawili, szli prosto do gabinetu rektora. Tym razem gabinet był pusty, wyszedł więc i zapukał do sąsiedniego biura, kierownika rektoratu. Tak się złożyło, że rektor tam był, omawiał z kierownikiem jakąś sprawę. Zaraz od progu Zheng oznajmił, że szuka rektora. Kierownik zapytał, z kim ma przyjemność, na co gość ze śmiechem odrzekł:

- Jestem handlarzem koni, szukam nowych nabytków.
- W takim razie powinien pan iść do Centrum Studenckiego na parterze
- poinformował kierownik.
- Najpierw muszę porozmawiać z rektorem.
- Dlaczego?
- Mam coś, co rektor powinien zobaczyć.
- Co to jest? Proszę mi to dać.
- Jest pan rektorem? To jest przeznaczone wyłącznie dla jego oczu.

Kierownik spojrzał na rektora, który powiedział:

- Proszę mnie to pokazać.

Kiedy gość się upewnił, że rozmawia z rektorem uniwersytetu, otworzył aktówkę i wyjął teczkę z dokumentami. Teczka była najzwyklejsza, tekturowa, takich zwykle używają nauczyciele. Miał w niej jednostronicowy dokument, który podał rektorowi z prośbą, by go przeczytał.

Rektor cofnął się o krok i zaczął czytać. Kierownik widział tylko drugą stronę. O ile potrafił stwierdzić, papier nie był szczególnie duży ani gruby, nie dostrzegł też specjalnych pieczęci czy znaczków. Wyglądało to na całkiem zwykły list polecający. Z drugiej zaś strony, jak zorientował się po reakcji rektora, nie ulegało wątpliwości, że chodzi o coś więcej. Od razu zauważył, że rektorowi wystarczyło przebiec wzrokiem po kartce – może po prostu spojrzał na nagłówek – i momentalnie przybrał poważną, skupioną minę.

- Pan Zheng, szef sekcji?
- Tak jest.
- Proszę przyjąć przeprosiny za sposób, w jaki pana przyjęliśmy. – Cały w uśmiechach zaprosił gościa do swojego gabinetu.

Nikt nie miał zielonego pojęcia, jaka instytucja mogła przysłać list, skoro rektor zaczął zachowywać się służalczo. Kierownik pomyślał, że uda mu się to



odkryć, bo zgodnie z regułami obowiązującymi na uniwersytecie wszystkie listy od zewnętrznych instytucji należy zarejestrować w jego biurze. Kiedy później uświadomił sobie, że wbrew zasadom rektor nie przekazał mu dokumentu, zadał sobie trud i zapytał o list. Odpowiedź bardzo go zaskoczyła, jak wyjaśnił rektor, w pierwszym zdaniu list zawierał instrukcję, że po przeczytaniu należy go natychmiast spalić. Przestraszony kierownik wykrzyknął:

– Ścisłe tajne!

Został pouczony surowo, żeby zapomniał o całej sprawie i nikomu o niej nie wspominał.

Prawdę powiedziawszy, kiedy rektor prowadził gościa do swojego gabinetu, w dłoniach już trzymał pudełko zapalek. Gdy skończył czytać, przytknął do papieru płonąca zapalną.

– Mam go spalić?

– Czemu nie?

Tak więc list spłonął.

Dwaj mężczyźni stali w milczeniu i patrzyli na płomień.

Po chwili rektor się odezwał:

– Ile osób pan chce?

Gość wyciągnął palec.

– Jedną.

– Z jakiej dziedziny?

Gość znowu otworzył teczkę i wyjął z niej arkusz papieru.

– Oto lista wymagań, które muszą zostać spełnione. Przepuszczalnie nie jest kompletna, ale to wystarczy, by dać panu jakieś pojęcie.

Kartka miała dokładnie taki sam wymiar, jak poprzednia, *sextodecimo*. Nie było jednak nagłówek i tekst został napisany ręcznie. Rektor przebiegł wzrokiem po liście.

– Też mam spalić zaraz po przeczytaniu? – zapytał.

– Nie. – Zheng się roześmiał. – Myśli pan, że to także supertajne?

– Nie przeczytałem jeszcze dokładnie, więc nie wiem, czy jest supertajne, czy nie.

– Nie jest – odrzekł Zheng. – Może pan pokazać tę listę każdemu, nawet studentom. Każdy, kto pańskim zdaniem spełnia wymagania, niech do mnie przyjdzie. Zatrzymałem się w pokoju 302 w hotelu przy waszym uniwersytecie. Pan także o każdej porze może mnie odwiedzić.

Tamtego wieczoru rektor skierował do pokoju 302 dwóch najlepszych studentów ostatniego roku. Później do drzwi ciągle pukali goście. Do popołudnia trzeciego dnia dwudziestu dwóch studentów spotkało się z tajemniczym kulawym mężczyzną. Jednych przyprowadzili profesorowie, inni przyszli z własnej inicjatywy. Większość studiowała na wydziale matematyki – dziewięciu

na studiach licencjackich i siedmiu na magisterskich. Studenci z innych wydziałów jako przedmiot główny wybrali matematykę. Znajomość matematyki była pierwszym warunkiem, który postawił Kulawy Zheng – w istocie jedynym. Zdumiewające, że ludzie, którzy się z nim spotkali, po wyjściu z pokoju 302 mieli kompletnie inną historię do opowiedzenia; wszyscy twierdzili, że to było nad wyraz dziwaczne przeżycie. W swoich komentarzach skłaniali się ku temu, że padli ofiarą żartu, w każdym razie sprawa nie była tak poważna, jak im przedstawiono. Co do Kulawego Zhenga: słuchając ich, można by pomyśleć, że to wariat, psychol z niesprawną nogą! Niektórzy mówili, że kiedy weszli do pokoju, nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Stali lub siedzieli, czując się jak ostatni głupcy, a po pewnym czasie Kulawy Zheng machnięciem dłoni ich odprawił. Wielu profesorów z wydziału matematyki po relacji swoich studentów nie kryło oburzenia. Zareagowali ostro: pobiegli do hotelu, żeby osobiście zapytać kalekę, o co właściwie chodzi. W odpowiedzi usłyszeli tylko, że w taki sposób załatwia sprawy.

A dokładniej wyjaśnił tak:

– Każda dziedzina ma swoje wymagania. U kandydatów na sportowców sprawdza się układ kostny. Osoba, której ja szukam, musi mieć niezależny umysł. Część moich gości reagowała wielkim zakłopotaniem na to, że nie zwracam na nich uwagi; nie potrafili nawet usiedzieć spokojnie ani stać prosto i się nie wiercić. To doświadczenie kompletnie wytrąciło ich z równowagi, a nie na takiej osobowości kandydata mi zależy.

Brzmiało to ładnie, ale tylko Kulawy Zheng wiedział, czy mówi prawdę, czy kłamie.

Po południu trzeciego dnia zaprosił rektora, by ten odwiedził go w hotelu i omówił z nim rezultaty poszukiwań. Nie był z nich zadowolony, chociaż coś miał. Dał rektorowi pięć nazwisk z listy dwudziestu dwóch studentów i poprosił o pozwolenie przejrzenia ich *dossier*; uważał, że jego kandydat najprawdopodobniej jest jednym z nich. Kiedy rektor uświadomił sobie, że sprawa osiągnęła fazę końcową, został w hotelu, żeby zjeść kolację z gościem. Przy stole Kulawy Zheng nagle sobie o czymś przypomniał. Zapytał, co się stało z Młodym Lilliem.

– Jeśli chce pan zobaczyć się z emerytowanymrektorem, powiem mu, żeby przyszedł – odrzekł rektor.

– Jak mógłbym prosić go, żeby do mnie przyszedł? – odparł z uśmiechem Zheng. – To ja powinienem go odwiedzić!

Zrobił, jak powiedział, i tego samego wieczoru Kulawy Zheng odwiedził Młodego Lilliego...

*Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Kiedy otworzyłam mu drzwi, nie poznałam go, nie wiedziałam, że jest tym tajemniczym człowiekiem, o którym w ostatnich dniach na wydziale krążyło mnóstwo plotek. Trzeba zacząć od tego, że tata nie miał pojęcia, co się dzieje, ale przypadkiem wspomniałam mu, iż niektórzy profesorowie wloką studentów na spotkanie z tajemniczym człowiekiem. Gdy pojął, że Zheng to właśnie człowiek, o którym teraz zrobiło się głośno, zawołał mnie i przedstawił. Byłam bardzo ciekawa i zapytałam, do jakiego właściwie zajęcia poszukuje kandydata. Nie odpowiedział wprost, odparł tylko oględnie, że to ważna praca. A kiedy chciałam wiedzieć, o jakiej ważnej pracy mówimy – dla ludzkości, dla rozwoju kraju – odrzekł, że chodzi ogólnie o bezpieczeństwo narodowe. Zapytałam więc, jakie kryteria przyjął, robiąc selekcję; nie sprawiał wrażenia zadowolonego, mruknął pod nosem coś o wybieraniu najwyższego z grupy karłów.

W przeszłości musiał przedyskutować tę sprawę z tatą, ponieważ tata dobrze wiedział, jakiej osoby szuka Zheng. Zauważywszy jego niezadowolenie, powiedział półzartem: „A ja znam kogoś bardzo odpowiedniego”.

„Kogo?” Zheng nadstawił uszu.

„Ktoś odpowiedni może być na drugim końcu świata, a z drugiej strony może być tuż koło ciebie...” – odparł tajemniczo.

Pomyślał, że tata mówi o mnie, zaczął więc mnie wypytywać o moją pracę. Tata jednak wskazał fotografię Zhendiego zatkniętą za ramę lustra i oświadczył: „To on”.

„Kto to jest?”, zapytał Zheng.

Tata przesunął palec na zdjęcie mojej ciotki Rong Lillie i powiedział: „Czy nie są podobni?”.

Zheng podszedł do lustra i dobrze przyjrzał się fotografiom, po czym odrzekł: „To prawda”.

„Jest jej wnukiem”, wyjaśnił tata.

O ile pamiętam, tata nie przedstawiał w taki sposób Zhendiego, zrobił to po raz pierwszy. Nie wiem, dlaczego tak rozmawiał z tym człowiekiem, może po

części chodziło o to, że był obcy, znał jedynie zarys historii, więc to nie miało większego znaczenia. A z drugiej strony skończył nasz uniwersytet, więc na pewno wiedział, kim była moja ciotka. Kiedy tato powiedział mu o tym pokrewieństwie, zaczął wypytywać o Zhendiego i o jego inteligencję. Tak czy owak, na koniec ich rozmowy tata nadal mu powtarzał, żeby nawet nie myślał o zabraniu Zhendiego. Na pytanie, dlaczego, odparł: „Ośrodek badawczy go potrzebuje”. Zheng tylko się uśmiechnął. Nie wrócił do tematu, więc odnieśliśmy wrażenie, że odłożył na bok kwestię Zhendiego.

Nazajutrz rano Zhendi przyszedł do domu na śniadanie. Powiedział, że wczoraj późnym wieczorem ktoś go szukał. Ponieważ instytut badawczy był świetnie wyposażony, Zhendi często nocował w swoim gabinecie, a w domu zjawiał się tylko na posiłki. W chwili gdy się odezwał, tata od razu wiedział, kim był jego gość. Wybuchnął śmiechem i powiedział: „Jak widać, nie zrezygnował”.

„Kim on jest?”, chciał wiedzieć Zhendi.

„Nie zwracaj na niego uwagi”, zbył go tata.

„Myślę, że chce, żebym zaczął z nim pracować”.

„A ty tego chcesz?”

„To zależy od ciebie”, odrzekł Zhendi.

„W takim razie go ignoruj”.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi i wszedł Zheng. Tatuś uprzejmie zapytał, czy jadł już śniadanie. Zheng powiedział, że owszem, jadł w hotelu. Tata poprosił, żeby poczekał na piętrze, niedługo do niego dołączy. Po śniadaniu kazał Zhendiemu odejść. Powtórzył to samo co wcześniej: „Nie zwracaj na niego uwagi”.

Po wyjściu Zhendiego poszliśmy z tatą na piętro. Zheng czekał w salonie, palił papierosa. Tata może i sprawiał wrażenie bardzo uprzejmego, ale nie owijał w bawełnę. Zapytał wprost, czy Zheng chce się pożegnać, czy też na czymś mu zależy. „Jeśli przyszedł pan, bo zależy panu na nim, to obawiam się, że nie mogę panu pomóc. Tak jak mówiłem wczoraj wieczorem, nie chcę, żeby pan go zabierał, to bez sensu”.

„Jeśli nie może pan pomóc, to trudno, odparł Zheng. Po prostu się

pożegnany”.

Tata zaprosił go do swojego gabinetu.

Tamtego popołudnia miałam zajęcia, tak więc po wymianie grzeczności poszłam do swojego pokoju po rzeczy, które były mi potrzebne. Kierując się do drzwi, trochę późno pomyślałam, że powinnam się pożegnać, ale drzwi gabinetu taty były zamknięte, co zdarzało się bardzo rzadko. Nie chciałam im przeszkadzać i wyszłam. Po powrocie do domu mama powiedziała mi, że Zhendi nas opuści. Zapytałam, dokąd wyjeżdża, a mama musiała wytrzeć łzy, dopiero potem powiedziała: „Jedzie z tym człowiekiem. Twój ojciec się zgodził”.

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Nikt nie wie, co Kulawy Zheng powiedział Młodemu Lilliemu za zamkniętymi drzwiami gabinetu. Mistrz Rong mówiła mi, że do dnia śmierci ojciec odmawiał odpowiedzi na pytania w tej kwestii – jeśli ktoś o tym wspominał, wpadał w gniew. Nie ulegało wątpliwości, że zamierzał zabrać swój sekret do grobu. Jedno jest pewne: Kulawy Zheng zdołał zmienić decyzję Młodego Lilliego w pół godziny z małym okładem. Cokolwiek mu powiedział, odniosło taki skutek, że Młody Lillie po wyjściu z gabinetu odszukał żonę i oznajmił jej, że Jinzhen wyjeżdża.

Te wydarzenia sprawiły, iż Kulawy Zheng stał się jeszcze bardziej tajemniczy, a teraz taka sama aura zaczęła otaczać Jinzhena.

Jinzhen stał się tajemniczy tamtego popołudnia, kiedy to Kulawy Zheng i Młody Lillie zamknęli drzwi gabinetu, żeby porozmawiać w cztery oczy, tego samego popołudnia, gdy Kulawy Zheng wsiadł z nim do dżipa i gdzieś pojechali. Wrócił do domu dopiero wieczorem zwykłym samochodem. Zachowywał się dziwnie. Chociaż widział pytające spojrzenia rodziny, długo nie otwierał ust. Teraz wszystko, co robił, miało w sobie coś sekretnego. Wydawało się, że ten wyjazd na kilka godzin już wbił klina pomiędzy niego a rodzinę. Po bardzo długim czasie, wypełnionym pytaniami Młodego Lilliego, Jinzhen westchnął głęboko, a potem niepewnie, z tym samym co zwykle szacunkiem, powiedział:

– Profesorze, wysłałeś mnie w miejsce, które wcale mi nie odpowiada.

Mówił lekkim tonem, ale w jego słowach krył się podtekst, który przeraził wszystkich: Młodego Lilliego, jego żonę i Mistrza Rong. Nie mieli pojęcia, jak zareagować.

– Jeśli nie chcesz jechać, to nie jedź. Nie musisz tego robić – przemówiła wreszcie pani Lillie.

– Muszę – odparł Jinzhen.

– O czym ty mówisz? On – wskazała męża – to on, a ty to ty. Jeśli chce, żebyś coś zrobił, wcale nie znaczy, że musisz się zgodzić. Posłuchaj mnie, sam podejmij decyzję. Jeżeli chcesz jechać, jedź, jeśli nie chcesz, nie jedź. Ja z nimi rozmawiam.

– To nic nie da – rzekł Jinzhen.

– Co to znaczy: nic nie da?

– Jeśli powiedzieli, żebym jechał, nie mam prawa odmówić.

– Co to za instytucja? Kto ma taką władzę?

– Nie wolno mi mówić.

– Nie wolno ci powiedzieć własnej matce?

– Nikomu. Musiałem przysiąc.

W tym momencie Młody Lillie klasnął w dłonie i wstał.

– Racja – powiedział – w tej sytuacji musisz milczeć. Kiedy wyjeżdżasz? Termin już ustalono? Musimy cię spakować.

– Wyjeżdżam jutro przed świtem.

Tamtej nocy nikt nie spał, cała rodzina była zajęta pakowaniem rzeczy Jinzhen. Koło czwartej nad ranem mieli to już za sobą, książki i zimowe ubrania znajdowały się w dwóch obwiązanych sznurkiem kartonowych pudłach. Zostały tylko przybory niezbędne do codziennego funkcjonowania, a chociaż Jinzhen i Młody Lillie powtarzali, że na miejscu można wszystko kupić, kobiety wpadły

w szalony tryb pakowania i biegały po schodach, gorączkowo zastanawiając się, co jeszcze Jinzhen może potrzebować. Na pierwszy ogień poszły radio i kilka paczek papierosów, później herbata i apteczka; w rezultacie zdołały zapełnić skórzaną walizkę. Mniej więcej o piątej rodzina spotkała się w kuchni. Pani Lillie była na skraju hysterii, tego ranka nie miała czasu na przygotowanie śniadania dla Jinzhena i musiała poprosić o to córkę. Siedząc przy kuchennym stole, wyjaśniała szczegółowo, co należy zrobić. Nie chodziło o to, że Mistrz Rong nie potrafiła gotować, ale to miał być specjalny posiłek pożegnalny. Pani Lillie zdecydowała, że musi spełniać cztery ważne warunki.

1. Rosół z makaronem jako danie główne: ludzie jedzą go na swoje urodziny, by wyrazić nadzieję na czekające ich długie życie.

2. Makaron z gryki: jest delikatniejszy od zwykłego i posłuży jako symbol, że należy być bardziej wyrozumiałym i elastycznym, kiedy przebywa się pomiędzy obcymi.

3. Przyprawy, wśród których są gorzkie orzechy, ostra papryka chili i kwaśny ocet: to symbol, że trzy z czterech podstawowych smaków zostaną w domu i od wyjazdu życie Jinzhena będzie słodkie.

4. Niewielka ilość zupy: kiedy nadejdzie pora, Jinzhen musi wypić ją do ostatniej kropli, co będzie symbolem powodzenia i kompletności.

W rezultacie to była tylko miska zupy, ale odzwierciedlała wszystkie czułe nadzieje i pragnienia, które starsza pani żywiła wobec Jinzhena. Kiedy naczynie z bulgoczącą i bogatą w znaczenia zawartością przyniesiono do jadalni, pani Lillie zawołała Jinzhena na posiłek. Z kieszeni wyjęła nefrytowy wisiołek w kształcie tygrysa szykującego się do skoku i włożyła chłopcu w dłoń, mówiąc, żeby najpierw zjadł zupę, a później przywiązał wisiołek do paska – przyniesie mu szczęście. Wtedy usłyszeli, jak przed dom zajeżdża samochód. Chwilę później do pokoju wszedł Kulawy Zheng ze swoim szoferem. Przywitał się z obecnymi i kazał kierowcy zanieść pudła do bagażnika.

Jinzhen jadł rosół. Nie odezwał się słowem, ale jego milczenie było z rodzaju tych, kiedy człowiek ma bardzo dużo do powiedzenia, lecz nie wie, od czego zacząć. Nawet kiedy odstawił pustą miskę, nic nie mówił. Wyglądało, że nie zamierza wstać.

Kulawy Zheng podszedł i klepnął go w plecy, jakby całkowicie panował nad sytuacją.

– Czas na ciebie – przypomniał. – Czekam w samochodzie.

Pożegnał się z Młodym Lilliem, jego żoną i Mistrzem Rong, po czym

wyszedł.

W pokoju zapadła cisza. Obecni bez słowa wymieniali spojrzenia; wzrok mieli skupiony na jednym celu. Jinzhen nadal w jednej dłoni trzymał wisiołek, drugą go gładził i to był jedyny ruch w pokoju.

– Przywiąż go do paska – powtórzyła pani Lillie. – Przyniesie ci szczęście.

Jinzhen przycisnął nefryt do ust i pocałował, po czym zaczął wiązać wisiołek do paska.

Wtedy Młody Lillie wyjął go z jego rąk i powiedział:

– Tylko głupiec może oczekiwać, że jakiś przedmiot przyniesie mu szczęście. Jesteś geniuszem i sam zapracujesz na swoje szczęście. – Włożył chłopcu w dłoń pióro marki Waterman, którego używał przez prawie pół wieku. – To będzie dla ciebie o wiele bardziej przydatne. Możesz nim zapisywać swoje pomysły. Jeśli nie pozwolisz, by ci umknęły, przekonasz się, że nikt nigdy nie będzie w stanie ci dorównać.

Jinzhen postąpił tak samo jak wcześniej: pocałował pióro, po czym wsunął je do kieszeni na piersi. W tej samej chwili rozległ się klakson, bardzo krótki. Jinzhen sprawiał wrażenie, że go nie słyszy; siedział przy stole bez ruchu. Wszyscy milczeli.

– Ponaglają cię – odezwał się Młody Lillie. – Czas na ciebie.

Chłopak siedział bez ruchu.

– Będziesz pracował dla narodu – dodał Młody Lillie. – Powinieneś być szczęśliwy.

Jinzhen wciąż siedział nieruchomo.

– Tu jest twój dom – ciągnął Młody Lillie. – Kiedy wyjdiesz za próg, nadal będziesz w swoim kraju. Ktoś, kto nie ma kraju, nie może mieć domu. Idź już. Czekają na ciebie.

Jinzhen nie zareagował. Jakby smutek rozstania przykuł go do krzesła. Nie był w stanie wykonać ruchu!

I znowu rozległ się klakson – tym razem trwał dłużej. Młody Lillie widział, że Jinzhen nie zamierza się ruszyć, spojrzał więc na żonę, bez słów prosząc, żeby coś zrobiła.

Pani Lillie podeszła do Jinzhena i lekko położyła mu dłonie na ramionach.

– Czas na ciebie, Zhendi. Musisz iść. Będę wyczekiwała na twoje listy.

Wyglądało, że dotyk starszej pani obudził Jinzhena ze snu. Dziwnie chwiejnie wstał i poruszał się jak w transie. Gdy w progu nagle się odwrócił, z głuchym dudnieniem padł na kolana. Kłaniał się starszej parze, bijąc głową w podłogę. Głosem zduszonym łzami powiedział:

– Mamo, odchodzę, ale nawet gdybym przeniósł się na drugi koniec ziemi, nadal będę twoim synem...

Była piąta rano jedenastego czerwca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego



szóstego roku. Jinzhen, gwiazda Wydziału Matematyki przez ostatnie dziesięć lat, człowiek, który po cichu stał się „wyposażeniem” Uniwersytetu N, wstał i wyruszył w podróż, z której nigdy nie wrócił. Wcześniej jednak poprosił swoich opiekunów o pozwolenie na zmianę nazwiska, w przyszłości bowiem pragnął nazywać się Rong Jinzhen. Pożegnał się z rodziną i rozpoczął nowe życie; już i tak nasiąknięte łzami pożegnanie teraz stało się jeszcze bardziej smutne, jakby obie strony zdawały sobie sprawę, że to nie jest zwyczajna rozłąka. O świcie Jinzhen wsiadł do dżipa i samochód odjechał – zniknął w innym świecie. Zniknął bez śladu. Jakby nowe nazwisko i nowa tożsamość spadły niczym siekiera, oddzieliły przeszłość od przyszłości, znacząc jego odejście ze zwykłego świata. Wiedziano tylko, że gdzieś się przeniósł, a jedyny adres kontaktowy znajdował się tutaj, w stolicy prowincji, i była nim skrytka pocztowa nr 36.

Wydawało się, że jest bardzo blisko, tuż koło nich.

W rzeczywistości jednak nikt nie wiedział, dokąd wyjechał...

### *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Pytałam kilku moich dawnych studentów, którzy pracowali na poczcie, jaka instytucja ma skrytkę pocztową nr 36 i gdzie się mieści. Wszyscy odpowiadali, że nie wiedzą – jakby to był adres wykraczający poza ludzkie zrozumienie. Sądziłyśmy, że skrytka przypisana jest adresowi w mieście, kiedy jednak dostaliśmy pierwszy list od Zhendiego, z czasu, który minął od jego nadania, wywnioskowaliśmy, że miejscowy adres to podstęp, ma na celu wprowadzenie ludzi w błąd. Tak samo mógł przebywać daleko, nawet dalej, niż potrafiłszy sobie wyobrazić.

Pierwszy list napisał do nas trzy dni po wyjeździe, ale otrzymaliśmy go po dwunastu dniach. Na kopercie nie było adresu nadawcy – w miejscu, gdzie zwykle go pisano, widniało jedno z haseł przewodniczącego Mao: „Kto ośmieli się zawiesić nowe słońce i księżyc na nowym nieboskłonie?”. Wydrukowano je charakterem pisma przewodniczącego, czerwonym tuszem. Najdziwniejsze, że list nie został opieczetowany w urzędzie pocztowym, z którego go wysłano, miał tylko pieczęć sortowni. Wszystkie późniejsze listy były takie same: w identycznych kopertach, bez pieczęci urzędu pocztowego, doręczane po ośmiu, dziewięciu dniach. Na początku rewolucji kulturalnej cytaty z przewodniczącego Mao wymieniono na wers z bardzo popularnej w tamtym okresie piosenki: „Żeglując przez ocean, polegamy na sterniku”, reszta pozostała niezmienną.

Co to znaczy: praca na rzecz bezpieczeństwa narodowego? Przynajmniej w części poznałam odpowiedź na to pytanie z listów Zhendiego.

Zimą tamtego roku, gdy Zhendi nas opuścił, pewnego grudniowego wieczoru rozpętała się straszna burza, a temperatura poleciała na łeb na szyję. Po kolacji tatuś powiedział, że pobolewa go głowa, pewnie z powodu zmiany pogody, połknąwszy więc kilka aspiryn, poszedł na górę i wcześniej położył się do łóżka. Kiedy po kilku godzinach dołączyła do niego mama, odkryła, że przestał oddychać, chociaż jego ciało nadal było ciepłe. Sposób, w jaki tatuś umarł... wyglądało to tak, jakby te aspiryny, które połknął przed snem, równie dobrze mogły być arsenikiem; po wyjeździe Zhendiego wiedział, że jego instytut pracujący nad sztuczną inteligencją czeka niechybny upadek, skorzystał więc z drogi ucieczki.

W rzeczywistości wcale tak to się nie odbyło, tatuś umarł na wylew krwi do mózgu.

Biłyśmy się z myślami, czy powinnyśmy poprosić Zhendiego o powrót. Wyjechał niedawno i był członkiem bardzo tajemniczej i potężnej instytucji, nie wspominając już o tym, że przebywał bardzo daleko (wtedy już wiedziałyśmy, że nie mieszka w stolicy prowincji). Mama jednak zdecydowała, że wezwie go na pogrzeb.

– Skoro nosi nazwisko Rong – powiedziała – skoro nazywa mnie matką, to jest naszym synem. Jego ojciec umarł, musimy więc poprosić Zhendiego o przyjazd do domu.

I wysłała do niego telegram.

Na pogrzeb przybył nieznajomy człowiek. Przyniósł okazały wieniec z kwiatów, który położył na grobie w imieniu Ronga Jinzhena. To był największy ze wszystkich wieńców, co nie znaczy, że stanowił wielką pociechę. Cała ta sprawa bardzo nas przygnębiła. Widzisz, wzięwszy pod uwagę to, co wiedziałyśmy o Zhendim, mogłyśmy ze sporym prawdopodobieństwem założyć, że wołałby osobiście wziąć udział w ceremonii. Miał zasady, jeśli uważał, że coś jest słuszne, szukał sposobu, by to zrealizować – nie należał do ludzi, których zniechęca trudność czy niewygodność. Zastanawiałyśmy się, dlaczego nie mógł przyjechać. Nie wiem, z jakiego powodu – może dlatego, że człowiek, który go zastępował, mówił niejasno – odniosłam wrażenie, że Zhendi przypuszczalnie nigdy do nas nie wróci, nieważne, co się będzie z nami działo. Tamten powiedział, że jest bardzo bliskim przyjacielem Zhendiego i przyjechał w jego imieniu. Powtarzał, że na nasze

pytania nie może odpowiedzieć, „o tym temacie” nie może rozmawiać i tak dalej. Wszystko to było bardzo dziwne; czasami łapałam się na myśli, czy Zhendiemu coś się nie przydarzyło, może nawet umarł. Zwłaszcza że listy, które później przysyłał, były krótsze i nadchodziły w dłuższych odstępach. I tak trwało to rok za rokiem: dostawałyśmy listy, ale Zhendiego nie widywałyśmy. Narastało we mnie przekonanie, że nie żyje. Praca w tajnej instytucji mającej na celu ochronę bezpieczeństwa państwa to wielki honor, wielka chwała, lecz przecież taka instytucja mogłaby bez najmniejszego trudu rodzinę człowieka, który umarł, utrzymywać w przekonaniu, że nadal żyje – byłby to niewątpliwie jakiś sposób na pokazanie, jacy są potężni, jak wyjątkowa jest praca, którą wykonują. Mijały lata, a Zhendi nie przyjeżdżał do domu. Wiedziałam, że już nie wróci. Listy ani trochę nie zachwiały moją pewnością.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku wybuchła rewolucja kulturalna. W tym samym czasie eksplodowała mina tkwiąca pod moimi stopami od kilkudziesięciu lat. Pojawiła się *dazibao*, gazetka wielkich hieroglifów, z krytyką mojej osoby; pisano w niej, że wciąż go kocham [chodziło o dawnego narzeczonego Mistrza Rong], i poczyniono wiele skandalicznych aluzji: że nigdy nie wyszłam za mąż, bo na niego czekam, że miłość do niego oznacza, że kocham Kuomintang, że jestem kurwą Kuomintangu, że jestem szpiegiem Kuomintangu. Powiedziano o mnie najgorsze rzeczy i przedstawiono je jako niepodważalne fakty.

Po południu tego dnia, gdy pojawiła się gazetka wielkich hieroglifów, kilkudziesięciu studentów podjęło chaotyczną próbę okrążenia domu. Może dzięki reputacji, którą cieszył się tatuś, tylko krzyczeli, ale się nie włamali i nie wywlekli mnie na ulicę, a w odpowiednim momencie przyjechał rektor i skłonił ich do odejścia. Wtedy po raz pierwszy w życiu miałam kłopoty. Myślałam, że na tym się skończy. Przecież aż tak źle nie było.

Wrócili mniej więcej po miesiącu. Tym razem grupa liczyła kilkaset ludzi. Wcześniej doprowadzili do aresztowania wielu ważnych osób z uniwersytetu, w tym rektora. Wpadli do domu, złapali mnie i wywlekli. Włożyli mi na głowę ośle uszy z napisem „Kurwa Kuomintangu” i wepchnęli pomiędzy tych, których „trzeba zwalczać”. Mieli zamiar oprowadzić nas po mieście jak kryminalistów, żeby przyjrzeni się nam mieszkańcy. Kiedy było po wszystkim, zamknięto mnie w kobiecej toalecie razem z panią profesor z wydziału chemii oskarżoną o niemoralne praktyki i burżuazyjne zepsucie. W dzień wyprowadzali nas i bili, nocami wracałyśmy do naszego więzienia, żeby pisać samokrytykę. Później ogolili nam połowę głowy w stylu yin-yang, wyglądałyśmy jak nieboskie stworzenia. Pewnego dnia mama zobaczyła, w jaki sposób mnie zwalczają, i tak się przeraziła,

że na miejscu zemdląca.

Odwieziono ją do szpitala, a ja nie wiedziałam, czy żyje, czy umarła. Sama byłam o krok od śmierci. Tamtego wieczoru napisałam sekretną wiadomość do Zhendiego, złożoną z jednego tylko zdania: „Jeśli żyjesz, przyjedź i uratuj mnie!”. Podpisałam ją imieniem mamy. Następnego dnia jeden ze studentów, który mi współczuł, wysłał telegram. Zastanawiałam się nad różnymi opcjami. Dwie wydawały mi się najbardziej prawdopodobne. Pierwsza, że nie dostanę żadnej odpowiedzi, druga – choć na to liczyłam mniej – że podobnie jak po śmierci taty pojawi się nieznajomy. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że Zhendi będzie mógł przyjechać osobiście, nie wspominając już o tym, że zrobi to szybko...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Tamtego dnia Mistrza Rong i jej koleżankę „zwalczano” przed gmachem wydziału chemii. Na stopniach głównego budynku stały z oślimi uszami na głowach i ciężkimi tabliczkami na szyjach. Po obu ich stronach wisiały czerwone flagi i transparenty, a na dziedzińcu na matach siedzieli studenci wydziału chemii i profesorowie, około dwustu osób; zgrupowanie zostało doskonale zorganizowane. Ludzie wybrani do przemawiania po kolei wstawali.

Począwszy od dziesiątej rano, na zmianę ujawniali występki obu kobiet i przesłuchiwali je. W południe zjedzono na miejscu lunch (został dostarczony). Mistrz Rong i jej towarzyszka niedoli dostały rozkaz recytowania powiedzeń przewodniczącego Mao. O czwartej po południu nie były w stanie utrzymać się na nogach; klęczały na ziemi. Wtedy też podjechał dżip z wojskową rejestracją. Zaparkował przed wydziałem chemii, przyciągając spojrzenia wszystkich obecnych. Z samochodu wysiedli trzej mężczyźni. Dwaj byli bardzo wysocy i szli po obu stronach niskiego. Wmaszerowali prosto w środek tej „sesji walki”. Kiedy zbliżyli się do schodów, kilku członków Czerwonej Gwardii pełniących służbę próbowało ich powstrzymać, pytając, kim są. Niski odparł agresywnie:

- Przyjechaliśmy po Rong Yinyi.
- Kim jesteście?
- Ludźmi, którzy po nią przyjechali!

Jeden z hunwejbínów, wzburzony arogancją nieznajomego, ostrzegł go głośno:

- Ona jest kurwą Kuomintangu, nie możecie jej zabrać!

Niski mężczyzna przeszył go wzrokiem. Nieoczekiwanie splunął i wrzasnął:

– Pierdolcie się! Jeśli ona jest z Kuomintangu, to kim w takim razie ja jestem?! Wiesz, z kim rozmawiasz?! Mówię ci, ona jedzie ze mną! Odsuń się!

Odepchnął ludzi zagradzających mu drogę i wszedł na schody.

W tym momencie ktoś z tłumu krzyknął:

– Jak on śmie przeklinać Czerwoną Gwardię! Dajmy mu wycisk!

W mgnieniu oka wszyscy się poderwali i zaczęli napierać, na oślep bijąc mężczyznę. Zabiliby go, gdyby nie pospieszyli mu z pomocą ci dwaj, którzy z nim przyjechali. Wysocy i silni, od razu widać było, że są wyszkoleni w sztukach walki. Odparli napastników; mężczyzna stał teraz w środku kręgu, oni go ochraniaли. Wszyscy zakrzyknęli jednym głosem:

– Pracujemy dla przewodniczącego Mao, każdy kto nas uderzy, jest wrogiem przewodniczącego Mao, wrogiem Czerwonej Gwardii! Jesteśmy gwardią przewodniczącego Mao! Cofnijcie się! Cofnijcie się!

Dzięki swojej odwadze i determinacji zdołali wyłuskać niskiego mężczyznę z tłumu. Pobiegli, przy czym jeden go ochraniał, a drugi nagle się odwrócił i wyciągnął broń. Oddał strzał w powietrze i krzyknął:

– Nie ruszać się! Przysłał nas tu przewodniczący Mao!

Ludzi sparaliżował huk wystrzału, wpatrywali się w niego ze zdumieniem. Z tyłu dochodziły okrzyki, że hunwejbini nie boją się śmierci, że nic ich nie przerazi. Kiedy się wydawało, że sytuacja obróci się na gorsze, mężczyzna pokazał list polecający: na kopercie widniały jaskrawoczerwone znaki i ogromna pieczęć państwowa. Ze środka wyjął dokument i uniósł wysoko do góry, tak by wszyscy mogli go zobaczyć.

– Popatrzcie, przyjechaliśmy od przewodniczącego Mao! Tę misję powierzył nam on sam! Jeśli ktoś ośmieli się wywołać dalsze zamieszki, będzie aresztowany! A skoro wszyscy pracujemy dla przewodniczącego, może usiądziemy i przedyskutujemy sprawę jak należy? Niech towarzysze, który tu dowodzi, wystąpi, żeby mógł usłyszeć rozkazy, które wydał nam przewodniczący Mao!

Z tłumu wyszli dwaj ludzie. Przybysz odłożył broń i skierował ich na bok, żeby porozmawiać na osobności. Jak widać, zaakceptowali to, co miał im do powiedzenia, ponieważ po skończonej wymianie zdań oznajmili, że człowiek ów rzeczywiście pracuje dla przewodniczącego Mao i obecni powinni pozostać na swoich miejscach.

Chwilę później, kiedy zapanował spokój, tamci dwaj mężczyźni wrócili, a zdążyli już odbiec na sporą odległość. Jeden z przywódców Czerwonej Gwardii wszedł im naprzeciwko i uściśnął dłoń niskiemu, inny przedstawił go zebrany jako bohatera rewolucji i poprosił, by nagrodzili go owacją. Rozległy się skąpe oklaski, co wskazywało, że na ludziach ten bohater nie zrobił wielkiego wrażenia. Strzelec przypuszczalnie obawiał się dalszych problemów, ponieważ uznał, że lepiej będzie, jeśli bohater nie zbliży się do tłumu. Podeszedł do niego i szepnął mu do ucha, żeby wsiadł do samochodu. Krzyknął na kierowcę, że ma jechać, a sam został.

Kiedy samochód odjeżdżał, bohater wystawił głowę przez okno i zawołał:

– Siostrzyczko, nie bój się! Przyślę kogoś, żeby cię uratował!

To był Jinzhen!

To był Jinzhen!

Głos Ronga Jinzheny przetoczył się nad tłumem. W powietrzu wciąż wisiały ostatnie sylaby, kiedy inny dżip z wojskową rejestracją zahamował z piskiem opon tuż przed samochodem Ronga Jinzheny.

Wysiedli z niego trzech mężczyźni. Dwaj mieli na sobie mundury Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, co świadczyło, że są wojskowymi. Podeszli prosto do strzelca i szepnęli mu coś do ucha, później przedstawili trzeciego. Był dowódcą Czerwonej Gwardii na uniwersytecie, ludzie nazywali go szeryfem Yangiem.

Przy samochodach odbyli cichą konferencję. Później szeryf Yang sam zbliżył się do innych Czerwonych Gwardzistów; na jego twarzy malowała się niezwykła powaga. Nic nie powiedział, tylko uniósł pięść i krzyknął:

– Niech żyje przewodniczący Mao!

Zebrani zaczęli skandować z taką siłą, że budynki trzęsły się od ich głosów. Kiedy umilkli, szeryf Yang odwrócił się i pobiegł po schodach do Mistrza Rong, żeby zdjąć jej ośle uszy i plakietkę.

– Przysięgam na życie przewodniczącego Mao – zwrócił się do tłumu – że ta kobieta nie jest kurwą Kuomintangu, ale siostrą bohatera narodowego, rewolucyjnego towarzysza. – Ponownie wyrzucił pięść w górę i krzyknął: – Niech żyje przewodniczący Mao! Niech żyje Czerwona Gwardia! Niech żyją towarzysze rewolucyjni!

Powtórzywszy każde hasło kilka razy, zdjął ze swojej ręki opaskę Czerwonej Gwardii i zawiązał ją na ręce Mistrza Rong. Kiedy to zrobił, inni gwardziści zaczęli skandować te same hasła, jakby w geście szacunku dla Mistrza Rong albo coś w tym rodzaju. Może próbowali ją chronić, może liczyli na odwrócenie uwagi tłumu. Niezależnie od powodu, przy akompaniamencie wznoszonych okrzyków Mistrz Rong zakończyła swoją karierę kontrewolucjonistki...

### *Zapis rozmowy z Mistrzem Rong*

Prawdę mówiąc, nie rozpoznałam Zhendiego, kiedy go zobaczyłam, nie było go w domu dziesięć lat. Dużo schudł i nosił staroświeckie okulary ze szklami jak denka butelek – wyglądał staro. Nie wierzyłam, że to może być on, dopóki nie nazwał mnie „siostrzyczką”; w tamtej chwili nagle oprzytomniałam. Nadal cała ta sytuacja wydaje mi się nierealna. Nawet teraz czasami się zastanawiam, czy wypadki tamtego dnia to nie sen.

Zhendi przyjechał nazajutrz po wysłaniu telegramu. Żeby tak szybko dotrzeć na miejsce, musiał przebywać w stolicy prowincji. Od pierwszej chwili było jasne, że musiał zostać kimś niezwykle ważnym. W czasie wizyty u nas w domu ani na krok nie odstępował go człowiek z bronią – ochroniarz, a może strażnik. Odniosłam wrażenie, że Zhendiemu nie wolno nic robić bez jego pozwolenia. Kiedy rozmawialiśmy, co pięć minut się wtrącał: nie mogliśmy rozmawiać swobodnie. Wieczorem przywieziono do domu kolację – niby że chcą nam oszczędzić fadygi związanej z gotowaniem, ale mnie się wydawało, iż boją się, że dodamy czegoś do jedzenia. Po kolacji ten z bronią zaczął nalegać na Zhendiego, że czas na nich, i dopiero kiedy mama i Zhendi głośno zaprotestowali, zgodził się na nocleg u nas. Taki krok musiał wydawać mu się skrajnie niebezpieczny, ponieważ wezwał dwa dżipy, które zaparkowały przed naszym domem; w środku było siedmiu, ośmiu mężczyzn, jedni w mundurach wojskowych, inni po cywilnemu. Spał w tym samym pokoju co Zhendi, ale zanim się położyli, przeszukał cały dom od strychu do piwnicy. Kiedy następnego dnia Zhendi poprosił o pozwolenie odwiedzenia grobu taty, stanowczo odmówił.

Wszystko to wydawało się kompletnie nierzeczywiste: Zhendi przyjechał, przenocował i znowu wyjechał, jakby nam się to śniło.

Mimo że tamtego dnia mógł nas odwiedzić, jego życie przez ostatnie dziesięć lat pozostało dla nas całkowitą tajemnicą, tym większą, kiedy spotkałyśmy się z nim twarzą w twarz. W gruncie rzeczy dowiedziałyśmy się tylko dwóch rzeczy: nadal żyje i ożenił się, chyba niedawno, a jego żona pracuje w tej samej instytucji. Chociaż nie miałyśmy pojęcia, co ta kobieta robi ani gdzie mieszka, odkryłyśmy, że jej nazwisko brzmi Di i że pochodzi gdzieś z północy. Patrząc na fotografię, którą Zhendi nam przywiózł, widziałyśmy, że jego żona jest ładna i sporo od niego wyższa, ale w oczach ma smutek. Na odchodnym Zhendi dał mamie bardzo grubą kopertę; powiedział, że to od jego żony, i poprosił, żeby otworzyła dopiero po jego wyjściu. W środku było dwieście yuanów i list. Żona Zhendiego pisała, że partia odmówiła jej pozwolenia na wyjazd z Zhendim i że bardzo jej z tego powodu przykro. Do mamy zwracała się: „Droga Matko”.

Trzy dni po wyjeździe Zhendiego przyszedł do nas człowiek z jego instytucji. Już był w naszym domu, reprezentował Zhendiego na uroczystości w rocznicę śmierci taty. Wręczył nam dokument z regionalnego dowództwa Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej oraz z Prowincjonalnego Komitetu Rewolucyjnego, opatrzony czerwonym nagłówkiem. Dokument stwierdzał, że Rong Jinzhen został uznany za bohatera rewolucji przez Centralne Biuro

Polityczne, Radę Państwa oraz Centralną Komisję Wojskową, a tym samym my stałyśmy się rodziną rewolucjonisty. W przyszłości przedstawiciel żadnej instytucji, żaden członek partii komunistycznej ani żadna osoba prywatna nie może przekroczyć progu naszego domu bez pozwolenia. Co ważniejsze, w przyszłości nikomu nie wolno będzie rzucać oszczerstw na rewolucyjną wiarygodność rodziny bohatera. Na samej górze widniała ręcznie skreślona uwaga: „Każdy, kto złamie ten rozkaz, zostanie uznany za kontrrewolucjonistę i stosownie ukarany!”. Napisał ją osobiście dowódca okręgu wojskowego.

Przechowywałyśmy ten list jak największy skarb! Dzięki niemu nigdy więcej nie miałyśmy kłopotów. Dzięki niemu mój brat mógł wrócić z Szanghaju na Uniwersytet N, a później, kiedy zdecydował, że chce wyjechać za granicę, ten list sprawił, że dostał paszport. Brat zajmował się nadprzewodnikami, prowadził badania, a w tamtych czasach w kraju nie było możliwości ich kontynuowania! Musiał wyjechać. Zastanów się jednak nad tym, pomyśl, jak wtedy utrudniano, a najczęściej uniemożliwiano wyjazd za granicę. Pod wieloma względami był to bardzo szczególny okres, a mimo wszystko Zhendi potrafił zapewnić nam warunki, w których żyliśmy i pracowaliśmy normalnie.

Nie mieliśmy pojęcia, jakie niezwykle zadanie Zhendi musiał wykonać dla kraju, że w rewanżu obdarzono go taką władzą, że mógł jednym gestem odmienić nasze życie. Później, niedługo po tym, gdy przybył mi na ratunek, ludzie z wydziału chemii zaczęli rozpowszechniać plotkę, jakoby on odegrał kluczową rolę w programie budowy bomby atomowej. Stworzyli z tego dobrą historię, a ja nagle pomyślałam, że to nawet może być prawda, ponieważ daty ładnie do siebie pasowały: Chiny rozpoczęły program budowy broni nuklearnej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku, niedługo po wyjeździe Zhendiego. Co więcej, to miało sens: jeśli chcesz zbudować bombę atomową, z całą pewnością potrzebujesz matematyków. Gdy o tym myślałam, dochodziłam do wniosku, że to był jedyny rodzaj pracy do tego stopnia tajny, ważny i dający Zhنديemu wysoką pozycję w świecie naukowym. W latach osiemdziesiątych państwo opublikowało listę naukowców biorących udział w pierwszym i drugim programie budowy broni atomowej, ale nazwisko Zhendiego tam się nie znalazło. Może zmienił personalia, a może od początku była to tylko plotka...

*Ciąg dalszy nastąpi.*



Podobnie jak Mistrz Rong, Kulawy Zheng odegrał ważną rolę w umożliwieniu mi napisania tej książki. Długo z nim rozmawiałem, zanim przeprowadziłem wywiad z Mistrzem Rong i zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Miał już ponad sześćdziesiąt lat, jego skóra utraciła elastyczność, wyraźnie uwydatniały się pod nią kości. Problemy z niesprawną nogą z wiekiem tylko się nasiliły – nie mógł ukryć tego, że w jednym bucie ma grubszą podeszwę, i został zmuszony do korzystania z laski, w gruncie rzeczy myślę jednak, że on sam jako człowiek robił wrażenie i nie miało to nic wspólnego z kalectwem. Kiedy go poznałem, był najważniejszym członkiem Jednostki 701, głównym dyrektorem. Z uwagi na jego pozycję nikt nie ośmielał się nazywać go Kulawym Zhengiem – nawet gdy cię o to prosił, nie odważyłbyś się. Właśnie wiek i ranga sprawiały, że istniało wiele sposobów zwracania się do niego: „Dyrektorze”, „Proszę pana”, „Szefie”.

I tak zwracali się do niego ludzie, zawsze z szacunkiem. On sam natomiast często mówił o sobie jako o „Kalekim Dyrektorze”. Prawdę powiedziawszy, nawet teraz nie znam jego pełnego nazwiska, ponieważ tyle było innych określeń jego osoby, czasami wulgarnych, czasami pełnych szacunku: stanowisko, aliasy, kryptonimy – całe tony! Wyglądało, że jego prawdziwe nazwisko jest zbędne, zresztą nie używał go od wieków; można było odnieść wrażenie, że postanowił się pozbyć tego balastu. Biorąc pod uwagę moją pozycję, zawsze zwracałem się do niego z szacunkiem: „Dyrektorze Zheng”.

Dyrektorze Zheng.

Dyrektorze Zheng...

Pozwólcie, że zdradzę wam sekret dyrektora Zhenga: miał siedem numerów telefonicznych. Miał tyle numerów telefonicznych, ile imion! Mnie podał dwa, powiem szczerze, że aż nadto. Jeden był do jego sekretarki i tam telefon odbierano od razu. Generalnie znaczyło to, że mogłem zawsze powiadomić dyrektora Zhenga, iż chcę z nim rozmawiać, chociaż on niekoniecznie brał za słuchawkę i oddzwaniał – to w dużej mierze była kwestia szczęścia.

Po wywiadzie z Mistrzem Rong zadzwoniłem na oba numery. W pierwszym przypadku nikt nie odebrał, w drugim powiedziano mi, żebym chwilę poczekał, czyli tamtego dnia miałem szczęście. Dyrektor Zheng zapytał, w jakiej sprawie dzwonię. Odparłem, że nawet teraz ludzie z uniwersytetu sądzą, iż Rong Jinzhen odegrał kluczową rolę w zbudowaniu naszej pierwszej bomby atomowej. Spytał, o co właściwie mi chodzi. Wyjaśniłem, że chociaż Rong Jinzhen dokonał wielkich rzeczy w służbie dla kraju, skazany jest na pozostanie nieznanym bohaterem,

ponieważ wykonywał pracę tajną. Z drugiej zaś strony właśnie dlatego, że miała klauzulę tajności, ludzie wyobrażają sobie, iż dokonał rzeczy większych niż w rzeczywistości – przypisują mu istotną rolę w programie atomowym. W tym miejscu przerwał mi wybuch wściekłości na drugim końcu linii.

– Cholera, o czym pan właściwie opowiada?! – krzyknął dyrektor Zheng. – Naprawdę pan myśli, że można wygrać wojnę, nie dysponując niczym innym poza bronią atomową? Z Rongiem Jinzhenem mogliśmy wygrać właściwie każdą wojnę, którą mielibyśmy ochotę toczyć! Program atomowy był sposobem na demonstrację naszej siły, jak wpięcie kwiatu we włosy, żeby zwrócić na siebie uwagę otoczenia. Zadaniem Ronga Jinzhena była obserwacja ludzi – słyszał bicie serca innych w poszumach wiatru, dostrzegał najbardziej chronione sekrety. Jeśli znasz wroga i znasz siebie, wygrasz każdą bitwę. Dlatego też mówię, że z wojskowego punktu widzenia praca Ronga Jinzhena miała o wiele większe znaczenie praktyczne niż broń atomowa.

Rong Jinzhen był kryptografem.

### *Zapis rozmowy z dyrektorem Zhengiem*

Kryptografia polega na tym, że jeden geniusz usiłuje odkryć, co zrobił drugi, a rezultatem jest przerażająca rzeź. Aby odnieść sukces w tym tajemniczym i niebezpiecznym procesie, trzeba mieć do dyspozycji najwspanialsze umysły. Rzecz pozornie wydaje się bardzo łatwa: próbujesz odczytać tajne wiadomości ukryte w szeregach arabskich cyfr. To brzmi jak zabawa, jak gra, ale ta konkretna gra zrujnowała życie wielu mężczyznom i kobietom o niezwykłym intelekcie... Ten aspekt kryptografii robi największe wrażenie.

Jest także jej tragedią. W dziejach ludzkich przedsięwzięć najwięcej geniuszy pochłonęła kryptografia. Ujmując to inaczej: kiedy ginie jeden geniusz za drugim, kiedy ginie jedno pokolenie geniuszy za drugim, nam pozostają tylko szyfry. Skupiły wokół siebie tak wiele potężnych umysłów – nie po to, by ludzie ci pokazali, co potrafią, lecz po to, by cierpieli, by umierali. Nic dziwnego, że ludzie mówią, iż kryptografia jest niosącą najwięcej bólu profesją na świecie.

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Kiedy o świcie tamtego letniego dnia w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku Ronga Jinzhena na wpół śpiącego wpakowano do samochodu

i wywieziono z uniwersytetu, chłopak nie miał pojęcia, że arogancki mężczyzna, który siedzi obok niego, zmusi go do spędzenia reszty życia w boleśnie trudnym i sekretnym świecie kryptografii. Nie wiedział też, że jego towarzysz podróży, z którego inni studenci śmiali się i nazywali kaleką tańczącym w deszczu, w rzeczywistości był bardzo ważnym (acz tajemniczym) osobnikiem, szefem sekcji kryptografii Jednostki Specjalnej 701. Albo ujmijmy to inaczej: właśnie on miał być bezpośrednim przełożonym Ronga Jinzhena. Po przebyciu części drogi szef zdecydował, że porozmawia z nowym podwładnym, ale nie potrafił wydobyć z niego ani słowa; przyczyną chyba był smutek po rozstaniu z bliskimi. Jasne światła reflektorów przebijały ciemność i oświetlały szosę; jechali, pogrążeni w dziwnym i nieprzyjemnym nastroju.

O świcie samochód wyjechał poza granice miasta i skręcił na Narodową Autostradę XX, co bardzo przstraszyło Ronga Jinzhena. Zamaszyście kręcił głową. Pomyślał: „Czy nie powinienem zostać w mieście, przecież adres to skrytka pocztowa numer 36 w tutejszym urzędzie pocztowym, więc dlaczego jedziemy autostradą?”. Kiedy Kulawy Zheng zabrał go wczoraj po południu w celu skompletowania dokumentów związanych z przyjęciem go do pracy, samochód ciągle skręcał, nie wspominając już o tym, że na pełnych dziesięć minut kazali mu włożyć okulary przeciwsłoneczne, żeby nie widział drogi, ale mógłby przysiąc, że ani razu nie wyjechali poza granice miasta. Teraz samochód pędził autostradą i Jinzhen zrozumiał, że jadą gdzieś daleko. Zaintrygowany zapytał:

- Dokąd jedziemy?
- Do Jednostki.
- Gdzie to jest?
- Nie wiem.
- Daleko stąd?
- Nie wiem.
- Jedziemy do tego samego miejsca co wczoraj?
- Wiesz, gdzie byliśmy wczoraj?
- Jestem pewien, że to było gdzieś w mieście.
- Już naruszyłeś przysięgę, którą złożyłeś...
- Ale...
- Żadnych ale. Powtórz pierwszą część przysięgi!
- Dokądkolwiek idę, cokolwiek widzę i słyszę, są to informacje tajne i nie wolno mi z nikim się nimi dzielić.
- Na przyszłość lepiej o tym pamiętaj! Od tej chwili wszystko, co widzisz i słyszysz, jest supertajne...

Zapadła noc, a oni wciąż jechali. Rozrzucone światła w oddali sugerowały, że jest tam średniej wielkości miasto. Rong Jinzhen nie odrywał wzroku od okna, chciał wiedzieć, gdzie jest. Kulawy Zheng nalegał, żeby włożył okulary

przeciwsłoneczne. Kiedy pozwolono mu je zdjąć, jechali górską drogą pełną ostrych zakrętów. Po obu jej stronach były tylko lasy i łańcuchy górskie, nigdzie ani jednego drogowskazu czy innego znaku. Krętą, wąską drogę spowijała ciemność. Reflektory oświetlały mrok, snop światła wydawał się skupiony, utkwiony na drodze, czysty i jasny jak szperacz. Czasami Jinzhen miał wrażenie, że samochód nie porusza się dzięki silnikowi, ale do przodu ciągnie go światło. Jechali tak przez mniej więcej godzinę. Wreszcie daleko przed sobą Rong Jinzhen dostrzegł kilka jasnych plam na zboczu – to był cel ich podróży.

Na bramie nie widniał żaden napis. Mężczyzna, który ją otworzył, nie miał jednej ręki, a twarz przecinała mu wyraźna blizna, zaczynająca się od lewego ucha i biegnąca przez nos do prawego policzka. Na jego widok Rongowi Jinzhenowi od razu przypomniały się opowieści o piratach, które czytał w dzieciństwie. W majaczących w ciemności zabudowaniach panowała kompletna cisza. To także skojarzyło się mu ze średniowiecznymi zamkami, które odgrywały ważną rolę w zagranicznych baśniach. Z mroku wyłoniły się dwie postacie – wyglądały jak zjawy. Kiedy się zbliżyły, dostrzegł, że to kobieta i mężczyzna. Ona uścisnęła dłoń Kulawemu Zhengowi, mężczyzna zaś podszedł do samochodu i wyjmował bagaż Ronga Jinzhena.

Kulawy Zheng przedstawił Ronga Jinzhena kobiecie. Ten, przytłoczony strachem i poczuciem nieszczęścia, nie dosłyszał jej nazwiska, do jego świadomości dotarło tylko, że jest jakąś tam szefową wydziału i dyrektorem. Kulawy Zheng powiedział mu, że to baza szkoleniowa Jednostki 701. Nowi towarzysze przyjeżdżają tutaj po edukację polityczną i zawodową.

– Kiedy skończysz szkolenie, przyślę kogoś po ciebie. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo i wkrótce staniesz się pełnoprawnym członkiem Jednostki 701.

Po tych słowach wsiadł do samochodu i odjechał. Można by nawet pomyśleć, że jest handlarzem żywym towarem – dostarczył go do kupca, po czym bez cienia wahania umył ręce od sprawy.

Pewnego poranka trzy miesiące później, kiedy Rong Jinzhen wstał z łóżka, usłyszał warkot motocykla zatrzymującego się przed jego sypialnią. Po chwili ktoś zapukał do drzwi. Otworzył je i zobaczył na korytarzu młodego mężczyznę, który powiedział:

– Szef sekcji Zheng przysłał mnie, żebym cię zabrał. Przygotuj się.

Odjechali, ale nie w stronę głównej bramy, tylko w głąb kompleksu, prosto do jaskini. W istocie był tam ogromny i rozległy ośrodek, jeden korytarz prowadził do drugiego, jak w labiryncie. Po mniej więcej dziesięciu minutach zatrzymali się przed okrągłymi, obitymi stalą drzwiami. Kierowca zsiadł, wszedł do środka i po krótkiej chwili wrócił. Znowu jechali; dość szybko znaleźli się po drugiej stronie podziemnego kompleksu i przed oczami Ronga Jinzhena pojawiły się budynki dużo większe niż centrum szkoleniowe. Tutaj mieściła się tajemnicza i tajna

Jednostka Specjalna 701, to tutaj Rong Jinzhen miał spędzić resztę swojego życia. Jego praca będzie się toczyć daleko od stalowych drzwi, przed którymi zaledwie parę minut temu zatrzymał się motocykl. Tutejsi nazywali ten ciąg budynków Kompleksem Północnym, ośrodek szkoleniowy nosił nazwę Kompleksu Południowego. Kompleks Południowy był bramą do Kompleksu Północnego, a także punktem kontrolnym: całość przypominała otoczoną fosą cytadelę, gdzie dostać się można wyłącznie przez jeden most zwodzony. Osoba, która nie przeszła pozytywnie kontroli w Kompleksie Południowym, nie mogła nawet zerknąć na Kompleks Północny – most na zawsze pozostał dla niej podniesiony.

Motocyklista jechał dalej, wreszcie zatrzymał się przed budynkiem z czerwonej cegły całkowicie pokrytym pnączami. Cudowny zapach gotowanego jedzenia powiedział Rongowi Jinzhenowi, że to musi być kantyna. W środku przy posiłku siedział Kulawy Zheng; kiedy dostrzegł przez okno Jinzhena, wstał i wyszedł, w dłoni wciąż trzymając bułkę. Zaprosił go do środka.

Jeszcze nie jadł śniadania.

W sali jadalnej pełno było kobiet i mężczyzn w najróżniejszym wieku. Jedni w mundurach wojskowych, inni po cywilnemu, jeszcze inni w mundurach policyjnych. Podczas pobytu w ośrodku szkoleniowym Rong Jinzhen usiłował odkryć, jakiego rodzaju jest to jednostka. Jak jest zorganizowana? Należy do wojska czy do władz miejscowych? Patrząc teraz na salę, był zdezorientowany. Pomyślał: „To musi być jedna z wyjątkowych cech Jednostki Specjalnej. W gruncie rzeczy jakakolwiek jednostka specjalna, jakakolwiek tajna organizacja z natury musi się odznaczać wieloma niezwykłymi cechami. W swej istocie jest tajna. Tajność jest wszechobecna jak muzyka brzmiąca w powietrzu”.

Kulawy Zheng poprowadził go przez główną salę jadalną do oddzielnego pokoju. Stół był nakryty do śniadania, na które składały się jajka, mleko, bułeczki z farszem, zwykłe bułki i mnóstwo przekąsek.

– Siadaj – powiedział Kulawy Zheng.

Jinzhen usiadł i zaczął jeść.

– Popatrz na zewnątrz – polecił Kulawy Zheng. – Oni nie dostają takiego dobrego jedzenia jak ty, a do picia mają tylko kleik ryżowy.

Jinzhen uniósł głowę i popatrzył na salę: siedzący tam ludzie trzymali miski, ale on dostał kubek, w którym było mleko.

– Wiesz dlaczego? – zapytał Kulawy Zheng.

– Czy to rodzaj specjalnego powitania?

– Nie. Powodem jest to, że twoja praca jest o wiele ważniejsza niż ich.

I tak Rong Jinzhen rozpoczął pracę w dziedzinie, której miał poświęcić resztę życia: zajął się kryptografią. Aż do tej chwili nie wiedział jednak, że będzie przypisany do tej, w pewnym sensie bolesnej i oczywiście tajnej, profesji. W ośrodku szkoleniowym dostawał niezwykle polecenia, na przykład nauczyciele

żądali, by poznawał historię państwa X, jego geografię, stosunki zagraniczne, ludzi pełniących kluczowe rządowe stanowiska, wojskowe instalacje, możliwości obronne i tak dalej, musiał nawet czytać materiały dotyczące wielu wysokich rangą wojskowych i najważniejszych osób w państwie. To rozbudziło jego ciekawość, zadawał sobie pytanie, na czym będzie polegać jego praca. Najpierw myślał, że na badaniu tajnej broni, która w państwie X miała służyć do specjalnych celów wojskowych. Później doszedł do wniosku, że może dołączy do jakiegoś think tanku Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, powiedzmy jako sekretarz wysokiego oficera. Jeszcze później uznał, że chcą, by został wojskowym ekspertem, a potem przychodziły mu do głowy inne zawody, z których wszystkie były ekstremalne i jako takie trudne do zniesienia: instruktor wojskowy oddelegowany za granicę, attaché wojskowy przy ambasadzie, szpieg i tym podobne. Myślał o rozmaitych ważnych i niezwykłych zawodach, ale nigdy nie brał pod uwagę, że zostanie kryptografem.

To właściwie nie jest praca, ale konspiracja: pułapka zastawiona w konspiracji.

Prawdę powiedziawszy, na początku ludzie z Jednostki 701, w tamtym czasie mieszczącej się w dolinie górskiej w pobliżu przedmieść pewnego miasta w Chinach, nie do końca zdawali sobie sprawę, że Rong Jinzhen ma przed sobą wspaniałe perspektywy na przyszłość. A przynajmniej można stwierdzić, że jego praca nie robiła na nich wrażenia. Była to praca w samotności i trudna – odszyfrowywanie szyfrów, co prócz wyszkolenia, doświadczenia i geniuszu wymaga szczęścia, które pochodzi gdzieś spoza gwiazd. Ludzie z Jednostki 701 mówili, że istnieje wielkie prawdopodobieństwo złapania tego szczęścia, ale codziennie rano i wieczorem musisz wysoko podnosić ręce dokładnie o tej porze, gdy czarny dym wije się z grobów twoich przodków.

Po przyjeździe tutaj Rong Jinzhen tego nie rozumiał, a może po prostu go to nie obchodziło. Spędzał całe dnie na lekturze różnych książek, na przykład często trzymał nos w angielskojęzycznym wydaniu *Kompletnej księgi zagadek matematycznych* albo zszytych w jeden tom zniszczonych książkach z niewidocznymi tytułami. I prawie wcale się nie odzywał. Z usposobienia był samotnikiem (nie snobem czy arogantem), lecz nic z tego, co mówił, nie świadczyło o wyjątkowym intelekcie, nie okazywał też oznak geniuszu czy wielkich mocy twórczych. Ludzie zaczęli kwestionować jego zdolności i szczęście. A co gorsza, nikt nie wątpił w brak jego zainteresowania pracą, skoro zwykle widywano go z nosem w książkach o tematyce niezwiązanej z jego obowiązkami.

To był pierwszy znak, że nie pracuje ciężko, a kolejny pojawił się wkrótce. Pewnego popołudnia Rong Jinzhen po lunchu wyszedł z jadalni, jak zwykle wziął książkę i wybrał się na spacer po lesie. Nie korzystał z popołudniowej sjeisty, ale też nie pracował po godzinach, cały wolny czas spędzał na lekturze w jakimś cichym, ustronnym zakątku.

Północne skrzydło kompleksu zbudowano na zboczach góry. Pomiędzy zabudowaniami pozostały leśne zagajniki, a on upodobał sobie szczególnie jeden, sosnowy, a zarazem najbliższy, na prawo od głównego wejścia do jaskini, gdzie pracował. Drugim powodem wyboru tego miejsca na spacer był aromat sosen – przypominał lecznicze mydło. Nie wszyscy lubią zapach żywicy, on go uwielbiał i miało to chyba bliski związek z jego uzależnieniem od nikotyny, ponieważ odkąd zaczął regularnie chodzić po lesie, palił o wiele mniej.

Kiedy tamtego dnia wszedł między drzewa, usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Mężczyzna koło pięćdziesiątki skromnie i spokojnie zapytał go, czy potrafi grać w chińskie szachy; jego twarz rozjaśniał szczery i przymilny uśmiech. Jinzhen pokiwał głową, a tamten radośnie wyjął szachownicę i zapytał, czy

chciałby rozegrać partię. Rong Jinzhen nie miał na to ochoty, chciał czytać, ale czułby się źle, odmawiając temu sympatycznemu mężczyźnie, zachowałby się niegrzecznie, dlatego znów skinął głową. Chociaż minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni grał, miał niejaki doświadczenie nabyte w grach z Janem Liseiwiczem, którego mało kto potrafił pokonać. Nieznajomy nie należał do większości, obaj szybko uświadomili sobie, że przeciwnik jest dobrym graczem i wygrana nie będzie łatwym zadaniem. Później mężczyzna często przychodził, żeby grać w szachy. Pojawiał się popołudniami, wieczorami, czasem nawet z rozłożoną szachownicą czekał przy wejściu do jaskini albo koło drzwi jadalni, by mieć pewność, że spotka przechodzącego Ronga Jinzhena. A on czuł się niemal prześladowany, w dodatku wszyscy wiedzieli, że gra w szachy z wariatem.

Każdy członek Jednostki 701 słyszał o wariacie lubiącym grać w szachy. Przed wyzwoleniem był on wybitnym studentem na wydziale matematyki uniwersytetu Sun Yat-sen, a po dyplomie zwerbowała go armia Kuomintangu i wysłała do Indochin, gdzie pracował w ich jednostce kryptograficznej. Odnosił sukces, udało mu się złamać skomplikowany japoński szyfr, co rozślawiło go w świecie kryptografii. Później nie spodobała mu się decyzja Czang Kaj-szeka o wywołaniu w kraju drugiej wojny domowej, zdołał więc potajemnie opuścić wojsko i pod zmienionym nazwiskiem zatrudnił się jako brygadzysta w firmie elektrycznej w Szanghaju. Po wyzwoleniu szefostwo Jednostki 701 zadało sobie wiele trudu, by odkryć, co się z nim stało, po czym zaproponowano mu powrót. Złamał wiele średnio skomplikowanych szyfrów amerykańskich, przez co stał się najlepszym kryptografem, jakiego mieli. Dwa lata temu na nieszczęście zachorował na schizofrenię – z dnia na dzień zmienił się z powszechnie podziwianego bohatera w wariata, którego wszyscy się bali. Kiedy na kogoś się natykał, przeklinał go, wrzeszczał i czasami nawet bił. Ten rodzaj głębokiej schizofrenii, zwłaszcza gdy towarzyszą jej gwałtowne reakcje chorego (powszechnie znana jest jako schizofrenia paranoidalna), ma stosunkowo wysoki procent wyleczeń. Ponieważ jednak człowiek ów znał zbyt wiele ważnych tajemnic, nikt nie ośmielił się złożyć swego podpisu pod rozkazem wysłania go do szpitala i leczono go w klinice przy Jednostce 701. Tutejsi lekarze nie byli jednak psychiatrami, sprowadzono więc ekspertów z zewnątrz, którzy pośpiesznie przekazali im informacje o metodach terapii, i skutek nie był najlepszy. Lekarzom udało się go uspokoić, ale wszystko to zaszło o wiele za daleko, poza obsesją na punkcie szachów o niczym innym nie myślał. Ze stanu schizofrenii paranoidalnej przeszedł w stan schizofrenii katatonicznej.

Prawdą jest, że nie umiał grać w szachy chińskie, dopóki nie zachorował, aczkolwiek ze szpitala wyszedł jako bardzo dobry gracz. Zasad nauczył się od jednego z lekarzy. Według tego, co później stwierdzili eksperci, lekarz wprowadził go w tajniki szachów chińskich na zbyt wczesnym etapie. Jak



powiedział jeden z nich, kiedy ktoś umiera z głodu, nie można od razu podać mu pełnego posiłku. W przypadku takim jak ten, gdy pacjent dopiero rozpoczyna rekonwalescencję, nie powinien koncentrować całego umysłu na jednym przedmiocie, a jeśli tak się stanie, niewykluczone, że w późniejszym okresie nie będzie mógł od niego oderwać myśli. Oczywiście lekarz nie musiał się znać na leczeniu problemów psychicznych, a co więcej, był on wielbicielem szachów chińskich i często rozgrywał partyjki z pacjentami. Kiedy pewnego dnia uświadomił sobie, że schizofrenik wydaje się rozumieć poruszenia pionków na szachownicy, pomyślał, że to może oznaka zdrowienia, i dlatego z nim też zaczął grać. Wierzył, że wspiera proces leczenia, choć w rzeczywistości zakończyło się to katastrofą: zamienił wielkiego kryptografa, który mógł odzyskać pełnię władz psychicznych, w opętanego szachistę.

Krótko mówiąc, była to porażka opieki medycznej w Jednostce 701, ale jaki mieli wybór? Tak się składa, że ludzie muszą brnąć przez życie – jeśli sprawy układają się dobrze, to dlatego, że sprzyja im szczęście, a jeśli źle, kogo właściwie mają obwiniać? Nie można na nikogo zwalić winy. Jeśli w tym przypadku chcecie kogoś obwinić, to obwiniajcie pracę tego nieszczęśnika; znał zbyt wiele tajemnic, zbyt wiele supertajnych informacji i to zdecydowało, że spędzi resztę życia zamknięty w górskiej dolinie, upośledzony na umyśle. Ludzie mówili, że kiedy grał w szachy chińskie, można było dostrzec, jaki przed chorobą musiał być inteligentny, ale potem miał IQ takie jak pies. Jeśli na niego krzyknęłaś, uciekał, jeśli się uśmiechnęłaś, posłusznie wykonywał twoje rozkazy. Nie miał nic do roboty, włóczył się więc po terenie Jednostki 701 całymi dniami jak biedna, zagubiona duszyczka.

Teraz ta zagubiona duszyczka odnalazła Ronga Jinzhena.

Rong Jinzhen nie próbował jak inni go odpędzić.

A pozbycie się go było bardzo łatwe, wystarczyło tylko kilka razy ostro na niego krzyknąć. Rong Jinzhen tego nie robił, nie unikał go, nawet nie patrzył na niego gniewnie. Traktował tak samo jak wszystkich ludzi, ani serdecznie, ani chłodno, po prostu tak, jakby w gruncie rzeczy człowiek ten niewiele go obchodził. Z tego też powodu szaleniec ciągle go szukał, nie chciał odejść, tylko grać w szachy.

Kolejna partia!

I następna!

Nikt tak naprawdę nie wiedział, czy Rong Jinzhen gra z szaleńcem, bo mu współczuje, czy też dlatego, że podziwia jego umiejętności. Powód zresztą był bez znaczenia, kryptograf bowiem nie ma czasu na szachy. Pierwszą przyczyną, dla której szaleniec postradał zmysły, była jego obsesja na punkcie szyfrów – wpędziły go w obłąd; wyobraźmy sobie balon, który będziemy ciągle pompować – w końcu pęknie. Kiedy ludzie widzieli Ronga Jinzhena marnującego czas na szachy, chociaż

powinien był koncentrować się na kryptografii, dochodzili do wniosku, że albo w gruncie rzeczy nie chce wykonywać takiej pracy, albo jest kolejnym wariatem, który sobie myśli, że złamie wszystkie szyfry świata, przesuwając pionki po szachownicy.

    Nie chciał pracować czy nie potrafił?

    Wkrótce mieli otrzymać coś, co wyglądało na żelazny dowód, że Rong Jinzhen należy do pierwszej kategorii. Dowód ów przybrał kształt listu od Jana Liseiwicza.

Kiedy przed siedmiu laty profesor Jan Liseiwicz z rodziną i krewnymi żony wyjechał do państwa X, z całą pewnością nawet nie przypuszczał, że pewnego dnia będzie zmuszony przywieźć tych cholernych ludzi z powrotem. Prawdą jest, że nie miał wyboru: żadne targi nie wchodziły w grę. Kiedy wyjeżdżali, jego teściowa cieszyła się doskonałym zdrowiem, ale z powodu przenosin do obcego kraju i rosnącej tęsknoty za domem jej kondycja szybko się pogorszyła. Kiedy pojęła, że przypuszczalnie umrze z dala od ojczyzny, oznajmiła z taką siłą, z jaką kiedykolwiek uczynił to stary Chińczyk, że chce wrócić do domu.

Gdzie był jej dom?

W Chinach!

Połowa arsenału państwa X została wycelowana w Chiny!

Jak pewnie zrozumiecie, żądania teściowej nie były łatwe do spełnienia. Prawdę mówiąc, Jan Liseiwicz odmówił nawet ich rozważenia. Wtedy jednak jego teść ujawnił swoje oblicze szaleńca: przystawił sobie nóż do gardła i zagroził, że popełni samobójstwo. Liseiwicz pojął, że znalazł się w straszliwej pułapce, nie miał innego wyjścia, niż spełnić żądanie starego drania. Jasne, że teść posunął się do ostateczności – gotów był zaryzykować własne życie – ponieważ pewnego dnia zamierzał zażądać tego samego, czego teraz żądała jego żona. Nóż przystawiony do gardła mówił zięciowi, że jeśli przeżycie miałoby oznaczać, iż starzec jest skazany na śmierć na obcej ziemi, to raczej od razu się zabije, dzięki czemu będzie mógł być pochowany z żoną w Chinach!

Jan Liseiwicz nie potrafił zrozumieć dziwnej determinacji starego chińskiego dżentelmena, lecz to akurat było nieistotne. Kiedy ostrze noża leży na gardle i zaraz może płać się krew, jakie znaczenie ma to, czy rozumiesz, czy nie? Nie masz wyboru, musisz zrobić, czego chce desperat; nawet jeśli tego nie rozumiesz, jeśli jest to dla ciebie straszne, musisz zrobić, a co więcej, zrobić osobiście. Biorąc pod uwagę ciągły napór propagandy, pod którym wtedy żyli, jego rodzina (także żona) obawiała się, że Liseiwicz nie powróci żywy. Mimo wszystko tamtej wiosny Jan Liseiwicz zabrał schorowaną teściową do jej rodzinnego miasteczka; podróżowali samolotem, pociągiem i wreszcie samochodem.

Opowiadają, że kiedy staruszkę wniesiono do wynajętego samochodu, który miał ją zawieźć w rodzinne strony, ta, usłyszawszy kierowcę przemawiającego ze znajomym akcentem, wpierw szeroko otworzyła oczy, a potem spokojnie na zawsze je zamknęła. Co to znaczy, gdy powiadają, że życie wisi na włosku? Właśnie to. W tym wypadku głos kierowcy był niczym nóż. Ostrze spadło, a nić jej życia porwał wiatr.

Trasa tamtej podróży Jana Liseiwicza wiodła przez miasto C. Nie znaczy, że mógł odwiedzić Uniwersytet N. Całą drogę musiał spełniać surowe warunki – nie wiem, czy restrykcje narzucili Chińczycy, czy państwo X, w każdym razie wszędzie towarzyszyli mu dwaj strażnicy, jeden z Chin, drugi z państwa X. Zdawało się, że ta trójka jest ze sobą związana sznurem – wlekli Liseiwicza między sobą. To, dokąd się udawał i jak szybko tam docierał, zależało wyłącznie od nich, jakby mieli do czynienia z robotem, a może z jakimś rodzajem skarbu narodowego. A przecież był tylko matematykiem, w każdym razie tak napisano w jego paszporcie. Te okoliczności jego pobytu, jak wynika z relacji Mistrza Rong, zostały wymuszone sytuacją historyczną...

#### Zapis wywiadu z Mistrzem Rong

Wiesz, jakie stosunki łączyły nasz kraj z państwem X w tamtym okresie: ani śladu dobrych intencji, otwarta wrogość. Najdrobniejszy ruch każdej ze stron traktowano jako dowód agresywnych zamiarów. Nigdy w głowie by mi nie postało, że pozwolą Janowi Liseiwiczowi wrócić, a co dopiero, że przyjedzie do miasta C po to tylko, by się dowiedzieć, że nie wolno mu się zbliżyć do Uniwersytetu N. To znaczyło, że muszę odwiedzić go w hotelu. Spotkanie z nim było jak widzenie z przestępcą w więziennej celi. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, a obok każdego z nas po obu stronach siedział człowiek, uważnie słuchał i notował nasze słowa, zdania musieliśmy wypowiadać wyraźnie, żeby ci czterej dobrze nas słyszeli. Dzięki Bogu wszyscy byli dwujęzyczni, w przeciwnym razie nie moglibyśmy nawet otworzyć ust, momentalnie zostalibyśmy uznani za szpiegów albo tajnych agentów; cokolwiek byśmy powiedzieli, wzięto by za przekazywanie informacji. Gdy Chińczycy spotykali kogoś z państwa X, nie traktowali go jak człowieka – to był diabeł, nasz najbardziej znienawidzony wróg, najmniejszy drobiazg mógł być świadectwem złych zamiarów, wywołując złość i w konsekwencji skazanie na śmierć.

W rzeczywistości Jan Liseiwicz nie chciał widzieć się ze mną, ale z Zhendim. Jak wiesz, w tamtym czasie Zhendi opuścił Uniwersytet N i wyjechał Bóg wie gdzie. Ja nie mogłam się z nim spotkać, a co dopiero profesor Liseiwicz. Kiedy się o tym przekonał, postanowił, że porozmawia ze mną; nie wątpiłam, iż miał nadzieję dowiedzieć się, co się stało z Zhendim. To było proste i oczywiste: przestał pracować nad sztuczną inteligencją i wyjechał zajmować się czymś innym. Zaskoczyła mnie reakcja Liseiwicza – był przerażony. Zapomniał języka w gębie, a po długiej ciszy wypluł tylko jedno słowo: „Straszne!”. Tak się rozgniewał, że aż poczerwieniał i po prostu nie potrafił usiedzieć na miejscu. Krążąc po pokoju, rozwodził się nad niezwykłymi rezultatami, które Zhendi uzyskał w pracy nad

sztuczną inteligencją, i nad jeszcze wspanialszymi, do jakich by doszedł, gdyby pozwolono mu kontynuować pracę.

„Czytałem kilka artykułów, był ich współautorem. W tej dziedzinie już osiągnęli poziom międzynarodowy. Żeby w połowie drogi rezygnować... to okropne!”

„Czasami sprawy nie układają się tak, jak człowiek by sobie życzył...”

„Czy Jinzhena zwerbowała instytucja rządowa?”

„W sumie tak”.

„Do jakiej pracy?”

„Nie wiem”.

On wypytywał, ja odpowiadałam, że nie wiem. Wreszcie powiedział: „Jeśli słusznie się domyślam, Jinzhen pracuje teraz dla supertajnej jednostki?”.

„Nie wiem”.

To była prawda.

Do dzisiaj nie wiem, w jakiej jednostce Zhendi pracował, gdzie był, co robił. Może ty wiesz, choć nie spodziewam się, że mi powiesz. Dla mnie to tajemnica Zhendiego, ale nade wszystko tajemnica państwowa. Każdy kraj, każda armia ma swoje tajemnice: tajne organizacje, tajną broń, tajnych agentów, tajne... Jest tego zbyt wiele, by wszystko wymienić. Jak kraj mógłby przetrwać bez tajemnic? Pewnie niemożliwe. Jak w przypadku góry lodowej – gdyby nie miała części ukrytej pod wodą, jak zdołałaby przetrwać?

Czasami myślę, że to bardzo nie w porządku prosić kogoś, by przez dziesiątki lat, a niewykluczone, że i przez całe życie trzymał jakąś sprawę w tajemnicy nawet przed najbliższymi krewnymi. Ale w przeciwnym razie może kraj by nie przetrwał albo przynajmniej znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. To także byłoby nie w porządku. W moim rozumieniu druga ewentualność przeważa nad pierwszą. Tego zdania jestem od wielu lat. Tylko dzięki takiemu przekonaniu czuję, że mogę zrozumieć decyzje podjęte przez Zhendiego. Inaczej moje życie z Zhendim wyglądałoby jak sen, rojenia na jawie,

sen na jawie, sen we śnie, długi i dziwny sen, z którego tłumaczeniem nawet on, tak świetnie interpretujący to, co inni ludzie widzieli w marzeniach sennych, miałby kłopoty...

*Koniec*

Podczas spotkania z Mistrzem Rong Jan Liseiwicz nalegał, by powiedziała Zhendiemu, że jeśli taka ewentualność jest możliwa, powinien zignorować wszystkie inne pokusy i wrócić do pracy nad sztuczną inteligencją. Kiedy się pożegnali, odprowadzał wzrokiem Mistrza Rong. Nagle postanowił, że sam napisze do Jinzhena. Uprzytomnił sobie, że nie wie, jak się z nim skontaktować, krzyknął więc za Mistrzem Rong i poprosił o adres. Podała go, uprzednio uzyskawszy od towarzyszących jej ludzi zgodę. Tamtego wieczoru Liseiwicz napisał krótki list do Jinzhena. Pokazał go dwóm swoim strażnikom, z państwa X i Chin, a kiedy dostał pozwolenie, wrzucił kopertę do skrzynki pocztowej.

List dotarł do Jednostki 701 normalną drogą. To, czy Jinzhenowi wolno będzie go przeczytać, zależało wyłącznie od zawartości. W ściśle tajnej instytucji partia sprawdzała nawet korespondencję osobistą – to tylko jeden z wielu względów, pod którymi ta jednostka była wyjątkowa. Tak czy owak, kiedy cenzorzy otworzyli list Liseiwicza, byli kompletnie zbici z tropu, ponieważ nadawca napisał go po angielsku. Już to wystarczyło, by obudzić ich czujność i bardzo poważnie potraktować treść. Natychmiast zdali raport przełożonemu, który zażądał przekładu od stosownych władz.

Oryginalny tekst zajmował całą kartkę, ale kiedy przetłumaczono go na chiński, zmieścił się w kilku liniijkach.

Drogi Jinzhenie,

wróciłem do Chin na życzenie mojej teściowej, dlatego teraz przebywam w stolicy prowincji. Powiedziano mi, że opuściłeś uniwersytet i zajmujesz się inną pracą. Nie wiem, co robisz, chociaż z poziomu tajności, jakiej podlegasz (dotyczy to także adresu), wnioskuję, że jesteś członkiem ściśle tajnej jednostki, podobnie jak ja przed dwudziestu laty. Ze współczucia i miłości do swojego narodu dwadzieścia lat temu popełniłem straszny błąd i zgodziłem się na misję, którą powierzyło mi pewne państwo [zważywszy, że Jinzhen był Żydem, zapewne mówił o Izraelu]. Można powiedzieć, że ta misja zrujnowała mi życie. Biorąc pod uwagę własne doświadczenia i to, co o Tobie wiem, Twoje obecne położenie bardzo mnie martwi. Odznaczasz się niezwykle wnikliwym intelektem, ale też bardzo kruchym;

okoliczności, w których jesteś poddany zewnętrznym naciskom i kontroli, mogą skończyć się dla Ciebie katastrofą. Już osiągnąłeś imponujące rezultaty w badaniach nad sztuczną inteligencją; jeśli będziesz je kontynuował, nie wątpię, że czeka Cię wielka sława i chwała! Nie powinieneś pozwolić, by skierowano Cię na inną drogę. Mam nadzieję, o ile to możliwe, że posłuchasz mojej rady i wrócisz do swojej pierwotnej pracy!

Jan Liseiwicz

13 marca 1957

Hotel Przyjaźń w stolicy prowincji

Nie ulegało wątpliwości, że treść listu związana była ze sposobem, w jaki Rong Jinzhen zareagował na zwerbowanie go do Jednostki 701. Wtedy też ludzie (a w każdym razie dyrektorzy odpowiednich projektów) bez najmniejszego trudu zrozumieli, dlaczego Rong Jinzhen wydaje się taki niechętny pracy. Oto ktoś radził mu, by wrócił do swojej poprzedniej dziedziny. I to kto, zagraniczny profesor Jan Liseiwicz!

Jak się okazało, z powodu „niezdrowych treści” nie udzielono Rongowi Jinzhenowi pozwolenia na przeczytanie tego listu. To była zasada obowiązująca w Jednostce 701: nie zadawaj zakazanych pytań, nie dyskutuj na zakazane tematy, nie próbuj odkrywać zakazanych informacji. Z punktu widzenia partii im mniej podobnych listów przychodziło, tym lepiej – tylko powodowały kłopoty. Partia i tak musiała ukrywać zbyt wiele spraw przed narodem.

Tylko że ta prosta metoda usuwania problemów okazała się nieskuteczna w przypadku Ronga Jinzhena. Miesiąc później do komórki cenzury wpłynął kolejny list do niego. Tym razem przebył całą drogę z państwa X. Państwo X – cóż za delikatna sprawa! Ten także był po angielsku. Z podpisu wynikało, że to następna wiadomość od Jana Liseiwicza, o wiele dłuższa od poprzedniej. Teraz także próbował przekonać Jinzhena, by wrócił do poprzednich badań, i wyrażał jeszcze większy żal, że jego uczeń zrezygnował w połowie drogi. Rozpoczął od omówienia artykułów o najnowszych postępach w pracach nad sztuczną inteligencją, które ukazały się w czasopiśmie matematycznych, później jednak (jakby wracając do głównego tematu listu) wyznał:

„To sen sprawił, że postanowiłem do Ciebie napisać. Prawdę mówiąc, przez ostatnie dni zastanawiałem się, co teraz robisz i jaką nagrodę Ci zaoferowano (czy jaką presję na Ciebie wywarto), że podjąłeś równie niepokojącą decyzję. Zeszłej nocy pojawiłeś się w moim śnie i powiedziałeś, że pracujesz dla ściśle tajnej jednostki w swoim kraju i zostałeś kryptografem. Nie wiem, dlaczego przyśnił mi się ten sen; nie mam ani wiedzy, ani doświadczenia, by interpretować to, czego doświadczam w śnie, i odnosić do rzeczywistych wypadków – może to był tylko sen i nie ma żadnego znaczenia. Mam nadzieję, że to rzeczywiście był tylko sen! A z drugiej strony wierzę, że ten sen odzwierciedla moje nadzieje i obawy związane z Tobą – martwię się, że Twój geniusz przyciągnął niewłaściwy rodzaj uwagi i zamierzają zmusić Cię do wykonywania tej pracy. Cokolwiek się zdarzy, nie możesz się zgodzić. Dlaczego to mówię? Z dwóch przyczyn:

## **I NATURA KRYPTOGRAFII**

W obecnych czasach wielu matematyków zaangażowało się w kryptografię,



dlatego też niektórzy utrzymują, że to pełnoprawna nauka. W rezultacie dużo osób rozpoczęło działalność w tej dziedzinie, a zdarzało się, że oddały przy tym życie. Nic, czego dokonali, nie zdołało zmienić mojej opinii o szyfrach: z mojego doświadczenia wynika, że niezależnie od tego, czy mowa jest o tworzeniu szyfrów, czy też o ich łamaniu, są one fundamentalnie antynaukowe i antyintelektualne: to trucizna, którą ludzkość wynalazła, by zniszczyć naukę, i spisek przeciwko ludziom, którzy nad szyframi pracują. Potrzeba inteligencji, by zajmować się kryptografią, ale to inteligencja diabelska; każdy twój sukces zmusza innych do większej nikczemnej kreatywności, jeszcze większej przebiegłości. Szyfry to rodzaj ukrytej broni, ale nie ma sensu wygrywać takich bitew, ponieważ nic się przez to nie osiąga.

## II TWÓJ CHARAKTER

Jak pisałem wcześniej, masz niezwykle wrażliwy, ale też kruchy intelekt oraz skłonność do obsesji: to klasyczne atrybuty doskonałego naukowca, równocześnie jednak dowodzą, że absolutnie nie nadajesz się do kryptografii. Ścisłe tajna praca wiąże się z wielką presją, musisz podporządkować swoją osobowość i wymagania wymaganiom tego zajęcia – myślisz, że potrafisz to zrobić? Jestem przekonany, że nie, ponieważ jesteś zbyt kruchy, a zarazem uparty jak osioł – jednym słowem za mało elastyczny. Jeśli nie będziesz uważał, ta praca Cię złamie! Powinieneś wiedzieć, w jakich okolicznościach ludzie rozwijają swoje idee. Dzieje się to wtedy, kiedy są odprężeni, kiedy są wolni i mogą pozwolić błędzić myślom, kiedy nikt niczego od nich nie wymaga. Ale od chwili gdy wchodzisz w świat kryptografii, jesteś bardzo ograniczony, twoje czyny są drobiazgowo kontrolowane w interesie bezpieczeństwa narodowego – znajdujesz się pod ciągłą presją. Istotną staje się odpowiedź na pytanie, gdzie jest twój kraj. Często pytam o to siebie. Czy moim krajem jest Polska? Izrael? Anglia? Szwajcaria? Chiny? Albo X?

Teraz wreszcie pojąłem, że kiedy ludzie mówią o „swoim kraju”, mają na myśli krewnych, przyjaciół, język, most, przez który przechodzą w drodze do pracy, strumyk za ich domem, lasy, ścieżki, łagodny wiatr wiejący z zachodu, granie cykad, świetliki nocą i tak dalej – to nie jest połąć ziemi wewnątrz ustalonych granic, cel partii nacjonalistycznej ani przedmiot uwielbienia demagoga. Prawdę mówiąc, mam wielki szacunek dla kraju, w którym żyjesz, ponieważ spędziłem w nim najszczęśliwsze lata życia. Władam chińskim, mam tam wielu krewnych i przyjaciół, niestety część już nie żyje. Dzięki tym ludziom,

żyjącym i martwym, mnóstwo moich wspomnień nierozzerwalnie wiąże się z Chinami. Można powiedzieć, że pod wieloma względami Twój kraj to także mój kraj, co jednak nie znaczy, że chcę sam siebie oszukać ani że zamierzam Cię okłamać. Gdybym Ci o tym wszystkim nie powiedział, gdybym nie wskazał ograniczeń związanych z Twoim obecnym położeniem oraz niebezpieczeństw, na które się natkniesz, wtedy istotnie bym Cię okłamywał”.

Liseiwicz czuł, że tymi wynurzeniami spalił za sobą mosty, ponieważ w niecały miesiąc później przysłał trzeci list. Tym razem był bardzo zły i narzekał, ponieważ Jinzhen mu nie odpisał. Miał własne zdanie w tej kwestii:

„Skoro nie odpisałeś, to znaczy, że istotnie się tym zajmujesz – łamiesz szyfry!”.

Jego tok rozumowania łatwo było pojąć: milczenie = zgoda = przyznanie się. Później, z trudem próbując określić swoje emocje, dość szczegółowo wyjaśnił bieg swoich myśli:

„Nie wiem dlaczego, ale zawsze kiedy o Tobie myślę, mam wrażenie, jakby ktoś przepuszczał moje serce przez wyżymaczkę – czuję się całkowicie bezradny. Każdy ma w życiu sprawy, których żałuje, może w moim Ty nią jesteś. Jinzhenie, drogi Jinzhenie, co sprawiło, że tak się o Ciebie martwię? Proszę, powiedz, że nie pracujesz jako kryptograf – tak się niepokoję, że mam przez to koszmary. Twój geniusz, tematy badań, które wybierałeś, Twoje długie milczenie – wszystko to sprawia, że ze strachem myślę, iż mój sen jednak mówił prawdę. Szyfry są przekłete! Niezwykle poufne, zamykają w mocnym uścisku ludzi, którzy mieli z nimi styczność – to wyrok więzienia, tak samo mogą człowieka rzucić na dno mrocznej otchłani i zapomnieć o nim! Drogi Jinzhenie, jeżeli to prawda, musisz mnie wysłuchać: jeśli masz możliwość zawrócenia z tej drogi, skorzystaj z niej! Jeśli dostaniesz najdrobniejszą szansę, nie wahaj się, tylko z niej skorzystaj! A jeśli powrót nie wchodzi w rachubę, zapamiętaj moją radę: pracuj nad każdym szyfrem, który każe Ci złamać, ale nigdy, pod żadnym pozorem, nie zbliżaj się do PURPLE!”.

PURPLE był najtrudniejszym szyfrem, jaki Jednostka 701 dostała do rozpracowania. Plotka głosiła, że jakaś organizacja religijna poświęciła mnóstwo pieniędzy (nie mówiąc już o uciekaniu się do metod gangsterskich), by groźbami i pochlebstwami zmusić pewnego matematyka do stworzenia dla nich tego szyfru. Kiedy go ukończył, okazało się, że wymaga wielu kroków proceduralnych, że jest bardzo trudny, że w głównej metodzie szyfrowania zawarto kolejne szyfry wewnętrzne, że jest cholernie skomplikowany, tajemniczy i nieprzenikniony i że nowi właściciele nie mieli pojęcia, jak z niego korzystać, więc sprzedali go państwu X. W tamtym momencie był to najwyższy poziom szyfrowania używany przez wojsko państwa X, a co oczywiste, Jednostce 701 najbardziej zależało, żeby go złamać. Przez ostatnich kilka lat geniusze w wydziale kryptografii Jednostki 701 robili, co mogli, ciężko harowali, bardzo cierpieli, myśleli tylko o tym, na jawie i we śnie, a jedynym rezultatem był coraz większy strach przed PURPLE. Faktem jest, że szaleniec zwariował podczas pracy nad tym szyfrem. Albo ujmując to inaczej, szaleńcowi zdrowe zmysły odebrał tamten anonimowy matematyk, twórca PURPLE. Tym, którzy uniknęli jego losu, udało się to nie dlatego, że okazali się silniejsi psychicznie, lecz dlatego, że byli za bardzo tchórzliwi – a może stwierdzić należy, że zbyt sprytni, by zabierać się do PURPLE. Przewidzieli rezultaty końcowe, można więc powiedzieć, że odmowa pracy była oznaką ich zdrowia psychicznego. Tego szyfru pułapki, czarnej dziury każdy, komu wystarczało rozsądku, unikał jak zarazy. Jedyny, który podjął ryzyko, żeby spróbować, oszalał i to sprawiło, że inni stali się jeszcze ostrożniejsi, jeszcze bardziej utwierdzeni w przekonaniu, że należy obchodzić szyfr szerokim łukiem. Wziąwszy pod uwagę, co Jednostka 701 już przeszła, próbując złamać PURPLE, wszyscy rozpaczliwie pragnęli go złamać, a równocześnie absolutnie nie byli w stanie tego zrobić.

A teraz Jan Liseiwicz przestrzega Ronga Jinzhena, żeby nie zbliżał się do PURPLE. Z jednej strony świadczyło to, że PURPLE istotnie jest bardzo trudny do odszyfrowania i gdyby Liseiwicz sam spróbował, nic by nie osiągnął, z drugiej zaś – nie ulegało wątpliwości, że musiał mieć niejakie pojęcie o budowie tego szyfru. Z listów wynikało, że łączyła go z Jinzhenem niezwykle bliska więź. Gdyby udało się jakoś wykorzystać ich relacje, może byłby to sposób na wydobycie od niego przydatnych informacji. Tak więc wysłano do Jana Liseiwicza list podpisany imieniem Jinzhena.

List został napisany na maszynie, tylko podpis skreślono ręcznie. Wyglądał na podpis Ronga Jinzhena, ale został sfałszowany. Jak widać, przynajmniej w tej sprawie partia wykorzystwała Ronga Jinzhena. Celem listu do Liseiwicza było zdobycie informacji o PURPLE, pomocnej w złamaniu szyfru. Dlaczego mieliby

informować Jinzhena o tym, co się dzieje, skoro spędzał całe dni na czytaniu powieści i grze w szachy z szaleńcem, zamiast zajmować się pracą? Poza tym gdyby pozwolili mu osobiście napisać list, niekoniecznie byłby tak dobry jak ten, który przygotowali. Nad pierwszą wersją pracowało pięciu ekspertów, a ostateczną przed wysłaniem zaakceptowało trzech dyrektorów. Sedno przesłania, wyrażone w niezwykle szczerych i pełnych szacunku zwrotach, było proste: „Dlaczego nie powinienem łamać PURPLE?”.

Jak widać, szacunek i szczerść poskutkowały, ponieważ Liseiwicz odpowiedział bardzo szybko; list wypełniały przekazywane z serca rady.

Zaczął od lamentu, że jego sen okazał się prawdziwy, i od zrugania Jinzhena za to, że postąpił głupio, wchodząc na tę drogę. Widział w tym oznakę niesprawiedliwości losu. Dalej pisał:

„Czuję nieprzepartą pokusę zdradzenia Ci mojego sekretu, choć nie rozumiem, skąd się wzięła. Może kiedy wyślę list, będę tego żałował. Złożyłem przysięgę, że nikomu nie ujawnię tajemnicy, ale muszę to zrobić dla Twojego dobra”.

Co to za tajemnica?

Liseiwicz wyjaśnił, że zimą tamtego roku, kiedy przywiózł na uniwersytet dwie skrzynie książek, zamierzał rozpocząć pracę nad sztuczną inteligencją. Jednakże wiosną złożyła mu wizytę ważna osoba z nowo utworzonego państwa Izrael. Osoba ta powiedziała: „Naród żydowski od dawna marzył o własnej ojczyźnie, teraz jednak stoimy przed potężnymi problemami. Czy jesteś gotów patrzeć, jak twój lud cierpi bardziej niż dotychczas?”. Liseiwicz odrzekł: „Oczywiście, że nie”. „W takim razie mam nadzieję, że coś dla nas zrobisz”. „Co takiego?”, zapytał Liseiwicz.

W liście pisał: „Chcieli, żebym dla rządu Izraela odszyfrował wojskowe szyfry używane przez sąsiednie państwa. Przez następnych kilka lat tym się zajmowałem”. To musi być sprawa, o której Liseiwicz wspomniał w liście pozostawionym dla Młodego Lilliego, kiedy z rodziną wyjechał do X: „Przez ostatnich kilka lat pracowałem dla nich nad bardzo ważną rzeczą – głęboko mnie poruszyły problemy, przed którymi stali i stoją, ich nadzieje na przyszłość; ze względu na nich zrezygnowałem z od dawna hołubionych ambicji”. Teraz pisał: „Miałem wielkie szczęście. Kiedy mnie zatrudnili, udało mi się bez większych trudności złamać całkiem dużo średnio skomplikowanych i kilka bardzo skomplikowanych szyfrów używanych przez kraje ościennie. Szybko też w świecie

kryptografii zyskałem taką sławę, jaką cieszyłem się w świecie matematyki”.

To rzucało światło na następne wydarzenia. Tłumaczyło, dlaczego państwo X z taką determinacją chciało za wszelką cenę mieć go u siebie, dlaczego umożliwiło wyjazd całej jego rodzinie – liczyli, że będą mogli wykorzystać jego zdolności kryptograficzne. Kiedy jednak zamieszkał w państwie X, sprawy potoczyły się zupełnie inaczej, niż Liseiwicz mógł sobie wyobrazić. Jak pisał:

„W najśmielszych snach nie przyszłoby mi do głowy, że tak im na mnie zależy nie dlatego, że chcą, bym łamał szyfry wrogów, ale dlatego, bym złamał jeden z ich szyfrów: PURPLE! Z pewnością nie muszę dodawać, że w chwili gdyby mi się to udało – może nawet w chwili gdybym choć zbliżył się do rozwiązania – szyfr uznano by za przestarzały. Moje wysiłki przesądzą o losie PURPLE. W istocie jestem sygnałem informującym państwo X o szansach wroga na złamanie PURPLE. Może powinienem być dumny; jak widać, uważają, że jeśli ja nie odszyfruję PURPLE, nikt inny tego nie dokona. Nie wiem dlaczego, może chodzi o to, że nie lubię roli, w jakiej mnie obsadzono, może dlatego, iż nie lubię ludzi, którzy twierdzą, że PURPLE nie da się złamać – niezależnie od powodu ze szczególną determinacją zasiadłem do pracy. Niestety, do dzisiaj nie znalazłem drogi, która by mnie do tego doprowadziła, dlatego powiadam Ci, nawet nie myśl o zajmowaniu się PURPLE”.

Ludzie czytający ten list dostrzegli, że charakter pisma i adres nadawcy były zupełnie inne niż w poprzednich listach, co znaczyło, że Liseiwicz doskonale zdawał sobie sprawę, jak niebezpieczne są jego działania – ten list mógł go kosztować oskarżenie o zdradę. Z treści jasno wynikało, jakim szczerym przywiązaniem darzy Jinzhena. Uznano, że istnieje możliwość wykorzystania tego uczucia, dlatego wysłano do Liseiwicza następny list, w którym fałszywy Jinzhen, bazując na sympatii profesora do dawnego studenta, próbował go skłonić do wyznań:

„Utraciłem swoją wolność. Jeśli chcę ją odzyskać, muszę złamać PURPLE... Jestem przekonany, że po tylu latach pracy nad tym szyfrem możesz udzielić mi kilku wskazówek, które poprowadzą mnie przez labirynt... Nie mam żadnego doświadczenia w takiej pracy, potrzebuję rad, każda będzie przydatna... Drogi profesorze Liseiwicz, przeklinaj mnie, jeśli chcesz, opluj, spoliczkuj, czuję się jak Judasz”.

Oczywiście nie można było listu o takiej treści wysłać prosto do Jana Liseiwicza. Przekazano go najpierw towarzyszkowi w państwie X, który miał załatwić dostarczenie go drogą prywatną. Mimo to ludzie z Jednostki 701 nie wątpili, że dotrze do celu bezpiecznie; co do pytania, czy Liseiwicz odpowie, żadnej pewności mieć nie mogli. Ten Jinzhen – fałszywy Jinzhen – naprawdę był Judaszem; większość profesorów nie zwróciłaby najmniejszej uwagi na takiego studenta. Ujmując rzecz inaczej: przedstawiono fałszywego Jinzhena jako żalosego, a zarazem nikczemnego. Skłonienie człowieka takiego jak Liseiwicza, by zignorował cechy podłe i skoncentrował się wyłącznie na żalosem, zapowiadało się na zadanie tak samo trudne jak złamanie PURPLE. Wysyłając ten list, ryzykowali, zdawali się na los, a to świadczyło, że na tamtym etapie ich desperacja sięgnęła poziomu, na którym gotowi byli na wszystko.

Ha, cud się wydarzył i Liseiwicz odpisał!

Przez następne pół roku Liseiwicz raz po raz ryzykował, że umrze śmiercią zdrajcy, gdy kontaktował się z naszymi towarzyszami, przekazywał „drogiemu Jinzhenowi” tony materiałów o PURPLE i podpowiadał, jak ma postępować. W rezultacie dowództwo postanowiło utworzyć tymczasową grupę pracującą nad PURPLE, w której znalazła się większość kryptografów. Kazano im rozgryźć ten twardy orzech tak szybko, jak się da. Nikt nie miał pojęcia, że Rong Jinzhen wszystkich wyprzedzi! Kiedy Liseiwicz przez większą część roku cierpliwie pisywał do Jinzhena, ten nie dostał ani jednego listu, nie wiedział nawet o istnieniu tej korespondencji. Listy te, jeśli w jakiś sposób na niego wpłynęły, to poprzez zwiększenie presji. Kiedy dyrektorzy zorientowali się, że Jinzhen nie pracuje ciężko nad szyframi (prawdę mówiąc, zachowywał się gorzej niż wcześniej), mogli bez trudu się go pozbyć jako niepotrzebnie zajmującego miejsce, ale partia zdecydowała, że należy zostawić go w spokoju. Nie potrzebowali jego pracy, miał być przynętą, która pozwoli im złamać PURPLE.

Ludzie narzekali, że zachowuje się jeszcze gorzej niż przedtem, marnuje coraz więcej czasu na grę w szachy i czytanie powieści; później wpadł też w kłopoty, kiedy się rozeszło, że potrafi tłumaczyć sny. Hordy ciekawskich zaczęły go i opowiadały o dziwnych rzeczach, jakie przychodzą im do głowy nocą, bo miały nadzieję, że Jinzhen wyjaśni ich znaczenie. Podobnie jak w przypadku szachów Rong Jinzhen w gruncie rzeczy nie bardzo się na tym znał, ale nie potrafił odmawiać. Może brakowało mu manier, by grzecznie odrzucić prośbę. Tak czy owak nie miał wyboru, musiał się godzić. Brał splecione nocne myśli i nadawał im sensowny kształt.

W każde czwartkowe popołudnie odbywało się zebranie polityczne dla

pracowników Jednostki 701. Poświęcone było różnym sprawom: na jednych wyjaśniano nową taktykę partii, na innych czytano prasę albo prowadzono wolną dyskusję. W ostatnim przypadku ludzie często ciągnęli Ronga Jinzhena do kąta i kazali mu interpretować sny. Pewnego razu, będąc w takiej właśnie sytuacji, stał się obiektem uwagi jednego z zastępców szefa wydziału (odpowiedzialnego za podnoszenie świadomości politycznej), który zebraniu przewodniczył. Był to człowiek skrajnie lewicowy, lubiący robić z igły widły – należał do tych, którzy zawsze wyciągają najgorsze wnioski. Uznał, że Rong Jinzhen „kultywuje feudalne przesady”. Oceniał go surowo i kazał napisać samokrytykę.

Zastępca szefa wydziału nie miał zbyt wielu przyjaciół wśród podwładnych. Ludzie z wydziału kryptografii pogardzali nim, dlatego powiedzieli Rongowi Jinzhenowi, żeby się nie przejmował, napisał kilka linijek i całą sprawę odkreślił grubą kreską. Próbował skorzystać z tej rady, ale jak się okazało, jego koncepcja grubej kreski w gruncie rzeczy nie przystawała do koncepcji innych ludzi. Autokrytyka Jinzhena składała się z jednego zdania: „Wszystkie tajemnice świata ukryte są w snach, a dotyczy to także szyfrów”.

To nie jest stwierdzenie, które mogłoby pomóc człowiekowi wydobyć się z kłopotów. Jinzhen próbował się wykręcić, jakby tłumaczenie snów było pod jakimś względem związane z kryptografią. Wyczuwało się w tym wręcz arogancką nutę, jakby sugerował, że jest on jedyną osobą, która rozumie tę fundamentalną prawdę. Mimo że zastępca szefa nie miał zielonego pojęcia o kryptografii, pomysł, że coś równie indywidualistycznego jak sny miałyby pozostawać poza kontrolą, wydał mu się niesmaczny. Patrzył na samokrytykę i czuł, jakby każde słowo wykrzywiało się do niego, lżyło go, upokarzało, szalało, rzucało kamieniami... Jak coś takiego można zaakceptować? Nie zamierzał na to pozwolić! Poderwał się, złapał kartkę i gwałtownie wypadł z gabinetu. Wskoczył na motocykl i ruszył prosto do jaskini. Kopnięciem otworzył stalowe drzwi do wydziału kryptografii i w obecności wszystkich pracowników obrzucił obelgami Ronga Jinzhena, używając tonu doświadczonego przełożonego:

– Wyraziłeś swoje zdanie, więc teraz ja wyrażę swoje: każda brzydka ropucha myśli, że wcześniej czy później uda się jej zjeść mięso łabędzia!

Zastępca szefa nie miał pojęcia, że będzie musiał zapłacić straszliwą cenę za swoje słowa; skończyło się na tak wielkich upokorzeniach, że musiał opuścić Jednostkę 701. Może działał zbyt pochopnie, ale tak myśleli wszyscy w wydziale kryptografii i w tamtym czasie nie uważali jego wypowiedzi za błąd, wręcz przeciwnie, o ile potrafili to stwierdzić, miał całkowitą rację. Jak wspominałem wcześniej, aby odnieść sukces w tej samotniczej, trudnej i niebezpiecznej profesji, oprócz wielkiej inteligencji oraz niezbędnej wiedzy i doświadczenia potrzebne jest też szczęście, które pochodzi daleko spoza gwiazd. Wszyscy odnosili wrażenie, że Rong Jinzhen po prostu nie ma wrodzonej inteligencji. Co więcej, nie dawał

dowodów na to, że ma szczęście czy też że tworzy własne szczęście. Wydawało się raczej, że zastępca szefa ma rację.

Jest takie chińskie przysłowie, które ludzie powinni byli pamiętać: „Nie możesz zmierzyć oceanu chochlą, nie możesz powiedzieć, do czego człowiek jest zdolny, jeśli osądzasz go tylko z wyglądu”.

Oczywiście ostateczną odpowiedzią dla wszystkich krytyków było to, że rok później Rong Jinzhen złamał PURPLE.

Jeden rok!

Odszyfrował PURPLE!

Kto domyśliłby się, że w czasie gdy wszyscy unikali PURPLE jak zarazy, „brzydka ropucha” po prostu zbierała siły do wykonania zadania! Gdyby ktoś o tym powiedział, wyśmialiby go. Ludzie powiadają, że ignoranci wyzbyci są strachu. Cóż, jak się okazało w tym przypadku, „brzydka ropucha” nie tylko była genialna, ale też sprzyjało jej szczęście.

Szczęście Ronga Jinzhena było niewiarygodne. O takie nie można prosić. Niektórzy mówili, że złamał PURPLE we śnie – albo że był to rezultat tłumaczenia cudzego snu. Inni twierdzili, że znalazł inspirację w partiach szachów rozgrywanych z szaleńcem. Jeszcze inni, że odgadł klucz podczas lektury jednej z powieści. Niezależnie, jak do tego doszło, wyglądało, że złamał PURPLE niemal bez wysiłku – to ludzi zdumiało, a także wzbudziło w nich zazdrość i ekscytację! Wszystkich ten fakt poruszył. Zazdrość zostawiono ekspertom, których przysłało dowództwo. Naprawdę wierzyli, że dzięki wskazówkom przysyłanym przez Liseiwicza oni będą szczęściarzami, którzy odszyfrują PURPLE.

Była zima tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku. Rong Jinzhen spędził niewiele ponad rok w Jednostce 701.



Dwadzieścia pięć lat później kaleki dyrektor Jednostki 701 siedział w swoim urządzonym z prostotą salonie i mówił mi, że kiedy inni używali chochli do zmierzenia potencjału Ronga Jinzhena, on należał do garstki nielicznych, którzy nadal żywili nadzieję, że chłopak jednak coś osiągnie. Słuchając go, odnosiło się wrażenie, że w tamtym czasie nikt poza nim w najmniejszym stopniu nie rozumiał Jinzhena. Nie wiem, czy była to świadomość zdobyta po czasie, czy też wypadki naprawdę tak się potoczyły, mogę tylko powtórzyć, co mi opowiedział:

#### Zapis wywiadu z dyrektorem Zhengiem

Przez całe życie pracowałem w kryptografii i nigdy nie spotkałem nikogo z tak niezwykłym szóstym zmysłem do szyfrów, jaki miał [Rong Jinzhen]. Wydawało się, że odnajdywał połączenie z szyfrem, nad którym pracował, takie jak pępowina wiążąca matkę i dziecko – też przepływało między nimi mnóstwo informacji, jakby poprzez krew. To była jedna godna podziwu, imponująca cecha jego podejścia do szyf-rów, druga, że nie wspomnę już o nieprzeciętnej inteligencji, przejawiała się w niezwykłej zdolności koncentracji oraz dokonywaniu chłodnej i rzeczowej analizy – im bardziej inni rezygnowali z jakiejś sprawy „beznadziejnej”, z tym większą determinacją on nad nią pracował. Zupełnie go nie interesowało, co otoczenie o nim myśli. Jego zdolności twórcze w pełni odpowiadały intelektowi i to określało jego osobowość. Niewątpliwie wybitny intelekt różnił go od zwykłych ludzi. Odkrycie, jak wspaniałe są jego ciche osiągnięcia, było inspirujące, choć też uświadomiło ci, jak w porównaniu z nim sam jesteś mizerny i niezdolny.

Pamiętam zwłaszcza jedno zdarzenie: niedługo po tym, gdy został członkiem wydziału kryptografii, pojechałem do państwa Y na trzymiesięczną delegację służbową. W tamtym okresie państwo Y również pracowało nad złamaniem PURPLE i specjaliści doszli o wiele dalej niż my, dlatego dowództwo podjęło decyzję, by wysłać nas tam na naukę. Wybrano trzy osoby: mnie, kryptografa z mojej sekcji oraz zastępcę szefa wydziału z dowództwa, który nadzorował naszą pracę na zlecenie władz centralnych.

Po powrocie usłyszałem mnóstwo skarg na Jinzhena od dyrektorów naszego wydziału oraz moich współpracowników; mówili, że nie koncentruje się na swojej pracy, że w gruncie rzeczy nie rozumiał jej istoty, że niczego od siebie nie

wymaga i tym podobne. Bardzo mnie to przygnębiło, ponieważ ja go tutaj sprowadziłem – miałem wrócić z ekspertem, a jak widać, zdołałem zwerbować klauna. Następnego wieczoru poszedłem do jego pokoju. Drzwi były lekko uchylone. Zapukałem, a nie doczekawszy się żadnej reakcji, wszedłem. W saloniku nikogo nie było, zajrzałem więc do sypialni. Zobaczyłem, że zwinięty w kłębek Jinzhen smacznie śpi. Zakaszałem i zapaliłem światło. Kiedy zrobiło się jasno, ze zdumieniem odkryłem, że ściany pokryte są diagramami. Jedne przypominały tablice logarytmiczne, z liniami zakręcającymi na papierze, inne były bardziej podobne do tablic trygonometrycznych, a liczby zapisane we wszystkich kolorach tęczy zdawały się drzeć jak bańki mydlane złapane przez snop światła. Cały pokój wyglądał magicznie, niczym zamek unoszący się w powietrzu.

Notatki pod każdym diagramem wyjaśniły sprawę – natychmiast zrozumiałem, że Jinzhen przepisał *Historię kryptografii*, nadał jej bardziej zwięzłą formę – gdyby nie one, po prostu nie pojąłbym, o co tu chodzi. Historia kryptografii była opasłym tomem – trzy miliony chińskich znaków – a jemu udało się skondensować treść do prostych zdań zawierających kilka linijek cyfr i to naprawdę zrobiło na mnie wrażenie. Umieć patrzeć na ciało i widzieć kości pod skórą, po czym przedstawić je na papierze – to doprawdy jest dzieło geniusza. Ale on nawet nie potrzebował szkieletu, wziął tylko jedną kość z palca! Pomyśl, co to znaczy móc zrekonstruować cały żywy organizm, gdy dysponuje się wyłącznie jedną kością palca!

Rong Jinzhen był geniuszem i miał wiele swoistych cech, które przejawiały się w dość osobliwym sposobie bycia, szokującym człowieka. Potrafił miesiącami, może wręcz cały rok do nikogo się nie odzywać – to zupełnie mu nie przeszkadzało – a kiedy wreszcie otwierał usta, mówił coś, co przypuszczalnie było ważniejsze niż wszystko, co ty wypowiedziałeś przez całe swoje życie. Cokolwiek robił, odnosiło się wrażenie, że sam proces zupełnie go nie obchodzi, ważny jest tylko rezultat. A rezultaty zawsze osiągał doskonałe. Nie do wiary! Zdawał się odznaczać niezwykłą zdolnością docierania do sedna sprawy, ale sposób, w jaki to osiągał, był wyjątkowy, dziwaczny, nie wpadłbyś na to, nawet gdybyś się zastanawiał przez milion lat. Zamieścić *Historię kryptografii* na ścianach swojego pokoju – komu przyszłoby coś takiego do głowy? Nikt tego nie robił. Pozwól, że poczynię porównanie. Jeśli mówimy, że szyfr jest jak góra, a złamanie go jak odkrycie tajemnicy ukrytej w tej górze, to większość ludzi zaczęłaby od znalezienia drogi na szczyt, weszłaby tam i szukała skrytki – ale nie on. On wdrapałby się na szczyt innej góry, zapalił reflektor i poszukał skrytki za pomocą teleskopu. Był ekscentryczny, obdarzony prawdziwie niesamowitymi talentami.

Bez cienia wątpliwości mogę powiedzieć, że kiedy w ten dziwaczny sposób postanowił przenieść *Historię kryptografii* na ściany swojego pokoju, upewniał się, iż każdy jego ruch na jawie i we śnie w jakimś sensie będzie związany z deszyfrowaniem – można sobie wyobrazić, że każdy szyfr zapisany w tej książce jak tlen trafiał do jego płuc, rozchodził się krwiobiegiem i docierał do serca...

...Ten widok był dla mnie pierwszym szokiem. Drugi przeżyłem zaraz potem, słuchając słów Jinzhena.

Zapytałem go, dlaczego marnuje czas na historię. Moim zdaniem kryptografowie nie są historykami, dla kryptografa pograżenie się w historii przedmiotu jest głupim narażaniem się na niebezpieczeństwo. Wiesz, co usłyszałem?

Powiedział tak: „Myślę, że wszystkie szyfry są jak organizmy żywe, a skoro są żywe, pomiędzy szyframi z przeszłości a tymi, których dzisiaj używamy, istnieje niewidzialna łączność; co więcej, wszystkie szyfry powstałe w tym samym okresie pozostają w intymnym związku. Niezależnie, jaki szyfr chcemy odkodować teraz, odpowiedź może być ukryta w którymś z wcześniejszych”.

„Kiedy ludzie tworzą szyfry – odparłem – muszą wyeliminować każdy ślad ich historii, w przeciwnym razie łamiąc jeden, złamałbyś wszystkie”.

„To nie podważa mojego twierdzenia – stwierdził. – Jeśli próbujesz wyeliminować historię ze wszystkich swoich szyfrów, także tworzysz związek między nimi”.

Otworzyły mi się oczy!

Jinzhen ciągnął: „Zmianę szyfru można porównać do zmiany twarzy – kształtują ją trendy ewolucji. Różnica polega na tym, że zmiany ludzkiej twarzy opierają się na tej samej podstawie, niezależnie od tego, co zrobisz, to nadal jest twarz, nawet jeśli uczyniłeś ją idealną. Zmiany, które możesz wprowadzić w szyfrze, są krańcowo inne – dzisiaj to jest ludzka twarz, ale jutro to może być pysk konia czy psa albo coś zupełnie innego. Nie ma stałych parametrów. Nieważne jednak, do jakiego stopnia go zmienisz, w rezultacie cechy wewnętrzne stają się bardziej wyrafinowane i dopracowane, jaśniejsze, doskonalsze: to postęp ewolucyjny, przed którym nie możesz uciec. Jest pewne, że każdy wysiłek prowadzi do zmiany twarzy, ale jest też pewne, że próbujesz uczynić strukturę wewnętrzną bardziej wyrafinowaną – te dwa pewniki tworzą podwójną ścieżkę,

która prowadzi prosto do serca nowego szyfru. Jeśli potrafisz odnaleźć te dwie ścieżki w lesie, a jest nim historia kryptografii, one pomogą ci w odszyfrowaniu”.

Wskazywał przy tym kolumny liczb, biegnące na ścianach jak hordy mrówek. Czasami jego palec się poruszał, czasami pozostawał nieruchomy, jakby stopniowo przebijał się do samego sedna sprawy.

Ta koncepcja dwóch ścieżek zdumiała mnie. Od razu pojąłem, że chociaż z zasady muszą istnieć, w rzeczywistości równie dobrze może ich wcale nie być. Niewykluczone, że nikt inny nie zdawał sobie z tego sprawy, ale jeśli potraktujesz ścieżki na podobieństwo sznurków i pociągniesz za nie, mogą na twoim gardle zacisnąć się jak garota...

Oczywiście wytłumaczę, co mam na myśli. Powiedz, co się dzieje, kiedy za bardzo zbliżysz się do ogniska?

Właśnie. Czujesz gorąco i pieczenie. Później nie ośmielasz się podejść, pilnujesz, żeby zachować określony dystans, bo wiesz, że w przeciwnym razie znowu się oparzysz. Te same zasady dotyczą relacji z ludźmi – wpływ, jaki konkretna osoba wywiera na ciebie, zależy od jej atrakcyjności, charakteru i możliwości. Mogę kategorycznie stwierdzić, że niezależnie od tego, czy mowa o człowieku, który tworzy szyfry, czy też je deszyfrującym, kryptografowie są absolutnie niezwykle ludźmi obdarzonymi nadzwyczajnymi zdolnościami – ich umysły są jak czarne dziury. Każdy z nich może wywrzeć potężny wpływ na kolegów. Wejście w las, a jest nim szyfr, to jak wędrówka przez puszcę pełną zasadzek – przy każdym kroku ryzykujesz, że w jedną wpadniesz i nie zdołasz się uwolnić. Dlatego twórcy szyfrów (tak samo jak ci, którzy je łamią) nie ośmielają się zbyt wielu myśli poświęcać historii kodowania, ponieważ każda koncepcja, każda teoria w historii tej dziedziny przyciąga ich jak magnes i może doprowadzić do katastrofy. W chwili gdy ich uwagę rozprasza jedna z tych koncepcji, stają się bezużyteczni jako kryptografowie, ponieważ szyfry nie mogą w sposób znaczący być do siebie podobne, co zapobiega zbyt szybkiemu odkodowaniu. Jakikolwiek podobieństwo sprawia, że owe dwa szyfry nadają się tylko na śmietnik. Szyfry istotnie są pozbawione serca i tajemnicze.

Cóż, teraz rozumiesz, dlaczego tak się zdumiałem – teorią dwóch ścieżek Rong Jinzhen złamał jedną z kardynalnych reguł kryptografii. Nie wiem, czy nie miał o tym pojęcia, czy też wiedział, ale i tak postanowił to zrobić. Wziąwszy pod uwagę szok, jaki na początku przeżyłem, myślę, że prawdopodobnie wiedział i świadomie złamał jedną z naszych fundamentalnych reguł. Wiesząc na ścianie

diagramy sporządzone przy lekturze Historii kryptografii, okazał, że ma wybitny intelekt. Łamał reguły nie dlatego, że był głupi i mało wiedział, ale dlatego, że doskonale zdawał sobie sprawę, co robi, i był na tyle odważny, by się nie cofnąć.

Kiedy usłyszałem jego teorię dwóch ścieżek, nie skrytykowałem go w sposób, w jaki chyba powinienem – ogarnęło mnie coś w rodzaju cichego podziwu, dodać muszę, że zmieszanego też z zazdrością, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że wyprzedził nas wszystkich.

W tamtym okresie nie spędził jeszcze pół roku w jednostce kryptografii.

Bardzo się o niego martwiłem, ponieważ przeczuwałem, że znalazł się w szczególnie niebezpiecznej sytuacji. Rong Jinzhen zamierzał pociągnąć za dwa sznurki, które znalazł – a to znaczyło, że okopie się za każdą koncepcją, za każdą teorią w dziejach kryptografii i będzie się przedzierał przez niezliczone warstwy ewolucji do kryjących się na dnie zasad. Każda pojedyncza warstwa odzwierciedlała nieskończenie atrakcyjne idee i koncepty, każda mogła położyć martwą dłoń na jego umyśle i przekształcić całą pracę w śmieci. To dlatego przez tak wiele lat w kryptografii panowała jedna niepisana zasada: Unikać historii! Doskonale zdawano sobie sprawę, że w historii tej dziedziny bez wątpienia jest ogrom możliwości i wskazówek do odkodowania współczesnych szyfrów, ale strach przed zagłębieniem się w ich gąszcz i przed niemożnością znalezienia drogi wyjścia przeważał nad innymi względami – to było ważniejsze od wszelkich informacji, na które można się tam natknąć.

Mogę ująć to tak: las, którym jest historia kryptografii, jawi się jako bardzo samotny i bardzo cichy. Nie zapytasz nikogo o drogę, bo nie ma tam ludzi, zresztą nikt nie ośmieliłby się! To jedna z tragedii kryptografii – utraciła zwierciadło przeszłości, utraciła poczucie wspólnoty, biorące się z zasiewania tych samych nasion i zbierania tych samych żniw. Praca kryptografów jest trudna i tajemnicza, ich dusze są samotne i wyalienowane do tego stopnia, że nie mogą nawet wspiąć się po ciałach tych, którzy byli tu przed nimi. Na każdym etapie stają przed zamkniętymi drzwiami, zasadzkami, a to zmusza ich do podróżowania bocznymi ścieżkami i unikania wszelkich otwartych drzwi. Żeby historia stała się kłopotliwym brzemieniem dla następnych generacji... cóż za niefortunny stan rzeczy! To przyczyna, dla której tak wielu geniuszy pogrzebano na polu kryptografii – liczba jest przerażająco wysoka!...

...Dobrze, wyjaśnię to w prostych słowach. Kryptografia zwykle podąża drogą wolnej eliminacji: agenci wywiadu zbierają informacje, a kryptograf próbuje

je wykorzystać do zbudowania hipotez – to bardzo przypomina otwieranie niezliczonych drzwi niezliczonymi kluczami. Kryptograf musi sam zaprojektować i zrobić klucze i drzwi – to, jak nieskończenie długa jest ta praca, zależy od ilości materiału, który ma do dyspozycji, a także od jego wrażliwości na dany szyfr. Powinienem dodać, że to bardzo prosty i głupi sposób postępowania, ale też najbezpieczniejszy, najpewniejszy i najbardziej efektywny. Tak jest zwłaszcza w przypadku, kiedy próbujemy złamać skomplikowany szyfr. A skoro procent udanych działań jest relatywnie wysoki, metoda ta współcześnie także jest w użyciu.

Ronga Jinzhena jednak, jak sam rozumiesz, nie interesowało działanie w tradycyjny sposób. Ruszył prosto na zakazane terytorium: mimo że był kryptografem, zagłębił się w historii przedmiotu, stanął na ramionach poprzednich generacji i można było oczekiwać jedynie przerażającego, straszliwego rezultatu. Jasne, gdyby się udało, byłoby to niewiarygodnie imponujące osiągnięcie. W najgorszym wypadku zawęziłoby pole poszukiwań. Powiedzmy na przykład, że jeśli jest dziesięć tysięcy bocznych drózek, mógłby wyeliminować połowę, może mniej, co niewątpliwie wpłynęłoby na możliwość powodzenia. Prawdę powiedziawszy, szansa na sukces w takim przypadku była tak mała, że tylko bardzo nieliczni próbowali tego sposobu, a ci, którym się udało, trafiają się tak samo rzadko jak poranne gwiazdy. W świecie kryptografii istnieją tylko dwa typy ludzi gotowych na takie ryzyko: prawdziwy geniusz albo szaleniec. Szaleniec niczego się nie boi, ponieważ nie rozumie, że to rzecz przerażająca. Geniusz niczego się nie boi, świadom, że dysponuje arsenałem niezwyklej broni. Kiedy skupi umysł na takim zadaniu, pokona każdą trudną czy niebezpieczną przeszkodę.

Przyznaję, że w tamtym okresie nie byłem pewien, czy Rong Jinzhen to geniusz, czy szaleniec, ale w jednej kwestii nie miałem cienia wątpliwości – nie będę zdziwiony, jeśli dokona rzeczy wielkich ani jeśli nic nie zrobi, jeśli zostanie bohaterem albo cała sprawa zakończy się tragedią. Kiedy więc odszyfrował PURPLE, nikomu nie mówiąc ani słowa, wcale mnie to nie zdziwiło, poczułem tylko wielką ulgę niejako w jego imieniu. A równocześnie tak mi zaimponował, że byłem gotów paść na kolana i bić przed nim pokłony.

Powinienem także wyjaśnić, że kiedy Jinzhen złamał PURPLE, odkryliśmy, iż wszystkie podpowiedzi przysyłane przez Liseiwicza okazały się całkowicie błędne. Znaczący to, że od początku mieliśmy wielkie szczęście i słusznie zespół pracujący nad PURPLE postanowił nie informować Jinzhena o korespondencji z jego profesorem, w przeciwnym wypadku mógłby wybrać złą drogę i nie złamać szyfru. Początkowo wydawało się niesprawiedliwe, że nie pozwolono mu czytać

listów od Liseiwicza, ale jak się okazało, tak było lepiej – jakbyśmy zasiali ziarno sezamu, a zebrali perłę. Co do błędnych sugestii Liseiwicza, istniały dwie możliwości. Pierwsza: Liseiwicz robił to świadomie, próbował sabotować nasze wysiłki. Druga: robił to nieświadomie, ponieważ sam popełniał takie błędy podczas swoich prób złamania PURPLE. Tak jak rozumieliśmy tę sytuację, druga opcja wydawała się bardziej prawdopodobna, ponieważ ciągle powtarzał, że PURPLE nie da się odszyfrować...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

PURPLE został złamany!

Dokonał tego Jinzhen!

Nie trzeba mówić, że w następnych tygodniach i miesiącach ten tajemniczy młody człowiek zebrał wielkie nagrody za swoje osiągnięcie. Nieważne, że był jak dawniej samotnikiem, mieszkał i pracował sam, nieważne, że nadal czytał powieści, grał w szachy, tłumaczył ludziom sny, mało mówił, w towarzystwie zachowywał się biernie, nie obchodziło go, z kim rozmawia – jednym słowem nie różnił się od tego Jinzhena z przeszłości. Ale teraz inaczej go postrzegano, stosunek otoczenia zmienił się w sposób rewolucyjny – wszyscy wierzyli w jego geniusz, zdolności i szczęście.

W Jednostce 701 nie było kobiety ani mężczyzny, którzy by go nie znali i nie szanowali. Kiedy wędrował po terenie jednostki, samotny jak zawsze, nawet psy zdawały się go rozpoznawać. Każdy rozumiał, że gdyby nawet wszystkie gwiazdy spadły z nieba, jego gwiazda wciąż wiecznie by świeciła, bo zyskał więcej chwały, niż człowiek zdoła wykorzystać w ciągu całego życia. Lata mijały, a współpracownicy obserwowali jego awanse: szef zespołu, zastępca szefa grupy, szef grupy, zastępca szefa sekcji... wszystko przyjmował spokojnie, z absolutną skromnością. Jak to mówią, cicha woda brzegi rwie.

I taki ludzie mieli do niego stosunek – podziwiali go bez zazdrości, wzdychali, lecz bez smutku. Zgodzili się, że jest wyjątkowy, że nie ma drugiego takiego jak on, że próby rywalizacji z nim są bez sensu. Dziesięć lat później, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku, został szefem sekcji kryptografii – objęcie tego stanowiska innym zajmowało dwa razy więcej czasu albo i dłużej. Wszyscy jednak zdawali się tego spodziewać, jego awans nikogo nie dziwił. Jakby byli przekonani, że wcześniej czy później pokieruje całą Jednostką 701, tytuł dyrektora tylko czekał na właściwy moment, kiedy stanie się legitymacją tego cichego młodego człowieka.

Wiele wskazywało, że to jest bardzo prawdopodobne, ponieważ w Jednostce 701, podobnie jak w każdej tajnej organizacji, dla lwiej części kierowników

wyższego stopnia przyjęcie trudnych obowiązków związanych z tą funkcją nie byłoby łatwe. Co więcej, wydawało się, że cechy charakteru Ronga Jinzhena czynią go idealnym kandydatem na szefa tajnej jednostki.

Niestety, w ciągu zaledwie kilku dni pod koniec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku coś się wydarzyło. Nawet obecnie tylko garstka osób wie, co zaszło w trakcie tych istotnych godzin, tak więc przebieg wypadków jest przedmiotem następnej części niniejszej książki.



文也福風也  
卷怕海難  
至終

CZĘŚĆ CZWARTA  
KOLEJNY ZWROT

Wszystko zaczęło się od sympozjum naukowego poświęconego BLACK.

BLACK, jak wynika z nazwy, to krewny PURPLE, acz o wiele bardziej nowoczesny, wyrafinowany i skomplikowany, tak jak czerń jest głębsza od fioletu. Trzy lata wcześniej – Rong Jinzhen zawsze będzie pamiętał tamten dzień pierwszego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku (niedługo przed tym, gdy pojechał i uratował Mistrza Rong) – po raz pierwszy ujawniły się wtedy ślady istnienia BLACK. Można to porównać z ptakiem obawiającym się, że w masie chmur czai się góra śniegu, która blokuje dostęp do tego, co leży poza nią. Od pierwszego spotkania z BLACK Rong Jinzhen miał przeczucie, że przy próbie złamania tego szyfru zbliży się niebezpiecznie do całkowitego zniszczenia.

Później było tak: czułki BLACK nieustannie rozprzestrzeniały się po PURPLE, coraz dłuższe i grubsze, podobne do promieni ciemności pożerających światło. Według członków Jednostki 701 powróciły czarne dni sprzed dziesięciu lat i niemal każdy nadzieję na rozwiązanie pokładał w Rongu Jinzhenie, gwiazdzie kryptografii. Minęły trzy lata, a Jinzhen dzień za dniem, noc za nocą wciąż szukał najsłabszego nawet promyka światła, lecz bez skutku: widział wyłącznie mrok. W tej sytuacji Jednostka 701 oraz centrala wspólnie zorganizowały sympozjum poświęcone BLACK – małą, a zarazem wspaniałą konferencję.

Konferencja odbyła się w centrali.

Podobnie jak wiele organizacji rządowych, także centrala Jednostki 701 mieściła się w Pekinie. Podróż z miasta A pociągiem trwała trzy dni i dwie noce, były też połączenia lotnicze między miastem A i stolicą, ale lot wykluczono, bo samoloty nieodmiennie kojarzyły się z porwaniami. Szczerze mówiąc, prawdopodobieństwo porwania było niewielkie, jeśli jednak na pokładzie samolotu miał się znajdować kryptograf z Jednostki 701, wzrastało ono drastycznie, może nawet stukrotnie. A jeśli kryptografem był Rong Jinzhen, człowiek odpowiedzialny za złamanie PURPLE, szanse szybowyły w niebo, niemożliwe do oszacowania. Można powiedzieć, że gdyby Rong Jinzhen siedział w samolocie, dla wszystkich zainteresowanych byłoby najlepiej, gdyby lot się nie odbył. Natomiast jeśliby wywiadowi państwa X udało się zdobyć informację o locie Ronga Jinzhena, agenci dostaliby się na pokład i niecierpliwie czekali na start, by przeprowadzić swoją szaloną, brawurową akcję. To nie był żart, lecz przykre i bolesne doświadczenie. Wszyscy w Jednostce 701 wiedzieli o incydencie z wiosny tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, tuż po tym, kiedy Rong Jinzhen złamał PURPLE: szeregowy kryptograf z państwa Y został w taki właśnie sposób uprowadzony przez agentów państwa X. Kulawy Zheng znał tę sprawę, powiadomiono go niemal

natychmiast, wcześniej był nawet kilka razy na obiedzie z tym kryptografem. Któż jednak wie, gdzie teraz ta osoba przebywa, czy żyje, czy jest martwa? To przypuszczalnie jeden z aspektów okrucieństwa związanego z profesją kryptografa.

Dla kontrastu podróż pociągiem czy samochodem jest pewniejsza i bezpieczniejsza, chociaż może dojść do nieprzewidzianego wypadku, ale zawsze pod ręką są inne środki, drogi ucieczki. Oczywiście, nie można tak stawiać sprawy, że w samochodzie, w przeciwieństwie do samolotu, człowiek nie siedzi i nie czeka, aż zostanie porwany. Trzeba też przyznać, że długą podróż trudno znieść, tak więc Rong Jinzhen zdecydował się na ostatnią możliwość, jaka mu pozostała: pociąg. Ze względu na jego specjalny status oraz to, że przewoził ściśle tajne dokumenty, mógł zarezerwować wygodny przedział sypialny; przed samym wyjazdem trzeba było jedynie się upewnić, że wyższy funkcjonariusz ochrony stacji przeszuka przedział. Takie działania zdarzały się niezwykle rzadko i Rong Jinzhen nic nie mógł poradzić na to, że czuł lekki niepokój.

Towarzyszył mu mężczyzna niewiarygodnie poważny, słusznego wzrostu, z ciemną karnacją, cokolwiek wydatnymi ustami i trójkątnymi oczami. Jego brodę zdobiły dość długie wąsy, przypominające szczecinę wieprza, które uparcie się zawijały. Sztywność w zachowaniu przywodziła na myśl połknięty kij, pełne determinacji nastawienie przejawiało się we wszystkim, co robił. Emanował czymś, co jawiło się jako aura śmierci. Powiedzenie, że człowiek ów wyglądał jak śmiercionośny duch, że miał groźny wygląd, to przypuszczalnie za mało. Faktem jest, że w całej Jednostce 701 cieszył się wielkim poważaniem, zawsze też miał określoną władzę i prestiż. Ludzie jednak mówili, że jego władza nie dorównywała władzy Ronga Jinzhena, o którego pozycji decydowała inteligencja. Mimo to człowiek ten miał do odegrania wyjątkową rolę: jeśli jakiś starszy rangą członek Jednostki 701 musiał opuścić kompleks, zawsze prosił, by on mu towarzyszył. Nazywano go Wasilij – takie imię nosił ochroniarz Lenina w radzieckim filmie z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku *Lenin w 1918 roku*. Rzeczony człowiek był Wasilijem Jednostki 701.

Większość ludzi powiedziała by, że nigdy nie widzieli Wasilija ubranego inaczej niż w modną, obszerną wiatrówkę. Ręce zawsze trzymał w kieszeniach. Stawiał długie, pewne kroki – jednym słowem była to postać budząca zmieszany ze strachem podziw, czego zwykle oczekujemy od ochroniarzy. Wśród młodszych członków Jednostki 701 nie znalazłby się ani jeden, który nie żywiłby zawiści i szacunku do Wasilija. Często się zbierali i entuzjastycznie o nim mówili, o jego wigorze, rozmaitych dowodach odwagi. A to, że dłonie wciąż miał w kieszeniach, sprawiało tylko, że ludzie snuli rozmaite przypuszczenia, co w nich nosi, twierdzili, że w prawej jest niemiecki pistolet B-7, gotowy do wyciągnięcia w mgnieniu oka, w lewej zaś specjalne pozwolenie, ręcznie napisane przez szefa wywiadu, jakiegoś sławnego, wysokiego rangą oficera: wystarczyło, że je pokazał, i wchodził

wszędzie, gdzie potrzebował, nawet rozkaz z nieba by go nie powstrzymał.

Inni przysięgali, że pod lewą pachą trzyma drugi pistolet, choć nikt go nigdy nie widział, ale to przecież nie znaczy, że broni tam nie było. Zresztą kto zdołałby niby przypadkiem zajrzeć mu pod pachę? A nawet gdyby nic nie zobaczył, młodzi członkowie Jednostki 701 w żadnym razie nie daliby temu wiary, twierdząc ze śmiertelną powagą, że nosi broń tylko wtedy, gdy wykonuje zadanie służbowe.

To naturalnie było wielce prawdopodobne.

Większość zawodowych ochroniarzy nosi więcej niż jeden pistolet, ma też ukrytą broń, podobnie jak Rong Jinzhen miał więcej niż jedno pióro czy ołówek, więcej niż jedną książkę. Ujmując rzecz prosto, nic w tym dziwnego, to sytuacja, której należy się spodziewać, tak oczywista jak to, że ludzie muszą jeść.

Chociaż Rongowi Jinzhenowi zapewniał ochronę człowiek o wyjątkowych umiejętnościach, on nie czuł się bezpieczny. Opuszczając kompleks, nie mógł się pozbyć nieokreślonych złych przeczuc. Miał wrażenie, że wszyscy w pociągu gapią się na niego, jakby był cesarzem bez szat. Obficie się pocił, denerwował, dręczył go niepokój i nie wiedział, co robić, a już na pewno nie miał pojęcia, co poprawiłoby mu samopoczucie. W gruncie rzeczy stan jego umysłu w ogromnej części wynikał z tego, że był nadmiernie przejęty osobistą sytuacją i wagą swego zadania.

### Zapis wywiadu z dyrektorem Zhengiem

Tego niskiej rangi kryptografa z państwa Y, uprowadzonego przez agentów z państwa X, w żadnym razie nie można było porównywać z Rongiem Jinzhenem: różnili się jak niebo i ziemia. Nie chodziło o to, że przesadzaliśmy z ostrożnością, ani też o to, że Rong Jinzhen się bał. W jego misję zostało wpisane całkiem spore ryzyko. Już na początku czuliśmy, że coś jest nie tak. Po tym, gdy złamał PURPLE, nie trąbiliśmy na lewo i prawo o jego sukcesie, a mimo to poziom tajności państwa X pozostał nietknięty, jakby już wiedzieli o rozkodowaniu szyfru. Oczywiście wcześniej czy później usłyszeliby o tym, spraw tej wagi nie da się długo utrzymać w tajemnicy, chociaż nie wykorzystaliśmy żadnych tajnych akt państwa X. Oni jednak wiedzieli, mimo że nie powinni. W rzeczywistości nie tylko wiedzieli, że to Rong Jinzhen złamał PURPLE, ale też doskonale znali większość jego prac. W takiej sytuacji wszystkie odpowiednie sekcje i specjaliści zaczynają prowadzić śledztwo w sprawie przecieku, w jego trakcie nabierają określonych podejrzeń i trafiają na nitki. Wszystkie te nitki prowadziły do Jana Liseiwicza. To sprawiło, że zaczęliśmy kwestionować jego tożsamość, ale w tamtym okresie mieliśmy tylko podejrzenia, brakowało solidnych dowodów.

Rok później otrzymaliśmy niezwykle raport szczegółowo informujący, że Jan Liseiwicz i sławetny antykomunista Georg Weinacht to jedna i ta sama osoba. Wówczas poznaliśmy ohydłą naturę Liseiwicza. Zastanawialiśmy się, jak to możliwe, że z naukowca zmienił się w zjadliwego antykomunistę, i dlaczego atakował komunizm w taki zakamuflowany sposób (posunął się nawet do zmiany nazwiska). Przypuszczam, że ten sekret zabierze ze sobą do grobu. Kiedy jednak zdarto zasłonę z jego prawdziwej twarzy, podejmowane przez niego próby spisku przeciwko nam stały się aż nazbyt oczywiste. Może nie było nikogo poza Liseiwiczem, kto naprawdę rozumiał istotę wspaniałego talentu Ronga Jinzhena – przecież Liseiwicz też był kryptografem i udawał, że usiłuje złamać PURPLE. Zdawał się odgadywać, że Rong Jinzhen tak jak on wstąpi na ścieżkę wiodącą do kryptografii, i wyczuwał, że z całą pewnością zostanie w tej dziedzinie ekspertem. W pewnym sensie odkodowanie PURPLE było nieuniknione. Wiedząc o tym, najpierw dokładał wielkich starań, by powstrzymać Ronga Jinzhena od zajęcia się tą dziedziną, kiedy jednak odkrył, że ten rzeczywiście został kryptografem, swoje wysiłki skierował na utrudnianie mu pracy nad PURPLE. Dowiedziawszy się, że szyfr został złamany, po raz kolejny zastosował fortel, którego celem było usidlenie Ronga Jinzhena. Myślę, że wiele działań Liseiwicza wynikało z wymogów politycznych, na co on sam miał niewielki wpływ. Rozważmy na przykład, że jeśliby Rong Jinzhen złamał PURPLE na samym początku, Liseiwicz okryłby się niesławą – to gorsze, niż gdyby ktoś ukradł mu wszystko, co posiada. Lecz alarm się nie włączył. W tamtym okresie pełnił funkcję systemu wczesnego ostrzegania. W jaki sposób możliwe było stwierdzenie, że to Rong Jinzhen jest człowiekiem odpowiedzialnym za złamanie PURPLE? Liseiwicz musiał być tym, który dodał dwa do dwóch. I miał rację! Jednego wszakże nie mógł przewidzieć: że swoją intrygą nie usidli Ronga Jinzhena, że ona nie poskutkuje! Można powiedzieć, że w tej sprawie Bóg stał po stronie Ronga Jinzhena.

Co więcej, propagandowa radiostacja wroga JOG przez kilka następujących dni ogłędnie mówiła o sprawie, proponując wielkie sumy pieniędzy za „kupno” naszych kryptografów: taka a taka osoba za taką a taką cenę. Pamiętam, że okup, który początkowo ustalili za Ronga Jinzhena, był ponaddziesięciokrotnie większy od okupu za pilota: sto tysięcy yuanów.

Możesz w to uwierzyć? Sto tysięcy!

Z tego co mówił Rong Jinzhen, taki okup przeniósł go w niebiosa, a równocześnie postawił o krok od piekła. Uświadomił sobie, że skoro tyle dawano

za jego głowę, to ci, którzy chcą mu zrobić krzywdę, będą mieli odpowiedni powód i motywację; takie pieniądze przyciągną sporo osób. Czuł się bezradny. I tu się mylił, nasze przygotowania, by zapewnić mu bezpieczeństwo, znacznie wykraczały poza wszelkie ryzyko. Poza wiernym Wasilijem zawsze towarzyszyli mu obrońcy w cywilu, wyszkoleni w zaawansowanych technikach walki. Wszyscy byli przygotowani na nieoczekiwane. Rong Jinzhen nie mógł o tym wiedzieć, dlatego też wrażenie, że hordy ludzi polują na niego w pociągu, wprowadzało go niemal w panikę.

Rong Jinzhen często marnował czas na nieznaczące sprawy. A jednak jego niezwykła inteligencja i boskie szczęście przypuszczalnie polegały na tym, że nigdy nie tracił ducha, nigdy się nie poddawał, niezależnie od tego, ile razy musiał walić głową w ścianę. Co więcej, właśnie temu duchowi mógł zawdzięczać spokój umysłu. Taki po prostu był Rong Jinzhen. Chociaż pochłaniał książki w liczbie wręcz astronomicznej i posiadał niezrównaną wiedzę, o sprawach życia codziennego nie miał pojęcia, kompletnie się nie orientował, co się wokół niego dzieje, przez co był nadmiernie ostrożny i nieporadny. To naprawdę nie mieściło się w głowie. Przez wszystkie te lata tylko raz opuścił kompleks – po to, żeby uratować Mistrza Rong. Podróż do Pekinu była drugą okazją. Szczerze mówiąc, w latach po złamaniu PURPLE jego życie przebiegało w miarę spokojnie i miał czas na wizyty w domu, gdyby zechciał. My poczynilibyśmy stosowne ustalenia, gdyby tylko poprosił. On jednak zawsze odrzucał sugestie wyjazdu z jednostki. Jakby był przestępcą obserwowanym przez strażnika więziennego: wypowiadał się krótko, przemieszczał niechętnie. Myśl, że może robić to wszystko, co sprawia mu przyjemność, nic dla niego nie znaczyła, choć właściwie należałoby powiedzieć, iż się bał, że coś mu się przydarzy, jeśli nawet na krótko wyjedzie. Są osoby, które obawiają się zamknięcia w domu i utracenia kontaktu z ludźmi, on natomiast bał się wyjścia za próg, spotkania z innymi. Jego reputacja i praca były dla niego jak szklana tafla, przezroczysta i krucha. Nic nie można zrobić dla takich ludzi, a on sam jeszcze sprawy pogarszał, hołubił samotnicze uczucia, skrupulatnie je kultywował. Absolutnie nic nie mogliśmy zrobić...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Z powodu jego profesji i przesadnej ostrożności, nie wspominając już o strachu, że coś może się stać, Rong Jinzhen tkwił uwięziony w dolinie sekretów. W taki sposób mijały mu dni i noce, jak zwierzęciu w klatce. Wszyscy w Jednostce 701 znali jego podejście do życia, zawsze zachowywał się sztywno. Jego jedyną radością było spędzanie czasu w świecie wyobraźni. Teraz jednak jechał do Pekinu.

Dopiero po raz drugi opuścił kompleks; jak się okaże, także po raz ostatni.

Wasilij jak zwykle miał na sobie wiatrówkę, beżową i szeleszczącą, szalenie stylową, z podniesionym kołnierzem. Wyglądał tajemniczo. Dzisiaj jednak nie trzymał lewej ręki w kieszeni, ale niósł w niej skórzaną walizkę średniej wielkości, brązową, z wołowej skóry, z twardą wyściółką: bardzo popularny sejf podróżny. Tylko że ta zawierała dokumenty o BLACK, co dosłownie było tykającą bombą zegarową. Prawą dłonią Wasilij nieustannie poruszał w kieszeni, jakby cierpiał na tik, nie do końca zdając sobie z tego sprawę. Oczywiście Rong Jinzhen doskonale wiedział, że to nie jest tik: Wasilij w tej kieszeni miał pistolet. Jinzhen raz niechcący zobaczył broń i usłyszał, co ludzie o niej mówią. Nie potrafił nic poradzić na to, że ogarnęło go przerażenie. Kurczowe ściskanie broni palnej stało się dla Wasilija nawykiem, potrzebą, nie mógł się bez tego obejść. Rong Jinzhen poczuł wrogość, strach. Pomyślał, że pistolet jest jak pieniądze w kieszeni, można je wyjąć i użyć w każdej chwili.

Broń może nagle posłużyć do rozwiązania problemu, tak jak wodą gasi się płomień. Zdarza się jednak, że woda nie zdusi ognia. Jeśli coś takiego nastąpi... Nie mógł dłużej o tym myśleć. Nagle usłyszał stłumiony wystrzał z broni palnej.

Oczywiście rozumiał, że gdyby cokolwiek się stało, gdyby wróg dysponował przeważającą liczbą ludzi i broni, Wasilij nie wahałby się wycelować do niego z pistoletu i pociągnąć za spust. Śmierć przed wyznaniem tajemnic – powtarzał sobie w duchu Rong Jinzhen. Odgłos strzałów, który już zaczął cichnąć, ponownie odbił się echem w jego uszach.

Poczucie rychłej klęski, katastrofy tylko czekającej, by się wydarzyć, towarzyszyło Rongowi Jinzhenowi przez całą podróż do stolicy. Bezskutecznie starał się je tłumić, wyprzeć, wciąż powracała myśl, że droga jest długa, a pociąg porusza się tak wolno. Dopiero kiedy bezpiecznie dotarł do centrali, jego nastrój zaczął się zmieniać, a strach w sercu ustąpił miejsca wrażeniu ciepła i odprężenia. W tamtej chwili pomyślał odważnie, że w przyszłości nie będzie tak się bać.

Bo co właściwie mogłoby się zdarzyć? Nic. Nikt nie wie, kim jesteś, nikt nie wie, że masz przy sobie ściśle tajne informacje, mamrotał do siebie, jakby ganiąc się za wcześniejsze niemądre zachowanie.

Konferencja rozpoczęła się następnego dnia po jego przyjeździe.

Inauguracja była wspaniałą, wzięło w niej udział czterech zastępców szefa wywiadu. Starszy i siwowłosy urzędnik wyższego stopnia pełnił funkcję gospodarza. Przedstawiono go jako pierwszego dyrektora sekcji badawczej. Prywatnie jednak wielu mówiło, że jest pierwszym sekretarzem i doradcą wojskowym XX. Rong Jinzhen naturalnie niewiele dbał o tytuły, myślał jedynie o słowach starego dyrektora:

– Musimy odszyfrować BLACK, od tego zależy bezpieczeństwo naszego państwa. Zauważmy jednak, że nie wszystkie próby odkodowania mają ten sam cel czy wagę. Szyfry łamie się z różnych przyczyn: by zapewnić sobie zwycięstwo na polu bitwy, by zademonstrować przewagę militarną, by zagwarantować bezpieczeństwo przywódcy narodowemu, z powodów dyplomatycznych, a niekiedy nawet dla zaspokojenia ambicji zawodowych. Naturalnie istnieje mnóstwo innych powodów, a jednak żaden nie dotyczy bezpieczeństwa i dobra narodu jako całości. Mówiąc szczerze, niezwykle wyrafinowany szyfr, z jakim mamy do czynienia, obecnie stosowany przez państwo X, godzi w integralność naszego narodu. Tę niebezpieczną sytuację można rozwiązać tylko w jeden sposób, a jest nim szybkie złamanie BLACK. Są tacy, którzy powiadają: „Dajcie mi punkt podparcia, a poruszę ziemię”; odszyfrowanie BLACK jest naszym punktem podparcia. Jeśli stwierdzamy, że obecnie bezpieczeństwo naszego narodu zostało naruszone, że jesteśmy pod presją, to złamanie BLACK jest kluczem do walki z tym zagrożeniem.

Pełna emocji, wygłoszona podniosłe przez cieszącego się szacunkiem starszego urzędnika mowa spotkała się z gromkim aplauzem. Kiedy mówił, srebrne włosy poruszały się unisono z pełnymi ekspresji gestami, jakby one też przemawiały.

Po południu przysła pora na wykłady profesjonalistów. Ronga Jinzhena wezwano pierwszego, przez ponad godzinę składał raport z prac nad odszyfrowaniem BLACK. Niestety, żadnych postępów nie zrobił. Później, w drodze powrotnej do Jednostki 701, żałował, że na konferencji publicznie to ujawnił. Przez kilka następnych dni spędził wiele godzin, słuchając opinii innych kryptografów, oraz brał udział w dwóch podsumowaniach. Prawdę powiedziawszy, w odczuciu Ronga Jinzhena konferencja była raczej dyskusją niż poważnym symposium naukowym, w dodatku dość płytką. Nie zainteresowały go wykłady ubogie w treści, za to pełne kwiecistej mowy i sloganów, brakowało owocnych debat czy rzeczowych, obiektywnych uwag. Miał wrażenie, że od początku



do końca konferencja dryfuje po spokojnym morzu, a on mógł tylko wydmuchiwać bąbelki – spokój i monotonia dusiły.

Zapewne można powiedzieć, że na dnie serca Rong Jinzhen pogardzał sympozjum i wszystkimi jego uczestnikami. Później jednak uznał, że takie emocje nikomu i niczemu nie służą. Uświadomił sobie, że BLACK jest jak rak pożerający jego ciało. Przez lata usiłować dotrzeć do istoty szyfru, ale nie zbliżył się do celu ani o krok. Ci, którzy próbowali mu pomóc, nie byli ani geniuszami, ani mędrkami, tylko plotkarzami. Pomysł, że mogliby znaleźć lek na tego raka, być postrzegani jako zbawcy, był kompletnie absurdalny.

### Zapis wywiadu z dyrektorem Zhengiem

Samotny i wyczerpany, Rong Jinzhen spędzał dni pogrążony w myślach, czy raczej powinniśmy rzec: w fantazjach. Co noc świadomie śnił. Rozumiem to tak, że zachęcał sam siebie do śnienia z następujących powodów: po pierwsze, zorientował się, że wraz z sennymi marzeniami pojawia się jasność myśli (niektórzy twierdzili, że w czasie snu znalazł sposób na odkodowanie PURPLE), po drugie, zaczął podejrzewać, że twórca BLACK to potwór obdarzony formą inteligencji całkowicie obcą ludzkości, a ponieważ sam był człowiekiem, mógł zbliżyć się do niego jedynie we śnie.

Poczuł się silniejszy duchem, wzrosło jego morale, miał wrażenie, że znalazł drogę wyjścia z trudnej sytuacji. Słyszałem, że potem nakazywał sobie śnić co noc. Marzenia senne stały się jednym z jego obowiązków. Jednakże ten eksperyment w rezultacie zaprowadził go na skraj załamania psychicznego. Wystarczyło na niego spojrzeć, by dostrzec, że te rojenia bardzo go wyniszczały. Chaotyczne, pozbawione sensu, jedynie zaburzały nocny wypoczynek. Aby przywrócić choć trochę normalności swoim nocom, nie miał wyjścia, musiał rozplątać wzór śnienia, w który się zaplątał. Znowu przed położeniem się do łóżka czytał powieści i spacerował. Pierwsze relaksowało go po stresującym dniu, drugie powodowało zmęczenie. Rezultat był pozytywny. Jak sam powiedział, czytanie i spacerowanie to były jego tabletki nasenne.

Nadal jednak sporo śnił. Przenosił wszystkie sprawy tego świata i doświadczał ich we śnie. W pewnym sensie egzystował w dwóch wymiarach, rzeczywistym i onirycznym. Ludzie mówią, że wszystko, co na ziemi, jest także w morzu, ale nie wszystko, co w morzu, jest na ziemi. Sytuacja Ronga Jinzhena odzwierciedlała to powiedzenie: sprawy ze snów niekoniecznie istniały w świecie

rzeczywistym, ale wszystko ze świata rzeczywistego pojawiała się w snach. Jak przypuszczam, można powiedzieć, że dla Ronga Jinzhena każdy aspekt odznaczał się dualizmem: z jednej strony była rzeczywistość, realność rzeczy, żywy świat, a z drugiej – sny, wirtualność, chaos. Jak podpowiada fraza „bezpodstawna plotka”, akceptujemy jako dowód wyłącznie świat rzeczywisty. Dla Ronga Jinzhena zawsze istniał dualizm: rzeczywistość i sny, a tylko on znał te drugie. Nie trzeba dodawać, że świat jego snów był bardziej absurdalny, niespójny niż rzeczywistość...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Obecnie spokojniejszy Rong Jinzhen uświadomił sobie, że nadzieja, by ktoś inny udzielił mu rady, jak złamać BLACK, by skierował go na właściwą drogę, to nonsens z jego snów, absurd w absurdzie. Pocięsział się, powtarzając sobie: „Nie licz na nikogo poza sobą samym, nie licz na cudzą pomoc, nikt nie jest w stanie wskazać ci właściwej drogi, to niemożliwe, wykluczone...”. Mówił to sobie z wiarą, że ta mantra usunie z jego głowy rozczarowanie konferencją.

Jak się okazało, istotnie poprawiła mu samopoczucie, doszedł do wniosku, że konferencja nie okazała się kompletnie bezużyteczna. Dostrzegł kilka plusów, a ściślej rzecz biorąc, cztery:

1. Udział w konferencji pozwolił mu się przekonać, że szef wywiadu jest niezmiernie zainteresowany postępami nad odkodowaniem BLACK i przyszłością tych działań, przez co Rong Jinzhen poczuł presję, ale też było to zachętą, impulsem do podwojenia wysiłków.

2. Przekonał się, że niemal wszyscy koledzy po fachu schlebiają mu albo w mowie, albo czynem (na przykład z nadmiernym afektem ściskali mu dłoń, kłaniali się w pas, zamiast tylko kiwnąć głową, grzecznym uśmiechem kwitowali każde jego słowo i tak dalej). Odkrył, że w tym tajnym świecie jest sławny i kochany. Wcześniej mgliście zdawał sobie z tego sprawę, choć nigdy nie był tego pewien. Teraz niewątpliwie poprawiło mu to humor.

3. Na pierwszym przyjęciu z alkoholem starszy dostojnik państwowy spontanicznie złożył obietnicę, że zaopatrzy Ronga Jinzhena w niewiarygodnie nowoczesny kalkulator z możliwością wykonywania ponad czterdziestu tysięcy obliczeń. Taki prezent będzie równoznaczny z zapewnieniem mu asystenta na międzynarodowym poziomie!

4. Tuż przed wyjazdem kupił w Yesterday Bookstore dwie książki, o których od dawna marzył; jedną z nich była *Zagadka* (tłumaczenie *Pisma bogów* sławnego kryptoanalityka Klausa Johannesesa).

Co więc sprawia, że podróż jest warta wysiłku?

W przypadku Ronga Jinzheny było to zdobycie wyżej wymienionych przedmiotów, z nimi mógł radośnie wracać do Jednostki 701. Jazda pociągiem będzie wolna od incydentów oraz od ludzi kryjących się w cieniu. Wasilij bez kłopotu zarezerwuje wagon sypialny. Wsiadłszy do pociągu, Rong Jinzhen był spokojny i rozluźniony, zupełnie inaczej niż przed sześcioma dniami.

Naprawdę się cieszył, że opuszcza stolicę. Jednym z powodów było to, że w noc przed wyjazdem spadł pierwszy tej zimy śnieg, niemal jakby zamówiono go w prezencie pożegnalnym dla tego człowieka z południa. Śnieg padał gęsto, warstwa bieli na ziemi rozjaśniała ciemność. W takiej oto zimowej scenerii Rong Jinzhen czekał na odjazd pociągu. Cisza sypiących się z nieba płatków i zapach wilgoci w powietrzu napełniły jego serce spokojem – to był cudowny sen na jawie.

Taki początek zadowoliłby najbardziej wybredne osoby, a w Rongu Jinzhenie umocnił przekonanie, że ma przed sobą przyjemną podróż do domu.

To, co jednak się zdarzyło, ani trochę nie przypominało jego oczekiwań.

Podróż do domu była zupełnie inna. Po pierwsze trwała dwa dni i trzy noce, podczas gdy podróż do Pekinu zajęła trzy dni i dwie noce. Teraz drugi dzień powoli się kończył. Poza spaniem Rong Jinzhen spędzał czas na lekturze zakupionych książek. Nie dręczyły go już niepokój ani strach. To, że dobrze sypiał i cieszył się książkami, wystarczało za dowód. Podróż do domu ma wiele zalet, a w przypadku Ronga Jinzhena i Wasilija największą było to, że zdołali zarezerwować wagon sypialny z ogrzewaniem, co odgradzało ich od pasażerów i zwiększało bezpieczeństwo. Rong Jinzhen cieszył się, że dopisało im szczęście.

Nikt nie zaprzeczy, że dla człowieka, któremu brakuje odwagi, który jest przewrażliwiony, dość chłodny w obejściu i zamknięty w sobie, możliwość, że w bliskiej odległości nie zetknie się z ludźmi, jest najważniejsza. W Jednostce 701 Rong Jinzhen zawsze był małomówny i niekomunikatywny, zawsze oddalony od reszty, zachowujący dystans. Z którejkolwiek strony na to spojrzeć, jego motywacją do zaprzyjaźnienia się z szalonym szachistą musiało być upewnienie się, że inni zostawią go w spokoju. Nie miał przyjaciół i nikt nie próbował zostać jego przyjacielem: szanowali go, podziwiali, ale nie darzyli ciepłymi uczuciami. Prowadził samotne życie (nawet szalony szachista opuścił Jednostkę 701, kiedy zaczął panować nad swoją chorobą). Większość ludzi mówiła, że otaczający świat nie dotykał Ronga Jinzhena, samotnika, który nigdy nie zbliżał się do innych i sprawiał wrażenie przygnębionego. Ale samotność i przygnębienie nie przeszkadzały mu, udręką było znoszenie miliona dziwactw innych. Z tego punktu widzenia nie cieszył się stanowiskiem szefa sekcji ani nawet rolą męża...

### Zapis wywiadu z dyrektorem Zhengiem

Rong Jinzhen ożenił się pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Jego żona nosiła nazwisko Di i była sierotą, która dość wcześnie się u nas zatrudniła jako telefonistka. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku przeniesiono ją do sekcji kryptografii, gdzie pracowała w ochronie. Pochodziła z północy, była dość wysoka – o pół głowy wyższa od Ronga Jinzhena – i miała duże oczy. Posługiwała się poprawnym mandaryńskim, chociaż nie należała do gadułów, a kiedy się odzywała, mówiła cicho. Być może dlatego, że chroniła tajemnice.

Ślub Ronga Jinzhena – cóż, zawsze miałem wrażenie, że był wyjątkowo dziwny, jakby los w jakiś sposób z niego zakpił. Dlaczego tak mówię? Ponieważ wiem, że na początku wielu osobom zależało, żeby się ożenił. Niektóre kobiety myślały nawet, żeby mu się oświadczyć, bo dzięki temu spłynęłaby na nie część jego sławy. A może nie, może chodziło o jego niezdecydowanie lub coś jeszcze innego. Niezależnie jednak od przyczyny, kiedy pojawiała się możliwość ożenku, on zawsze zamykał drzwi. Wydawało się, jakby po prostu nie interesowały go kobiety i małżeństwo. Później jednak, choć nie wiem dlaczego, bez wielkiego rozgłosu poślubił pannę Di. Miał wtedy trzydzieści cztery lata. Oczywiście wiek nie stanowił kwestii, to znaczy owszem, Rong Jinzhen miał już swoje lata, ale jeśli ona chciała za niego wyjść, widać nie było problemu. Problem pojawił się później. BLACK całkowicie pochłoniął Ronga Jinzhena. Nie trzeba dodawać, że pewnie nigdy by się nie ożenił; gdyby wtedy nie poślubił panny Di, przeszkodziłby w tym BLACK. Ślub tych dwojga zaskoczył ludzi, nie wiedzieli, co o tym myśleć; to tak jak wtedy, kiedy już zamykasz okno i w ostatniej chwili do pokoju wpada ptak – dziwne wydarzenie, a zarazem niemal jakby znak od losu, i nie wiesz, co zrobić, potraktować to jak zły czy dobry omen.

Prawdę mówiąc, był okropnym mężem, nierozsądnym. Często nie wracał do domu przez kilka dni, czasami przez tydzień, a kiedy już wrócił, prawie nie odzywał się do żony, zjadał tylko posiłek i znowu wychodził albo jadł, spał i zaraz po przebudzeniu znikał. Tak wyglądało ich małżeńskie życie. Mieszkali razem, choć ona rzadko go widywała i jeszcze rzadziej z nim rozmawiała. Szef sekcji odpowiedzialny za administrację, Rong Jinzhen, nie nadawał się do tego zadania. Generalnie rzecz biorąc, przychodził do swojego gabinetu na godzinę przed końcem dnia, resztę czasu siedział w pokoju w sekcji kryptografii. Bywało, że nawet wyłączał telefon, by mieć pewność, że nikt mu nie przeszkodzi. W taki sposób uchylał się od obowiązków i trudów bycia szefem sekcji i mężem. Zachował swoje zwykłe nawyki i samotniczy styl życia, nie chciał, by ktoś zawracał mu głowę albo pomagał. Co więcej, sytuacja pogorszyła się drastycznie, kiedy na scenie pojawił się BLACK. Wyglądało, jakby Rong Jinzhen musiał się ukrywać, jakby to był jedyny sposób na odnalezienie tajemnic tego szyfru...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Rong Jinzhen leżał na dość wygodnym łóżku w wagonie sypialnym i czuł się tak, jakby wreszcie odnalazł bezpieczne miejsce, gdzie mógł się schronić. To był rzeczywiście szczęśliwy traf, że Wasilij zdołał zarezerwować dwa łóżka. Za towarzyszy podróży mieli emerytowanego profesora, mniej więcej

sześciodziesięcioletniego, i jego dziewięcioletnią wnuczkę. Profesor wcześniej był prorektorem Uniwersytetu G, ale z powodu choroby oczu niedawno zrezygnował z pracy. Nosił się władczo, lubił pić i palić papierosy Pegasus – w taki sposób zabijał czas w podróży. Jego wnuczka, która zamierzała zostać śpiewaczką, kiedy dorośnie, potraktowała wagon jak scenę i dała występy. Oboje odegrali wobec Ronga Jinzhena rolę środków uspokajających, sprawili, że się odprężył; w tej zamkniętej, niewielkiej przestrzeni poczuł, że nie ma w nim śladu złych przeczuć. Albo ujmując rzecz inaczej, potrafił zapomnieć o swojej nieśmiałości i poświęcić się dwóm najważniejszym dla niego rzeczom: spaniu i czytaniu. Sen przekształcał długie mroczne noce w marzenie, czytanie usuwało nudę z jego dni. Czasami leżał w ciemności, nie mógł zasnąć, nie mógł czytać i zamiast tego pozwalał wyobraźni szaleć. W taki sposób upływała mu podróż do domu: na śnie, lekturze, fantazjach. Godziny mijaly jedna za drugą, a oni zbliżali się do ostatniego etapu przed powrotem do Jednostki 701.

Dobiegał końca drugi dzień. Pociąg pędził przez rozległe pola. Na horyzoncie słońce płonęło czerwienią, ostatnie promienie szkarłatu w pięknym, przepojonym spokojem odcieniu oblewały pociąg rozgrzewającym światłem, jak w marzeniu albo na subtelnym obrazie.

Podczas obiadu Wasilij i profesor nawiązali rozmowę, której Rong Jinzhen nie przysłuchiwał się uważnie. Nastawił uszu dopiero w chwili, gdy profesor z zazdrością powiedział:

– Ach, przekroczyliśmy granice prowincji G, więc jutro rano będziecie już w domu.

To była muzyka dla uszu Ronga Jinzhena.

– A kiedy wy dotrzecie do celu? – zapytał.

– Jutro o trzeciej po południu.

O tej godzinie pociąg kończył swój bieg.

– Jesteście wiernymi pasażerami – zażartował Rong Jinzhen – towarzyszyście pociągowi od początku do końca.

– A z was są dezerterzy... – Profesor serdecznie się roześmiał. Nie ulegało wątpliwości, że cieszy się, mogąc pogawędzić ze współpasażerami. Ale trwało to krótko. Po kilku minutach Rong Jinzhen ponownie wrócił do lektury *Zagadki Johannaesa*, a profesor mógł tylko patrzeć na niego zaintrygowany, zastanawiając się, czy ten człowiek przypadkiem nie jest chory.

Rong Jinzhen oczywiście nie był chory, zwykle tak właśnie się zachowywał. Kiedy powiedział to, co chciał powiedzieć, wyłączał się. Nie rozwlekał spraw, nie zmieniał tematu, nie silił się na uprzejmości, nie stosował wstępów ani zakończeń: odzywał się, kiedy czuł taką potrzebę, milczał, kiedy nie miał nic do powiedzenia – jak ktoś mówiący przez sen wywoływał u swoich interlokutorów wrażenie, że oni też śnią.

A skoro mowa o *Zagadce*, książkę w przekładzie euroazjatyckiego pisarza Hana Suyina opublikował przed rewolucją Chiński Dom Wydawniczy. Był to dość cienki tom, bardziej broszura niż książka. Na stronie tytułowej widniał następujący epigraf:

„Geniusz jest duchem tego świata, zdarza się rzadko, ale to śmietanka ludzkości, geniusze są szlachetni i należy ich cenić. Jak inne skarby tego świata, są delikatni, narażeni na zniszczenie niczym świeżo posadzona roślinka, jeśli ich uderzyć, pękają, a jeśli pękną, rozpadają się na kawałki”.

Te słowa uderzyły Ronga Jinzhena jak pocisk...

Zapis wywiadu z dyrektorem Zhengiem

Geniusza łatwo złamać. To nie była nowina dla Ronga Jinzhena ani temat, przy którym nie czułby się swobodnie, wielokrotnie dyskutował o tym ze mną. Mówił: „Właśnie ta kruchość jest czynnikiem, który czyni geniusza. Ona pozwala mu przekraczać wszelkie granice, stawać się delikatnym jak cienki jedwab, niemal przezroczystym, lecz niezdolnym do zniesienia uderzeń. W pewnym sensie inteligencja danego człowieka może przekroczyć każdą granicę, a z określonej perspektywy można ją postrzegać jako nieskończoną. W innym natomiast stwierdzić możemy, że erudycję zdobywa się, poświęcając szczegóły na rzecz rozległej wiedzy o świecie, stąd też geniusze w większości są niewiarygodnie wrażliwi i uczeni, z drugiej strony zaś są głupi i niezgrabni, nieuleczalnie uparci, bardzo podobni do zwykłych ludzi”. Przykładem takiej osoby może być profesor Klaus Johannes, autor *Zagadki*, legenda kryptografii i osobisty bohater Ronga Jinzhena.

Nikt nie zaprzeczy, że było coś niemal boskiego w zdolnościach Johannesesa – znajdował się poza zasięgiem, prawdziwy bóg. Nic nie mogło nim wstrząsnąć. Znał szyfry kryjące się w szyfrach! Ale w prawdziwym świecie, w życiu był to głupiec, który nie znał nawet drogi do domu. Niczym domowe zwierzątko – gdyby wypuścić je bez obroży, mogłoby się zgubić. Opowiadają, że był taki, ponieważ matka panicznie się o niego bała, nie spuszczała go z oka, chodziła za nim krok w krok i bacznie pilnowała.

Nie trzeba dodawać, że z punktu widzenia matki był bez wątpienia okropnym dzieckiem.

Tak czy owak w pierwszej połowie zeszłego stulecia w obozie faszystowskim ten człowiek, to trzymane pod kloszem i niedostosowane społecznie dziecko, znany był jako Ponury Kosiarz. Wystarczyło wymienić jego nazwisko, by Hitler już sikał w majtki. Johannes żył w samym kraju co Hitler, urodził się na wyspie Tars (znanej z depozytów złota). Jeśli prawdą jest, że każda istota ludzka potrzebuje ojczyzny przodków, to jego ojczyzną były Niemcy, w tamtym czasie z Hitlerem, jako ich naczelnym wodzem. Można powiedzieć, że Johannes powinien był służyć Niemcom, służyć Rzeszy. On jednak tego nie robił, w każdym razie nie od początku do końca, tylko przez pewien czas. Nie był wrogiem żadnego państwa, żadnego człowieka, ale czy nim będzie, decydowały szyfry. To zależało wyłącznie od tego, jaki kraj lub człowiek stworzył i stosował najbardziej skomplikowany szyfr. Ten, kto go posiadał, stawał się jego przeciwnikiem.

W latach czterdziestych dwudziestego wieku, kiedy na biurku Hitlera wylądowały dokumenty zakodowane przy użyciu szyfru EAGLE, Johannes zdecydował się na zdradę ojczyzny, dezercję z niemieckiego wojska i przejście na stronę aliantów. Zdrada nie miała nic wspólnego z jego politycznymi przekonaniem czy z pieniędzmi. Jedynym powodem był EAGLE, szyfr, który każdego kryptografa wpędzał w czarną rozpacz.

Mówiło się, że EAGLE został stworzony przez irlandzkiego geniusza matematycznego, który w przeszłości mieszkał w Berlinie. Podobno podczas wizyty w synagodze Bóg pomógł mu stworzyć szyfr tak wyrafinowany, że przewidywano, iż będzie bezpieczny przez trzydzieści lat. Dziewięciokrotnie przewyższał inne szyfry tamtego okresu – rzecz niewiarygodna, niesłychana; to po prostu nie mieściło się w głowie.

Można powiedzieć, że wszystkich kryptografów na świecie czeka taki sam los – cel wysiłków zawsze pozostaje tuż poza ich zasięgiem, zawsze jest po drugiej stronie szyby. Jak w przypadku prawdopodobieństwa zderzenia się konkretnego ziarenka piasku z morza z konkretnym ziarnkiem piasku na brzegu, gdzie szanse wynoszą miliony milionów do jednego: to całkowicie niemożliwe. Mimo wszystko kryptografowie wciąż ścigają ową gargantuiczną niemożliwość. W trakcie pisania szyfrów kryptografowie albo same szyfry nieodmiennie natkną się na pewne nieuniknione niefortunne zdarzenia – jak u osoby kichającej przypadkowo i spontanicznie kichnięcie musi nastąpić, ale nie istnieje sposób na obliczenie,



kiedy się zdarzy. Problem polega na tym, że gdy całą nadzieję opieramy na możliwych błędach innych, ogarnia nas wrażenie, że jest to równocześnie absurdalne i straszliwie smutne. Takie nawarstwianie się absurdu i smutku stało się losem wielu kryptografów: bardzo wielu – wszyscy należeli do elity – spędzało całe lata w ukryciu, nieznani, skazani na mroczne i tragiczne życie.

Niezależnie od tego, czy sprawił to geniusz, czy szczęście, profesor Klaus Johannes potrzebował tylko siedmiu miesięcy na złamanie EAGLE. Można stwierdzić, że w dziejach kryptografii to osiągnięcie było wyjątkowe i niepowtarzalne: zdarzenie niewiarygodne jak wschód słońca na zachodzie, jak kropla deszczu w ulewie unosząca się do góry...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Za każdym razem kiedy Rong Jinzhen myślał o swoim losie, odczuwał niewytłumaczalny wstyd i niepokój, straszne przeczucie nierzeczywistości. Często spoglądał na fotografię Johannaesa i powtarzał sobie: „Każdy ma bohatera, ty jesteś moim: cała moja wiedza i potęga wzięły się z twojego przykładu i zachęty. Jesteś moim słońcem, mój blask nigdy nie będzie mógł być oddzielony od twojego blasku, nigdy go nie przyćmi...”.

Takie samoponiżanie nie było skutkiem niezadowolenia z siebie, jego korzenie tkwiły w niezwykłym szacunku, którym Rong Jinzhen darzył profesora Johannaesa.

Tak naprawdę, z wyjątkiem Klauusa Johannaesa nie podziwiał nikogo poza sobą samym; nie wierzył, że ktokolwiek w Jednostce 701 zdołałby złamać BLACK, skoro on nie dał rady. Nie miał szczypty zaufania do umiejętności swoich kolegów, a powód takiej postawy był oczywisty: nikt inny w Jednostce 701 nie okazywał szczerzego podziwu dla Klauusa Johannaesa. Przy akompaniamencie turkotu kół na torach Rong Jinzhen wyraźnie usłyszał swój głos przemawiający do bohatera: „Nie dostrzegają twojej intelektualnej wielkości, a gdyby dostrzegli, poczuliby strach. Ja jednak nie mogę pojąć toku ich myślenia ani im zaufać. Docenienie prawdziwego piękna wymaga odwagi i talentu, bez nich piękno może jedynie przerazić”.

Wierzył, że tylko inni geniusze są w stanie docenić wartość jego geniuszu. Przeciętny człowiek często postrzega geniuszy jak wariatów albo głupców. Powodem jest to, że jednostki obdarzone wybitnym intelektem zostawiają szarych ludzi daleko w tyle, przekraczają nowe granice tak odległe, że nawet gdyby zwykły człowiek podniósł oczy i popatrzył, nie dostrzegłby ich i pomyślał, że geniusz jest maruderem. To plebejski tok myślenia. Do wykluczenia geniusza, do strachu przed

nim wystarczy tylko, by był on niekomunikatywny; prości ludzie nigdy nie pojmą, że milczenie geniusza wynika z jego obaw, nie z pogardy wobec innych.

W tym właśnie Rong Jinzhen upatrywał przyczyny swojego oddalenia się od kolegów: tylko on potrafił docenić, a tym samym szanować talenty Johannesesa, potrafił kąpać się w intelektualnej wspaniałości tego giganta, który błyszczał nad nim i przenikał go na wskroś, jakby był ze szkła, lecz nikt poza Jinzhenem nie umiał jej dostrzec; przeciętniacy są jak kamienie, błyskotliwość Johannesesa odbija się od nich.

Kontynuując ten ciąg myślenia, Rong Jinzhen czuł, że porównanie geniuszy do szkła i zwykłych ludzi do kamieni jest wyjątkowo trafne. Geniusze mają wiele wspólnego ze szkłem: są delikatni, łatwo pękają i się tłuką, wcale nie przypominają kamienia. Nawet jeśli kamień zostanie uszkodzony, nie rozpadnie się na kawałki jak szkło, tylko ułamie się róg albo lico, ale kamień pozostanie kamieniem i nadal można go używać w takim charakterze. Szkło natomiast pozbawione jest takiej odporności, jego immanentną cechą jest kruchość, rozbicie oznacza zniszczenie, każdy odłamek jest bezużyteczny. Geniusze tacy są: oderwanie głowy to jak złamanie dźwigni na pół. To, co pozostanie, jest bezwartościowe. Znowu pomyślał o swoim bohaterze: gdyby nie było szyfrów wymagających odkodowania, jaka byłaby jego wartość? Zerowa!

Za oknem noc wolno zmieniała się w dzień.

Wszystko, co wydarzyło się później, było absolutnie nierealne, ponieważ było aż nadto realne.

Tak to jest: kiedy rzeczy wydają się nazbyt realne, stają się nierealne, ludzie nie potrafią w nie uwierzyć – podobnie jak większości nie mieści się w głowie, że w górzystej części Guangxi można za igłę do szycia dostać krowę, a nawet miecz z czystego srebra. Nikt jednak nie zaprzeczy, że dziesięć lat temu w czasie snu o Dymitrze Iwanowiczu Mendelejewie (1834–1907) – którego do stworzenia tablicy okresowej pierwiastków także zainspirował sen – Rongowi Jinzhenowi objawiła się tajemnica złamania PURPLE. To oczywiście była niezwykła historia, ale to, co zdarzyło się później, ją przewyższyło.

W środku nocy Ronga Jinzhena obudził odgłos pociągu wjeżdżającego na stację. Jak to miał w zwyczaju, zaraz po przebudzeniu sięgnął pod łóżko po przenośny sejf.

Był tam! Wciąż przykuty łańcuchem do nogi stolika. Uspokojony, na powrót się położył, próbując rozróżnić pomiędzy dochodzącymi odgłosami kroków a zapowiedziami płynącymi przez megafon.

Głos z megafonu poinformował, że przyjechali do miasta B.

Następną stacją będzie miasto A.

– Jeszcze trzy godziny... A potem dom... Dom... Zostało tylko sto osiemdziesiąt minut... Trochę snu i dom...

Ukojony, znowu zasnął.

Zaraz jednak powietrze przeciął ostry gwizd lokomotywy, obwieszczającej odjazd, i Rong Jinzhen się ock-nął. Stukot kół o szyny przybrał na sile i podobnie jak w przypadku gdy muzyka wzmagą poziom ekscytacji człowieka, nie pozwolił mu zapaść w sen. Nigdy nie sypiał dobrze, jak mógłby znieść taką słuchową przemoc? Stukot przelał się po nim i kompletnie go rozbudził. Poświata księżycy wpadała wprost na jego łóżko. Cienie się kołysały, błyskawicznie zmieniały, kusząc jego zaspane oczy. Kącikiem oka dostrzegł coś niezwykłego. Co się stało? Zastanawiał się, by wreszcie odkryć, że jego skórzana aktówka, która wisiała na haku na ścianie – bardzo podobna do czarnej torby nauczyciela – zniknęła. Poderwał się i zajrzał pod łóżko. Tam jej nie było. Wstał, uważnie sprawdził, czy nie spadła na podłogę, pod stół, podniósł poduszkę. Nigdzie jej nie było!

Obudził Wasilija i profesora; ten drugi powiedział, że kiedy mniej więcej godzinę temu szedł do toalety (proszę pamiętać, że to było przed godziną), zobaczył młodego człowieka w polowym mundurze wojskowym na platformie łączącej wagony, który oparty o framugę drzwi palił papierosa. W ręce trzymał

aktówkę bardzo podobną do tej, którą Rong Jinzhen opisał. Kiedy wracał, już tego mężczyzny nie było.

– Wtedy nie zastanawiałem się, czy to jego aktówka; w gruncie rzeczy nie zwróciłem większej uwagi na to, co trzymał w dłoniach, sprawiał wrażenie, jakby się nie śpieszył, jakby miał zamiar skończyć palić i odejść, ale teraz... Ach, powinienem baczniej się przyjrzeć. – Głos profesora przepęłniało współczucie.

Rong Jinzhen uznał, że najprawdopodobniej człowiek w mundurze ukradł jego aktówkę. Chociaż wydawało się, że po prostu tam stoi, on zastanawiał się nad swoimi następnymi krokami. Wyprawa profesora do toalety dała mu okazję – była jak ślady na śniegu, podążanie ich tropem zaprowadzi cię do jaskini tygrysa. Można spekulować, że podczas pobytu profesora w toalecie ów człowiek wykonał ruch, „wykorzystał każdą sekundę i każdy cal”.

Rozważając to, Rong Jinzhen nie mógł się powstrzymać od gorzkiego śmiechu.

#### Zapis wywiadu z dyrektorem Zhengiem

W rzeczywistości kryptografia bardzo przypomina sytuację, w której trzeba wykorzystać każdą sekundę i każdy cal.

Szyfry można porównać do ogromnej, pozbawionej szwów sieci, przez co pozornie nierealnej. Ale kiedy szyfr zostanie użyty, staje się jak ludzkie usta: niezwykle trudno jest uniknąć przejęzyczeń. Owe przejęzyczenia są jak strużki krwi otwierające ranę, dostarczają przebłyski nadziei tym, którzy próbują złamać szyfr. Tak jak błyskawica otwiera niebo, przenikliwy umysł wkrada się w te luki, wchodzi do wewnętrznego labiryntu szyfru, jakby to był zwykły korytarz, a czasami nawet znajduje wrota do nieba. Przez te ostatnie lata Rong Jinzhen zużył ogromny zasób cierpliwości, czekając na szczeliny w niebie – mijały niezliczone dni i noce, a jemu wciąż nie udało się złamać BLACK.

To było nietypowe. Bardzo dziwne.

Próbowaliśmy odkryć przyczynę, w Jednostce 701 braliśmy pod uwagę dwie rzeczy:

1. Złamanie PURPLE zmusiło naszego przeciwnika do zaciśnięcia zębów i zniesienia bólu, do większej ostrożności, gdy otwiera usta, do zwięzłości i przemyślanych wypowiedzi, do upewnienia się, że nie wyleje się ani jedna kropla

wody. To sprawiło, że poczuliśmy się niezniszczalni.

2. Rongowi Jinzhenowi nie udało się znaleźć żadnych błędów w BLACK. Krople wody przeciekały mu przez palce. Co więcej, szanse, że tak się stanie, były dość spore. Zastanów się: Liseiwicz naprawdę rozumiał Ronga Jinzhena, mógł bez trudu ostrzec twórców BLACK przed jego niezwykłym talentem do odszyfrowywania i pomóc im w stworzeniu środków zaradczych. W przeszłości ci dwaj byli jak ojciec i syn, ale teraz z powodu poglądów politycznych i przekonań dzieląca ich otchłań duchowa była większa od jakiegokolwiek odległości geograficznej. Do dziś pamiętam tamtą chwilę, gdy się dowiedzieliśmy, że Liseiwicz to w istocie Weinacht – wszyscy chcieliśmy powiedzieć o tym Rongowi Jinzhenowi, ujawnić przebiegły podstęp Liseiwicza, błagać Jinzhena, by zachował ostrożność. I zgadnij, co Rong Jinzhen powiedział, kiedy o tym usłyszał? Powiedział: „Niech idzie do diabła, ten szatan w świątyni nauki!”<sup>3</sup>.

Powtórzmy więc: nasz przeciwnik stał się bardziej rozważny, popełniał coraz mniej błędów, przez co my z tym większą łatwością przegapialiśmy szczegóły. Nawet gdybyśmy nie byli pracowici i staranni, i tak nie uszło by naszej uwadze, że przeciwnik rzadziej się myli. Powtarzaliśmy kroki drugiej strony, próbowaliśmy się połączyć, ale nigdy w pełni nam się to nie udawało, tkana przez nas sieć kłamstw odznaczała się niespotykaną dotąd perfekcją. Miała jednak w sobie coś dziwnego i przerażającego. Rong Jinzhen każdy dzień i każdą noc witał z uczuciem lodowatej paniki. Nikt poza jego żoną nie zdawał sobie sprawy, przez co przechodzi, jej bowiem opowiadał o problemach, które przeżywa w snach. Podejmowane próby złamania szyfru wyczerpywały go fizycznie i psychicznie. Jego wiara, wewnętrzny spokój już spotkały się z groźbą rozpacz, był chory i znużony tworzeniem własnych kroków oraz obroną przed kontratakami...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Myśląc teraz o tym, co się stało, o złodzieju, który ich obserwował, o skradzionej aktówce, Rong Jinzhen był zrozpaczony, wyrzucał sobie brak czujności. Kpił z siebie: „Myślałem o innych ludziach, o kryptografach, konstruktorach BLACK i o tych, którzy go stosowali, o tym, jak trudno się zbliżyć do nich i do szyfru. A przecież bez najmniejszego kłopotu pozwoliłem, by ukradziono mi aktówkę, co zajęło tyle czasu, ile trzeba na wypalenie połowy papierosa”. Śmiał się z goryczą.

W rzeczywistości Rong Jinzhen miał dopiero uświadomić sobie powagę sytuacji, miał dopiero snuć rozważania o swoim położeniu. Kiedy się zastanawiał

nad zawartością aktówki, pamiętał tylko, że schował tam bilet powrotny, rachunek za hotel oraz bony żywnościowe warte dwieście lub więcej yuanów, a także listy polecające. No i cenną książkę Johannaesa, włożył ją wczoraj wieczorem, zanim położył się spać. Na myśl, że ją utracił, serce przeszył mu ból. Porównując jednak to wszystko z zawartością wciąż bezpiecznie zamkniętą w przenośnym sejfie, docenił swoje szczęście, o włos uniknął katastrofy.

Nie trzeba dodawać, że to, na czym zależało złodziejowi, znajdowało się w przenośnym sejfie. Gdyby dostał się w jego ręce, byłaby tragedia. Wydawało się więc, że nie ma powodów do zmartwienia. Rong Jinzhen żałował utraty aktówki, stała się szkoda, ale nic wielkiego.

Dziesięć minut później w przedziale znowu zapanowała cisza. Wasilij i profesor dołożyli starań, by pocieszyć Ronga Jinzhena, i ten zdawał się już spokojniejszy, pogodzony z sytuacją. Ale kiedy na powrót ułożył się na łóżku, to uczucie odprężenia jakby połknęła noc, jakby się rozpadło, wstrząsane stukotem kół o szyny. Utonął w morzu żalu.

Żal to stan umysłu, wspominać oznacza używać mózgu, wysilać się intelektualnie.

Czy w aktówce było coś jeszcze?

Takie pytanie krążyło mu po głowie.

Ponieważ teraz miał tylko wyimaginowaną aktówkę, musiał wykorzystać wyobraźnię, żeby otworzyć zamek błyskawiczny. W tej samej chwili jednak jego umysł stał się bezsilny, jakby przyćmiony uczuciem żalu; pustka w głowie uniemożliwiała rozsunięcie zamka. Przed oczami miał rozległą, powodującą zawroty głowy przestrzeń ponurego mroku. Znajdowała się poza aktówką, nie w jej wnętrzu. Stopniowo żal zaczął ustępować i myśli Ronga Jinzhena wróciły do tego, co było w środku. Zastanawiał się gorączkowo, w skupieniu; można to porównać z siłą płynącej wody, która topi śniegi – wznosi się, zbiera w kałuże, znowu się wznosi, znowu zbiera. Wreszcie otworzył zamek i oślepiło go błękitne światło, jakby ręka złodzieja machnęła mu przed twarzą, co sprawiło, że cofnął się na łóżku.

– Boże, Wasilij! – krzyknął.

– Co się stało? – Ochroniarz zeskoczył z łóżka. W ciemności widział, jak Rong Jinzhen drży.

– Mój notatnik! Mój notatnik!... – Głos Ronga Jinzhena ucichł.

Jak się okazało, włożył do aktówki notatnik.

Zapis wywiadu z dyrektorem Zhengiem

Zastanów się nad tym: samotnik, człowiek z reguły pogrążony w głębokiej kontemplacji, Rong Jinzhen, sprawiał wrażenie, że często słyszy fantastyczne, zdumiewające odgłosy. Owe dźwięki pochodziły z bardzo, bardzo daleka, jakby z jakiegoś duchowego królestwa. Nigdy jednak nie manifestowały w pełni swojej obecności, nie czekały na niego, nie spełniały w pełni pokładanych w nich nadziei, a przecież natykał się na nie bez ostrzeżenia na skraju percepcji. Przybywały bez zaproszenia, pojawiały się w snach, w snach mieszczących się w snach, za słowami ksiązek, które czytał – niejasne, nieodmiennie w nowym kształcie, tajemnicze z natury. Chcę przez to powiedzieć, że te dźwięki – a właściwie inspiracje – zdawały się pochodzić skądś między niebem a ziemią, choć w rzeczywistości pochodziły od Ronga Jinzhena, wprost z jego duszy, promieniowały z jego jestestwa, zamigotały i cichły. Musiał natychmiast je zapisywać, w przeciwnym razie znikwały bez śladu. Odchodziły tak szybko, jak się pojawiały, nawet ich cienie się rozplywały. Z tego też powodu Rong Jinzhen nabrał zwyczaju noszenia przy sobie notatnika; miał go, gdziekolwiek szedł, przez cały czas. Wydawało się, że notatnik to cień, bezszelestnie podążający u jego boku.

Wiem, że był to sześćdziesięciostronicowy, oprawny w skórę zeszyt. Na stronie tytułowej widniała ściśle tajna liczba oraz osobisty seryjny numer Ronga Jinzhena, w środku natomiast znajdowały się notatki i zapiski z ostatnich kilku lat, kiedy pracował nad BLACK. Zwykle wkładał go do górnej lewej kieszeni, ale tym razem, jako że miał przy sobie mnóstwo oficjalnych wizytówek i dokumentów, postanowił wziąć także aktówkę i w niej chować notatnik. Podarował mu ją nasz dyrektor po powrocie z zagranicznej podróży. Zrobiona z bardzo dobrej cielęcej skóry, delikatna i lekka, różniła się od typowych aktówek, miała bowiem szeroki elastyczny pasek, który można było trzymać w dłoni i obwiązywać w pasie, przez co stawała się jakby przedłużeniem ubrania. Z całą pewnością Rong Jinzhen nie podejrzewał, że coś może się zdarzyć i ją utraci, miał raczej wrażenie, że zawsze przy nim będzie.

*Ciąg dalszy nastąpi.*

W ciągu ostatnich kilku dni Rong Jinzhen korzystał z dwóch notatników.

Pierwszy zapamiętał cztery dni temu. Wtedy też wcześniej wyszedł z konferencji i wrócił do swojego pokoju rozgniewany z powodu szczególnie idiotycznej i głupiej prezentacji. Dysząc z wściekłości, położył się na łóżku i zapatrzył w okno. Zauważył, że niebo jest przekrzywione; zamrugał, lecz nic się nie zmieniło. Dotarło do niego, że to, na co patrzy, staje się zamglone: okno, niebo, miasto, słońce, wszystko umykało, a pojawiło się płynne powietrze i odgłos słońca

przypalającego niebiosa – firmament wirował, był bezkształtną masą ze świetlistymi drobinami w locie przez przestrzeń do nicości. Niebiosy spłonęły, ciemność wezbrała i go pochłonęła. W tym momencie pojął i poczuł, jak jego ciało zmienia się w prąd elektryczny. Połyskiwał, ciało zaczęło się unosić, zmieniło się w jakąś formę energii. Zaczął płonąć, wirować, parować, dryfować w nicość. W tej samej chwili rozległ się czysty dźwięk, jak pełne wdzięku echo trzepoczących motyli skrzydeł... To był głos jego przeznaczenia, głos natury, błysku, ognia, złego duszka – musiał go zapisać.

Wtedy też wypełnił ostatnie strony, a później był nawet zadowolony z tego, co napisał. Rozpalił go gniew, zainspirowała złość przeciwko bezmyślnym prezentacjom. W drugim notatniku dokonał pierwszego wpisu we wczesnych godzinach poprzedniego poranka. Ukołysany monotonnym stukotem kół pociągu, zasnął. We śnie długo rozmawiał z profesorem Johannesem, a po przebudzeniu natychmiast sięgnął po notatnik, by zapisać rozmowę.

Można powiedzieć, że przy próbach odkodowania jednego czy drugiego tajnego szyfru, kiedy pojawiały się przeszkody, Rong Jinzhen nigdy nie krzychał z frustracji, nigdy też nie prosił o pomoc. Od początku do końca wytyczoną sobie drogę przebywał o kulach: jedną była wytrwałość, drugą – samotność. Samotność umocniła jego umysł i duszę, wytrwałość umożliwiła mu sięgnięcie do gwiazd i schwywanie szczęścia. Szczęście jest sprytnie: nie widzisz go, nie możesz dotknąć, nie jesteś w stanie jednoznacznie stwierdzić, czym jest. Nie potrafisz go zrozumieć ani też ono na ciebie nie czeka. Jeśli modlisz się o nie, nie przyjdzie. Szczęście jest subtelne i tajemnicze, być może to najbardziej tajemnicza rzecz na świecie. Jednakże szczęście Ronga Jinzhena nie było tajemnicze, lecz bardzo realne i kryło się pomiędzy wersami w jego notatniku...

Tylko że notatnik ktoś ukradł!

Uświadamiając sobie istotę tego zdarzenia, zdenerwowany Wasilij krążył po pociągu. Najpierw udał się do szefa ochrony pociągu; powiadomił go o incydencie i zażądał, by nie pozwolono pasażerom wysiąść. Następnie skorzystał z telegrafu i wysłał depeszę do Jed-nostki 701 z informacją o sytuacji. Jednostka 701 z kolei zdała raport centrali, a ci – swoim przełożonym; wiadomość wędrowała w górę łańcucha dowodzenia, aż dotarła do najgłówniejszego dyrektora, który wydał dyspozycje: „Zaginione dokumenty dotyczą bezpieczeństwa narodowego; wszystkie departamenty dostają nakaz udzielenia niezbędnej pomocy. Rzeczone dokumenty trzeba odzyskać tak szybko jak to możliwe!”.

Jak to się stało, że notatnik Ronga Jinzhena zaginął? zastanawiał się Wasilij. Zawierał poufne firmowe tajemnice oraz dokładne informacje o problemach, na które się natknęli przy próbie złamania BLACK. Rong Jinzhen zapisywał w nim swoje myśli – najważniejszymi były rozważania o zawilosciach BLACK. Jak mógł zaginąć?



Zaginął!

Trzeba go odzyskać!

Pociąg przyśpieszył, pędząc do następnej stacji.

Wszyscy wiedzieli, że następną stacją jest miasto A. Można by rzec, że Ronga Jinzhena dopadła katastrofa tuż za progiem, jakby była od dawna przewidziana, wyryta w kamieniu. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że tyle dni może minąć w spokoju – a teraz to! Rzecz zupełnie niesamowita: przebyć całą drogę do domu i stracić tylko aktówkę (nawet nie przenośny sejf). Sprawca nie mógł być uznany za kogoś szczególnie nikczemnego, chyba to tylko przeklęty złodziej. Nie do wiary. Rong Jinzhen był słaby i zdezorientowany; żalosna sieć płytkiej intrygi oplotła go, dręczyła. Pociąg pędził, a on czuł się coraz gorzej. Pociąg nie zmierzał do miasta A, tylko do piekła.

Na stacji wszystkie drzwi zamknięto na klucz; taki był wydany przed godziną rozkaz wywiadu. Chłopski rozsądek podpowiadał jednak, że złodzieja już nie ma w pociągu. Wysiadł, zabrawszy aktówkę, i było to w mieście B.

Wiadomo powszechnie, że jeśli chcemy ukryć liść, najlepiej zrobić to w lesie. Jeśli osoba chce się ukryć, najlepszym miejscem jest zatłoczone miasto. Rozwiązanie tej sprawy nie będzie łatwe, ustalenie szczegółów trudniejsze niż trudne. Aby dać przykład, ogólny zarys tej sprawy, rozważmy poniższe informacje.

Według dokumentacji Specjalnego Wydziału Śledczego w sprawę były zaangażowane bezpośrednio i pośrednio:

1. Jednostka 701.
2. Policja miasta A.
3. Oddziały Armii Ludowo-Wyzwoleńczej oraz rezerwa wojskowa miasta A.
4. Zarząd kolei miasta A.
5. Wszystkie filie ministerstw z siedzibą w mieście A.
6. Policja miasta B.
7. Oddziały Armii Ludowo-Wyzwoleńczej oraz rezerwa wojskowa miasta B.
8. Zarząd kolei miasta B.
9. Zarząd służby zdrowia miasta B.
10. Administracja miasta B.
11. Urząd budowlany miasta B.
12. Urząd komunikacji miasta B.
13. Klub dziennikarzy miasta B.
14. Władze pocztowe miasta B.
15. Wszystkie urzędy państwowe miasta C oraz wręcz astronomiczna liczba pozostałych małych zakładów pracy oraz wydziałów.

Należało zbadać:

1. Stację kolejową miasta A.
2. Stację kolejową miasta B.
3. Tory o długości dwustu dwudziestu kilometrów pomiędzy miastami A i B.
4. Siedemdziesiąt dwa zarejestrowane pensjonaty w mieście B.
5. Sześćset trzydzieści siedem koszy na śmieci w mieście B.
6. Pięćdziesiąt sześć toalet publicznych w mieście B.
7. Czterdzieści trzy kilometry systemu kanalizacyjnego miasta B.
8. Dziewięć wysypisk śmieci miasta B.
9. Domy wszystkich mieszkańców miasta B.

Ponad trzy tysiące siedmiuset ludzi zaangażowano bezpośrednio do tej pracy; wśród nich byli Rong Jinzhen i Wasilij.

Wszystkich dwa tysiące stu czterdziestu jeden pasażerów pociągu poddano rewizji, podobnie jak czterdziestu trzech członków personelu pociągu oraz ponad sześciuset żołnierzy w mundurach polowych w mieście B. Opóźnienie pociągu wyniosło pięć godzin i trzydzieści minut.

Agenci wywiadu z miasta B poświęcili sprawie czterysta czterdzieści osiem godzin, co równa się dziesięciu dniom i czterem godzinom.

Ludzie mówili, że to największa i najbardziej tajemnicza sprawa, jaką widziała prowincja G: dziesiątkom tysięcy ludzi zakłócono spokój, całe miasta postawiono na głowie; nigdy dotąd nie było operacji o takiej skali.

3 To przywodzi na myśl przedmowę do pracy dyplomowej Jinzhena, którą napisał Młody Lillie.

A wracając do naszej opowieści (wszak to historia Ronga Jinzhena, która jeszcze nie dobiegła końca, a raczej wchodzi w nową fazę): kiedy Rong Jinzhen wysiadł z pociągu w mieście A, na peronie od razu zobaczył, że zbliża się ku niemu delegacja z Jednostki 701. Na czele kroczył dość zdenerwowany i groźnie wyglądający dyrektor (nie Kulawy Zheng, ten dopiero miał awansować na to stanowisko, ale poprzednik poprzednika). Tak powinno być, pomyślał Rong Jinzhen. Szybko stało się jasne, że dyrektor stracił cały szacunek, który niegdyś żywił do Ronga Jinzhena. Patrzył na niego zimnym, złowrogim wzrokiem.

Przerażony Rong Jinzhen umknął spojrzeniem, nie zdołał jednak uciec przed głosem dyrektora:

– Dlaczego nie włożyłeś poufnych, tajnych dokumentów do przenośnego sejfu?

Obecni na peronie uważnie obserwowali tę scenę, dlatego też zobaczyli, co się stało. Przez oczy Ronga Jinzhena przemknął płomyk i zaraz zgasł, jak wypalający się żarnik wolframu, a potem wszyscy zastygli, bo Rong Jinzhen zeszywniał i padł na ziemię.

Kiedy światło wczesnego poranka wpadło przez okno, Rong Jinzhen wrócił do świadomości. Otworzył oczy i ujrzał zamgloną twarz żony. Przez krótką szczęśliwą chwilę o niczym nie pamiętał, myślał, że jest w domu, leży we własnym łóżku i żona obudziła go z sennego koszmaru, bo na jej twarzy malował się niepokój (niewykluczone, że często spełniała ten obowiązek). Wkrótce jednak białe ściany i odór leków sprawiły, że w pełni odzyskał poczucie rzeczywistości: uświadomił sobie, że jest w szpitalu. Powróciło szokujące wspomnienie niedawnych wydarzeń i w uszach Ronga Jinzhena zabrzmiał władczy głos dyrektora: „Dlaczego nie włożyłeś poufnych, tajnych dokumentów do przenośnego sejfu?”.

– Dlaczego?

– Dlaczego?

– Dlaczego...

### *Zapis rozmowy z dyrektorem Zhengiem*

Musisz uwierzyć, że Rong Jinzhen nie próbował rozmyślnie pozbyć się swojej aktówki. W rzeczywistości zawsze zachowywał czujność, stąd twierdzenie,

że cały ten bałagan wyniknął z tego, że przestał się pilnować, że potraktował sprawę zbyt lekko albo że zaniedbał swoje obowiązki – byłoby niesprawiedliwe. Chociaż to, że nie schował notatnika do przenośnego sejfu... Cóż, zabrakło mu przezorności.

Pamiętam dokładnie, że przed wyruszeniem w podróż Wasilij i ja ciągle mu powtarzaliśmy, naciskaliśmy, by tajne dokumenty (w tym wszystko, co mogłoby ujawnić jego przynależność do wywiadu) chował w przenośnym sejfie. A on zapewniał, że tak będzie robił. Według Wasilija w drodze powrotnej Rong Jinzhen był bardzo ostrożny, umieścił w przenośnym sejfie nie tylko wszystkie poufne materiały, ale też książkę z aforyzmami, którą dał mu dyrektor generalny służby wywiadowczej, aby zabezpieczyć to, co mogłoby zdradzić jego tożsamość, zwłaszcza jego stanowisko, czy go skompromitować. Dlaczego nie włożył tam notatnika? Właśnie to się stało odwieczną i głęboką tajemnicą. Wierzę bezwarunkowo, że nie zostawił go rozmyślnie w aktówce, ponieważ chciał w nim pisać. Nie podjąłby takiego ryzyka. Wygląda to tak, jakby rzeczywiście nie miał powodu, żeby nie chować notatnika – zresztą później, chociaż usilnie się nad tym zastanawiał, takiego nie znalazł. Dziwne jednak, że zanim notatnik zaginął, Rong Jinzhen w gruncie rzeczy nie był świadomy, że ma go przy sobie (a gdy już zniknął, nie od razu o nim pomyślał) – jak kobieta, która nie dostrzega, że igła wsunęła się w obrąbek bluzki, i zdaje sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy czuje ukłucie.

Dla Ronga Jinzhena notatnik z całą pewnością nie był przegapioną igłą ani rzeczą bezwartościową. Zwykle o nim pamiętał, nosił jak świętość, ponieważ nic cenniejszego nie posiadał. Wyrażając to jego słowami: notatnik był naczyniem dla jego duszy.

Więc jak to możliwe, że nie zadbał o zabezpieczenie swojej najcenniejszej własności?

To niezgłębiona tajemnica...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Rong Jinzhen odczuwał wielki smutek z powodu tych wydarzeń, jakby zabłąkany w tajemniczym labiryncie na próżno szukał rozwiązania zagadki, dlaczego nie schował notatnika. Na początku ciemność w jego umyśle była niemal nieprzenikniona i spowodowała dotkliwe zawroty głowy, ale z czasem przywykł

i mrok stał się jego środkiem do odkrycia światła. W ten sposób doszedł do niezwykle ważnej myśli: „Może nie widziałem, bo za bardzo go ceniłem, schowałem zbyt głęboko na dnie serca... Może podświadomie pojąłem, że notatnik nie jest już moim samotnym towarzyszem jak moje okulary, nie jest prawdziwym konkretnym przedmiotem... Rzecz równie niezbędną tak łatwo zgubić! Przez długi czas notatniki stanowiły część mojego życia, mieszały się z krwią, stały się organem ciała... Nigdy ich nie czułem, podobnie jak człowiek w gruncie rzeczy nie jest świadom swojego serca czy krwi... Dopiero w czasie choroby uzmysławia sobie swoje ciało, dopiero kiedy gubi okulary, odkrywa, jak bardzo są mu potrzebne: to właśnie przydarzyło się mojemu notatnikowi...”

Rong Jinzhen poderwał się z łóżka jak rażony prądem. Ubrał się i w pośpiechu opuścił szpital. Był niczym ogień pożerający paliwo, desperacko pragnął zbiec. Jego żona nigdy dotąd nie widziała, by kiedykolwiek tak się zachowywał. Zszokowana, oszołomiona, mogła tylko za nim pobiec.

Ponieważ wzrok Ronga Jinzhen nie przystosował się do mroku na klatce schodowej, potykał się na stopniach, upadł i stoczył się na parter. Zgubił okulary – na szczęście się nie potłukły – i gdy ich szukał, wtedy żona zrównała się z nim. Dopiero co przybiegła do szpitala z Jednostki 701, dowiedziała się bowiem, że z powodu stresów spowodowanych podróżą mąż zachorował i zabrano go do szpitala. Ale nie miała pojęcia, co naprawdę się wydarzyło. Nalegała, by Jinzhen wrócił na oddział, on jednak zdecydowanie odmówił.

Wyszedłszy ze szpitala, był przyjemnie zaskoczony widokiem swojego dżipa na parking. Gdy do niego podbiegł, zobaczył zgarbionego nad kierownicą szofera, który spał. Dżipa przysłano po niego. Skłamał, mówiąc, że zostawił na dworcu aktówkę i musi po nią jechać. W rzeczywistości ruszył prosto do miasta B.

Rozumiał, że złodziej mógł być albo w pociągu, albo w mieście B – innej możliwości nie było. Gdyby został w pociągu, nie miałby gdzie uciec. To znaczyło, że Rong Jinzhen musiał w wielkim pośpiechu pojechać do B. Miasto A go nie potrzebowało, natomiast miasto B – niewykluczone, że B będzie potrzebowało całej swojej populacji!

Trzy godziny później Rong Jinzhen skręcił na dziedziniec miejskiego garnizonu. Z tego co się dowiedział, musiał udać się do oddziału do zadań specjalnych, który tam się mieścił. Dowódcą był wiceminister oddelegowany ze sztabu generalnego, ale jeszcze nie przyjechał. Pomiędzy jego pięciu zastępców rozdzielono obowiązki związane z odpowiednimi komórkami w siłach zbrojnych miast A i B. Do grupy tej należał człowiek, który później miał zostać dyrektorem Jednostki 701 – Kulawy Zheng. Zastępca dyrektora Zheng przekazał Rongowi Jinzhenowi złe wieści: dokładnie przeszukano każdy cał pociągu i złodzieja nie znaleziono.

To mogło znaczyć tylko jedno: złodziej ulotnił się w mieście B!

Niezwłocznie przeniesiono więc wszystkich zaangażowanych w sprawę do miasta B. Wieczorem przybył Wasilij, początkowo wypełniając rozkaz dyrektora Fenga, by odprowadzić Ronga Jinzhena do szpitala; dyrektor Feng wyczuł, że Jinzhen odmówi, dlatego dołączył dodatkowe instrukcje: gdyby Jinzhen nie ustąpił i zamierzał pozostać w mieście B, Wasilij musi towarzyszyć mu na każdym kroku, zapewnić bezpieczeństwo.

Tak mniej więcej to się odbyło.

Nikt nie wiedział, że Wasilij potencjalnie zagrozi bezpieczeństwu Jednostki 701 i o mało nie sprowadzi na wszystkich katastrofy.

Przez kilka następnych dni Rong Jinzhen wałęsał się po ulicach i zaułkach miasta B jak zagubiona dusza. Podczas długich, niekończących się nocy – nocy, które najbardziej rozsądną osobę doprowadziłyby do szaleństwa – by zabić czas, kontemplował niezwykle odległe rzeczy. Miał za sobą fazę nadziei i teraz odczuwał głęboką rozpacz; noc stała się strasliwą męką. Co wieczór jego żalorny los dręczył go, torturował, kradł mu sen, a przecież poranki przynosiły jeszcze większą presję, jakby ktoś przyzegał mu ciało. Zanurzał się głęboko w swoim umyśle, usiłował przypomnieć sobie tamten dzień i wieczór, ocenić siebie i spróbować zrozumieć, jak mógł popełnić taki strasliwy błąd. Wydawało się, że wszystko, co zrobił, było błędem, a równocześnie bezbłędne. To sen, fantazja. Zaplątany w tę niewiarygodną, ale też zawstydzającą sytuację, czuł, jak pod powiekami gromadzą się łzy i zatapiają go w tej męczarni. Miał wrażenie, że jest kwiatem, więdnie, opadają z niego płatki. Był jak zabłąkane jagnię, którego żalorne beczenie z chwili na chwilę słabnie, stając się coraz bardziej rozpaczliwe.

Ten najważniejszy, a zarazem najbardziej bolesny wieczór, szóstego dnia od incydentu, rozpoczął się od strasznej ulewy. Deszcz przemoczył Ronga Jinzhen i Wasilija do nitki, u pierwszego wywołał niekończące się ataki kaszlu i obu zmusił do przerwania poszukiwań. Wyciągnęli się na łózkach, które im zapewniono; znużenie było w gruncie rzeczy do zniesienia, za to deszcz zmienił się w torturę.

I właśnie deszcz sprawił, że Rong Jinzhen pomyślał o strasliwym dylemacie...

### *Zapis rozmowy z dyrektorem Zhengiem*

Rong Jinzhen, osobiście zaangażowany w tę aferę, miał zgoła odmienny pogląd na przebieg zdarzenia niż śledczy wyznaczeni do sprawy. Uważał, że motywem złodzieja musiały być pieniądze, i kiedy zabrał wszystko, co miało wartość finansową, resztę wyrzucił, w tym cenny notatnik. Śledczy uznali, że warto pójść tym tropem. Wysłano ludzi, by przeszukali wszystkie miejskie kosze na śmieci i wysypiska. Oczywiście Rong Jinzhen osobiście przesiewał miejskie śmieci, całą energię wkładając w tę czynność, w wielu przypadkach jako pierwszy, ale czasem wracał do miejsc już sprawdzonych.

Tamtego wieczoru, szóstego dnia od incydentu, na miasto spadła ulewa i nic

nie wskazywało, że szybko się skończy: krople z szumem lały się z nieba i biły w ziemię, kratki ściekowe wezbrały. Deszcz sprawił, że Rong Jinzhen poczuł się jeszcze gorzej na myśl o personelu Jednostki 701, przybyłym, by szukać jego notatnika, który opady zmieniają teraz w nieczytelną kałużę atramentu. Strumienie wody mogły porwać notatnik, co jeszcze bardziej utrudni jego odnalezienie. Ulewa napełniła wszystkich poczuciem ostrego bólu i straszliwego niepokoju. Dla Ronga Jinzhen musiała to być trudniejsze, jeszcze bardziej zniechęcające. Ten deszcz w gruncie rzeczy niczym się nie wyróżniał, takie opady się zdarzają. Nie miał złych intencji i z całą pewnością żadnego związku z kradzieżą, ale można było odnieść wrażenie, że jest odległym echem złodzieja, jakby ta dwójka działała w cichym porozumieniu; deszcz przejął nikczemność złodzieja, dostarczył jej pokarmu, pilnował, by katastrofa stała się większa, wzmocnił jej skutki.

Deszcz zatopił resztki nadziei, którą Rong Jinzhen wciąż żywił...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Dzięki tej gwałtownej ulewie łatwo było zauważyć, w jaki sposób katastrofa wpłynęła na Ronga Jinzhen. Jakby jakaś nieznaną zewnętrzną siłą manipulowała sytuacją, sprowadzając na scenę wszystko, co najstraszniejsze i nieoczekiwane, by stworzyć pokręconą kombinację zdarzeń: rzecz doprawdy wstrętna. Z powodu ulewy Rong Jinzhen spoglądał na swoje ostatnie dwanaście lat, na ich tajemnice i głębię; zobaczył, jak inspiracja do złamania PURPLE, którą zaczerpnął ze snu o Mendelejewie, w jedną noc przekształciła go w człowieka wspaniałego, okrytego chwałą. Wcześniej myślał, że taki rodzaj cudu, taka forma boskiej opatrności to nie dla niego, że jest zbyt nadzwyczajna, takiej cudowności ludzie nie ośmielają się szukać. Czuł jednak, że niebiańska interwencja powróciła, choć w innej formie. To była jasność pomieszana z mrokiem, tęcza pośród złowrogich chmur, odwrotność „rzeczy” – jakby przez te wszystkie lata krążył wokół tej „rzeczy”, lecz zawsze widział ją od „właściwej” strony. Teraz nieuchronnie miał spotkać się z jej rewersem.

Czym jednak była „rzecz”?

Dla tego dawnego ucznia pana Auslandera, ucznia, na którego serce wpłynęło nauczanie Jezusa, „rzecz” nie mogła być niczym innym jak tylko Bogiem, wszechmogącym Duchem Świętym. A ponieważ wierzył, iż „rzecz” musi być Bogiem, odznaczała się skomplikowaną, a zarazem absolutną naturą. Miała piękną stronę, ale też nieodzownie musiała posiadać stronę złą, była dobra, ale też niegodziwa. Chociaż wydawała się jedynie duchem, miała niezwykłą potęgę i moce, pozwalała wszystko obserwować: całe szczęście i ból, całą nadzieję



i rozpacz, całe niebo i piekło, całą chwałę i upadek, cały honor i hańbę, całą radość i żal, całe dobro i zło, dzień i noc, jasność i ciemność, to, co słuszne, i to, co niesłuszne, *yin* i *yang*, to, co w górze, i to, co na dole, to, co w środku i na zewnątrz, to i tamto, wszystko...

Jaśniejące i wspaniałe pojawienie się Boga na scenie sprawiło, że w sercu Ronga Jinzhena zapanował spokój. Myślał: „Jeśli jest, jak jest, to musi być plan Boga: jak mógłbym mu się sprzeciwić? Opór nie ma sensu. Prawa boskie są sprawiedliwe. Bóg ich nie zmieni, by zadowolić dążenia człowieka. Ostatecznym planem Boga jest uświadomić ludziom piękno wszelkiego stworzenia”. Bóg objawił Rongowi Jinzhenowi naturę wszechrzeczy poprzez PURPLE i BLACK.

Całe szczęście i cierpienie.

Całą nadzieję i rozpacz.

Całe niebo i piekło.

Całą chwałę i upadek.

Honor i hańbę.

Radość i żal.

Dobro i zło.

Dzień i noc.

Jasność i mrok.

To, co słuszne, i to, co niesłuszne.

*Yin* i *yang*.

To, co w górze, i to, co na dole.

To, co w środku, i to, co na zewnątrz.

To, co jest tym, i to, co jest tamtym.

Wszystko...

Słuchał, jak te kontrastujące zestawienia wydobywają się z jego wnętrza, i nie zwracał już uwagi na ulewę. Wydawało się, że nie ma już znaczenia, czy leje, czy przestało padać, szum deszczu nie był teraz nieznośny. Kiedy Rong Jinzhen się położył, odgłos spadających kropeł stał się przyjacielski, tak czysty i nieskażony, taki spokojny i łagodny, że go zauroczył, i poczuł, jak się w nim roztapia. Zapadł w sen i śnił. Z oddali dobiegał głos: „Wciąż przesądnie wierzysz w Boga... Bóg jest tchórzem... Bóg nie zapewnił Johannesowi idealnego życia... I nie mów mi, że prawa Boga są sprawiedliwe... Boskie prawa są z gruntu niesprawiedliwe...”.

Ostatnie słowa powtarzały się w jego umyśle, głos nabierał siły, wreszcie brzmiał jak grzmot w jego uszach, zmuszając do ocknięcia się ze snu, a mimo to nadal słyszał głos: „Niesprawiedliwe – niesprawiedliwe – niesprawiedliwe...”.

Nie rozpoznał, kto lub co przemawia, i z całą pewnością nie wiedział, dlaczego mówca, kimkolwiek był, postanowił wygłosić te tajemnicze słowa do niego. „Prawa boskie są niesprawiedliwe!” No dobrze, powiedzmy, że takie są, ale z tego? Zastanawiał się. Nie wiadomo jednak, czy powodem było dudnienie

w głowie, jakieś podświadome zmartwienie czy strach, ale myśli miał chaotyczne i mgliste. Każdy punkt wyjścia wymykał mu się niczym bezgłowy smok, który nie ma pojęcia, w którą stronę się zwrócić. Pod czaszką szalała obrzydliwa kakofonia: jego umysł był jak bulgoczący garnek z wrzątkiem. Gdyby jednak zdjąć pokrywkę, okazałoby się, że w środku nie ma nic wartościowego. Myśli Ronga Jinzhena biegly utartymi szlakami, nie działo się nic ważnego. Po chwili to mentalne falowanie ustało – jakby do garnka włożono coś do ugotowania. Wspomnienia o jeździe pociągiem, złodzieju, skórzanej aktówce, ulewie powróciły, po raz kolejny znalazła się w centrum jego osobista klęska. Tym razem jednak nie zrozumiał znaczenia wspomnień – jakby potrawa jeszcze się nie ugotowała. Później wspomnienia znowu na niego naparły – teraz garnek z zawartością powoli osiągał punkt wrzenia. Rong Jinzhen popadł w ekscytację, jak marynarz, który po długim rejsie widzi stały ląd. Kierował się z pełną mocą ku swemu celowi, zbliżając się do niego, ponownie usłyszał ów tajemniczy głos: „Do jakiego stopnia sprawiedliwe jest to, by ten incydent zapowiedział katastrofę, by doprowadził cię do upadku?”.

– Nieee! – ryknął Rong Jinzhen. Wypadł za drzwi, wybiegł na ulewę, atakując ciemność inwektywami: – Boże, byłeś dla mnie niesprawiedliwy! Boże, chcę, by BLACK mnie pokonał! Tylko jeśli BLACK mnie pokona, osiągnięta zostanie sprawiedliwość! Boże, tylko najbardziej nikczemny z ludzi powinien cierpieć taką niesprawiedliwość! Boże, tylko najbardziej nikczemna istota wyższa mogła mnie zmusić do znoszenia takiej hańby! Och, niegodziwy Panie, nie powinienes być tego robić! Och, zły Boże, będę walczył z tobą do samego końca!

Po tym wybuchu miał wrażenie, że lodowaty deszcz go pali, a krew w żyłach zaczęła z bulgotem się przelewać; wtedy też uzmysłowił sobie, z jaką siłą leje deszcz. Kiedy ta myśl przemknęła mu przez głowę, zaraz poczuł, jak całe jego ciało płynie, zlewa się z niebem i ziemią kropla po kropli, niczym powietrze z chmurą, sen z fantazją. To wtedy raz jeszcze usłyszał słaby, niewyraźny głos gdzieś z daleka. Było tak, jakby ten niewiarygodnie żaloszny jęk wydobył się z jego zaginionego notatnika, gdzieś w ziemi i w błocie, nieszczęśliwy i zrozpaczony, pojawiał się i znikał, wracał z przeciągłym wołaniem:

– Rongu Jinzhenie, posłuchaj... deszczowa woda rwie, zmienia glebę w bulgoczącą maź... a chociaż woda może porwać notatnik i ponieść daleko od ciebie, może też ci go zwrócić... zwrócić... po wszystkim, co się zdarzyło, dlaczego coś takiego nie mogłoby nastąpić... chociaż woda może porwać notatnik i porwać daleko od ciebie, może też ci go zwrócić... zwrócić... zwrócić... zwrócić...

To była ostatnia dziwna myśl Ronga Jinzhena.

Noc jawiła się niesamowita i zła.

Za oknem deszcz bębnił nieprzerwanie, nieugięte.

Ta część opowieści zainspiruje czytelnika, a zarazem zasmuci. Zainspiruje, ponieważ notatnik Ronga Jinzhena zostanie wreszcie odnaleziony, zasmuci, bo Rong Jinzhen zniknie bez śladu. Podsumowując, o takim rezultacie mówił Rong Jinzhen: Bóg daje nam szczęście, ale też cierpienie, Bóg wszystko przed nami objawia.

Rong Jinzhen zniknął tego samego wieczoru, kiedy lało jak z cebra. Nikt nie wiedział, kiedy wyszedł z pokoju, wczesnym wieczorem czy późną nocą, podczas ulewy czy po niej. Wszyscy jednak wiedzieli, że nie wrócił – jak ptak nieodwołalnie opuszczający matczyne gniazdo, jak gwiazda na zawsze wyrwana ze swojej orbity.

Zniknięcie Ronga Jinzhena spowodowało, że sprawa stała się bardziej skomplikowana, ludzie byli zdezorientowani. Ktoś zasugerował, że jego zniknięcie to następny krok w sprawie zaginionego notatnika, może jest to dwuetapowa operacja. Tożsamość złodzieja stawała się coraz bardziej tajemnicza, ale na pewno miał wrogie zamiary. Więcej osób wierzyło jednak, że zniknięcie Ronga Jinzhena jest rezultatem jego braku nadziei, niezdolności do poradzenia sobie ze strachem i bólem wywołanymi tymi zdarzeniami. Każdy doskonale się orientował, że szyfry były życiem Ronga Jinzhena i co dla niego znaczyła utrata notatnika. Teraz nadzieja na odnalezienie go powoli słabła – nawet gdyby się to udało, przypuszczalnie zawierałby namoknięte, zamazane stronicę. Rong Jinzhen w żadnym razie nie mógł potraktować tego lekko; nie można było wykluczyć samobójstwa.

Późniejsze wydarzenia zdawały się potwierdzać te złe przeczucia. Pewnego popołudnia na wschodnim brzegu rzeki, która płynie przez miasto B, w pobliżu rafinerii ropy naftowej natknęto się na skórzany but. Wasilij momentalnie rozpoznał w nim własność Ronga Jinzhena, but był rozciągnięty po ostatnich wędrownkach w poszukiwaniu notatnika.

W tym samym czasie Wasilij zaczął utwierdzać się w przekonaniu, że ich wysiłki w celu odszukania Ronga Jinzhena spełzną na niczym. Zrezygnowany, nie mógł oprzeć się przeczuciu, że notatnika też nigdy nie znajdą. Może uda im się jedynie natrafić na trupę Ronga Jinzhena płynącego w błotnistym strumieniu.

Jeśli tak to się skończyło, rozważał Wasilij, byłoby lepiej, gdyby na samym początku zabrał Ronga Jinzhena do domu. W tej sytuacji nie mógł pozbyć się wrażenia, że nad jego głową wisi złowrogi miecz Damoklesa.

– Pierdolić to! – Gwałtownym ruchem, całą mocą, odrzucił brudny but Ronga Jinzhena, jakby próbował pozbyć się pecha, który im towarzyszył od kilku

dni.

To wszystko wydarzyło się w dziewiątym dniu śledztwa. Nie pojawiły się żadne informacje na temat notatnika, co nie pomogło, wręcz przeciwnie, sprawiło, że ludzi ogarnęło zniechęcenie, cień rozpacz zaczął się okopywać w ich umysłach, rósł i rozprzestrzeniał się, pożerając nadzieję. Z tego też powodu centrala przyznała rację śledczym i podjęła decyzję o podaniu całej sprawy do publicznej wiadomości, zamiast trzymać ją w sekrecie.

Następnego dnia w porannym wydaniu „Dziennika Miasta B” wydrukowano informację o zgubionej własności i szeroko ją rozkolportowano. Osoba właściciela została przedstawiona jako naukowiec, a zagubiony notatnik jako zawierający materiały o nowych wynalazkach technicznych, nad którymi pracuje naród.

Można powiedzieć, że przeprowadzenie takiej akcji było wyjątkowo ryzykowne, ponieważ złodziej, dowiedziawszy się o szeroko zakrojonych poszukiwaniach, mógł albo ukryć notatnik, albo go zniszczyć, niwecząc wysiłki śledczych. Wbrew jednak oczekiwaniom tamtego wieczoru dokładnie o dwudziestej drugiej zero trzy zadzwonił telefon na gorącej linii specjalnego oddziału śledczego. Po słuchawkę wyciągnęły się trzy dłonie, ale pierwszy złapał ją Wasilij, człowiek wyjątkowo zręczny.

– Halo, tu biura Specjalnego Wydziału Śledczego, proszę mówić.

– ...

– Halo, halo, jest tam ktoś? Słucham, proszę mówić.

– Ach, ach, ach...

Połączenie się przerwało.

Zawiedziony Wasilij odłożył słuchawkę z poczuciem, jakby drobiazgowi nadawał wielkie znaczenie.

Po minucie telefon znowu zadzwonił.

I znowu Wasilij pierwszy chwycił słuchawkę.

Kiedy się odezwał, od razu usłyszał zadyszany i zdenerwowany głos:

– Nota... notatnik... jest w skrzynce pocztowej...

– Skrzynce pocztowej? Gdzie? Halo, w której skrzynce?

– Ach, ach, ach...

Połączenie zostało przerwane.

Ten nikczemny złodziej, ten żaloszny, a przecież poniekąd godny podziwu złodziej. Jak możecie sobie wyobrazić, był do tego stopnia zaaferowany, że nie zdołał wykrztusić, w której skrzynce jest notatnik. Ale nieważne, dowiedzieli się dość. W mieście B było tylko kilkaset skrzynek pocztowych i jakie to miało znaczenie? Szczęście wreszcie zaczęło im sprzyjać, jako że Wasilij w pierwszej skrzynce, którą otworzył, odkrył...

W świetle gwiazd notatnik emanował łagodną błękitną poświatą, głębokim spokojem, który budził strach. Ale ten spokój był doskonały, inspirował, był jak

zamarznięty ocean zaczynający topnieć, jak szafiry, które nigdy nie tracą na wartości.

Notatnik nie został zniszczony, wyrwano tylko kilka ostatnich kartek. Pewien oficjel z centrali nie mógł się oprzeć i wygłosił przez telefon żartobliwy komentarz:

– Może ten złodziej wytarł nimi brudną dupę.

Kiedy później usłyszał to inny starszy stopniem pracownik centrali, pociągnął kwestię:

– Jeśli kiedykolwiek znajdziecie tego fiutka, dajcie mu papier toaletowy, bo macie papier w Jednostce 701, prawda?

Ale nikomu nigdy nie zlecono odszukania złodzieja.

Ponieważ nie okazał się zdrajcą.

I ponieważ jeszcze nie odnaleziono Ronga Jinzhena.

Następnego dnia w głównym wydaniu „Dziennika Miasta B” zamieszczono notkę o zaginionej osobie. Chodziło o Ronga Jinzhena:

Rong Jinzhen, mężczyzna, lat trzydzieści siedem, wzrost sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, jasna cera, szczupła budowa. Ostatnio widziany w okularach dla krótkowidza w brązowych oprawkach, zielono-niebieskiej kurtce Sun Yat-sen i jasnobrązowych spodniach. W kieszeni na piersi miał wieczne pióro (z importu). Na ręce zegarek Zhongshan. Mówi po mandaryńsku i po angielsku, lubi grać w szachy, wykonuje wolne i precyzyjne ruchy. Prawdopodobnie ma tylko jeden but.

Ani pierwszego, ani drugiego dnia po opublikowaniu notki nie pojawiły się żadne informacje.

Podobnie w dzień trzeci, kiedy rysopis wydrukowano także w „Dzienniku Prowincji G”.

Według Wasilija właśnie tego się spodziewali; dość optymistyczne jest oczekiwanie, że odezwie się człowiek martwy. Mimo to Wasilij w głębi serca wyczuwał, że jednak odwiezie do Jednostki 701 żywego Ronga Jinzhena – co było jego obowiązkiem, ale też niezwykle trudnym zadaniem.

Dwa dni później po południu Specjalny Wydział Śledczy powiadomił go, że zadzwonił mieszkaniec okręgu M i powiedział, że w okolicy kręci się człowiek odpowiadający rysopisowi Ronga Jinzhena i powinni jak najszybciej przyjechać.

Człowiek odpowiadający rysopisowi Ronga Jinzhena? Wasilij pomyślał, że jego przecucie zaczyna się sprawdzać; ten zapalczywy, gwałtowny człowiek załamał się jak tchórz i wybuchnął płaczem.

Główne miasto okręgu M oddalone było o mniej więcej sto kilometrów na północ od miasta B. Ludzie zadawali sobie pytanie, jak Rong Jinzhen zdołał przebyć taką odległość w poszukiwaniu notatnika. W drodze Wasilij analizował całą sytuację; w sercu miał żalobę, ogarnęła go apatia, tak naprawdę nie wiedział,

co myśleć.

Kiedy dotarł do okręgu M, nie poszedł prosto do mężczyzny, który zadzwonił. Mijając papiernię, dostrzegł człowieka na stosie makulatury. Człowiek ów zaintrygował go, bo bardzo rzucił się w oczy, a po bliższym przyjrzeniu dało się zauważyć, że ma problemy, nie jest normalny. Cały pokryty był brudem. Stopy miał gołe, sinoczarne. Zakrwawionymi dłońmi przeglądał makulaturę, odwracając stos za stosem. Każdą podartą i zniszczoną książkę poddawał starannemu i dokładnemu badaniu. Wzrok miał zamglony i nieustannie coś mamrotał. Otaczała go aura klęski i głębokiej pobożności – na podobieństwo przeora taoistycznego, który przetrwał katastrofę i teraz w ruinach swojej świątyni z wielką determinacją poszukuje świętych ksiąg.

To wszystko zdarzyło się po południu, pod zimowym słońcem, którego promienie paliły tego budzącego litość człowieka...

Pały jego skrwawione dłonie.

Pały jego zgięte kolana.

Pały jego pochylone plecy.

Pały jego zdeformowane policzki.

Jego usta.

Okulary.

Oczy.

Kiedy patrzył na tego człowieka i jego czarne drżące dłonie, oczy Wasilija otwierały się coraz szerzej, a równocześnie nogi niosły go do przodu. Rozpoznał, że ten nieszczęśnik to Rong Jinzhen.

Rong Jinzhen!

Wasilij odnalazł go w szesnastym dniu po zniknięciu aktówki, trzeciego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku o czwartej po południu.

Czternastego stycznia tego samego roku późnym popołudniem Rong Jinzhen, złamany i udręczony, został pod opieką Wasilija przywieziony z powrotem do otoczonego wysokimi ścianami kompleksu Jednostki 701, co równocześnie zamknęło tę część opowieści.

陳彥行 維矣刻意演出了君内

CZĘŚĆ PIĄTA  
NA KOŃCU

Zakończenia są także początkami.

W piątej części – w gruncie rzeczy uzupełnieniu – zamierzam dostarczyć dodatkowych informacji o życiu Ronga Jinzhena.

Czuję, że ta część funkcjonuje na podobieństwo dłoni za kulisami, jedna zwraca się ku przeszłości, druga ku przyszłości. Obie są niezwykle zajęte, wyciągają się daleko i szeroko. Mają szczęście, zdołały natrafić na coś bardzo rzeczywistego, bardzo ekscytującego – można to porównać do sytuacji, kiedy po długim czasie znajdujemy rozwiązanie kłopotliwej zagadki. W rzeczywistości prawdziwa błyskotliwość wszystkich tajemnic i sekretów, o których była mowa w poprzednich czterech częściach, nawet jeśli brakowało im splendoru, teraz zostanie ujawniona.

Co więcej, ta część świadomie lekceważy konwencje narracji i intrygi, lekceważy literacki nastrój. Nie podejmuję żadnej próby przedstawienia jednorodnej, spójnej opowieści. Moje intencje są raczej niejednoznaczne i różnorodne. Może się wydawać, że celem tego rozdziału jest rzucenie wyzwania tradycyjnym normom literackim, ale ja tylko poddaję się zmiennym kolejom losu Ronga Jinzhena. Co dziwne jednak, dopiero kiedy zdecydowałem, że poddam się jego opowieści, wystawię się na jej łaskę, poczułem się swobodny, tak zadowolony, jakbym wygrał bitwę.

Poddanie się jednak nie jest tym samym co rezygnacja! Mam nadzieję, że po lekturze całej tej części zdacie sobie sprawę, iż zamieszczone w niej rewelacje pochodzą od twórcy BLACK. Ach, chyba powiedziałem zbyt wiele. Jeśli jednak mam być szczery, tak to jest: następne stronicę ciągnęły mnie w różne strony – i tak samo będzie z wami. To tak, jakbym będąc przy Rongu Jinzhenie, gdy ten popadł w szaleństwo, sam także oszalał.

Wracając jednak do sprawy...

Istotnie, są ludzie, którzy dali wyraz podejrzewaniu co do prawdziwości tej opowieści. Ich nastawienie sprowokowało mnie do napisania finalnej części.

Zawsze sądziłem, że skłonienie czytelnika do wiary, iż historia w rzeczywistości jest prawdziwa, nie stanowi najbardziej fundamentalnego celu tworzenia fikcji – można się bez tego obejść. Lecz ta historia... cóż, ta konkretna opowieść wymaga tej wiary, łącznie ufności. Ponieważ w ostatecznym rozrachunku jest niekwestionowaną prawdziwą historią. Aby zachować jej oryginalną esencję, musiałem wiele razy podjąć ryzyko, zwłaszcza w odniesieniu do intrygi. Och, mógłbym skorzystać ze swojej wyobraźni i wysnuć skomplikowaną opowieść, wiążąc luźne wątki, a nawet zastosować wygodne triki, dzięki którym ładnie



zakończyłbym całość. Jednakże wewnętrzne pragnienie – pasja – by chronić ducha opowieści, powstrzymały mnie od wejścia na tę drogę. Tak więc mogę powiedzieć, że jeśli ta historia cierpi na jakąś chroniczną chorobę, jej korzenie tkwią nie w uniżonym narratorze, lecz w bohaterach i ich życiu. Wszak, logicznie rzecz biorąc, prawdopodobieństwo, że ktoś zachoruje na całkowicie nieprzewidywalną przewlekłą chorobę, jest bardzo realne, dowodów nie brakuje. I nic nie można na to poradzić.

Muszę więc podkreślić, że ta opowieść jest częścią historii, a nie produktem czyjejs wyobraźni. To, co do tej pory napisałem, wzięło się z nagranych rozmów; fakty pozostały niezmienione. Możecie więc zrozumieć – i mam nadzieję, że mi wybaczą – iż dodałem pewne narracyjne ramy oraz fikcyjne szczegóły, takie jak nazwiska oraz nazwy miejscowości, a także, rzecz oczywista, opisów nieba oraz krajobrazów. Niewykluczone, że w chronologii wydarzeń są błędy, no i naturalnie pomiąłem pewne fragmenty, wciąż klasyfikowane jako tajne; czasami być może przesadziłem, jeśli chodzi o przemyślenia bohaterów. Nie miałem jednak w tej kwestii wyboru. Rong Jinzhen był człowiekiem bez reszty zaabsorbowanym światem fantazji: nie robił nic poza łamaniem szyfrów, a ponieważ jego praca miała klauzulę tajności, opinia publiczna nie mogła o niej wiedzieć. Tak to jest.

Muszę też dodać, że to nie Wasilij znalazł Ronga Jinzhena w piarni, drukarni czy gdzie to było w okręgu M. Zrobił to dyrektor Jednostki 701, który osobiście wszystkiego dopilnował: przywiózł Ronga Jinzhena do domu. Wasilij przez kilka następných dni z powodu stresu wywołanego wydarzeniami strasznie chorował i niewiele mógł zrobić. Dyrektor zmarł dziesięć lat temu. Co więcej, przed śmiercią za żadne skarby nie chciał rozmawiać o tamtych wydarzeniach i to było niemal tak, jakby współczuł Rongowi Jinzhenowi. Niektórzy mówili, że miał wyrzuty sumienia, ponieważ zlekceważył obłąd Ronga Jinzhena i czując bliską śmierć, bardzo się obwiniął. Nie jestem pewien, czy powinien mieć wyrzuty sumienia, wiem tylko, iż jego samooskarżenia powiększyły mój żal, że sprawy tak się potoczyły dla Ronga Jinzhena.

A wracając do naszej opowieści: dyrektorowi owego brzemiennego w skutki dnia towarzyszył ktoś jeszcze, jego szofer. Ludzie mówili, że był doskonałym kierowcą, ale analfabetą, stąd nie możemy wiedzieć na sto procent, gdzie znaleźli Ronga Jinzhena, w drukarni czy piarni. Z zewnątrz oba te zakłady wyglądają bardzo podobnie, nic dziwnego, że analfabeta, który widział to miejsce przelotnie, nie potrafi ich rozróżnić. Kiedy z nim rozmawiałem, bardzo się starałem pomóc mu w zrozumieniu, że piarnia i drukarnia to dwa zupełnie inne przedsiębiorstwa. Na przykład w tej pierwszej jest kilka dymiących kominów, a w drugiej nie, w drukarni unosi się intensywny zapach tuszu, podczas gdy w piarni turbina wodna wyrzuca wodę i nie wionie tam odorem. Pomimo tych wyjaśnień kierowca jednak nie zdołał podać szczegółów, mówił wymijająco i niejasno. Czasami

myślałem, że ta mglistość przypuszczalnie wynikała z różnicy pomiędzy ludźmi wykształconymi a niewykształconymi. Dla mniej wyedukowanych ocena tego, co jest realne, a co nie, co jest słuszne, a co złe, musi być najeżona wieloma trudnościami i przeszkodami. Dla tego trzęsącego się, sklerotycznego starca, któremu pamięć zjadło upodobanie do tytoniu i alkoholu – takie zniedołężnienie przeraziłoby najtwardszych osobników – opowiadanie o zdarzeniach sprzed kilkudziesięciu lat było dramatycznie trudne. Z całą stanowczością obstawał jednak przy roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, a nie dziewiątym. Nie muszę dodawać, że ten błąd powiększył moją nieufność do niego. W rezultacie uznałem, że mogę pozwolić sobie na niejaką swobodę i w roli człowieka, który pojechał do okręgu M po Ronga Jinzhena, obsadzić Wasilija.

Mówię o tym wszystkim, ponieważ czuję, iż ten epizod wymagał uściślenia.

Muszę pogodzić się z faktem, że zakończenie jest najbardziej nierealną częścią całej historii.

Czasami nachodzi mnie żal, że tak je sfabrykowałem.

Drugim powodem, dla którego napisałem tę ostatnią część, jest wyrażana przez wielu ciekawość, co się stało z Rongiem Jinzhenem po powrocie do Jednostki 701. Stanowiło to dla mnie zachętę.

Znaczy to także, że ty, mój czytelniku, będziesz chciał usłyszeć, jak ja rozumiem historię Ronga Jinzhena. Jak doceniam jego opowieść.

Uczynię to z największą radością.

O całej tej historii dowiedziałem się, kiedy zachorował mój ojciec. Wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku mój wówczas siedemdziesięcioletni ojciec doznał wylewu i trafił do szpitala. Terapia okazała się nieskuteczna, przeniesiono go więc do domu opieki w okręgu Lingshan w Guangxi. To właściwie nie był dom opieki, raczej hospicjum, w którym dbano jedynie o to, by pacjenci w spokoju i cierpliwie czekali na śmierć.

Tamtej zimy odwiedziłem mojego biednego ojca i przekonałem się, że ból i udręka spowodowane chorobą bardzo go przez ostatni rok odmieniły: złagodniał, był dla mnie miłszy i serdeczniejszy, chętnie też prowadził lekkie rozmowy. W oczy rzucała się jego nadzieja, że powtarzanie zapewnień przekona mnie o jego ojcowskiej miłości. Powiem szczerze, iż wcale nie musiał tak się zachowywać. Obaj od dawna wiedzieliśmy, że pora okazywania podobnych uczuć już minęła. Gdy potrzebowałem ojca, nie było go przy mnie – może nigdy nie sądził, że taki dzień kiedyś nadejdzie, a może przyczyna leżała gdzie indziej, niezależnie jednak od tego, jak było naprawdę, muszę przyznać, że nie kochał mnie tak, jak ojciec powinien kochać syna. To jednak nie miało znaczenia. Nie zamierzałem żywić do niego pretensji i próbować w jakiś sposób się zemścić ani też pozwolić, żeby to wpłynęło na moje poczucie obowiązku, by kochać i szanować ojca dożywającego kresu swoich dni.

Prawdę powiedziawszy, byłem bardzo przeciwny przeniesieniu go do tego akurat domu opieki, ale ojcu strasznie na tym zależało. Nie mogłem go skłonić do zmiany zdania. Rozumiałem zresztą, dlaczego się upierał. Bał się, że gdyby pozostał bliżej nas, żona i ja znienawidzilibyśmy konieczność opieki nad nim, wolał się więc nie narażać na takie upokorzenie. Niewykluczone, iż do tego by doszło – przewlekła choroba może osłabić dobre intencje najbardziej oddanego ojcu syna, chociaż mogłoby być również tak, że patrząc na ojca przykutego do łóżka, okazywalibyśmy mu więcej współczucia, większe przywiązanie. Muszę przyznać jednak, że trudno było słuchać, jak ojciec rozwodzi się nad przeszłością, roztrząsa sprawy, których żałuje, w których popełnił błąd. Dopiero kiedy rozmowa przeszła na dziwaczne i pokręcone historie opowiadane przez innych pacjentów, zacząłem go słuchać z uwagą. Szczególnie zauroczyła mnie historia Ronga Jinzhena. W czasie mojej wizyty ojciec znał ją już dobrze. Przebywali na tym samym oddziale – właściwie byli sąsiadami.

Ojciec mówił, że Rong Jinzhen jest rezydentem domu opieki w okręgu Lingshan od kilkudziesięciu lat. Wszyscy bez wyjątku go znali i wiedzieli, kim jest. W dniu przybycia każdy nowy pacjent otrzymywał specjalny prezent powitalny: dzieje Ronga Jinzhena. Omawianie jego wielkich talentów, sukcesów i porażek stało się żelaznym punktem dnia. Wszyscy lubili o nim rozmawiać i robili to z szacunkiem, ponieważ był wyjątkowy. Przekonałem się, że pensjonariusze darzą Ronga Jinzhena ogromną estymą. Gdziekolwiek się pojawił, ludzie na jego widok natychmiast przerywali swoje zajęcia i wpatrywali się w niego, niektórzy nawet posyłali mu lekkie uśmiechy, chociaż jest całkiem prawdopodobne, że do niego zupełnie nie docierało, co się wokół dzieje. Lekarze i pielęgniarki traktowali go jak członka własnej rodziny, a może nawet wyższego dostojnika państwowego. Tak oto Rong Jinzhen, człowiek bez wątpienia chory umysłowo, przeżywał swoje dni, traktowany przez wszystkich z uszanowaniem. Nigdy w życiu z czymś takim się nie spotkałem, tylko raz w telewizji widziałem, jak w podobny sposób ludzie odnoszą się do brytyjskiego dziedzica Einsteina, Stephena Hawkinga.

W domu opieki spędziłem trzy dni. W dzień pacjenci mieli czas wolny na ulubione zajęcia. Jedni grali w szachy albo karty, drudzy spacerowali, inni siedzieli i rozmawiali. W pewnym momencie pojawiali się lekarze i pielęgniarki, by przeprowadzić badania lub podać leki, i dmuchając w gwizdki, nakazywali pacjentom powrót do pokoiów. Tylko Rong Jinzhen nigdy nie opuszczał swojego pokoju, niemy i niekomunikatywny. Nawet w porze posiłków i ćwiczeń ktoś musiał po niego iść, w przeciwnym razie nie odważyłby się przekroczyć progu. Zachowywał się jak na początku pracy w Jednostce 701, kiedy zaszywał się w sali kryptografów. Z tego też powodu pielęgniarki na dziennych dyżurach miały dodatkowy obowiązek: musiały przyprowadzać go na trzy posiłki dziennie i po każdym towarzyszyć mu na półgodzinnym spacerze. Ojciec mówił, że na początku

pobytu Ronga Jinzhena w domu opieki nikt nie znał jego przeszłości i niektóre pielęgniarki nie zamierzały traktować go w sposób uprzywilejowany. W rezultacie często zaniedbywały swoje obowiązki, a Rong Jinzhen głodował. Później dom opieki odwiedził bardzo wysoki urzędnik państwowy i przypadkiem odkrył, że Rong Jinzhen źle się miewa. Wezwał cały personel i powiedział: „Jeśli macie starszych rodziców, musicie odnosić się do niego w taki sam sposób jak do nich, jeśli macie tylko dzieci, musicie odnosić się do niego w taki sam sposób jak do nich, a jeśli nie macie rodziny, to odnoście się do niego tak samo, jak odnosilibyście się do mnie”.

Po jakimś czasie, gdy na jaw wyszły sukcesy i nieszczęścia Ronga Jinzhena, zaczęto traktować go inaczej. Wszyscy cenili go i nikt nie ośmielał się go znieważać, dbali o niego i okazywali szacunek. Ojciec uważał, że gdyby nie charakter pracy wykonywanej przez Ronga Jinzhena, już dawno stałby się bohaterem narodowym. Jego wspaniałe osiągnięcia czyłyby kolejne pokolenia.

– Ale dlaczego od profesji miałyby zależeć, w jaki sposób człowiek jest traktowany w szpitalu? – spytałem. – Bez względu na to powinien mieć dobrą opiekę, prawda?

– Tak jest – zgodził się ojciec. – Kiedy jednak dowiedzieli się o jego zasługach w służbie narodowi, zyskał uznanie wszystkich. Każdy oddał mu serce, człowiek, którego widzieli na początku, zniknął, stał się kimś o wiele ważniejszym.

Pomimo wysiłków, jakie cały personel wkładał w opiekę nad nim, czułem, że jego życie jest nieznośnie trudne i smutne. Czasami widywałem go przez okno, siedział w kucki na sofie, twarz miał zastyglą, oczy bez wyrazu; trwał w absolutnym bezruchu, jak posąg. Wyjątkiem były jego dłonie, nieustannie drżały, jakby napędzane nieznaną siłą. Wiezorami przez spokojne białe ściany często dobiegał mnie jego starczy świszczący oddech. Niekiedy nocami ludzi podrywał odgłos, jakby ktoś na chińskim oboju wygrywał żałobny lament. Ojciec powiedział, że to Jinzhen rozpaczliwie szlocha przez sen.

Pewnego wieczoru niespodziewanie wpadłem na Ronga Jinzhena w stołówce. Siedział naprzeciwko mnie, zgarbiony, z pochyloną głową, i nie ruszał się, jak... co by to mogło być... stos ubrań, szmaciana lalka? Wyglądał żałośnie, jego twarz zdradzała nieustępliwy i okrutny upływ czasu. Ukradkiem spojrzałem na tę twarz i pomyślałem o tym, co mówił ojciec, pomyślałem o człowieku, który w młodości tak świetnie się zapowiadał, specjalnym agencie Jednostki 701, który wyróżnił się chwalebłą służbą i miał wyjątkowy wkład w działalność swojej organizacji, a teraz był stary i upośledzony na umyśle. Czas przemijał bez współczucia, pokonał go, zamienił w skorupę człowieka, pozostały tylko kości – tak jest, gdy woda wymywa kamień albo gdy coś z latami krystalizuje się i doskonali. Rong Jinzhen sprawiał wrażenie niewiarygodnie starego: to był upiorny widok, stulatek, który w każdej chwili może odejść z tego świata.

Głowę miał pochyloną i nie zdawał sobie sprawy, że go obserwuję, ale gdy po skończonym posiłku wstał od stołu, nasze spojrzenia się spotkały. W tamtej chwili w jego oczach zapalił się płomyk, jakby wróciło w nie życie. Gdy szedł w moją stronę, przypominał automat; na jego twarzy malował się ból, jak u żebraka wlokącego się do wybranego celu. Wpatrywał się we mnie oczami złotej rybki i wyciągnął obie ręce, jakby o coś błagał. Z wielkim wysiłkiem drżącymi wargami wybełkotał:

– Notatnik, notatnik, notatnik...

Przeraziłem się śmiertelnie, zupełnie nie wiedziałem, co począć. Na szczęście dyżurna pielęgniarka zauważyła, co się dzieje, natychmiast zaczęła go uspokajać, potem objęła go ramieniem i krok po kroku wyprowadziła z pokoju w mrok korytarza. On ciągle się na mnie oglądał.

Później ojciec wyjaśnił, że jeśli ktoś, nieważne kto, spojrzy Rongowi Jinzhenowi w oczy, on rusza w stronę tej osoby i pyta o swój dawno zaginiony notatnik, jakby dostrzegł go gdzieś w spojrzeniu tamtego.

– Więc nadal go szuka? – zapytałem.

– O, tak.

– Mówiłeś chyba, że go znaleziono?

– Owszem, ale skąd on mógłby o tym wiedzieć?

Nie potrafiłem się powstrzymać, jęknąłem ze zdumienia.

Pomyślałem, że pewnie nic dziwnego, iż ten psychicznie upośledzony człowiek, człowiek załamany, stracił pamięć. A z drugiej strony było w tym coś dziwnego: wspomnienie o zaginionym notatniku wryło mu się w pamięć, ciągle o nim rozmyślał. Nie wiedział, że notatnik odnaleziono, nie był świadomy czasu, który okrutnie go ominął. Nic nie pozostało – nic prócz tego ostatniego wspomnienia, prócz notatnika. Mijały pory roku, a on uparcie szukał, i tak przez ponad dwadzieścia lat.

Poszukiwanie nadal trwa. Nawet dzisiaj.

A co będzie jutro?

Czy wydarzy się coś nieoczekiwanego?

Ze smutkiem myślę: może... może...

Trzeci powód napisania tej części łączy się z wymaganiami czytelników. Istnieją ludzie, którzy mają niezłomną wiarę w mroczne siły i złowrogie intrygi. Wierzą w tajemnice, ukradkowe spotkania za kulisami i we wszelkiego rodzaju spiski. Takie osoby są naturalnie przekonane, że chwycę pióro i napiszę coś w takim duchu. Problem w tym, że wielu ludzi, większość, odznacza się niezwykłym praktycyzmem – lubią dotrzeć do sedna spraw, chcą wszystko dokładnie zrozumieć, nie mogą nic poradzić na to, że ciągle się zastanawiają. I właśnie oni pytają: Co się stało po BLACK? W samej rzeczy, taki człowiek będzie żywić pretensje, jeśli odpowiedź go nie zadowoli. Musi wiedzieć. Dla takich

ludzi postanowiłem napisać ostatnią część.

Tak więc latem roku następnego po raz kolejny złożyłem wizytę w Jednostce 701.

Czas nie tylko odebrał kolor bramie do kompleksu Jednostki 701, ale też nadwątlił tajemnicę tego miejsca, a także jego majestatyczny i zarazem spokojny charakter. Z doświadczenia wiedziałem, że uzyskanie pozwolenia na przejście przez bramę jest boleśnie nużące i skomplikowane, tym razem jednak wartownik tylko sprawdził moje dokumenty (dowód osobisty i legitymację dziennikarską), polecił, żebym wpisał swoje nazwisko do książki wejść, i na tym koniec. Pomyślałem, że coś jest nie w porządku, że strażnik zaniedbuje swoje obowiązki. Kiedy jednak wszedłem w głąb kompleksu, moje podejrzenia się rozwiały. Przede mną na rozległym dziedzińcu sprzedawcy handlowali towarami, tymczasowi robotnicy snuli się leniwie. Wszyscy wyglądali na beztróskich i spokojnych, jakby przebywali w jakiejś niezamieszkaney okolicy. Był to prawdziwy obrazek bukolicznej prostoty.

Nie jestem szczególnie przywiązany do tradycyjnego wizerunku Jednostki 701, ale nie spodobało mi się to, czym się teraz stała: miałem wrażenie, że stąпам po czymś niematerialnym, jak powietrze. Kiedy wszakże zapytałem o jednostkę, okazało się, że wewnątrz dziedzińca jest kolejny dziedziniec, i wszedłem do nowo zbudowanej dzielnicy mieszkaniowej. Ten dziedziniec w dziedzińcu był jak jaskinia wewnątrz większej jaskini. Nie tylko niełatwo było go odnaleźć, ale nawet wkroczenie doń odbywało się niezauważalnie. Wartownicy w tej części wyglądali jak duchy. Pojawiali się nagle, bez ostrzeżenia, i przybierali groźną postawę – imponujące posągi z lodu. Nie pozwalali się zbliżyć, jakby się bali, że samo ciepło twojego ciała ich roztopi, jakby rzeczywiście byli z lodu albo śniegu.

W Jednostce 701 spędziłem dziesięć dni. Jak możecie sobie wyobrazić, spotkałem się z Wasilijem, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Zhao Qirong, a także z niemłodą już żoną Ronga Jinzhena, Di Li. Nadal była funkcjonariuszką ochrony. Jej smukłą sylwetkę upływ czasu nieco przygarbił, ale wciąż przewyższała wzrostem większość ludzi. Nie miała dzieci ani rodziców, miała jedynie Ronga Jinzhena, który był dla niej i jednym, i drugim. Powiedziała mi, że obecnie jej największym zmartwieniem jest to, że ze względu na swoje stanowisko nie może zrezygnować z czynnej służby. Kiedy jednak władze wyrażą zgodę na jej odejście, zamierza przenieść się do domu opieki w Lingshan, gdzie każdy dzień będzie spędzała przy boku Ronga Jinzhena. Do tego czasu może z nim być w trakcie przepustek i urlopów, co na rok daje miesiąc lub dwa. Nie wiem, czy powodem było to, że od tak dawna pracowała w ochronie, czy też, że tak dużo czasu spędzała samotnie, ale wydała mi się osobą bardziej zamkniętą w sobie i powściągliwą niż Rong Jinzhen. Szczerze mówiąc, chociaż Wasilija i Di

Li należy uznać za dobrych ludzi, w gruncie rzeczy wcale mi nie pomogli; zresztą dotyczy to także innych – z wyjątkiem jednego człowieka. Wydawało się, że w większości personel Jednostki 701 nie miał ochoty wywlekać na światło dzienne tragicznej historii Ronga Jinzhena, a nawet jeśli niektórzy to robili, ich wspomnienia obfitowały w pomyłki i sprzeczności, jakby sama ta tragedia skłoniła ich, by zapomnieli o wszystkim, o czym powinni byli pamiętać. Wydawało się, jakby niechęć do mówienia sprawiała, że nie mogli dobrać głosu.

W pierwszy wieczór mojego pobytu złożyłem wizytę żonie Ronga Jinzhena, ponieważ jednak nie kwapiła się do rozmowy, zaraz potem wróciłem do hotelu dla gości i zacząłem przeglądać skąpe na razie notatki. Nagle do mojego pokoju wpadł nieznajomy, mniej więcej trzydziestolatek. Przedstawił się jako administrator ze służby ochrony Lin, po czym zarzucił mnie pytaniami. Zachowywał się dość aroganc-ko, bez pozwolenia przeszukał mój pokój i bagaż. Oczywiście wiedziałem, że rezultatem tej rewizji będzie zaufanie do mnie – uwierzy, że jestem tutaj, by chwalić jednego z nich, bohatera Ronga Jinzhena, tak więc mu nie przeszkadzałem. Niestety, po przeszukaniu mnie wcale mi nie zaufał. Ponownie zaczął mnie przesłuchiwać, wreszcie oznajmił, że skonfiskuje wszystkie moje dokumenty (legitymację dziennikarską, pozwolenie na pracę, dowód osobisty i legitymację Stowarzyszenia Pisarzy), a także magnetofony oraz notatniki. Powiedział, że musi dokładniej mnie sprawdzić. Zapytałem, kiedy mogę się spodziewać zwrotu dokumentów, ale usłyszałem tylko, że to zależy od wyników jego śledztwa.

W nocy nie spałem.

Rano następnego dnia znowu do mnie przyszedł. Tym razem jednak nie był nieuprzejmy. Gorąco mnie przeprosił za swoje podejrzenia, po czym zwrócił skonfiskowane rzeczy. Nie ulegało wątpliwości, że wyniki jego śledztwa okazały się zadowalające, tak jak przypuszczałem. Wielką niespodzianką było to, że równocześnie przekazał mi dobrą nowinę: ktoś z góry chce ze mną rozmawiać.

Z nim jako eskortą przeszedłem przez trzy punkty kontrolne i znalazłem się w najbardziej chronionej części kompleksu.

W pierwszym punkcie służbę pełnili dwaj policjanci, uzbrojeni w pistolety i bagnety. Drugi obsługiwali żołnierze; także dwóch, obaj mieli czarne jak kruk półautomatyczne karabiny. Trzecim punktem kontrolnym był mały, okrągły, kamienny bunkier przy bramie, otoczony drutem kolczastym oraz wyposażony w telefon i karabiny maszynowe. Tutaj jeden strażnik w cywilu maszerował tam i z powrotem. Nie miał przy sobie broni, tylko walkie-talkie.

Prawdę powiedziawszy, do dzisiaj nie jestem pewien, do jakiego sektora czy ministerstwa należała Jednostka 701: do wojska, policji, miejscowych władz? Z moich obserwacji wynikało, że niemal cały personel nosił cywilne stroje, z wyjątkiem paru osób w wojskowych mundurach. Samochody na parkingu miały



zarówno miejscowe rejestracje, jak i wojskowe, chociaż tych drugich było mniej. Na pytania zadawane różnym ludziom zawsze otrzymywałem tę samą odpowiedź: „nie należy o to pytać, a zresztą oni nie wiedzą”. Tak czy owak przynależność jednostki była bez znaczenia, liczyło się wyłącznie, że pełniła istotną funkcję w zapewnieniu bezpieczeństwa państwu – a przecież państwo to i cywile, i wojsko. Co można dodać? We wszystkich krajach są tego rodzaju agencje, podobnie jak w każdym gospodarstwie domowym jest apteczka. To rzecz niezbędna. W ostatecznym rozrachunku nie było w tym nic dziwnego. Wręcz przeciwnie, mogłoby zdumiewać, gdyby państwo nie miało takich agencji. Ale odbiegam od tematu.

Po przejściu przez trzy punkty kontrolne znaleźliśmy się na idealnie prostej, wąskiej drodze, porośniętej z obu stron ogromnymi drzewami z bujnym listowiem. Świergot ptaków odbijał się echem od ziemi i czuleś się tak, jakbyś zszedł z ubitego traktu i zawędrował do lasu. Wydawało się, że nikogo tutaj nie spotkamy, ale zupełnie nieoczekiwanie mój wzrok padł na okazały pięciopiętrowy budynek górujący nad drzewami. Jego fasadę zdobiły rdzawe kafelki, nadające mu majestatyczny wygląd. Przed nim ciągnęła się wielka, otwarta przestrzeń rozmiaru połowy boiska do piłki nożnej, po obu stronach zieleniły się prostokątne trawniki. W środku znajdowała się kwadratowa rabata z wielobarwnymi kwiatami, pośród których wznosił się kamienny posąg – rzeźba kształtem i kolorem przypominała *Myśliciela* Rodina, choć z bliska widać było, że siedząca postać nosi okulary, a na postumencie wyryto wielki znak oznaczający „duszę”. Z daleka to był *Myśliciel*. Kiedy później uważnie przyjrzałem się pomnikowi, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wydaje mi się mgliście znajomy. Zapytałem administratora Lina i wreszcie odkryłem, kogo posąg przedstawia: Ronga Jinzhena.

Długo przed nim stałem. Oblany promieniami słońca Rong Jinzhen podtrzymywał brodę lewą dłonią, a mnie się wydawało, że jego oczy pełne blasku utkwione są we mnie. Posąg miał też cechy wspólne z Rongiem Jinzhenem, obecnie pensjonariuszem domu opieki. Jakbym najpierw spotkał człowieka w najlepszym okresie życia, a potem zobaczył go starego.

Po odejściu od pomnika administrator Lin – wbrew moim oczekiwaniom – ruszył na tyły do małego piętrowego budynku w zachodnim stylu z zielonkawoczarnej cegły. Wkrótce też odkryłem, że jest w nim spartański salon, w którym przyjmowano gości. Polecono mi w nim poczekać i wkrótce usłyszałem wyraźny metaliczny odgłos, dobiegał z korytarza. Po chwili do pokoju wszedł starszy mężczyzna o lasce. Spojrzał na mnie i powiedział:

– Ach, witam, towarzyszu dziennikarzu. Uściśnijmy sobie dłonie. – Wstałem pośpiesznie, by spełnić jego życzenie, po czym gestem wskazałem sofę. Siadając, dodał: – To ja powinienem pana powitać, bo przecież ja chciałem się z panem spotkać. Ale jak pan widzi, nie poruszam się z taką łatwością jak dawniej, dlatego

poprosiłem, żeby pan przyszedł tutaj.

– Jeśli się nie mylę, pan musi być tym człowiekiem, który zwerbował Ronga Jinzhena na Uniwersytecie N. Nazywa się pan Zheng.

Ryknął śmiechem. Wskazując laską chorą nogę, rzekł:

– To mnie zdradziło, prawda? Och, wy, dziennikarze. Istotnie, nie myli się pan, mogę więc teraz zapytać o pańską godność?

Pomyślałem: Przecież widziałeś moje dokumenty. Naprawdę musisz pytać? Ale z szacunku dla niego przedstawiłem się.

Wysłuchawszy mnie, pomachał mi przed twarzą plikiem kserokopii.

– W jaki sposób dowiedział się pan o tym?

Machał odbitkami mojego notatnika!

Nie mogłem się powstrzymać przed zapytaniem:

– Nie wyraziłem zgody, więc dlaczego skopiował pan moje zapiski?

– Proszę się nie obrażać, naprawdę nie mieliśmy wyjścia. Pięć osób uznało za konieczne przejrzenie pańskiego notatnika i obawiam się, że gdybyśmy przekazywali go z rąk do rąk, minęłoby dużo czasu, nim wróciliby do pana. Ale wszystko jest w porządku, zainteresowane strony przeczytały i nie mają zastrzeżeń; można powiedzieć, że pański notatnik nie zbliża się do informacji ściśle tajnych, dlatego go panu oddaliśmy. W przeciwnym wypadku bym go zatrzymał. – Zaśmiał się, po czym mówił dalej: – Jedno pytanie dręczy mnie od wczorajszego wieczoru. W jaki sposób pan się o tym dowiedział? Proszę, towarzyszu dziennikarzu, czy mógłby mnie pan oświecić?

W najprostszy możliwy sposób zrelacjonowałem swoje przeżycia w domu opieki w Lingshan.

Uśmiechnął się znacząco.

– Och, więc to tak. Jest pan dzieckiem członka naszej organizacji.

– Wykluczone – odparłem. – Mój ojciec był inżynierem.

– Jak to możliwe? Proszę mi powiedzieć, kim jest pański ojciec. Może go znam.

Podaliśmy nazwisko ojca.

– Niestety, nie znam.

– Właśnie. Jak mógłby go pan znać? Mój ojciec nie może być członkiem pańskiej organizacji.

– Ach, ale każdy pensjonariusz domu opieki w Ling-shan jest jednym z naszych.

Ta informacja zbiła mnie z nóg. Ojciec żegnał się z życiem, a ja nie wiedziałem, kim naprawdę był. Gdyby nie dyrektor Zheng, nigdy nie poznałbym prawdy o ojcu. Przed Mistrzem Rong też ukrywano prawdę o Rongu Jinzhene. Teraz rozumiałem, dlaczego ojciec nigdy nie okazywał mojej matce i mnie miłości, której potrzebowaliśmy, dlaczego matka zażądała rozwodu. Wtedy wydawało się,

że potraktowała go niesprawiedliwie. Lecz nie na tym polegał problem; na tym, że ojciec zaakceptował to niesprawiedliwe traktowanie, zamiast się bronić. Co mogę powiedzieć? Czy to było przekonanie, czy brak elastyczności? Jest godny szacunku czy pożałowania godny? Nagle poczułem, jak straszliwie duszące uczucie wzbiera w moim sercu. Dopiero pół roku później, w czasie rozmowy z Mistrzem Rong o tych wydarzeniach, wreszcie doszedłem do przekonania, że stoicyzm ojca należy szanować, a nie płakać z jego powodu.

Mistrz Rong powiedziała mi, że ukrywanie prawdy przed najbliższymi przez długi czas, może nawet przez całe życie, jest nie w porządku. Jeśli jednak nie utrzymywaliby takiego poziomu tajności, niewykluczone, że nasze państwo dzisiaj by nie istniało, a w najlepszym razie groziłaby mu katastrofa. To nie w porządku, ale tak musi być.

Mistrz Rong pomogła mi na nowo docenić ojca, pozwolić, by miłość i szacunek do niego wzrosły.

Wracając do naszej historii: to, że dyrektor z zadowoleniem stwierdził, iż mój notatnik nie zawiera tajemnic, ucieszyło mnie, zwłaszcza że w przeciwnym wypadku przestałby do mnie należeć. Jego następna uwaga jednak sprawiła, że poczułem się, jakby mnie wepchnięto do Zimnego Pałacu<sup>4</sup>.

– Jestem przekonany, że ponad połowa informacji, które pan zebrał, to pogłoski. Wielka szkoda.

– Chce pan powiedzieć, że nie są dokładne? – zapytałem niespokojnie.

– Nie. – Pokręcił głową. – To, co prawdziwe, jest prawdziwe, chodzi tylko o to... hm, jak by to ująć, mam wrażenie, że w gruncie rzeczy nie rozumie pan Ronga Jinzhena. Powiem tak: pańskie zrozumienie ma braki. – W tym momencie zapalił papierosa. Zaciągając się głęboko, coś rozważał, bo kiedy podniósł głowę, z powagą oznajmił: – Pańskie zapiski są dość wyrwykowe i fragmentaryczne, przy czym ponad połowa oparta jest wyłącznie na słownych przekazach. Ale obudziły we mnie wspomnienia o Rongu Jinzhenie. Rozumiałem go doskonale, a w najgorszym razie – najlepiej z nas wszystkich. Interesowałoby pana, gdybym o nim opowiedział?

Z oszołomienia zapomniałem języka w gębie. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Nie mógłbym prosić o nic lepszego!

Podczas pobytu w Jednostce 701 wielokrotnie spotykałem się z dyrektorem Zhengiem. Moje zrozumienie i wiedza o dziejach Ronga Jinzhena poszerzyły się niepomniernie, miałem też *Zapis rozmowy z dyrektorem Zhengiem*, który zamieściłem w poprzednich częściach. Oczywiście nie chodziło mu wyłącznie o dostarczenie mi materiału do pracy, to nie było jego prawdziwym celem. Zanim poznałem dyrektora Zhenga, Rong Jinzhen pozostawał dla mnie tajemnicą, legendą, a teraz, po spotkaniach z dyrektorem, stał się człowiekiem z krwi i kości, niekwestionowaną częścią historii. Co więcej, to właśnie dyrektor Zheng był

człowiekiem odpowiedzialnym za skierowanie Ronga Jinzhena na tę drogę, za zmianę kursu, którym toczyło się jego życie. Teraz nie tylko chętnie dzielił się ze mną wspomnieniami, ale podał też listę osób znających Ronga Jinzhena i jego przeszłość, chociaż wiele z nich umarło.

Jednego tylko żałuję, jeśli chodzi o czas spędzony w Jednostce 701. Zhenga nazywałem dyrektorem i nie wpadło mi na myśl, żeby zapytać go o nazwisko, dlatego do dzisiaj nie wiem, jak naprawdę się nazywał. Dla członka tajnej organizacji nazwisko z zasady nie ma żadnej wartości, zwykle ukryte jest pod numerem seryjnym i stanowiskiem. W przypadku dyrektora Zhenga jego miejsce w historii jednoznacznie określała chora noga. Zamaskowanie czyjegoś nazwiska nie znaczy, że ono ginie, ale że zostało pogrzebane. Głęboko wierzę, że gdybym go zapytał – jako dziennikarz – o nazwisko, podałyby mi je, ale nazbyt byłem podekscytowany obrazami, które kreślił, i zapomniałem o tym. W rezultacie nadal nie wiem, jak go nazywać: Kulawy, Kulawy Zheng, szef sekcji Zheng, Kaleki dyrektor, dyrektor Zheng i tak dalej. Większość ludzi na Uniwersytecie N mówiło o nim „Kulawy” albo „szef sekcji Zheng”. On sam zwykle mówił o sobie „Kaleki dyrektor”, a ja zwracałem się do niego „proszę pana” albo „dyrektorze Zheng”.

4 Zimny Pałac to część Zakazanego Miasta, w której zamykano członków rodziny cesarskiej, jeśli stali się powodem niezadowolenia cesarza [przypis tłumaczy z chińskiego na angielski].

Związki dyrektora Zhenga z Rongiem Jinzhenem zaczęły się od dziadka ze strony matki, który w drugim roku po rewolucji Xinhai poznał w teatrze Starego Lilliego i nawiązała się między nimi przyjaźń. Jako że dyrektor Zheng wychowywał się w rezydencji dziadka, od pierwszych lat życia widywał Starego Lilliego. Kiedy ten umarł, dziadek zabrał wnuka na Uniwersytet N, gdzie odbywały się uroczystości pogrzebowe, i tam Zheng spotkał Młodego Lilliego. Miał wtedy czternaście lat, był w drugiej klasie gimnazjum i piękno campusu zrobiło na nim wrażenie. Po ukończeniu gimnazjum zabrał świadectwo i udał się do Młodego Lilliego z prośbą o przyjęcie do liceum przy uniwersytecie. I tyle, jak powiadają ludzie. W liceum Zhenga uczył języka członek partii komunistycznej, który później go zwerbował. Po wybuchu wojny z Japonią nauczyciel i uczeń opuścili szkołę i wyruszyli do Yan'an. I tak zaczęła się kariera rewolucyjna Zhenga.

Powiniennem rzec, że pierwszy pobyt Zhenga na Uniwersytecie N był jak wytyczenie drogi, która w przyszłości skrzyżuje się z drogą Ronga Jinzhena. Ale jak powiedział dyrektor, sekwencja wydarzeń prowadzących do ich spotkania nie od razu została wprawiona w ruch. Musiało minąć piętnaście lat, nim wysłano go na Uniwersytet N, by zwerbował utalentowanego studenta do sekcji kryptografii Jednostki 701. To czysty przypadek, że kiedy podczas wizyty u byłego rektora wspomniał o swojej misji, tamten zarekomendował mu Ronga Jinzhena.

– Nie mogłem powiedzieć Młodemu Lilliemu, o jaki rodzaj pracy dla tej osoby chodzi, ujawniłem tylko, że musi mieć określone umiejętności, i bardzo wyraźnie je zdefiniowałem. Dlatego też byłem bardzo zaskoczony i ucieszony, kiedy starzec powiedział mi o Rongu Jinzhenie, zwłaszcza że miałem pełne zaufanie do jego zdolności oceny ludzkich charakterów. Były rektor nie należał do dowcipnisiów, kiedy więc zażartował, nie wątpiłem, że Rong Jinzhen spełnia moje wymagania.

I rzeczywiście. Poznawszy Ronga Jinzhena, dyrektor Zheng uznał, że właśnie kogoś takiego potrzebują.

– Jeśli się nad tym zastanowić – ciągnął dyrektor – geniusz matematyczny, człowiek, który od wczesnego dzieciństwa miał bliski kontakt z tłumaczeniem snów, który studiował zarówno myśl chińską, jak i zachodnią, który badał zawiłości ludzkiego umysłu – otóż taki człowiek po prostu musiał pojawić się na ziemi, żeby zostać kryptografem. Czy to dziwne, że ogarnął mnie strach?

Jeśli chodzi o szczegóły porozumienia dotyczącego wyjazdu Ronga Jinzhena, dyrektor Zheng powiedział, że to pozostanie tajemnicą pomiędzy nim a Młodym Lilliem, której przed nikim nie ujawni. Pomyślałem, iż to musi być

prawda: tak bardzo mu zależało na zgodzie starca, że przypuszczalnie pogwałcił zasady swojej profesji i zdradził, dlaczego chce zabrać Ronga Jinzhena. W przeciwnym razie czemu miałyby nadal trzymać język za zębami?

Kilkakrotnie w naszych rozmowach powtórzył, że odkrycie Ronga Jinzhena było jego największym wkładem w pracę Jednostki 701. Nigdy jednak nie pomyślał, że tak to się skończy, nie przewidział katastrofy czekającej Ronga. Przy każdej wzmiance o tym z żalem kręcił głową, wzdychał głęboko, po czym raz po raz wykrzykiwał:

– Rong Jinzhen! Rong Jinzhen! Rong Jinzhen!

### *Zapis rozmowy z dyrektorem Zhengiem*

Gdybyśmy mieli mówić o czasie przed złamaniem PURPLE, to mój obraz Ronga Jinzhena byłby mglisty i niewyraźny: raz sądziłem, że to geniusz, kiedy indziej – że szaleniec. Dopiero po odszyfrowaniu PURPLE jego wizerunek nabrał wyrazistości, był pełen wdzięku, ale też przerażał, jak tygrys w ciszy szykujący się do ataku. Podziwiałem go i szanowałem, lecz nigdy nie pragnąłem się do niego zbliżyć. Bałem się, że mnie sparzy, budził we mnie strach – takie emocje towarzyszyłyby nam na widok polującego tygrysa. Ośmielałem się twierdzić, że miał w sobie tygrysięgo ducha. Rozrywał problemy jak tygrys, który z lubością zdiera mięso z kości ofiary; odznaczał się zwierzęcą brutalnością, wyrachowanym podejściem – znowu jak tygrys śledził ofiarę, w oczekiwaniu na właściwy moment do skoku.

Tygrys!

Król zwierząt!

Król kryptografii!

Chociaż byłem od niego sporo starszy i uważano mnie za doświadczonego agenta wywiadu (kiedy do nas przybył, już szefowałem sekcji), w skrytości ducha postrzegałem go jako starszego. Niezależnie od rodzaju problemu zawsze zwracałem się do niego o radę. Im lepiej go rozumiałem, im bardziej się do niego zbliżałem, tym większym stawałem się niewolnikiem jego intelektu i osobowości; ukląkłbym przed nim bez najmniejszych oporów...

...Jak już wspomniałem, świat kryptografii nie dopuszcza pojawienia się

dwóch podobnych szyfrów – gdyby tak się stało, oba byłyby śmieciami. W konsekwencji świat ów ma niepisana regułę, wręcz żelazne prawo: dany osobnik może albo tworzyć szyfry, albo je łamać. A ponieważ Rong Jinzhen miał zdolność do tworzenia i łamania szyfrów, był oczarowany własnym umysłem. Jednakże taki zachwyty jest równoznaczny z porzuceniem swojego umysłu, utratą, kompletnym szaleństwem. Zgodnie z zasadami Rong Jinzhen nie powinien był przyjąć odpowiedzialności za odszyfrowanie BLACK. Jego umysł już należał do PURPLE. Mógł się porwać na takie zadanie jedynie w sytuacji, gdyby był zdolny przekuć na nowo swój umysł.

Uważaliśmy jednak, że w przypadku Ronga Jinzhena, w przypadku tego rodzaju osobowości, te zasady nie obowiązują. Ufaliśmy w jego talent. Ujmując rzecz inaczej, wierzyliśmy w jego zdolność przebudowy intelektu – wierzyliśmy, że dla niego nie jest to niemożliwe. Mogliśmy wątpić w siebie, mogliśmy kwestionować bezstronność zasad, ale w żadnym razie nie byliśmy w stanie odrzucić wiary w Ronga Jinzhena. Dla nas sama jego istota zbudowana została na rzeczach, które uważaliśmy za niemożliwe: on czynił je realnymi, sprawiał, że stawały się częścią rzeczywistości. Z tego też powodu wielkie brzemie złamania BLACK spadło na jego ramiona.

A to wiązało się z koniecznością powrotu do strefy zakazanej.

W przeciwieństwie jednak do pierwszego razu teraz został do tego zmuszony przez kogoś innego – a także przez własną wspaniałą reputację. To zupełnie nie przypominało sytuacji z PURPLE. Wtedy zapuścił się głęboko w historyczną dżunglę kryptografii, z własnej inicjatywy wkroczył na zakazany obszar. Jeden człowiek nie może jednak nadmiernie się wyróżniać. Kiedy za bardzo oddali się od towarzyszy, odkryje, że sława i chwalebna reputacja nie są dla niego wsparciem. Wręcz przeciwnie, przybliżają destrukcję.

Nigdy nie próbowałem sprawdzić stanu umysłu Ronga Jinzhena, odkąd wziął na siebie zadanie złamania BLACK, ale cierpienia, które to na niego sprowadziło, były niesprawiedliwością. Gdyby chodziło o złamanie PURPLE, mógłbym stwierdzić, że praca ta go nie stresowała, po prostu ruszył na pole bitwy, przybył o czasie i odszedł przed końcem dnia. Ludzie z najbliższego otoczenia mówili, że swoje zadanie traktował jak grę. Ale przy BLACK już nie czuł się tak swobodnie. Ciężar, jaki dźwigał na barkach, zginał go do ziemi. W czasie, który spędził nad BLACK, na własne oczy widziałem, jak jego czarne niczym skrzydło kruka włosy zaczynają siwieć, a on cały się kurczy: jakby sytuacja wpędziła go w labirynt BLACK, labirynt, z którego nie potrafił wyjść. Jak możesz sobie

wyobrazić, BLACK porwał go ze sobą w swoje głębsze pokłady – Rong Jinzhen był opętany ideą rozdarcia go na strzępy, a także zdruzgotania własnego umysłu. Udręka i cierpienie, jak dwie ręce diabła, naciskały na jego ramiona. Ten człowiek, który początkowo nie miał żadnych związków z BLACK (ponieważ złamał PURPLE), obecnie musiał znosić cały jego ciężar: to był jego wstyd, smutek, a nawet ból i smutek samej Jednostki. Nigdy nie wątpiłem w talent i wytrwałość Ronga Jinzhena, ale nie mogę powiedzieć, że w kwestii, czy zdoła wyczarować kolejny cud, czy odszyfruje BLACK, złamie żelazne prawo obowiązujące w świecie kryptografii, nie miałem żadnych zastrzeżeń. Wierzę, że geniusz nadal jest człowiekiem, który może się dezorientować, który może się mylić, kiedy jednak taki człowiek popełnia błąd, to musi być błąd kolosalny, szokujący. W świecie kryptografii panuje jednomyślny pogląd, że BLACK nie był szyfrem o wysokim stopniu skomplikowania, surowych regułach i wielkim znaczeniu. W rzeczywistości środki, dzięki którym go złamano, zszokowały wszystkich swoją prostotą. Z tego też powodu niedługo po psychicznym załamaniu Ronga Jinzhena szybko rozprawiono się z BLACK. Pod względem talentu ci kryptografowie w żadnym razie nie mogli się równać z Rongiem Jinzhenem; kiedy wszakże zasiedli do pracy, poradzili sobie z problemem jak on z PURPLE: zajęła im zaledwie trzy miesiące i zrobili to z absolutną swobodą...

*Ciąg dalszy nastąpi.*

Słyszeliście? Ktoś odszyfrował BLACK!

Kto?

Żyje czy umarł? Dyrektor Zheng podał mi nazwisko: Yan Shi, i potwierdził, że owszem, człowiek ów żyje. Zasugerował, że powinienem się z nim spotkać. Kiedy dodał, żebym później znowu do niego przyszedł, zrozumiałem, że dyrektor Zheng ma dla mnie dodatkowe informacje. Dwa dni później odwiedziłem go. Na powitanie zapytał:

– I co pan sądzi o tym starym draniu?

Mówił o Yanie Shi. Dobór słów na chwilę odebrał mi mowę.

– Nie chciałem pana urazić – ciągnął dyrektor. – Tak naprawdę nikt tutaj nie przepada za Yanem Shi.

– Dlaczego? – Wydało mi się to dość dziwne.

– Ponieważ dużo zyskał, zbyt dużo.

– Ale on złamał BLACK, więc czy nie zasługuje na nagrodę?

– Wszyscy są przekonani, że jego sukces był możliwy tylko dlatego, że miał do dyspozycji notatnik Ronga Jinzhena, że całą inspirację zaczerpnął z pracy już wykonanej przez Ronga.



- Rzeczywiście, sam to przyznał – powiedziałem.
- Naprawdę? Wykluczone, nigdy by tego nie zrobił.
- Tak? Ale ja słyszałem to na własne uszy.
- I co dokładnie powiedział?
- Że Rong Jinzhen złamał BLACK, a on nie zasłużył na uznanie.

– A to ci nowina. – Wpatrywał się we mnie ze zdumieniem. – Dotychczas zawsze unikał tematu Ronga Jinzhena, wymijająco odpowiadał na pytania, w jaki sposób znalazł klucz do BLACK. Jak to możliwe, że w rozmowie z panem zachował się inaczej? Hm... tak się zastanawiam, czy nie dlatego, że nie jest pan członkiem naszej organizacji, tylko kimś z zewnątrz. – Dyrektor Zheng przerwał, po czym mówił dalej: – Wcześniej nigdy nawet nie wspominał nazwiska Ronga Jinzhena, celowo spychał go na bok, próbował stworzyć wrażenie, że odszyfrowanie BLACK to jego zasługa. Ale jak mogłoby to być prawdą? Jesteśmy tutaj wszyscy już bardzo długo, więc wzajemnie dobrze się znamy. A jednak wyglądało to tak, jakby z dnia na dzień zmienił się w geniusza; powiedz mi, kto by w to uwierzył? Absolutnie nikt, ot co! Kiedy widzieliśmy, jak pławi się w chwale za złamanie BLACK, nie potrafiliśmy się z tym pogodzić. Było mnóstwo plotek i narzekań – wszyscy czuliśmy wściekłość z powodu niesprawiedliwości wyrządzonej Rongowi Jinzhenowi.

Zastanawiałem się. Zadawałem sobie pytanie, czy powinienem powtórzyć dyrektorowi Zhengowi wszystko, co mówił mi Yan Shi, który co prawda nie zabronił mi dzielić się jego zwierzeniami z innymi, ale też nie zasugerował, że będzie w porządku, jeśli to uczynię.

Chwilę milczeliśmy. Dyrektor spojrzał na mnie i podjął swoją opowieść:

– W gruncie rzeczy inspiracja do złamania BLACK mogła pochodzić wyłącznie z notatnika Ronga Jinzhena. Wcześniej wszyscy doszliśmy do takiego wniosku, a teraz pan mówi, że Yan Shi to potwierdził. Dlaczego w takim razie nie wyjaśnił sprawy nam, dlaczego się nie przyznał? Jego jedynym celem było zepchnięcie Ronga Jinzhena na bok, wtedy cały splendor za złamanie BLACK spływałby na niego. Wszyscy o tym wiedzieli. A skoro wiedzieli, on uparcie nie chciał się przyznać, przez co ludzie tym bardziej nim pogardzali i mniej mu ufali. Myślę jednak, że wcale nie był taki sprytny, prowadząc te małe, egoistyczne machinacje. Ach, ale to zupełnie inny temat, na razie nie zajmujemy się nim...

Teraz chciałbym pana zapytać – a pan nie musi się śpieszyć z odpowiedzią – jak to możliwe, że zdołał odkryć inspirację w notatniku Ronga Jinzhena, skoro sam Rong Jinzhen tego nie potrafił? Wydaje się rozsądne założenie, że czegokolwiek Yan Shi dowiedział się z notatnika, Rong Jinzhen też powinien był się dowiedzieć, i to o wiele wcześniej. Zgadza się pan? Bądź co bądź notatnik zawierał jego przemyślenia, jego idee. Można notatnik porównać do pokoju, w którym znajduje się klucz do otwarcia BLACK. Jak to możliwe, że osoba,

do której pokój należy, nie potrafi tego klucza znaleźć? Jak to możliwe, że ktoś, kto znajduje się na zewnątrz, po prostu wchodzi do pokoju i natychmiast trafia na klucz? Pytam pana, czy to nie dziwne?

Porównanie było trafne, podawało jak na talerzu jego przemyślenia i cechowało się wielką wnikliwością. Chciałem jednak powiedzieć, że się mylił, przedstawiając swoją wersję wydarzeń, bo nic takiego się nie zdarzyło. Problemem nie jest... nie była ta analogia, ale jego przekonanie o przebiegu wypadków. Słuchając go, rozważałem tę kwestię i zdecydowałem, że powtórzę mu relację Yana Shi, bo powinna ona sprawę raz na zawsze wyjaśnić. Nie dał mi jednak okazji do wtrącenia słowa, ciągnął bowiem na jednym oddechu:

– Wtedy też doszedłem do przekonania, że podczas prób złamania BLACK Rong Jinzhen popełnił grzech śmiertelny, a co więcej, ten błąd znalazł drogę do jego głowy i jak cios maczugi zmienił geniusza w idiotę. Błąd ten w ostatecznym rozrachunku mógł przytrafić się tylko komuś, kto potrafiłby przekroczyć żelazne prawo kryptografii, był pozostałością po odszyfrowaniu PURPLE, przyczajoną w cieniu, czekającą na okazję do spowodowania nieszczęścia.

Dotarłszy do tego punktu, dyrektor Zheng zamilkł. Wydawało się, że popadł w stan żałobnej melancholii. Wyczułem, że nie zamierza ciągnąć swojej opowieści, raczej chce się ze mną pożegnać. Chociaż myślałem, żeby podzielić się z nim wyznaniem Yana Shi, nie dał mi szansy. To mi jednak odpowiadało. Skoro nie byłem do końca pewien, czy powinienem mu o tym powiedzieć, ten brak okazji działał na moją korzyść, pozwolił uniknąć brzemia towarzyszącego słowom Yana Shi.

Zanim się rozstaliśmy, musiałem mu jeszcze przypomnieć:

– Czy nie mówił pan, że ma dla mnie dodatkowe informacje?

Trochę się zdziwił, zaraz jednak podszedł do metalowej szafki na dokumenty i otworzył szufladę, z której wyjął teczkę.

– Wiedział pan, że na uniwersytecie Rong Jinzhen był studentem obcokrajowca, profesora Jana Liseiwicza?

– Nie słyszałem o tym – odparłem.

– Ten człowiek zadał sobie wiele trudu, by przeszkodzić Rongowi Jinzhenowi w odszyfrowaniu PURPLE. W teczce są na to dowody. Proszę ją przejrzeć, a jeśli uzna pan, że zawartość jest panu potrzebna, zrobimy odbitki.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o Liseiwiczu.

Dyrektor Zheng przyznał, że nie znał Liseiwicza, a wszystkie informacje o nim pochodzą z relacji innych ludzi.

– Kiedy się z nami skontaktował – mówił – ja przebywałem w państwie Y, zapoznając się z ich doświadczeniami przy odszyfrowywaniu PURPLE. Nawet po powrocie nie miałem nic wspólnego z korespondencją od Liseiwicza, wiedział

o niej wyłącznie zespół specjalny powołany do złamania PURPLE. Wówczas sprawą kierowała centrala – przypuszczalnie obawiali się, że będziemy walczyć o te listy i ścigać się między sobą, kto uzyska lepszy efekt, tak więc nie mieliśmy o tym najmniejszego pojęcia. Dopiero dużo później poznałem wysokiego funkcjonariusza centrali, który pozwolił mi listy przejrzeć. Wszystkie są po angielsku, ale do każdego dołączono tłumaczenie na chiński.

W tym momencie do głowy przyszła mu pewna myśl: oryginały angielskie powinny zostać u niego. Otworzyłem więc teczkę i zacząłem oddzielać je od tłumaczeń, wtedy też na samym szczycie stosu zobaczyłem zapis rozmowy telefonicznej z człowiekiem nazwiskiem Qian Zongnan. Notka służyła jako wstęp do zawartości teczki i zawierała jedynie kilka zdań:

„Liseiwicz został zatrudniony jako wysokiej klasy analityk przez wywiad wojskowy państwa X. Widziałem go czterokrotnie, po raz ostatni latem 1970 r. Później odkryłem, że na Liseiwicza i Fan Lili z nieznanych powodów nałożono areszt domowy w bazie wojskowej, gdzie w 1978 r. Liseiwicz zmarł. W 1981 r. władze wojskowe państwa X zwolniły Fan (Lili) z aresztu domowego. W 1983 r. Fan (Lili) przybyła do Hongkongu, szukając mnie w nadziei, że pomogę w załatwieniu formalności związanych z jej powrotem do Chin. Odmówiłem. W 1986 r. pojawiła się informacja, że Fan (Lili) jest w swoim rodzinnym mieście C w okręgu Linshui i ma swój wkład finansowy w tworzoną tam przedsiębiorstwa inżynierskim. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nadal jest mieszkanką okręgu Linshui”.

Dyrektor Zheng powiedział mi, że Qian Zongnan był w tamtym czasie informatorem, towarzyszem, któremu zlecono śledzenie poczynąń Liseiwicza w państwie X. Odbierając teczkę, musiałem pomyśleć, że w sposób zasadniczy pomógłby mi zrozumieć rolę odegraną w tych wydarzeniach przez Jana Liseiwicza, dlatego ze smutkiem usłyszałem, że zmarł rok wcześniej. W notce znalazła się jednak wzmianka o Fan Lili, chińskiej żonie Liseiwicza. Jeśli chciałem go zrozumieć, bez wątpienia ona była najważniejszą osobą, z którą powinienem porozmawiać.

Wpadłem w ekstazę.

Jako że nie dysponowałem dokładnym adresem, błędnie założyłem, że szukając Fan Lili, muszę się nastawić na spory wysiłek oraz wiele komplikacji, rzeczywistość tymczasem okazała się zupełnie inna. Najpierw udałem się do Wydziału Edukacji okręgu Linshui, gdzie odniosłem wrażenie, że wszyscy w budynku ją znają. Jak się okazało, kilka lat temu nie tylko zdołała założyć trzy szkoły podstawowe Nadziei5, ale też ofiarowała miejscowym szkołom średnim podręczniki warte dziesiątki tysięcy yuanów. Można powiedzieć, że zarządzający edukacją w Linshui wiedzieli, kim jest, i szanowali ją. Kiedy jednak odwiedziłem Fan Lili w szpitalu Jinhe w mieście C, moje plany rozmowy z nią runęły, ponieważ przeszła operację usunięcia krtani. Szyję i głowę owinięto jej byle jak gazą, przez co wyglądała, jakby miała dwie czaszki. Cierpiała na raka gardła. Lekarz powiedział, że chociaż zabieg się udał, pacjentka będzie mogła mówić jedynie wówczas, gdy nauczy się wydawać dźwięki z płuc. Ponieważ operacja odbyła się niedawno, jej stan nadal był zły i przeprowadzenie rozmowy wydawało się niemożliwością.

Udałem, że jestem jednym z licznych starszych mieszkańców okręgu Linshui, którzy przyszedli złożyć jej wyrazy szacunku. Zostawiłem kwiaty, życzyłem jej wszystkiego najlepszego i wyszedłem. W ciągu następnych kilku dni byłem u niej w szpitalu jeszcze trzy razy. Podczas każdej wizyty pisała odpowiedzi na moje pytania. W sumie zapisała kilka stron i każda wprawiła mnie w zdumienie!

Prawdę mówiąc, gdyby tych odpowiedzi nie napisała, nikt nigdy nie pojąłby prawdy o Liseiwiczu. Nigdy nie zdalibyśmy sobie sprawy z jego prawdziwej tożsamości, jego szczerych pragnień i wstydu, niewątpliwego bólu i smutku. W bardzo realnym sensie wyjazd Liseiwicza do państwa X był daleki od tego, czym w tej historii pozornie się wydawał. Cała opowieść była niepojętą, prawdziwie dziwną kombinacją wydarzeń.

Powiem szczerze, że słowa Fan Lili wymagały cierpliwości, by je docenić.

Cytuję dosłownie, kropka w kropkę, odpowiedzi udzielone podczas pierwszej wizyty:

1. On (Liseiwicz) nie był deszyfrantem.
2. Przecież wiecie, że pisał te listy, aby was zmylić i skierować na błędną drogę, więc dlaczego nadal mu wierzycie? W listach są same kłamstwa – on

deszyfrantem? Tworzył szyfry, był wrogiem tych, którzy je łamali.

### 3. PURPLE było jego dziełem!

4. To wymaga dłuższych wyjaśnień. Wiosną 1946 r. przyjechał do Liseiwicza człowiek, tak jak on student Cambridge. W tamtym czasie wszystko wskazywało, że przygotowywał się do objęcia bardzo ważnej funkcji w rządzie Izraela. Zabrał Liseiwicza do kościoła przy ulicy Gulou i przed Bogiem oraz w imieniu milionów żydowskich pobratymców zażądał od niego stworzenia szyfru dla państwa Izrael. Liseiwiczowi praca zajęła ponad rok, ale mocodawcom to nie przeszkadzało, byli bardzo zadowoleni. Od wczesnego dzieciństwa Liseiwicz wzrastał otoczony pochlebstwami; silne ego nie pozwalało mu na porażki. Ponieważ jednak czas miał ograniczony, pracę wykonał po łebkach – w każdym razie tak ją oceniał – i wydawało mu się, że szyfr jest skażony wieloma niedoskonałościami, dlatego postanowił stworzyć nowy, który by go zastąpił. To wtedy coraz głębiej zaczął go wciągać zdumiewający świat kryptografii. Wreszcie, po niemal trzech latach, udało mu się skonstruować szyfr, z którego był zadowolony: PURPLE. Zażądał, żeby władze izraelskie zastąpiły nim poprzedni. Zdecydowali, że spróbują, ale wyniki okazały się inne, niż oczekiwał Liseiwicz: PURPLE okazał się zbyt trudny, w żadnym razie nie mogli z niego korzystać. W tamtym czasie żył jeszcze sławny analityk Klaus Johannes. Mówiono, że kiedy zobaczył tajną depezę zakodowaną przy użyciu PURPLE, stwierdził: „Chciałbym mieć trzy tysiące podobnie zakodowanych depeż czekających na moim biurku na odszyfrowanie, choć w obecnej sytuacji6 przypuszczalnie zobaczę tysiąc”7. Sens jego wypowiedzi był jasny: nieważne, ile lat mu pozostało, nie będzie w stanie złamać tego szyfru. Kiedy dowiedziały się o tym władze państwa X, pomyślano o kupnie PURPLE, ale w tamtym czasie nie zdecydowaliśmy się na opuszczenie Uniwersytetu N. Co więcej, biorąc pod uwagę napięte stosunki między X a Chinami, doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli tę propozycję pozostawimy bez odpowiedzi. To, co zdarzyło się później, przebiegło tak, jak pan opisał: aby uratować mojego ojca, wykorzystaliśmy PURPLE do dobicia targu z państwem X.

5. Tak, Liseiwicz wierzył, że Rong Jinzhen wcześniej czy później odszyfruje PURPLE, dlatego dokładał wszelkich starań, żeby opóźnić jego postępy.

6. Na całym świecie podziwiał tylko jednego człowieka i był nim Rong Jinzhen. Liseiwicz wierzył, że w Rongu Jinzhenie skupiła się suma zachodniej wiedzy i mądrości, coś, co widzimy tylko raz na sto lat.

7. Jestem zmęczona, porozmawiamy następnym razem.

Druga wizyta:

1. To, jak powiedziała by analityk wywiadu wojskowego, służy zewnętrznemu upowszechnieniu. W rzeczywistości (Liseiwicz) nadal zaangażowany był w tworzenie szyfrów.

2. Szyfr wysokiego poziomu jest jak aktor grający główną rolę: musi mieć dublera. Z zasady tworzy się dwa szyfry, jeden do zastosowania, drugi rezerwowy. Jednakże istota PURPLE pochodziła z charakteru samego Liseiwicza, stąd stworzenie dwóch szyfrów jednocześnie było dla niego niewykonalne. Co więcej, kiedy konstruował PURPLE, nie pomyślał nawet, że to będzie szyfr wysokiego poziomu. Po zakończeniu pracy było tak, jakby stworzył całkowicie nowy język, który wymagał znacznej precyzji. Jednakże z chwilą gdy władze państwa X postanowiły używać PURPLE jako szyfru wysokiego poziomu, zażądały stworzenia szyfru rezerwowego; tym dublerem stał się właśnie BLACK.

3. Słusznie, od dnia, gdy Liseiwicz postawił stopę w państwie X, został zaangażowany do pracy nad BLACK. Ścisłe rzecz biorąc, tylko jako obserwator.

4. W istocie jeden człowiek może stworzyć tylko jeden szyfr wysokiego poziomu. Liseiwicz, będąc obserwatorem, nie brał bezpośredniego udziału w samych pracach nad BLACK. Jego rola polegała na wskazaniu i wyjaśnieniu wyjątkowych cech PURPLE, na współpracy z badaczami i niedopuszczeniu, by powstała prosta replika PURPLE. Był kimś w rodzaju nawigatora. Jeśli na przykład PURPLE wznosił wzrok ku niebu, Liseiwicz pilnował, żeby BLACK kierował oczy ku ziemi. Od badaczy zależało, w jaki sposób to osiągną.

5. Zanim się dowiedzieli, że Jinzhen złamał PURPLE, już ukończono wewnętrzną strukturę BLACK – oba szyfry miały podobny stopień trudności. Uczynienie ich trudnymi to zasadniczy cel tworzenia szyfrów wysokiego poziomu; z jakiego innego powodu kryptografia miałaby gromadzić ludzi najbardziej utalentowanych, o głębokiej wiedzy, gdyby nie było nim to, że każdy dąży do dezorientowania i zmylenia przeciwnika? Ale kiedy do Liseiwicza dotarła wieść o złamaniu PURPLE przez Jinzhena, zaczął obstawać przy konieczności wprowadzenia poprawek do BLACK. Uważał, że skoro Jinzhen potrafił złamać

PURPLE, zdoła tego dokonać z BLACK. Był pewien swojej racji, ponieważ znał Jinzhena: wiedział, że to człowiek o nieprzeciętnej osobowości, i doceniał jego wrodzony talent, który przesądza o tym, że odczuwa on większe ożywienie i podniecenie, gdy staje twarzą w twarz z trudnym i pozornie niemożliwym do zgłębienia problemem, ma wtedy silniejszą determinację, by go rozwiązać. Nic go nie może powstrzymać, nawet śmierć. W takim razie jedynym wyjściem jest stworzenie środków, które do głębi go zdeorientują i zmylą, wprowadzenie zabiegów będących wyzwaniem dla jego toku myślenia – tylko tak można go pokonać. W rezultacie BLACK poprawiono, ale w tradycyjny sposób. Szyfr stał się niemal absurdalny, niektóre części były niemożliwe do spenetrowania, inne niewiarygodnie proste – ni pies, ni wydra, twór zupełnie nijaki. Cytując samego Liseiwicza, szyfr był jak człowiek, który wydaje się elegancki i wytworny, ale nie ma na sobie ani bielizny, ani skarpetek.

6. Ma pan całkowitą rację<sup>8</sup>, lecz Jinzhen aż za dobrze rozumiał sposób myślenia Liseiwicza. Można powiedzieć, że złamanie PURPLE było dla niego podobne do rozegrania z Liseiwiczem partii szachów, przeciwnik nie miał szans na zmylenie go. A ponieważ zmylenie było wykluczone, mógł łamać inne szyfry – z wyjątkiem BLACK, którego w ten sposób złamać się nie dało.

7. Nie zgadzam się z panem<sup>9</sup> : przecież nawet gdyby ktoś taki istniał, wykluczone, żeby sam tego dokonał, musiał się opierać na zapiskach Jinzhena w notatniku.

8. Czy mógłby mi pan dokładnie wyjaśnić, co przydarzyło się Jinzhenowi?

9. Podejrzewam, że Liseiwicz miał rację.

10. Powiedział: „Nasze życie zrujnował Jinzhen, ale ostatecznie sam siebie zniszczy”.

11. Jinzhena, człowieka o takim typie osobowości, przypuszczalnie może zniszczyć tylko on sam, nikomu innemu w żadnym razie nie mogło się to udać. Prawdę mówiąc, obaj, Liseiwicz i Rong Jinzhen, zostali przekłęci przez swoje przeznaczenie: ono ich zabiło. Jedyna różnica polegała na tym, że przeznaczenie Jinzhena nie było „samodzielne”, lecz związane z przeznaczeniem Liseiwicza. Z perspektywy Jinzhena Liseiwicz to po prostu utalentowany nauczyciel i tyle.

12. Porozmawiajmy kiedy indziej. Proszę przynieść listy, które Liseiwicz napisał do Jinzhena. Chciałabym je zobaczyć.

Trzecia wizyta:

1. Tak, Liseiwicz był Weinachtem.

2. Jasne. W tamtym czasie należał do tajnych służb, jak mógłby pod własnym nazwiskiem odgrywać rolę matematyka? Matematyk jest osobą publiczną, a charakter jego prawdziwej pracy nie dopuszczał takiej ewentualności. Zresztą z punktu widzenia etyki zawodowej to wykluczone. Jaka organizacja płaciłaby wysoką pensję i pozwalała, żeby ten ktoś zajmował się swoją pracą?

3. Ponieważ w zespole tworzącym BLACK był tylko obserwatorem, nie brakowało mu czasu i energii na inne badania. W rzeczywistości zawsze marzył o pracy nad sztuczną inteligencją i powinien stwierdzić, że jego teoria o binarnej naturze stałych matematycznych istotnie przyczyniła się do rozwoju technologii komputerowej. Dlaczego liczył, że zdoła przekonać Jinzhena do wyjazdu z Chin? Nie chodziło o to, że działał w imieniu określonych ludzi, mających określone cele polityczne. Nie, on żył nadzieją, że Jinzhen pozostanie za granicą, dzięki czemu będą mogli współpracować nad sztuczną inteligencją.

4. Musi pan zastanowić się nad tym problemem sam<sup>10</sup>, nie mogę udzielić panu żadnej odpowiedzi. Mówiąc krótko, Liseiwicz był uczonym, w kwestiach polityki straszliwie naiwnym, kogoś takiego bardzo łatwo zranić i wykorzystać. Jeśli zaś chodzi o to, o czym pan wspominał – że był żarliwym antykomunistą – to wyssana z palca bzdura, jestem przekonana, że nie żywił takich odczuć.

5. Niektóre okoliczności są jasne<sup>11</sup>. Oba szyfry wysokiego poziomu (PURPLE i BLACK) zostały złamane jeden po drugim. Pierwszy stworzył (Liseiwicz) sam, przy tworzeniu drugiego brał udział. Co więcej, osoba, która oba złamała, to jego student. Byłam tam. Napisał mnóstwo listów, a chociaż na pierwszy rzut oka wydają się zbiorem forteli mających na celu zmylenie adresata, kto wie, czy w rzeczywistości te zagadki nie kryją w sobie tajnych informacji? Prawdopodobieństwo odkodowania bardzo wyrafinowanego szyfru jest ekstremalnie niskie, a teraz jedna osoba złamała oba te szyfry jeden po drugim, w dodatku niewiarygodnie szybko – cóż, w normalnych warunkach byłoby to niemożliwe. Mogło do tego dojść wyłącznie dlatego, że ktoś doprowadził do wycieku tajemnic. Ale kto? Podejrzenia padły na niego, na Lisewicza.



6. Nałożono na nas surowy areszt domowy po odkryciu, że BLACK został złamany: to było w drugiej połowie 1970 r. Ale już wcześniej, mniej więcej w czasie gdy złamano PURPLE, śledzono nas na każdym kroku, mieliśmy telefon na podsłuchu i stosowano wobec nas wiele ograniczeń. Wyglądało, jakbyśmy już zostali skazani na częściowy areszt domowy.

7. W 1979 Liseiwicz zmarł po ciężkiej chorobie.

8. A tak, gdy wciąż byliśmy w areszcie domowym. Każdy dzień spędzaliśmy razem i musieliśmy szukać tematów do rozmowy. Wtedy dowiedziałam się tak dużo o tych sprawach, wtedy opowiedział mi o wszystkim; wcześniej właściwie nie miałam pojęcia.

9. Zastanawiam się: dlaczego Bóg zesłał na mnie tę chorobę? Może dlatego, że znam zbyt wiele tajemnic. Wydaje się nawet zabawne: teraz, gdy nie mam ust, mogę o nich rozmawiać. Wcześniej, kiedy miałam usta, to było wykluczone.

10. Nie chcę zabierać tajemnic do grobu, pragnę umrzeć w spokoju. W następnym życiu chcę być normalną, przeciętną osobą. Nie zależy mi na chwale, nie zależy na sekretach, nie chcę wrogów ani przyjaciół.

11. Niech mnie pan nie okłamuje, wiem, jak bardzo jestem chora. Doszło do przerzutów, zostało mi najwyżej kilka miesięcy życia.

12. Nie powinien pan żegnać się z osobą, która niedługo umrze, to zły omen. Niech pan idzie, życzę panu szczęśliwego i spokojnego życia!

Kilka miesięcy później dowiedziałem się, że Fan Lili przeszła operację na otwartej czaszce, po paru następnych miesiącach, że zmarła. Podobno wymieniła mnie w swojej ostatniej woli – miała nadzieję, że w książce nie podam ich prawdziwych nazwisk, ona i mąż pragną spoczywać w pokoju. Tak więc nazwiska Fan Lili i Liseiwicza są pseudonimami. Mimo że jest to wbrew ustalonym na potrzeby pisania kryteriom, co właściwie mogłem zrobić? Stara kobieta, której los nie oszczędził niepowodzeń i zniweczonych nadziei, która kochała tak głęboko i namiętnie, a w testamencie wyraziła pragnienie, by pozostawiono ją w spokoju – jakże mógłbym nie respektować tych życzeń, skoro życie obojga nie było przecież łatwe!

5 Szkoły Nadziei albo xiwang xiaoxue to prywatne przedszkola i szkoły podstawowe zakładane w biednych wiejskich rejonach Chin. Szkoły finansowane

są głównie przez bogate organizacje społeczne z Hongkongu i Tajwanu [przypis tłumaczy z chińskiego na angielski].

6 Było to po drugiej wojnie światowej i nie toczył się żaden konflikt na wielką skalę.

7 Brak wojny znaczył, że nie wysyłano aż tylu zakodowanych depesz.

8 W świecie kryptografii panuje niepisana zasada: dany osobnik może albo tworzyć, albo łamać szyfry! Wzięła się stąd, że niezależnie od wybranej drogi, czy jest to tworzenie, czy łamanie szyfrów, człowiek ten swoje serce i umysł oddał pracy, a wykluczone jest istnienie dwóch podobnych szyfrów.

9 Powiedziałem jej, że BLACK ostatecznie nie został złamany przez Ronga Jinzhena.

10 Te słowa odnoszą się do późniejszego zaangażowania Lisei-wicza w politykę ekstremistów.

11 Chodzi o okoliczności towarzyszące nałożeniu przez władze państwa X aresztu domowego na Liseiwicza i jego żonę.

Powiniennem opowiedzieć o Yanie Shi.

Przypuszczalnie to prawda, że Yan Shi próbował zepchnąć Ronga Jinzhena na bok i świadomie starał się odseparować od pozostałych pracowników Jednostki 701. Po przejściu na emeryturę wyprowadził się z kompleksu i zamieszkał u córki w stolicy prowincji G. Autostrada skróciła odległość pomiędzy miastem A a stolicą prowincji G, tak więc dotarłem do celu w zaledwie trzy godziny od opuszczenia Jednostki 701, w dodatku niemal od razu znalazłem dom córki, a tym samym spotkałem się z Yanem Shi.

Był taki, jak go sobie wyobrażałem. Dobrze po siedemdziesiątce, właściwie bliżej osiemdziesiątki, nosił okulary z grubymi szklami. Włosy miał siwe i lśniące, a w jego oczach kryły się oszustwa i tajemnice. Nie dostrzegłem w nim dobroci i godności, a tego zwykle się spodziewamy po starcach. Ponieważ moja wizyta nie została zapowiedziana z odpowiednim wyprzedzeniem, zastałem go siedzącego nad planszą do go; w prawej dłoni zręcznie obracał kompletem połyskliwych kulek medytacyjnych, w lewej trzymał biały kamień go. Był pogrążony w głębokiej zadumie, choć przy stole nie siedział przeciwnik – grał sam ze sobą. Tak, gra ze sobą jest jak rozmowa ze sobą, jak tragiczny i samotny stary głupiec, który wciąż żywi wielkie aspiracje. Jego wnuczka, piętnastoletnia licealistka, powiedziała mi, że gdy przeszedł na emeryturę, codziennie spędza czas na grze w go albo na czytaniu książek o go. Nabrał niezłej wprawy, do tego stopnia, że teraz trudno mu znaleźć przeciwnika. Swoje uzależnienie mógł zaspokoić jedynie książkami.

Nie słyszeliście? Gra w szachy ze sobą jest w gruncie rzeczy jak gra przeciwko sławnemu adeptowi.

Stolik nakryty planszą do go stał się zaczynem naszej rozmowy. Yan Shi z wielką dumą mówił o korzyściach z tej gry: odpędza samotność, ćwiczy umysł, odżywia duszę i przedłuża życie. Zalety podsumował stwierdzeniem, że jego miłość do go to w gruncie rzeczy ryzyko zawodowe.

– Jeśli chodzi o ludzi, którzy pracują w kryptografii, nasz zbiorowy los związany jest z najróżniejszymi odmianami szachów, a dotyczy to zwłaszcza osób prowadzących nieciekawe życie. Wszystkich uwiedzie sztuka szachów, tak jak piratów i dilerów narkotykowych uwodzą ich zdobycze. To tak jak wtedy, kiedy ludzie na starość zaczynają interesować się dobrymi dziełami.

Jego porównanie pozwoliło mi naszkicować sobie realny obraz, ale...

– Dlaczego kładzie pan nacisk na nieciekawe życie? – zapytałem.

Po chwili namysłu odrzekł:

– Można powiedzieć, że w przypadku bardzo utalentowanych kryptologów ich pasja i intelekt wyrażają się poprzez pracę. Innymi słowy ich geniusz jest wykorzystany – przez nich samych i przez ich pracę. Dusza tak intensywnie eksploatowana skłania się do spokoju, kontemplacji, nie ma w niej przymusu, by siebie dręczyć, nie ma obaw o wypalenie. Brak tej presji w sposób naturalny łączy się z brakiem potrzeby, by zrzucić ciężar z serca. Tacy ludzie nie pragną gwałtownie nowego życia, stąd też większość geniuszów jesień życia wypełnia wspomnieniami i z uwagą przysłuchuje się pięknu swojego głosu. Ale z tymi, którzy prowadzą zwykłe życie, jest jednak inaczej. Ci utalentowani, członkowie wewnętrznego kręgu, nazywali nas słabszą płcią. Znaczyło to, że mieliśmy w sobie elementy geniuszu, ale nigdy nie bylibyśmy w stanie wykonywać takiej pracy jak oni. Nasze lata spędzaliśmy na poszukiwaniach, czując się przytłoczeni – nie dane nam jednak było rozwinąć w pełni talentu, nie mogliśmy go zademonstrować, uwolnić. Takim ludziom starość nie okrasza wspomnieniami o chwale, nie muszą niczego podsumowywać. Co więc mają robić w tak zwanej złotej jesieni życia? Tylko to, co robili przez całe życie: nadal na próżno szukają zajęcia, podświadomie próbując znaleźć sposób na wykorzystanie swoich zdolności, stoczyć najważniejszą i ostatnią bitwę. Takie jest znaczenie mojego zauroczenia szachami, pierwsze znaczenie. Drugie zaś – cóż, jeśli spojrzysz na to z innego punktu widzenia, geniusze poświęcają niewyobrażalnie dużo czasu na wnikliwe studiowanie, oddają się temu całym sercem, zamierzając przejść przez niewiarygodnie wąską ścieżkę po to, by dotrzeć na szczyt, i nawet jeśli w ich sercu płonie inne pragnienie, nie mogą go zrealizować, bo droga, którą ich umysły będą podążać, została wytyczona i w żaden sposób nie da się ich od niej oderwać. (Jego użycie słowa „oderwać” napęłniło mnie przerażeniem, jakby całym moim jestestwem zawładnęła nieznana siła). Ich umysły, potęga intelektualna już są niezdolne do poruszania się w naturalny, nieograniczony sposób: mogą tylko maszerować przed siebie, coraz dalej tą wąską ścieżką. Wie pan, czym są korzenie szaleństwa? Geniusz i szaleństwo wywodzą się z tego samego punktu, przyczyną obu jest oczarowanie. Miałby pan ochotę zagrać z nimi w szachy, kiedy będą starzy? Niemożliwe, ponieważ nie są w stanie! – Głos mu się lekko łamał. – Zawsze wierzyłem, że geniusz i szaleństwo to dwie strony tej samej monety: są jak ręce wyciągające się z ludzkiego ciała, tylko że w różne strony. W matematyce są nieskończonością dodatnią i nieskończonością ujemną; w pewnym sensie można powiedzieć, że geniusz to nieskończoność dodatnia, podczas gdy szalenie albo głupiec – nieskończoność ujemna. Problem jednak w tym, że w matematyce obie nieskończoności są nadal nieskończonościami, bezkresnymi ciągami liczb. Z tego też powodu często myślę, że pewnego dnia, kiedy ludzkość osiągnie określony etap rozwoju, niewykluczone, że szalenie stanie się taki jak geniusz: będzie wybitnie utalentowanym człowiekiem, mądrym i zdolnym do osiągnięć, które wszystkich

zadziwią. Oczywiście nie muszę mówić o niczym innym poza szyframi. Proszę sobie na moment wyobrazić, że gdybyśmy potrafili kroczyć tą samą drogą co szaleniec (aczkolwiek to wcale nie jest droga) i skonstruować szyfr, nikt nie zdołałby go złamać. W gruncie rzeczy tworzenie szyfrów jest poniekąd zajęciem szaleńca, przybliża człowieka do obłądki i geniuszu. Albo inaczej: pod względem składu geniusz i szaleństwo zrobione są z takich samych materiałów. To naprawdę niesamowite! I dlatego nigdy nie pogardzałem szaleńcami. Jestem przekonany, że gdzieś w ich obłądce kryje się skarb, lecz nie możemy do niego dotrzeć, przynajmniej na razie. Są jak nieznanne złoża surowców mineralnych, które czekają na odkrycie.

Gdy słuchałem tego starca, miałem wrażenie, jakby moja dusza została oczyszczona; nigdy dotąd mój umysł nie był taki klarowny. Jakby wcześniej pokrywały go tłuste osady i kurz, a słowa Yana Shi, niczym gwałtowny strumień, wszystko to zmyły, przywracając mu dawny blask. Czułem spokój, radość! Słuchałem uważnie i doceniałem subtelność jego logiki. Chłonałem ją i oszołomiła mnie jak alkohol. Wydawało się, że straciłem tok swoich myśli; spojrzawszy na czarne i białe kamienie do gry, zapytałem:

– Więc jak to się stało, że tak zauroczyło pana go?

Poprawił się na rattanowym fotelu, po czym wesoło, ale z kpiną odparł:

– Należę do tych, którzy prowadzili nijakie życie.

– Nieprawda – sprzeciwiłem się. – Odszyfrował pan BLACK, jak może pan nazywać swoje życie nijakim?

Przymknął oczy i myślał o czymś w skupieniu; wyprostował się, a rattanowy fotel zaskrzypiał i jęknął pod nim, jakby próbując ocenić, czy ciężar się zwiększył, czy nie. Na chwilę zapadło milczenie, później podniósł na mnie wzrok.

– Wie pan, w jaki sposób odszyfrowałem BLACK? – zapytał poważnie.

Z namysłem pokręciłem głową.

– A chciałby się pan dowiedzieć?

– Oczywiście.

– W takim razie powiem panu. Pomógł mi Rong Jinzhen! – Wydawało się, jakby do niego wołał. – Ach, nie, nie, powinienem powiedzieć, że to Rong Jinzhen złamał BLACK, moja sława jest niezasłużona.

– Rong Jinzhen... – Byłem zdumiony. – Ale przecież on... przecież coś się z nim stało, prawda? – Nie powiedziałem, że oszalał.

– Tak, to prawda. Coś się z nim stało: popadł w obłąd. Ale nigdy by pan się nie domyślił: właśnie w środku tej destrukcji, w upadku Ronga Jinzhena, dostrzegłem klucz do złamania BLACK.

Poczułem, jak serce mi pęka na dwoje.

– Co ma pan na myśli?

– Ach... to długa historia! – Wolno wypuścił powietrze z płuc, odrywając

ode mnie wzrok; bez reszty pogrążył się we wspomnieniach...

*Zapis rozmowy z Yanem Shi*

Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, może w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, może w siedemdziesiątym, w każdym razie Rong Jinzhen stracił zdrowe zmysły zimą. Przedtem pełnił funkcję szefa naszej sekcji, a ja bezpośrednio mu podlegałem. To był wielki wydział, byliśmy w rozkwicie naszej działalności, sekcja pewnie musiała liczyć więcej niż X osób. Teraz jest mniejsza, o wiele mniejsza. W tamtym okresie mieliśmy jeszcze jednego szefa sekcji, nazywał się Zheng. Nadal pracuje w Jednostce, słyszałem, że został dyrektorem. Niezwykły człowiek. Dostał kilka pocisków w nogę, co spowodowało, że utykał, ale to nie przeszkodziło, by trafił do elity. Właśnie on odkrył Ronga Jinzhena, obaj studiowali matematykę na Uniwersytecie N. Relacje mieli dobre, mówiono nawet, że łączą ich jakieś związki rodzinne. Jego poprzednik na stanowisku szefa studiował na starym Centralnym Uniwersytecie Narodowym, gdzie był uczniem sławnego profesora, a w czasie wojny z Japonią złamał wiele szyfrów używanych przez Japończyków. Po rewolucji wstąpił do Jednostki 701 i kontynuował pracę nad specjalnymi zleceniami. Niestety, zajęcie się PURPLE doprowadziło go do szaleństwa. Muszę przyznać, że mieliśmy szczęście, iż ci trzej byli naszymi szefami, bo pozwalali nam osiągać wspaniałe wyniki. Mówiąc „wspaniałe”, wcale nie przesadzam. Ośmielam się stwierdzić, że gdyby Rong Jinzhen nie zwariował, oczywiście osiągnęlibyśmy więcej, ale cóż, wzięwszy pod uwagę tamte wydarzenia... nigdy nie wiadomo, prawda? Czasami rozwój wypadków nas zaskakuje.

Kiedy Rong Jinzhen... zachorował, zapadła decyzja, żebym przejął jego obowiązki, co oznaczało odszyfrowanie BLACK. Tamten notatnik, notatnik Ronga Jinzhena, był najważniejszą informacją, jaką dysponowaliśmy, więc oczywiście trafił w moje ręce. Notatnik – cóż, pan go nie zna, ale w swej istocie stanowił skarbnicę jego myśli i rozważań o BLACK: zawierał wszystkie dojrzałe refleksje o szyfrach na równi z szalonymi spekulacjami. Ślęcząc nad kolejnymi słowami, zdaniem, stronicami, zaczynałem czuć, że każdy pojedynczy wyraz ma znaczenie i jest ważny. To mną wstrząsnęło: każde słowo odznaczało się specjalną właściwością, podniecało mnie, prowokowało. Nigdy w sobie nie odkryłem takich umiejętności, ale mogłem podziwiać jego zapiski. Co więcej, notatnik powiedział mi, że Rong Jinzhen już wykonał dziewięćdziesiąt dziewięć procent pracy.

Pozostało tylko zrobić ostatni krok.

Ów finalny krok wiązał się ze wszystkim, co było wcześniej, z odnalezieniem klucza do BLACK.

Za kluczem kryptograficznym kryje się następująca idea: powiedzmy, że BLACK to dom, który musi być spalony, więc na początku trzeba zebrać tyle podpałki, żeby rozpałcić ogień. No cóż, podpałka zebrana przez Ronga Jinzhena mogłaby zawstydzić górę: wystarczyło jej, żeby okryć dom od dachu po fundamenty. Teraz pozostało tylko rozpałcić ogień. Znalezienie zapalniczki było kluczem do złamania BLACK.

Po przestudiowaniu notatnika nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Rong Jinzhen wstąpił na drogę prowadzącą do odnalezienia klucza rok wcześniej. To znaczy, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent pracy wykonał w dwa lata, ale później nie potrafił zrobić ostatniego kroku. Zdziwiłem się. Z którejkolwiek strony by na to patrzeć, stopień trudności ostatniego kroku nie miał znaczenia i Rong Jinzhen nie powinien marnować czasu na zastanawianie się, a jednak nie potrafił rozwiązać problemu. Coś takiego nie mieściło mi się w głowie.

Jeszcze jedno mnie dziwiło, choć nie jestem pewien, czy pan to zrozumie. Spędziliśmy lata, usiłując złamać BLACK, ale nie czyniliśmy żadnych postępów. To było tak, jakby zdrowa na umyśle osoba przemawiała słowami szaleńca. Przez trzy lata nie trafiliśmy na żaden błąd, który moglibyśmy wykorzystać, nie przeciekła ani jedna kropla wody. W dziejach kryptografii zjawisko niezwykle rzadkie. Rong Jinzhen omawiał tę kwestię ze mną i też nie krył zdziwienia.

Często wyrażał wątpliwości dotyczące BLACK, sugerował nawet, że przypuszczalnie jest to plagiat wcześniejszego szyfru stworzonego przez jedną albo drugą agencję. Przecież raz wykorzystany, szyfr nieuchronnie podlega modyfikacjom i ulepszeniom, to jedyny sposób na uzyskanie doskonałości. W przeciwnym razie jego autor musi być bogiem obdarzonym geniuszem daleko wykraczającym poza to, co potrafimy sobie wyobrazić.

Z tymi dwoma osobliwymi zjawiskami musieliśmy sobie radzić. Przeglądając notatnik, dostrzegałem, że Rong Jinzhen bardzo dużo, głęboko i szczegółowo nad nimi rozmyślał. Dzięki notatnikowi po raz kolejny spotkałem się z duchem Ronga Jinzhena, z jego majestatem: to rzecz tak piękna, że aż przerażająca. Kiedy wszedłem w posiadanie notatnika, pomyślałem, że wdrapię się na ramiona Ronga Jinzhena i wykorzystam całą swoją energię, by wskoczyć



na wytyczoną przez niego ścieżkę. Wkroczywszy na nią, uświadomiłem sobie jednak, że absolutnie wykluczone jest, bym mógł maszerować ramię w ramię z takim geniuszem; nawet najdrobniejsze zetknięcie z tego rodzaju duszą wstrząsało mną gwałtownie – atakowało mnie!

Jego umysł próbował mną zawładnąć.

W każdej chwili mógł mnie połknąć!

Można by powiedzieć, że notatnik był Rongiem Jinzhenem. Zbliżałem się do niego (poprzez notatnik), byłem ku niemu popychany, coraz wyraźniej wyczuwałem jego wspaniałość, głębię, cudowność. A równocześnie uzmysławiałem sobie własną słabość, własny brak znaczenia – jakbym się kurczył. W tamtych dniach, studiując uważnie każde słowo i zdanie z notatnika, zaczynałem zdawać sobie sprawę, pojmować, jak wyjątkowy i unikatowy jest Rong Jinzhen, jak wielki ma talent. Stopniowo dostrzegałem, jak pokrętny i dziwaczny jest jego tok myślenia, ale też logiczny i wnikliwy. Był błyskotliwy, bystry i gwałtowny, jego żywiołowość budziła strach. Wydawało się, że jest w nim jakieś przyczajone zło, gotowe w jednej chwili cię pożreć. Gdy czytałem notatnik, miałem wrażenie, że czytam o całej ludzkości: tworzenie i psucie było tam na jednym poziomie, a jednak w ostatecznym rozrachunku wszystko odznaczało się swoistym pięknem, ujawniając niezwykle intelekt i pasję człowieka.

Notatnik sprawił, że stworzyłem sobie taki obraz Jinzhena – był jak bóg, który wszystko stwarza, ale był też jak szatan, który wszystko niszczy, w tym mój umysł. Stojąc przed tym człowiekiem, odczuwałem oddanie, pełną podziwu grozę i przerażenie, nie opuszczała mnie myśl, by paść przed nim na kolana. Minęły trzy miesiące, a ja wciąż nie wspiąłem się na jego ramiona – nie potrafiłem tego zrobić, nie mogłem nawet się wyprostować! Jedyne, do czego byłem zdolny, to stać pokornie przy jego boku niczym zagubione dziecko, które wreszcie odnalazło matkę i wtula się w jej objęcia, jak kropla deszczu, gdy spada na ziemię i chowa się w niej głęboko.

Jak może sobie pan wyobrazić, jeśli tylko tyle mogłem zrobić, w najlepszym razie czekało mnie to samo, co Ronga Jinzhena – utknę na dziewięćdziesiątym dziewiątym stopniu, a ostatni na zawsze będzie spowijał mrok. Być może czas pozwoliłby Rongowi Jinzhenowi uczynić ów finalny krok, lecz nie mnie, bo byłem tylko dzieckiem idącym koło niego – a skoro on upadł, ja też upadnę. Wówczas odkryłem, że notatnik jest wypełniony jedynie smutkiem. To pozwoliło mi sięgnąć w stronę zwycięstwa, dostrzec je w oddali, aczkolwiek równocześnie trzymało

zwycięstwo daleko poza moim zasięgiem. Jakie to smutne, jakie żałosne! Przygniatało mnie przerażenie wywołane moim trudnym położeniem, czułem się całkowicie bezradny.

W tym samym czasie Rong Jinzhen wrócił ze szpitala.

To prawda, zwolniono go nie dlatego, że wyzdrowiał, ale... jak powinienem to ująć? Po prostu nie było nadziei na wyleczenie, stąd dalszy pobyt w szpitalu nie miał sensu i Rong Jinzhen wrócił.

Chciałbym powiedzieć, że była to wola niebios, ale nigdy więcej nie rozmawiałem z Rongiem Jinzhenem. Kiedy to wszystko się działo, sam leżałem w szpitalu, a gdy wróciłem do domu, jego przeniesiono na leczenie do stolicy prowincji. Wizyta u niego byłaby dużą niedogodnością, a co więcej, zaraz po wyjściu ze szpitala zlecono mi pracę nad BLACK. Po prostu nie miałem czasu na spotkanie z nim. Poza tym dostałem jego notatnik. Potem zobaczyłem Jinzhenę po jego powrocie ze szpitala, kiedy zdradzał już objawy szaleństwa. Ale nigdy nie rozmawialiśmy.

Los tak chciał.

Powinienem powiedzieć, że gdybym pojechał go odwiedzić miesiąc wcześniej, pewnie żadne z późniejszych wydarzeń by nie zaszło. Dlaczego to mówię? Z dwóch powodów: po pierwsze, kiedy Rong Jinzhen leżał w szpitalu, ja byłem pogrążony w lekturze jego notatnika. W moim umyśle Rong Jinzhen jawił się jeszcze wspanialszy, jeszcze większy, mający niezłomny charakter – prawdziwy gigant. Po drugie, zastanawiając się nad zawartością notatnika, stwierdziłem, że trudności w odszyfrowaniu BLACK maleją, zawężają się do wyraźnego punktu. Podstawa, która będzie służyła jako rodzaj fundamentu dla wszystkiego, co zdarzyło się później, została już przygotowana.

Pewnego popołudnia usłyszałem, że Rong Jinzhen wraca, wyruszyłem więc, żeby się z nim zobaczyć, ale przybyłem za wcześnie, jeszcze nie przyjechał i czekałem na dziedzińcu przed jego mieszkaniem. Niedługo potem usłyszałem warkot dżipa na dziedzińcu. Na powitanie wyszły dwie osoby, administrator z naszego wydziału nazwiskiem Huang i Di Li, żona Ronga Jinzhenę. Spojrzeli na mnie, zauważając mój niechlujny wygląd, po czym odwrócili się do dżipa, żeby pomóc wysiąść Rongowi Jinzhenowi. Sprawiał wrażenie, jakby nie chciał opuścić samochodu, jakby był kruchy i łatwo mógł się potłuc; musiał się na nich oprzeć, poruszał się ostrożnie i wolno.

Po chwili udało mu się postawić stopy na ziemi. Ale ten mężczyzna zupełnie nie przypominał człowieka, którego znałem. Był zgarbiony, trząsł się na całym ciele, głowa sprawiała wrażenie, jakby niedawno przymocowano ją do szyi, w dodatku nieudolnie, bo nieustannie się chwiała. Oczy miał szeroko otwarte, wytrzeszczone, pełne strachu, nie było w nich błysku światła, usta tworzyły szczelinę, której nie da się zamknąć, od czasu do czasu wyciekał z nich strumyk śliny...

Czy to mógł być Rong Jinzhen?

Coś ścisnęło mi serce, napierało na nie, w głowie miałem chaos. Wcześniej miałem wrażenie, że notatnik wyssał ze mnie siły, kazał mi się bać, i teraz czułem się tak, zobaczywszy Ronga Jinzhena – skorupę człowieka. Stałem otępiąły, nie ośmieliłem się go powitać, jakby ten Rong Jinzhen jakimś sposobem mnie oparzył, przypalił moje ciało. Jego żona odprowadziła go, na wpół niosąc, i zniknął z moich oczu jak jakaś straszliwa myśl. Wykluczone jednak, by wspomnienie tej sceny kiedykolwiek miało mnie opuścić.

Po powrocie do gabinetu opadłem na sofę; nogi miałem ciężkie i zdrętwiałe, umysł pusty. Nic nie czułem, po prostu trup usadowiony na sofie. Nie muszę dodawać, że ten szok to było dla mnie za wiele, w niczym nie różnił się od szoku, który wywołała lektura notatnika. Powoli wracała mi przytomność, lecz obraz Ronga Jinzhena wynoszonego z dżipa wciąż mi się pojawiał przed oczami. Jakby rzadka i okropna idea nieprzyjemnie i bezpodstawnie krążyła mi w głowie: nie potrafiłem jej wyrzucić, nie potrafiłem wyrazić, mogłem tylko przyznać, że istnieje. W taki oto sposób uwięziłem w obrazie obłąkanego Ronga Jinzhena, który mnie torturował, a im więcej o tym myślałem, tym bardziej mu współczułem – jego stan przerażał mnie na wskroś. Pytałem siebie: kto go do tego doprowadził? Kto go zniszczył? Później myślałem o tym, co się wydarzyło, o tamtej katastrofie, o osobie odpowiedzialnej za nią, o stojącym za tragedią mózgu.

O tym cholernym złodzieju!

Nikt nie odgadłby, że coś takiego się stanie, że nadzwyczaj utalentowany człowiek, imponujący i napawający lękiem, wzniosły i przenikliwy, *crème de la crème* ludzkości, bohater kryptografii, może w ostatecznym rozrachunku zostać doprowadzony do upadku przez pospolitego ulicznego złodzieja, że jego całkowitą destrukcję spowoduje drobny przestępca. Nie mogłem nic poradzić na to, że absurdalność tej sytuacji wywołała we mnie szok i zgrozę.

Wszystkie emocje odznaczają się zdolnością do zaskoczenia, zmuszając człowieka do refleksji. Czasami odbywa się to w podświadomości, istnieje więc możliwość, że myśli nie staną się wyraziste, nie od razu dadzą o sobie znać. Często nagle i niespodziewanie zaczynamy myśleć o różnych sprawach, w naszym umyśle idee przybierają kształt, a nam pozostaje tylko je podziwiać i zastanawiać się, czy zesłała je boska opatrność. W rzeczywistości jednak myśli te już w nas były, pogrzebane w podświadomości, i teraz tylko przedarły się na front jak ryba, która wyskakuje z błękitnej tafli wody.

W tamtym czasie jednak miałem świadomość tego, o czym myślę: obrazy nieszczęsnego złodziejaszka i zdumiewającego Ronga Jinzhena, ludzi, których dzieliła otchłań, zmieniły tok moich myśli, wytyczyły jasno kierunek. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby zestawić te dwa obrazy, wyodrębnić pod względem siły czy masy, to pozostałość byłaby otchłanią dzielącą dobro od zła, ciężar od braku ciężaru, znaczenie od braku znaczenia. Myślałem o Rongu Jinzhenie, człowieku, którego do upadku nie doprowadził ani szyfr wysokiego poziomu, ani sprytny kryptograf, lecz przypadkowe działanie pierwszego z brzegu złodziejaszka. Przetrwał wszystkie długie dni udręki i bólu, gdy dążył do złamania PURPLE i BLACK, kiedy jednak stanął twarzą w twarz z postępkiem marnego przestępcy, załamał się już po kilku dniach.

Jak to możliwe, że na deski posłał go pierwszy cios?

Czyżby złodziej ów dysponował nieznaną mocą, nieznaną siłą?

Oczywiście nie.

A może powodem stało się to, że Rong Jinzhen był słaby i kruchy?

Właśnie!

Do tragedii doszło dlatego, że złodziejaszek uciekł z czymś, co Rong Jinzhen uważał za święte i sekretne: z notatnikiem! To była rzecz dla niego absolutnie najważniejsza, a jednak bardzo niematerialna: jak ludzkie serce, które nie jest w stanie znieść ciosów i nawet najsłabsze uderzenie może zakończyć się śmiercią.

Teraz jestem pewien, że pan to rozumie. W normalnych sytuacjach nasz najcenniejszy i święty przedmiot, rzecz dla nas najdroższą, przechowujemy zwykle w najbezpieczniejszym z możliwych miejsc. Notatnik Ronga Jinzhena powinien się

znaleźć w przenośnym sejfie; włożenie go do aktówki nie gwarantowało bezpieczeństwa. Spojrzawszy jednak na sprawę z drugiej strony, jeśli założymy, że złodziej był agentem wroga, członkiem służb specjalnych państwa X, który otrzymał misję zdobycia notatnika Ronga Jinzhena, to przecież mało prawdopodobne, by tajny agent pomyślał, iż Rong Jinzhen umieści notatnik z informacjami niezwyklej wagi, wymagającymi niezwyklej ochrony, w aktówce. Nie interesowałaby go teczka, lecz przenośny sejf. Tak więc, jeśli nadal mielibyśmy brać pod uwagę, że kradzieży dokonał agent albo członek innych służb, to włożenie notatnika do aktówki okazałoby się genialnym sposobem na uniknięcie nieszczęścia.

Później znowu rozważałem hipotezę, że jeśli to, co zrobił Rong Jinzhen, nie było niezamierzone, ale przemyślane, i Rong wpłatał się w operację specjalną, to nie padł ofiarą złodzieja. Niech pan się zastanowi. Przebiegłość kryjąca się w tym kroku nie mogłaby być bardziej subtelna: chodziło o zwabienie agenta w niezwykle wyrafinowaną pułapkę, mam rację? Ów tok myśli sprowadził mnie na powrót do BLACK. Pomyślałem: A co, jeśli jego twórca użył niezmiernie ważnych środków do odszyfrowania – czyli klucza – i zamiast go ukryć, pogrzebać głęboko w samym szyfrze, zostawił na wierzchu, rozmyślnie nie schował do sejfu, lecz do skórzanej aktówki? W takim przypadku Rong Jinzhen, człowiek, który tak uparcie i wytrwale szukał klucza do BLACK, był jak tajny agent szukający notatnika w złym miejscu.

Kiedy ta myśl przemknęła mi przez głowę, ogarnęło mnie podniecenie.

Z punktu widzenia logiki to absurdalny pomysł, ale jego absurdalność precyzyjnie pasowała do dwóch dziwnych zjawisk, o których mówiłem wcześniej. Pierwsze z nich zdawało się sugerować, że BLACK był ekstremalnie zawiły, co tłumaczyłoby, dlaczego Rong Jinzhen nie potrafił zrobić ostatniego kroku prowadzącego do odszyfrowania; drugie – że BLACK był ekstremalnie prosty, a to z kolei wyjaśniało, dlaczego przez trzy lata nie natrafiono w nim na żaden błąd. Rozumie pan? Jedynie najmniej skomplikowane rzeczy mogą korzystać z prawa do nieskrępowanego ruchu, tylko one mogą dążyć do piękna i go osiągać.

W takich okolicznościach możliwe są dwa rodzaje prostoty. Pierwszy to prostota sztuczna. Drań, twórca BLACK, odznaczał się rzadką pomysłowością: potrafił stworzyć każdy stary szyfr, na jaki miałby ochotę, szyfr, który byłby niewiarygodnie nieskomplikowany dla niego, za to dla mnie niewiarygodnie wyrafinowany, niezgłębiony. Drugim typem jest prostota prawdziwa, która wykorzystuje przebiegłość jako substytut dla wyrafinowania: wprowadza cię

w błąd swoim krańcowym nieskomplikowaniem, spiskuje przeciwko tobie, zastawia zasadzkę, umieszcza klucz wprost na twoich oczach, w skórzanej aktówce.

Może pan sobie wyobrazić, co stało się potem. Gdyby BLACK odznaczał się sztucznym rodzajem prostoty, nie zdołałbym go odszyfrować, ponieważ osoba, z którą walczyliśmy – twórca szyfru – była geniuszem, jakiego może nie zobaczymy nawet przez następne tysiąc lat. Później uświadomiłem sobie, że Rong Jinzhen został złapany w sidła tego symulowanego i upartego rodzaju prostoty czy ujmując rzecz inaczej, wpadł w potrzask fałszywego minimalizmu, który oczarował go i oszukał. To powiedziawszy, stwierdzić należy, że logiczne, wręcz nieuniknione było to oszustwo. Z jednej strony... jak powinienem to ująć? Hm, może tak. Proszę sobie wyobrazić, że pan i ja toczyliśmy bokserką walkę i panu udało się posłać mnie na deski. Wtedy z mojego narożnika na ring rusza ktoś inny. Pan pod każdym względem przewyższa tego człowieka, ale w każdym przypadku będzie on lepszy ode mnie, rozumie pan? Cóż, Rong Jinzhen znajdował się w takiej sytuacji. Odszyfrował PURPLE, na ringu zwyciężył, dowiódł swojej wspaniałości, w myślach już pokonał doskonałego przeciwnika i czuł się gotów do walki z następnym. A z drugiej strony, z punktu widzenia logiki, jedynie sztuczna prostota może z sukcesem połączyć w jedno owe dwa dziwne fenomeny odkryte w tym szyfrze, w przeciwnym wypadku byłyby ze sobą sprzeczne, pozostawałyby w opozycji. I właśnie w tym punkcie Rong Jinzhen popełnił błąd, który popełniają wszyscy geniusze, ponieważ z jego perspektywy fakt, że szyfr wysokiego poziomu zawiera równie oczywistą sprzeczność, wykroczał daleko poza prawdopodobieństwo, nie mieścił się w głowie. Złamał PURPLE, w pełni zdawał sobie sprawę z przemyślności i drobiazgowości niezbędnej przy jego tworzeniu. Stając więc twarzą w twarz z wewnątrz sprzecznym szyfrem, nie był w stanie zanalizować tych dwóch elementów, nie potrafił ich otworzyć; najbardziej heroiczne wysiłki kończyły się na tym, że dotykał zaledwie skraju. Taka jest siła sztucznej prostoty: geniusz może tylko zbliżyć się do skraju.

I właśnie tam umysł Ronga Jinzhena spotkała największa szkoda: owa syntetyczna prostota tak bardzo go zauroczyła, że nie zdołał się od niej uwolnić. Pokazuje to także precyzyjnie jego siłę i odwagę, z jaką przeciwstawił się budzącemu respekt przeciwnikowi. Jego intelekt łaknął bezpośredniego starcia, walki na ringu!

Nie jestem taki jak Rong Jinzhen. Mnie ta sztuczna prostota przerażała, wpadałem w rozpacz, stąd jedna droga do złamania BLACK była zablokowana. Ale druga stała przede mną otworem. Tak więc widziałem przed sobą blask

prawdziwej prostoty – to, że klucz do szyfru rzeczywiście schowano w aktówce. Zalało mnie poczucie szczęścia, jakbym wreszcie znalazł wyjście z trudnej sytuacji, jakby nie wiadomo skąd pojawiła się ręka, by zedrzyć zasłonę z moich oczu i rzucić ją na ziemię, a potem zdeptać...

Tak, tak, nie posiadałem się z radości, byłem podniecony – kiedy o tym myślę, tamto odczucie wraca. To był najwspanialszy moment w całym moim życiu i dlatego obecnie jest ono spokojne, pozbawione wstrząsów i długie. Stało się tak, jakby niebiosa zebrały całą pomyślność świata i z litości zesłały ją mnie. Czułem się mały, półprzytomny, jakbym powrócił do bezpiecznego łona matki. Mogę powiedzieć, że to prawdziwe błogosławieństwo, jak wszystko, co otrzymujemy od innych ludzi: nie musimy prosić, nie musimy się rewanżować – jak w przypadku drzewa, obdarowującego nas swoimi owocami.

Ach, lecz nastrój tamtej pięknej chwili, zbyt ulotny, wymknął mi się z rąk. Usiłuję go sobie przypomnieć, ale w głowie mam pustkę. Pamiętam tylko, że w tamtym czasie nie miałem okazji, by potwierdzić swoje założenia. Jednym z powodów przypuszczalnie jest to, iż bałem się, że będą one ujawnione, innym – że żywiłem przesąd dotyczący trzeciej w nocy. Słyszałem, że o trzeciej w nocy świat należy i do ludzi, i do duchów – wtedy dusza jest najpotężniejsza. Dlatego też w cichym gabinecie krążyłem tam i z powrotem jak więzień, słuchałem przyspieszonego bicia swego serca, a równocześnie próbowałem się uspokoić i czekałem, aż nadejdzie owa brzemienna w skutki godzina, aż do trzeciej w nocy. Później wreszcie wyjąłem kalkulator (ten, który Rong Jinzhen otrzymał od centrali) i pogрузyłem się w przeprowadzeniu dowodu na moją absurdalną i dziwaczną tezę. Nie wiem, ile czasu mi to zajęło, pamiętam tylko, że kiedy odszyfrowałem BLACK, ogarnięty gorączką wypadłem z jaskini (w tamtym okresie nasze biura wciąż mieściły się pod ziemią w górskiej jaskini) i padłem na trawę, wielbiąc niebiosa i ziemię. Wciąż było ciemno, świt dopiero nadchodził.

Szybko? Oczywiście, że szybko! Nie rozumie pan, że kryptograficzny klucz do BLACK znajdował się w skórzanej aktówce!

Ach, kto by pomyślał: BLACK nie miał prawdziwego klucza!

Kryptograficzny klucz był zerowy!

Nic!

Absolutne nic!

Eee... hm – nie wiem, dlaczego tłumaczę to tak szczegółowo. Pozwoli mi pan na porównanie. Powiedzmy, że BLACK to dom ukryty bardzo, bardzo daleko, wysoko na niebie. Ma astronomiczną liczbę drzwi, wszystkie są identyczne do najdrobniejszego detalu i zamknięte, ale tylko jedno da się otworzyć. Można zmarnować wieczność pośród tych drzwi, z których żadne się nie otwierają i wszystkie wyglądają jak prawdziwe. Jeśli chcesz wejść do budynku, musisz najpierw przeszukać nieskończony wszechświat, by go zlokalizować, potem zaś znaleźć te jedyne otwierające się drzwi z niezliczonej liczby fałszywych. Gdy już je znajdziesz, musisz jeszcze odszukać klucz. W tamtym okresie Rong Jinzhen nie potrafił znaleźć klucza. Znalazł dom, znalazł prawdziwe drzwi, lecz klucza nie miał.

Kiedy mówię o szukaniu klucza, mam na myśli, że trzeba jeden po drugim wkładać klucze do zamka. Aby wykuć takie klucze, kryptolog musi polegać na własnym intelekcie i wyobraźni: tworzy klucz i sprawdza – jeśli nie działa, tworzy następny i tak dalej. W taki sposób Rong Jinzhen spędził rok poprzedzający zniknięcie notatnika. Może pan sobie wyobrazić, ile kluczy wypróbował. Powinien pan już wiedzieć, że aby dotrzeć do tego punktu, kryptolog potrzebuje nie tylko geniuszu, ale też boskiego szczęścia. Można rzec, że utalentowany kryptolog dysponuje nieograniczoną liczbą kluczy w swoim umyśle i musi pośród nich być ten, który wreszcie okaże się właściwy. Ale nigdy nie można mieć pewności, kiedy się trafi na właściwy klucz: czy będzie nim pierwszy wykonany w środku pracy, czy ten z finalnych etapów? Kwestia szczęśliwego trafu.

Szczęśliwy traf jest dostatecznie niebezpieczny, by wszystko zniszczyć!

Szczęśliwy traf jest dostatecznie cudowny, by wszystko stworzyć!

Moim zdaniem jednak ryzyko i szczęście rzekomo wiążące się z tym rodzajem przypadkowości nie istnieją, bo jeśli w moim umyśle nie ma kluczy, nie potrafię ich wykonać. Nie odczuwałem cierpienia i radości, gdy szukałem kluczy. Gdyby w tamtym okresie drzwi były zamknięte na głucho, gdyby w istocie wymagały klucza, łatwo domyślić się rezultatu – nie poradziłbym sobie z ich otwarciem. Rzecz bardzo osobliwa, ale drzwi istotnie sprawiały wrażenie solidnie zamkniętych, choć w rzeczywistości stanowiły fałszywą fasadę, mnie pozostało tylko lekko je pchnąć, by otworzyły się na oścież. I to wszystko. Klucz otwierający BLACK okazał się tak bardzo dziwaczny, że ludzie nie mogli w to uwierzyć, nie odważyli się zaufać, i nawet ja z trudem wierzyłem własnym oczom, kiedy drzwi się rozwarły i zobaczyłem wszystko, co znajdowało się w środku. To nieprawda,



myślałem, miraż, ułuda, marzenie.

Ach, ten szyfr stworzył diabeł!

Tylko diabeł odznacza się równie barbarzyńską odwagą i zdradliwym tupetem!

Tylko diabeł ma tak samo absurdalnie nikczemny intelekt!

Diabeł zręcznie uchylił się przed atakiem Ronga Jinzhena, nie miał jednak odpowiedzi na mój – a ja byłem zwykłym człowiekiem, należałem do plebsu. Mimo to wiedzą niebiosa i wiem ja, że wszystko to stało się możliwe dzięki Rongowi Jinzenowi; dzięki jego notatnikowi zostałem uniesiony wysoko, mogłem ominąć klęskę i ujawnić ukrytą tajemnicę BLACK. Być może uzna pan, że dokonałem tego nieświadomie, ale proszę mi powiedzieć: które szyfry w naszym świecie nie zostają złamane przy użyciu kombinacji ciężkiej pracy i szczęścia? Odpowiedź brzmi: wszystkie tego wymagają, dlaczego mówimy, że odszyfrowanie potrzebuje szczęścia, które pochodzi daleko spoza gwiazd? Dlaczego mówimy, że nieodzowny jest pomyślny dym unoszący się z grobów przodków?

Istotnie, na tym świecie nie ma ani jednego szyfru, który nie zostałby złamany w równej mierze przez geniusz i szczęście!

Ha, młody człowieku, nigdy nie pomyślałby pan, że dzisiaj odkryje pan mój sekret, co? Powinienem wyjaśnić, że wszystko, o czym panu opowiedziałem, to moje tajemnice, nigdy dotąd nikomu o nich nie mówiłem. Musi się pan zastanawiać, dlaczego właśnie przed panem je zdradziłem. Dlaczego przed panem miałbym odsłaniać własne braki? Powiem panu. Mam prawie osiemdziesiąt lat, kto wie, kiedy śmierć mnie wezwie, i nie potrzebuję dłużej żyć, otoczony tą niezasłużoną chwałą...

*Koniec rozmowy*

Starzec powiedział mi też, co zdecydowało, że nasz wróg stworzył BLACK – szyfr bez klucza – powodem było zniechęcenie, jakie ogarnęło ich po złamaniu PURPLE, oraz świadomość, że znaleźli się w ślepym zaułku. Po jednej tylko konfrontacji z Rongiem Jinzhenem zrozumieli, że to talent, z którym trzeba się liczyć. Gdyby z uporem nalegali na rzucanie mu wyzwania, zapewniliby sobie klęskę. W rezultacie zaryzykowali powszechne potępienie i w swoim szaleństwie

stworzyli wyjątkowo dziwny i nikczemny szyfr: BLACK.

Nigdy jednak nie zorientowali się, że Rong Jinzhen miał gotowy ostatni kontrakt i czekał na nich. Cytując starca: Rong Jinzhen w swym upadku przekazał – to zadziwiające, ale poprzez notatnik przekazał swoim kolegom tajemnicę obłąkanych narodzin BLACK. W dziejach kryptografii był jedyny w swoim rodzaju.

Kiedy teraz z perspektywy na to patrzę, kiedy zastanawiam się nad przeszłością i terażniejszością Ronga Jinzhena, kiedy myślę o jego tajemnicy i geniuszu, odczuwam niezwykle szacunek dla tego człowieka i ogarnia mnie wrażenie bezbrzeżnej samotności, nieograniczonego sekretu.

三教孝悌之川派不弱所和禮文

NOTATNIK  
RONGA JINZHENA

Ostatnia część zawiera jeden z notatników Ronga Jinzhena, a w każdym razie jego wyjątki. Kolejne stronicie można potraktować jak indeks i są całkowicie niezależne od poprzednich pięciu części. Nie zawierają żadnych nowych informacji ani nie mają tajnych związków z tym, co już zostało napisane. Od waszej decyzji zależy, czy je przeczytacie, czy nie. Jeśli tak, może poznacie nowe szczegóły, choć to w gruncie rzeczy nieważne – poniższe wersy nie mają najmniejszego wpływu na nasze zrozumienie Ronga Jinzhena. Innymi słowy, ta część jest jak nasz wyrostek robaczkowy, to bez znaczenia, czy go mamy, czy nie. Z tego też powodu – chciałbym to podkreślić – traktuję tę część jak „wyrostek robaczkowy”. Jego istota jest taka jak w przypadku posłowania czy kody, nic więcej, nic mniej.

Dobrze. Mogę wam powiedzieć, że według moich informacji w czasie pracy dla Jednostki 701 (od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku) Rong Jinzhen zapełnił dwadzieścia pięć notatników, z których wszystkie znajdują się pod opieką Di Li. Wykorzystała swoją pozycję żony Ronga Jinzhena tylko raz, po to, by zabrać jeden notatnik. Pozostałe dwadzieścia cztery są pod jej opieką, ponieważ jest funkcjonariuszką ochrony, a notatniki spoczywają zamknięte w masywnej stalowej szafie, zabezpieczone podwójnym zamkiem, w którym równocześnie trzeba przekręcić dwa klucze, żeby go otworzyć. Jeden klucz nosi przy sobie, drugi ma szef jej sekcji. Chociaż sprawuje opiekę nad notatnikami, nie wolno jej do nich zaglądać, nie wspominając już o traktowaniu ich jako własności.

Kiedy będzie można je zobaczyć?

Zdaniem Di Li trudno na to odpowiedzieć. Może niektóre zostaną odtajnione za kilka lat, w przypadku innych może minąć nawet kilka dziesięcioleci. Każdy notatnik ma bowiem inny stopień klauzuli tajności, nadawany z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego. Nie trzeba dodawać, że dla nas jest tak, jakby dwadzieścia cztery notatniki wcale nie istniały, podobnie jak nie istnieje człowiek przebywający w hospicjum w Lingsan. To znaczy jest tam, możemy pojechać do hospicjum i zobaczyć go, ale prawdziwy Rong Jinzhen dawno odszedł. Dlatego też bardzo mi zależało na obejrzeniu notatnika, będącego w posiadaniu Di Li. Z tego co zrozumiałem, nikt nigdy go nie widział, ale wszyscy wiedzieli, że jest u niej, ponieważ kiedy go odbierała, musiała podpisać pokwitowanie, które zachowano w archiwum. Tak więc choć usilnie próbowała mnie zbyć, miałem pewność, że notatnik jest u niej, i wreszcie musiała to przyznać. Za każdym razem jednak, kiedy wspominałem, że chciałbym go przejrzeć, wypluwała dwa słowa:

– Wynoś się!

Z jej strony nie było cienia wahania, żadnych wyjaśnień, żadnego pola do dyskusji. Kilka miesięcy temu po zakończeniu pierwszych pięciu rozdziałów

musiałem po raz ostatni odwiedzić Jednostkę 701, aby stosowne władze sprawdziły maszynopis i upewniły się, że niechcący nie ujawniłem żadnych poufnych informacji. Oczywiście Di Li była w gronie cenzorów; po przeczytaniu maszynopisu podzieliła się ze mną swoimi opiniami o historii, którą napisałem, po czym niespodziewanie zapytała, czy nadal chcę zobaczyć notatnik.

– Tak, naturalnie – odparłem.

Powiedziała, żebym odwiedził ją nazajutrz, ale jeszcze tego samego dnia z własnej woli przysłała do hotelu dla gości i sprezentowała mi notatnik, kserokopię oryginału.

Konieczne jest wyjaśnienie trzech punktów:

### **1. Odbitka, którą dostarczyła mi Di Li, była niekompletna**

Dlaczego to mówię? Cóż, jak zrozumiałem, absolutnie każdy pracownik Jednostki 701 korzysta z notatników dostarczanych przez samą jednostkę. Notatniki są różnej wielkości: największy ma 142 na 210 mm, średni – 130 na 184 mm, mały – 90 na 100 mm. Okładki są plastikowe lub z twardej skóry. Plastik jest czerwony albo niebieski. Jako że Rong Jinzhen lubił kolor niebieski, wszystkie używane przez niego notatniki były takie same: niebieskie, średniej wielkości. Widziałem oryginalny egzemplarz takiego notatnika (oczywiście pustego), więc wiem, jak wygląda. Na górze i na dole okładki widnieją czerwone pieczęcie ze słowami „Ściśle tajne”. Na środku okładki są rubryki:

Numer seryjny: \_\_\_\_\_

Numer kodowy: \_\_\_\_\_

Data:----- \_\_\_\_\_

Numer seryjny jest kolejnym numerem serii, data wskazuje okres użytkowania notatnika, numer kodowy podaje nazwisko agenta. Na przykład Rong Jinzhen miał numer kodowy 5603K. Nikt postronny nie zidentyfikowałby właściciela notatnika, za to w jednostce każdy wiedział, co kryje się pod tymi cyframi: rok, w którym Rong Jinzhen rozpoczął pracę – 1956, wydział, w którym pracował – kryptografia, 03 – był trzecią osobą zwerbowaną w tamtym roku do jednostki. Każda stronica ma ciemnoczerwoną pieczęć „Ściśle tajne” w górnym prawym rogu oraz wypisany takim samym tuszem numer w dolnym prawym rogu.

Od razu zauważyłem, że majstrowano przy kopii, którą dała mi Di Li, ponieważ pieczęć i numery stron zostały usunięte. Pomyślałem: mogę zrozumieć, dlaczego usunięto pieczęć, skoro materiał został odtajniony, czemu jednak zamazano numery stron? Nie mogłem tego pojąć. Policzyłem kartki, było ich siedemdziesiąt dwie. I wtedy do mnie dotarło. Zbierając materiały do książki, dowiedziałem się, że ten rodzaj notatnika zawiera dziewięćdziesiąt dziewięć kartek, jasne więc było, że kserokopia od Di Li jest niekompletna. Di Li wyjaśniła to tak:

po pierwsze, Rong Jinzhen nie zapisał całego notatnika, stąd też nie było potrzeby kopiowania pustych kartek, po drugie, pewne strony zawierały ich osobiste tajemnice, intymne sprawy pomiędzy mężem a żoną, dlatego nie chciała, żebym je czytał. Mnie najbardziej zależało właśnie na tych pominiętych kartkach.

## **2. Z dat i zawartości wynika, że pierwsze strony notatnika dotyczą okresu, kiedy Rong Jinzhen zachorował**

Pewnego dnia w połowie czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku Rong Jinzhen po śniadaniu wyszedł ze stołówki i nagle stracił przytomność, padł na podłogę w korytarzu. Bokiem głowy uderzył w róg drewnianej ławki i z rany trysnęła krew. W szpitalu lekarze stwierdzili, że krwawienie na głowie to nic w porównaniu z krwotokiem w żołądku. Przyczyną omdlenia okazały się problemy żołądkowe. Stwierdzono, że sprawa jest poważna, i Rong Jinzhen pozostał w szpitalu.

To był ten sam szpital, do którego wiele lat temu zabrano szalonego szachistę – stanowił część Jednostki 701. Mieścił się koło bazy szkoleniowej w Kompleksie Południowym, a swoim wyposażeniem oraz umiejętnościami lekarzy w niczym nie ustępował szpitalowi z wielkiego miasta. Co do choroby Ronga Jinzhena – cóż, leczenie jej nie nastroczało trudności i z całą pewnością nie mogło wiązać się z takimi problemami, jak terapia szaleńca. Kłopotem było to, że szpital znajdował się w Kompleksie Południowym, a tym samym poziom jego bezpieczeństwa znacznie się różnił na niekorzyść od poziomu bezpieczeństwa Kompleksu Północnego. Uciekając się do raczej niestosownego porównania: relacja pomiędzy północną a południową częścią ośrodka przypominała relację pomiędzy panem a służącym. Służący zawsze jest zajęty spełnianiem życzeń swego pana, ale co właściwie robi pan? Niestety, służący nie ma dostępu do takich informacji. A nawet gdyby je poznał, nie wolno mu o tym rozmawiać, w każdym razie otwarcie. Prawdziwej tożsamości Ronga Jinzhena nie można było ujawnić nawet w trakcie pobytu w szpitalu. Oczywiście łatwiej powiedzieć, niż tego dotrzymać, zwłaszcza w przypadku sławnego pacjenta; większość ludzi już dowiedziała się o nim oficjalnymi lub nieoficjalnymi kanałami i wszyscy rozumieli, że to naprawdę ważna osoba. Jeśli czyjaś tożsamość została upubliczniona, to naturalnie jest znana, można powiedzieć, że personel Jednostki 701 stanowił rodzinę i w gruncie rzeczy to nie miało znaczenia. A z drugiej strony, jeśli chodzi o pracę czy inne sprawy zawodowe – tego za żadne skarby się nie ujawnia.

Rong Jinzhen zawsze nosił przy sobie notatnik. Kiedy jednak zachorował, kiedy krew lała mu się po twarzy, nie był świadomy na tyle, by coś powiedzieć, dlatego notatnik razem z nim przewieziono do szpitala. To oczywiście było surowo

zabronione. Chociaż jednak jego osobista ochroniarka wiedziała, że zabrano go do szpitala (innymi słowy opuścił granice Kompleksu Północnego), nie pośpieszyła po notatnik. W rezultacie dopiero wieczorem tamtego dnia Rong Jinzhen oddał go osobiście. Kiedy szefostwo biura ochrony o tym się dowiedziało, udzieliło funkcjonariuszce nagany, została zwolniona i przydzielono Rongowi Jinzhenowi nowego stróża. Była nim nie kto inny, jak jego przyszła żona. Wszystko wskazuje, że zdarzyło się to na trzeci, czwarty dzień po oddaniu przez Ronga Jinzhena notatnika – cztery albo pięć dni później przyjęto go do szpitala.

Notatnik przekazany Di Li z całą pewnością nie był tamtym!

Kiedy Rong Jinzhen oddał notatnik, nie zapomniał złożyć prośby o nowy, będąc aż nazbyt świadomy swoich nawyków, swojej potrzeby posiadania przy sobie notatnika. Stanowił jakby część jego życia. Można powiedzieć, że ów zwyczaj zaczął się tamtego dnia, gdy Młody Lillie podarował mu pióro wieczne Watermana, i mimo że Rong Jinzhen był chory, nawyk to nawyk, trudno się go pozbyć. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, w jakich wówczas przebywał, nie mógł pisać o sprawach związanych z pracą i to jest powód, dla którego ten akurat notatnik odtajniono i przekazano Di Li. Moim zdaniem zawiera on przypadkowe myśli i impresje dotyczące pobytu Ronga Jinzhena w szpitalu.

### **3. Tożsamość ludzi wymienionych w notatniku jest niejasna**

Ludzie, o których pisze Rong Jinzhen, nazywani są po prostu „ty”, „on” i „ona”. Brak im jednoznacznej tożsamości, zaimki nie wskazują na konkretne osoby. Mówiąc językiem lingwisty, to zabawa desygnatami. Czasami zaimki wydają się odnosić do Ronga Jinzhena, kiedy indziej do Liseiwicza, Młodego Lilliego, matki Ronga albo Mistrza Rong, a w innych momentach do jego żony, szaleńca szachisty czy chrześcijańskiego Boga. Niekiedy można odnieść wrażenie, że jest to drzewo lub pies. Tak czy owak, zapiski są niezwykle dezorientujące i niewykluczone, że Rong Jinzhen sam do końca nie wiedział, kogo ma na myśli, w rezultacie więc całość to niezły bałagan. Dlaczego uważam, że wy, moi czytelnicy, sami powinniście zdecydować, czy czytać tę część. Otóż nie możemy być pewni, że rozumiemy zapiski z notatnika, wykluczone, byśmy dokładnie pojmowali ich znaczenie; pozostało nam jedynie polegać na własnych uczuciach i improwizować – przyjmując je takimi, jakie są. Zatem decyzja o lekturze następnych stron należy od was. Nie ma znaczenia, jaka ona będzie. Jeśli na tak, to żeby pomóc wam w lekturze, ponumerowałem wpisy, do pewnego stopnia je porządkując. Wszystkie angielskie fragmenty zostały przetłumaczone.

Nieustannie żąda, żebym żył jak grzyb, wzrastał i rozwijał się ze słońcem i ziemią, z obłokami i deszczem, by w końcu umrzeć z ich rąk. Wygląda jednak, że nie potrafię tego zrobić. A teraz na przykład on zmienił się w domowe zwierzątko.

Pierdolone domowe zwierzątko!<sup>12</sup>

## 02

On tak czuje: panicznie boi się szpitali.

Po przyjęciu do szpitala najsilniejsi mężczyźni zmieniają się w żalosne kreatury. Małe i wątłe. Jak dzieci. Jak starcy. Inni nieuchronnie otoczą ich troską... taką samą, jaką okazują domowemu zwierzątku.

## 03

Wszystko, co istnieje, jest rozsądne, choć niekoniecznie praktyczne – słyszałem, jak to mówił. Dobrze powiedziane!

## 04

W oknie widzisz odbicie swojej głowy owiniętej bandażem, jak u rannego żołnierza przywiezionego z linii frontu.

## 05

Przypuśćmy, że krwotok w moim żołądku to A, krew z głowy to B, a poważna choroba to X, w takim wypadku jasne jest, że przestrzeń pomiędzy A a B wchodzi w wielokierunkową relację z X, przy czym A jest wewnątrz i B na zewnątrz, a może A jest ciemne, B – jasne. Aby kontynuować, musisz także traktować A jako będące na górze, pozytywne, albo to, B jako kontrastowe, na dole, negatywne, albo tamto, w skrócie jest to związek homologiczny wielokierunkowy. Taki rodzaj wielokierunkowego związku nie wymaga budowania go na trwałych fundamentach, ponieważ jest całkowicie przypadkowy. Z chwilą jednak gdy ta przypadkowość się pojawia, staje się koniecznością, co znaczy, że jeśli nie ma A, to nie może być B, B jest koniecznym odpowiednikiem A. Ta konkretna cecha związku wielokierunkowego jest podobna do teorii binarnej natury stałych matematycznych przedstawionej przez Georga Weinachta...<sup>13</sup> Czy to możliwe, że Weinacht także doświadczył przeżyć podobnych do twoich i z nich zaczerpnął inspirację do stworzenia swojej teorii?



## 06

Nie istnieje wytłumaczenie dla rany na boku mojego czoła.

– Pora roku ponagła ludzi do pracy na roli, dlaczego więc siedzisz tu i płaczesz? – zapytał Paweł.

– Przed chwilą osioł wierzgnął nogą i wybił mi dwa przednie zęby – odrzekł rolnik.

– W takim razie powinieneś się śmiać, z jakiego powodu szlochasz?

– Płaczę, ponieważ mnie boli i mam poczucie głębokiej krzywdy. Powiedz, czemu miałbym się śmiać?

Pan rzekł:

– Dla młodego człowieka utrata zębów i rana na czole to dobry omen, oznacza, że niedługo spotka cię szczęście.

– W takim razie błagaj Pana, by obdarzył mnie synem.

W tamtym roku rolnikowi rzeczywiście urodził się syn<sup>14</sup>.

Teraz na twoim czole także widnieje rana. Czy to znaczy, że niedługo spotka cię szczęście?

Coś istotnie się wydarzy, trudno ci tylko stwierdzić, czy będzie to dobre, czy złe. Powodem jest to, że nie wiesz, co dla ciebie jest dobre.

## 07

Widziałem wszystko, co rozciąga się pod niebiosami i jest płytkie, puste, czepiające się wiatru. To, co skrzywione, nie może być wyprostowane, to, co niedostateczne, nigdy nie może być wystarczające. Serce mówi mi, że otrzymałem wspaniały intelekt, przewyższający wszystkich z moich czasów w Jerozolimie, a moje serce doświadczyło i posiadało więcej wiedzy i więcej rozumie. Pograżyłem się też w otwartych i tajemnych badaniach mądrości, egotyzmu i ignorancji, wiem jednak, że to wszystko nadal czepia się wiatru. Z wielką wiedzą przychodzi wiele trosk i rozczarowań; pogłębianie wiedzy pogłębia jedynie żal<sup>15</sup>.

## 08

Jest bardzo bogaty, coraz bogatszy.

Jest ubogi, coraz biedniejszy.

On jest nim.

On także jest nim.

## 09

Lekarz powiedział, że zdrowy żołądek jest gładki na zewnątrz i szorstki

w środku: jeśli odwrócisz go na nice, szorstką powierzchnią na zewnątrz, wówczas zdrowy żołądek będzie bardzo podobny do świeżo wyklutego kurczaka, pokrytego od stóp do głów kosmykami w regularnych odstępach. Mój żołądek jest inny, wygląda jak człowiek cierpiący na grzybicę głowy, sączą się z niego krew i ropa. Lekarz dodał też, że u większości ludzi tę dolegliwość powoduje niezdrowe jedzenie, choć główna przyczyna to obsesyjne zamartwianie się. Choroby nie powoduje złe jedzenie i picie, ale utopijne mrzonki i fantazje.

Kiedy konsumowałem złe jedzenie i picie?

Mój żołądek wydaje mi się obcą substancją w ciele, wrogiem (szpiegiem), nigdy się do mnie nie uśmiechnął.

## 10

Powinieneś pogardzać swoim żołądkiem.

Ale nie możesz.

Nosisz na sobie znamię taty.

To był ten starzec, który nadał taki charakter twojemu żołądkowi: ma szkodliwe skłonności, jest niezwykle kruchy, jak kwiecie gruszy. Czy twój żołądek wie, jak dużo kwiatów gruszy spożył?

Kiedy boli cię żołądek, myślisz o kwiatach gruszy, myślisz o tamtym starcu.

Tato, ty nie umarłeś, nie tylko żyjesz w moim sercu, ale też w moim żołądku.

## 11

Zawsze zużywasz wielką energię, by iść do przodu, nie lubisz się oglądać. Ponieważ nie lubisz, wymagasz od siebie wydatkowania jeszcze większych sił na marsz do przodu.

## 12

Wszystko, co rozciąga się pod niebiosami, zostało zaplanowane przez Boga.

Gdyby wolno ci było czynić własne plany, mógłbyś zrobić z siebie pustelnika, który uciekł z tego świata, a może więźnia. Najlepszym wyjściem byłby niewinny więzień albo więzień, którego nie można uratować, w każdym razie człowiek wolny od winy.

W obecnej chwili plan Boga dostosowuje się do twoich życzeń.

## 13

Zawładnął tobą cień.

Ponieważ się zatrzymałeś.

## 14

Złapał cię jeszcze jeden cień!

## 15

Klaus Johannes powiedział, że sen jest niezwykle wyczerpujący, ponieważ musisz śnić.

Mówię: bezczynność niezwykle wyczerpuje, ponieważ twój umysł jest wtedy pusty. Jak podczas marzeń sennych: przeszłość może wykorzystać twoją słabość i wdrzeć się do środka.

Praca pozwala zapomnieć o przeszłości, a nawet odrzucić przyczynę, dla której chcemy o niej zapomnieć.

## 16

Jak ptak opuszczający gniazdo. Jak ucieczka...

## 17

- Ty niewdzięczny bachorze, dokąd uciekasz?
  - Jestem na zachód od was... w oddalonej o kilometr dolinie.
  - Dlaczego nie wracasz, żeby się z nami zobaczyć?
  - Nie mogę...
  - Tylko kryminalista nie może wrócić do domu!
  - Jestem prawie kryminalistą...
- On jest swoim własnym kryminalistą!

## 18

Dałeś mu za wiele! Mając za wiele, on nie ośmiela się wspominać, myślenie wprawia go w zakłopotanie, czuje skruchę, pokorę, uznałby, że wszystko, co ma, uzyskał szczęśliwym trafem, a to byłoby przygnębiające, jakby jego żaloszny los został osiągnięty poprzez żerowanie na twojej dobroci.

Starożytni mówili, ani więcej, ani mniej, żadnego zadowolenia, żadnego cierpienia.

Bóg powiedział, wszystko, co rozciąga się pod niebiosami, jest niezadowolające...

## 19

Niektórzy ludzie obdarzani miłością stają się błogosławieni, inni stają się przeklęci.

Z powodu wielkiego błogosławieństwa pragnął wrócić.

Z powodu przekleństwa pragnął wyjechać.

Nie wyjechał, ponieważ odkrył to, dowiedział się o tym właśnie dlatego, że wyjechał.

## 20

Ignorant nie czuje strachu.

Strach jest jak obwiązująca go lina, która ciągnie go do tyłu; wydaje się zwisać wokół niego, mówiąc ludziom, że był nieodpowiedni, żeby go owinąć.

## 21

Mamo, jak się czujesz?

Matko, matko, moja kochana matko!

## 22

Wczoraj wieczorem przed snem rozmyślnie zachęciłeś się do marzeń sennych. Lecz nie pozostaje ślad tego, o czym śniłeś. Z największym prawdopodobieństwem śniłeś o pracy, ponieważ to był twój cel, pragnąłeś uwolnić się od „troski bezczynności”.

## 23

Celując we mnie palcem, Klaus Johannes powiedział mi, że w tej profesji on jest największy, a ja idę zaraz po nim<sup>16</sup>. Ale też mnie krytykował, mówiąc, że popełniłem dwa fatalne błędy: po pierwsze, stałem się częścią systemu, po drugie, zająłem się odszyfrowaniem średnio i mało skomplikowanych szyfrów, które inni bez trudu mogli złamać – drugi błąd wynika z pierwszego<sup>17</sup>. Skutki owych dwóch błędów, mówił Johannes, odpychały mnie coraz bardziej od niego, a nie zbliżały. Powiedziałem, że obecnie nasz przeciwnik nie używa żadnych nowych szyfrów wysokiego poziomu, jeśli więc nie wykonywałbym tej pracy, co miałbym robić? Klaus Johannes odrzekł, że niedawno ukończył pisanie książki, dzieła będącego szczytowym dokonaniem kryptografii wysokiego poziomu. Ponieważ zrozumienie

najwyższego lub najniższego poziomu tajemnic było trudne, ten, kto odszyfrował jego książkę, kto zrozumiał jej zawartość, w ciągu trzydziestu lat bez trudu złamie najbardziej wyrafinowane szyfry świata. Zasugerował, że powinienem podjąć próbę odszyfrowania jego książki, a równocześnie wyciągnął kciuk ze słowami, że jeśli mi się to uda, jego kciuk będzie mnie reprezentował.

W przeciwieństwie do tego, co można by oczekiwać, to była dobra nowina.

Ale gdzie jest jego książka?

W moim śnie.

Nie, to był sen w obrębie snu, w umyśle mojego wyimaginowanego Klausa Johanna.

## 24

Jeśli na tym świecie taka książka naprawdę istnieje, mogła wyjść jedynie spod ręki Klausa Johanna.

Nikogo innego!

Szczerze mówiąc, jego umysł był jak ta książka.

## 25

Klaus Johannes rzeczywiście napisał książkę; nosi ona tytuł *Pismo Boga*<sup>18</sup>. Ktoś powiedział, że widział ją w księgarni. Ale to mało prawdopodobne, ponieważ zmobilizowałem wszystkie siły będące w mojej dyspozycji, a mimo to jej nie znaleźliśmy.

Nie istnieje na świecie nic, czego moi ludzie nie zdołaliby zlokalizować, chyba że od początku mieliśmy do czynienia z niczym.

## 26

Jesteś szczurem.

Czekasz w stodole.

Nie możesz jednak jeść prosa.

Każde ziarno prosa pomalowano ochronną warstwą, by twoje zęby nie mogły się w nie wgryźć.

– To jest kryptografia.

## 27

Szyfry z jednej strony sprawiają, że potrzebne informacje znikają sprzed twoich oczu – wyciągasz rękę, a mimo to nie potrafisz ich dotknąć. Z drugiej zaś

strony oślepiają cię, tak że nic nie widzisz.

## 28

Kiedy Douglas MacArthur stanął na Półwyspie Koreańskim, uniósł rękę do nieba i zamknął dłoń, później wskazał swoich kryptografów i powiedział: „To jest wywiad, na którym mi zależało, chcę wiedzieć wszystko, chcę znać otaczające mnie rzeczy, rzeczy, których nie widzę, ponieważ jestem ślepy. Wy macie przywrócić mi wzrok”.

Kilka lat później napisał we wspomnieniach: „Moi kryptografowie ani razu nie pozwolili mi otworzyć oczu, ani razu. Miałem wielkie szczęście, że wróciłem żywy”.

## 29

Tak samo możesz powtórzyć gest MacArthura i wyciągnąć rękę do nieba. Twoim celem jednak nie jest złapanie w dłoń powietrza, ale schwytywanie ptaka. Na niebie zawsze jest jakiś ptak, chociaż prawdopodobieństwo, że złapiesz go gołymi rękami, jest straszliwie małe. To nie znaczy, że niemożliwe, skoro są ludzie, którzy istotnie cudem złapali ptaka na niebie.

– To jest deszyfrowanie.

Większość ludzi jednak złapie tylko kilka ptasich piór, nawet jeśli pracują nad tym całe życie.

## 30

Jaki rodzaj człowieka potrafi złapać ptaka?

Może taki jak John Nash<sup>19</sup>.

Ale Liseiwick nie potrafi, chociaż jego geniusz niekoniecznie jest mniejszy od geniuszu Johna Nasha.

## 31

Mimo że Nash byłby zdolny do złapania ptaka w locie, ja jednak nie mogłem być pewien, w którym momencie to uczyni. Gdyby wszakże Liseiwick zwracał baczną uwagę na linię wzroku Nasha, na moment, w którym ten zaczął podnosić rękę; gdyby zwracał uwagę na jego postawę, zręczność, dokładność, zdolność do skoku etc., gdyby podniósł głowę, by sprawdzić, ile na niebie jest ptaków, z jaką prędkością fruną, po jakim torze, jakie są cechy charakterystyczne i zmiany w ich ruchu etc., wtedy może zdołałby ocenić, kiedy Nash zamknie w dłoniach ptaka.

Posiadając ten sam poziom zdolności, geniusz Lisei-wicza był bardziej rygorystyczny, ostrożniejszy i piękniejszy, jak geniusz anioła, jak bóg. Geniusz Nasha był obcy, a ta obcość sprawiała, że wydawał się dziwny i niecywilizowany, jakby opętany przez złego ducha. Szyfry są dziełem diabła, są świadectwem przebiegłości i zła tkwiącego w ludziach, naszej zdradliwej natury, naszych nikczemnych intencji, naszych diabelskich skłonności, nie trzeba żadnych schodów, stąd Nash, człowiek, którego nie da się odróżnić od diabła, mógł jeszcze bardziej się do nich zbliżyć.

### **32**

Sen i śmierć mają to samo imię, lecz różne nazwiska.

Sen przygotowuje nas na śmierć, marzenia sennie są rodzajem piekła.

Ludzie mówią, że twój duch przechodzi przez twego trupa, by stać się małym, twój umysł przechodzi przez twoje zwłoki, by stać się drobnym, to fundamentalna cecha demonów i hobgoblinów.

Ludzie mówią też, że skoro od dziecka masz do czynienia ze światem sennych rojeń, zostałeś zanieczyszczony nikczemnością i złem, na które się w nich natykasz; to dlatego jesteś w stanie złapać ptaka w locie.

### **33**

Wszystkie tajemnice tego świata przechowywane są w snach.

### **34**

Musisz tylko udowodnić swoją wartość.

Kiedy to uczynisz, twój przeciwnik udzieli ci pomocy.

Kiedy tego nie potrafisz, twój przeciwnik udowodni swoją wartość.

### **35**

Pragniesz, by inna utalentowana osoba wystąpiła i pozwoliła, byś trzymał usta zamknięte. Ale by do tego doszło, musisz nadal mówić<sup>20</sup>.

### **36**

Znowu zmienili mojego osobistego ochroniarza; powodem zwolnienia poprzedniego – kobiety – było to, że nie przyszła po mój notatnik.

Nie jest pierwszą, którą zwolniono, i nie będzie ostatnią.

**37**

Moim nowym osobistym ochroniarzem z całą pewnością będzie kobieta...21

**38**

Kim ona jest?

Znasz ją?

Masz nadzieję, że to ktoś, kogo znasz, czy wręcz przeciwnie?

Zgłosiła się na ochotnika do tej pracy czy trzeba ją było namawiać?

Czy jutro odwiedzi mnie w szpitalu?

Chryste! Od tego człowieka zaczyna boleć głowa!

**39**

Szatan ciągle rodzi i wychowuje dzieci, ponieważ pragnie je wszystkie pożreć.

**40**

Lekarz powiedział, że mój żołądek nadal odrobinę krwawi. Wydało mu się dziwne, że zaaplikował doskonały lek, a mimo to nie widzi rezultatów, na które liczył. Wyjaśniłem mu powód takiego stanu rzeczy: będąc nastolatkiem, przyjmowałem leki na żołądek, jakby były posiłkami; po prostu połknąłem ich za wiele, stałem się niewrażliwy na ich działanie. Zdecydował, że zmieni lek. Odparłem, że to bez znaczenia, bo nie ma nowego leku, którego bym już nie próbował, istotą sprawy jest to, że należy zwiększyć dawkę. Powiedział, że to zbyt ryzykowne, nie ośmieli się tego uczynić. Z mojego punktu widzenia będzie lepiej, jeśli przygotuję się na dłuższy pobyt.

**41**

To wstrętne zwierzątko!

**42**

Przyszła.

Zawsze odważnie przybiegają, gotowe cierpieć przy twoim boku.



**43**

Kiedy ona tutaj jest, szpitalny pokój dosłownie roi się od ludzi. Kiedy odchodzi, a ty patrzysz na jej plecy, niemal zapominasz, że to kobieta. Potrzebuje siedmiu ciastek, by zaspokoić głód<sup>22</sup>.

**44**

Nie jest dobra w ukrywaniu rzeczy – jaki okropny szyfr by stworzyła! Nie możesz powstrzymać się od myśli, że w obecności innych ludzi jest do ciebie podobna i powinna lepiej nad sobą panować. W takim przypadku dlaczego się na to narażasz? Musisz zrozumieć, to dopiero początek. To spowodowało, że codziennie towarzyszą ci niedowierzanie i beznadzieja, zresztą wiem, że zabrakłoby współczucia dla kogoś, kto wstąpił na niewłaściwą drogę.

**45**

Próby wsparcia mojego toku myśli to rodzaj choroby, tylko dzięki wypoczynkowi w łóżku zdołam w pełni odzyskać zdrowie.

**46**

Chorobą jest też nadmiar myśli.

**47**

Błękitne niebo, białe obłoki, korony drzew, wiatr, coś kołysze się w oknie, ptak przelatuje obok, jak we śnie... nowy dzień, wiatr taki jak czas, woda taka jak życie... pewne wspomnienia, pewne westchnienie, pewna konsternacja, pewne niezapomniane wydarzenia, pewne ewentualności, coś zabawnego... widzisz dwa punkty: pierwszym jest przestrzeń, drugim czas, a może należałoby powiedzieć: pierwszym jest dzień, drugim noc...

**48**

Lekarz powiedział, że marzenia senne rujną zdrowie, są jak choroba.

**49**

Przyniosła mi karton papierosów Daqianmen, granatowy atrament marki

Guoguang, herbatę Junshan Yellow, metronom, balsam łagodzący, radio, wachlarz z piór oraz *Romans trzech królestw*. Wydaje się, że mnie bada... ale się myli, nie będę słuchał radia. Moim radiem jest moja dusza, każdy dzień nieustannie do mnie szepcze jak metronom, wibracje wywołane krokami mogą spowodować, że długo będzie się kołysał tam i z powrotem.

Twoja dusza zawieszona jest w powietrzu, tak samo jak wahadło.

## 50

To we śnie po raz pierwszy zobaczył siebie palącego papierosa i potem zaczął palić.

## 51

Palenie papierosów Daqianmen było zwyczajem kultywowanym przez moją pannę Jiang23. Pochodziła z Szanghaju. Pewnego razu wróciła z wizyty w domu i przywiozła ze sobą te papierosy. Powiedziała, że są dobre i zamierza poprosić rodzinę, żeby co miesiąc przysyłali jej karton. Lubił słuchać, gdy mówiła po szanghajsku, brzmiało to jak ćwierkanie ptaka, melodyjne, ostre i czyste, skomplikowane; mogłeś wyobrazić sobie, że jej język jest zaostrzony i cienki. Wydawało się, że mu się podoba, ale nie było czasu, żeby się o tym przekonać. Jej problem polegał na tym, że podczas chodzenia robiła za wiele hałasu, za dużo zamieszania. Jakby do butów miała przybite podkopy, po prostu nie był w stanie tego znieść. W rzeczywistości nie chodziło o hałas, to raczej sugerowało, że jego dusza może w każdej chwili odlecieć – podczas lotu powszechną rzeczą jest to, że łapie się mocno rąbek czyjegoś ubrania, a potem spada z wysoka.

## 52

Gdyby miał wybór pomiędzy dniem a nocą, wybrałby noc.

Gdyby miał wybór pomiędzy górą a rzeką, wybrałby rzekę.

Gdyby miał wybór pomiędzy kwiatem a trawą, wybrałby trawę.

Gdyby miał wybór pomiędzy człowiekiem a zjawą, wybrałby zjawę.

Gdyby miał wybór pomiędzy żywym a martwym, wybrałby martwego.

Gdyby miał wybór pomiędzy ślepotą a głuchotą, wybrałby głuchotę.

Reasumując, nie znosił hałasu i wszystkich jego źródeł.

To także rodzaj choroby, jak daltonizm, natura ma większą lub mniejszą skłonność do cierpień z tego powodu.

### 53

Czarodziej niezdolny osiągnąć swój cel...

### 54

Cóż to za złowrogo wyglądająca rzecz!

Powiedziała, że to chiton<sup>24</sup>; w ludowych legendach mówi się, że są wynikiem nienaturalnej kopulacji ropuchy i węża<sup>25</sup> oraz niezwykle skutecznie leczą dolegliwości żołądkowe. W to wierzę: po pierwsze dlatego, że wykorzystywane są jako ludowe remedium do leczenia nieuleczalnych chorób; po drugie – że moja żołądkowa dolegliwość jest jak to złowrogo wyglądające zwierzę i niewykluczone, że mogę liczyć wyłącznie na złowieszczy i przerażający środek, by nad nią zapanować. Przypuszczalnie spędziła cały dzień na wędrówce po górach, zbierając je, co musiało być dla niej bardzo trudne. Do chwili, gdy wstanie dzień, a cienie ulecą, pójdę ku górze mirry, ku pagórkowi kadzidła...<sup>26</sup>

### 55

Las zdaje się oddychać w księżycowej poświacie, a potem się kurczy, tworząc gęstą masę, staje się mały, czubki drzew są proste, później zaś w jednej chwili się rozwija, pokrywa zbocza wzgórz, rozprzestrzenia się na nich, zmienia w niskie krzewy; w rezultacie powstaje mglisty, odległy obraz...<sup>27</sup>

### 56

Nagle poczułem, że mój żołądek jest pusty, spokojny, jakby wcale go nie było – od lat tak się nie czułem! Przez długi czas miałem wrażenie, że żołądek to zainfekowany zbiornik, płonący i przesiąknięty ohydny odorem, a teraz było tak, jakby pojawiła się w nim dziura i sflaczał, zmiękł, rozluźnił się. Mówi się, że człowiek potrzebuje całej doby, by poczuć skutki chińskiej medycyny, a tu minęło ledwo kilka godzin, to po prostu w głowie się nie mieści!

### 57

Po raz pierwszy widziałem, jak się śmiała.

To był niewiarygodnie powściągliwy śmiech, bardzo nienaturalny, absolutnie cichy i krótki, trwał chwilkę, jak u osoby śmiejącej się na obrazie.

Śmiech świadczył, że ona nie lubi się śmiać.

Naprawdę nie lubi? Albo...

## 58

W załatwianiu swoich spraw stosował się do przysłowia starego rybaka, którego podstawowe znaczenie było takie: mięso mądrej ryby jest o wiele jędrniejsze od mięsa ryby głupiej, a jednak obie sięją zniszczenie, ponieważ głupia ryba zjada wszystko, na co się natknie, podczas gdy mądra woli zjadać głupią...

## 59

Kontynuując wysiłki, by zapewnić mi skuteczne leczenie, główny lekarz przygotował dla mnie listę potraw: gorąca owsianka, bułeczki na parze, tofu w sosie. Podkreślił wyraźnie, że tylko to powinienem jeść i nikt nie może zmieniać składników ani wielkości porcji. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że w tym czasie powinienem jeść lekko niedogotowany makaron.

## 60

Nasze życie pełne jest idei, które dla siebie stworzyliśmy, i są one o wiele bardziej realne niż prawdziwe idee, które wytrzymały próbę czasu.

Powodem jest to, że nasze błędne idee pojawiają się przed nami znajome i potężne.

Jeśli chodzi o szyfry, to ty jesteś lekarzem, one pacjentami.

## 61

Zabierasz je w podróż tym samym szlakiem. Szlak może prowadzić do nieba, ale one skończą w piekle. Twoje osiągnięcia istotnie są mniej liczne niż rzeczy, które zniszczyłeś...

## 62

Szczęśliwy traf i katastrofa wzajemnie od siebie zależą, dobro może pochodzić ze zła, zło może pochodzić z dobra.

## 63

Ona jak zegar zawsze przychodzi o czasie; z tą samą punktualnością zawsze odchodzi.

Pojawia się bezszelestnie, znika w ciszy.

Robi tak, ponieważ cię rozumie, pragnie ci dogodzić, czy zawsze taka jest?

Myślałem... Nie wiem...

**64**

Nieoczekiwanie masz nadzieję, że dzisiaj nie przyjdzie, choć w gruncie rzeczy właśnie to cię martwi.

**65**

Pracuje więcej, niż mówi, i wszystko, co robi, robi w milczeniu, jak metronom. Ale taki sposób pracy pozwolił jej na zdobycie władzy nad tobą. Jej milczenie można by przetopić w złoto.

**66**

...bo Bóg jest w niebie, a ty na ziemi! Przeto niech słów twoich będzie niewiele, bo z wielu zajęć przychodzą sny, a mowa głupia z wielości słów... Bo z wielu zajęć przychodzą sny, a marność z nadmiaru słów<sup>28</sup>.

**67**

Czy ona czytała Biblię?

**68**

Ona jest sierotą!

Miała mniej szczęścia niż ty!

Wychowała się na pokarmie dla mas!

Jest prawdziwą sierotą!

Sierota – słowo, na które jesteś tak bardzo wrażliwy!

**69**

Odpowiedź na zagadkę nagle jest jasna.

Ona jest sierotą, oto odpowiedź.

Czym jest sierota? Sierota ma zęby dolne i górne, ale jej język jest niekompletny. Sierota zawsze używa swego wzroku do mówienia. Sierota narodziła się z ziemi (wszyscy inni narodzili się z wody). Serce sieroty wiecznie jest okaleczone...

## 70

Powiedz jej, że ty też jesteś sierotą... nie, po co jej mówić? Masz nadzieję, że się do niej zbliżysz? Dlaczego chcesz się do niej zbliżyć? Czy dlatego, że ona jest sierotą? A może dlatego, że... dlatego... czemu nagle masz tyle problemów? Problemy są cieniami naszych pragnień... geniusze i głupcy nie mają problemów, wyłącznie żądania.

## 71

Wahanie jest także formą władzy, ale to władza zwykłego człowieka. Zwykli ludzie lubią komplikować sprawy, ci, którzy tworzą szyfry, zdolni są to zobaczyć, lecz ci, którzy je łamią – nie.

## 72

Dzisiaj została pół godziny dłużej, ponieważ czytała mi o Pawce Korczaginie, bohaterze powieści *Jak hartowała się stal*. Powiedziała, że to jej ulubiona książka. Zawsze nosiła ją ze sobą i w każdej wolnej chwili wyciągała i czytała. Przejrzałem ją dzisiaj. Zapytała, czy ją czytałem, zaprzeczyłem, a wtedy zapytała, czy może mi poczytać na głos. Mówi bardzo dobrym mandaryńskim. Powiedziała, że była telefonistką w Centrali. Kilka lat temu słyszała mój głos w telefonie...

## 73

Na tym polega różnica, jedni ludzie są przygotowani na każdą ewentualność, inni nie; człowiek nigdy nie powinien się z tego powodu krytykować.

## 74

We śnie zobaczył siebie: brodzi w głębokiej do pasa rzece i czyta książkę. Książka nie zawierała żadnych słów... później woda zaczęła rwać i wirować, położył więc książkę na głowie, by uchronić ją przed przemoczeniem. Kiedy fala odeszła, uświadomił sobie, że woda zabrała jego ubranie. Stał nagi w rzece...

## 75

Na tym świecie sen każdego człowieka już śnił się wszystkim pozostałym!

**76/77**

Śnił dwa sny równocześnie, jeden był na górze, drugi na dole...29

...To, czego doświadczył we śnie, sprawiło, że obudził się znużony i ociężały, wydawało się, jakby sen wygotował go i pozostał tylko osad.

**78**

Straszliwym upadkiem można zrujnować nawet największy triumf. Ale to nie jest pewne.

**79**

Myślisz o rzeczach, o których nigdy by ci się nie śniło, że możesz o nich myśleć.

**80**

Jest tylko jeden sposób na pozbycie się siebie: spojrzeć na siebie własnymi oczyma.

**81**

Posłuchaj.....jeden.....  
ty.....  
.....oczy.....  
.....bardziej.....  
.....na.....  
.....ty...30

**82**

Dwa rodzaje choroby: pierwszy powoduje wielki ból, drugi sprawia, że człowiek śni. Pierwszy można leczyć lekami, drugi też. Lek znajduje się jednak w snach. Z pierwszego rodzaju człowiek może szybko wyzdrowieć, drugi rodzaj cię spala.

**83**

Sny! Obudź się, obudź!  
Sny! Nie budź się!

**84/85**

Posłuchaj, tym razem on nie napisze czegoś, a potem to wymaże, on...31  
...Jak lilia pośród cierni, jak jabłoń wśród drzew leśnych!32

**86**

Symbol twojego życia umiera, jak jeden owad pożerany przez drugiego.

**87**

Klatka czeka na ptaka...33

**88**

To jest jedna droga, którą wszyscy idą, i dlatego tak łatwo ją rozpoznać.

**89**

Ptak!

**90**

Czy to możliwe, że niedostatecznie walczył? Klatka czeka na ptaka, chociaż...34

Przeglądając notatnik, łatwo stwierdzić, że jego zapiski są chaotyczne, a miejscami niejasne. Możecie się jednak przekonać, jak ewoluowała miłość Ronga Jinzhena do panny Di. Zwłaszcza w ostatnich wpisach jego uczucia do niej są wyraźne. Przypuszczam, że części, które panna Di usunęła, z największym prawdopodobieństwem wyrażały najbardziej intymne, emocjonalne przemyślenia i były bardziej mgliste niż reszta. Myślę tak, ponieważ zapytałem ją, czy Rong Jinzhen wprost wyznał jej miłość, a ona odparła, że nie. Później jednak dodała, że chyba tak, bo niektóre jego słowa miały takie znaczenie.

Wielokrotnie ją pytałem, jak te słowa brzmiały, ale ona wciąż się wahała. Wreszcie powiedziała, że to nie były jego słowa, tylko cytat z Pieśni nad pieśniami, a dokładnie ostatnie wersy Pieśni 4. Później zajrzałem do Biblii, żeby się przekonać, jak dokładnie brzmiały. Uznałem, że to musiała być ta strofa: „Powstań,



wietrze północny, nadleć, wietrze z południa, wiej poprzez ogród mój, niech popłyną jego wonności! Niech wejdzie miły mój do swego ogrodu i spożywa jego najlepsze owoce”.

Jako że notatnik zawierał intymne szczegóły ich związku, nie na miejscu byłoby krytykowanie panny Li z powodu usunięcia tych fragmentów; z mojego punktu widzenia utrudnia to zrozumienie ich związku, a ponieważ nic o nim nie wiadomo, większość spraw pozostaje tajemnicą. Dlatego też jestem przekonany, że ten notatnik pełni funkcję czegoś w rodzaju szyfru, w którym zakodowano ich związek, niedostępny dla ludzi postronnych.

Powinienem powiedzieć, że jeśli chodzi o Ronga Jinzhena jako geniusza, wybitnego kryptoanalityka, zdołałem stworzyć sobie dość kompletny obraz: wiem, kim był. W odniesieniu jednak do emocji, miłości, prywatnych rozmów kobiety z mężczyzną na zawsze pozostanę w całkowitej niewiedzy, niezdolny dostrzec szczegółów. Posiadane przeze mnie informacje, które mogłyby rzucić światło na ten aspekt osobowości Ronga Jinzhena, są niepełne, wielu fragmentów brakuje. Mam wrażenie, iż są tacy, którzy nie życzą sobie, żeby tę stronę Ronga Jinzhena ujawnić przez osobami postronnymi, jakby to mogło pozbawić jego wizerunek blasku. Cóż, może człowiek taki jak Rong Jinzhen nie powinien odczuwać miłości, przyjaźni, emocji związanych ze sferą intymną. I może z tego też powodu on sam wyrwał niektóre kartki. A jeśli nawet dla niego to było trudne, ktoś inny mógł znaleźć sposób na usunięcie części zapisków.

Według jego żony po południu trzeciego dnia po wypisaniu ze szpitala Rong Jinzhen zjawił się w jej biurze i osobiście wręczył jej notatnik. Jako funkcjonariuszka ochrony miała za zadanie sprawdzać wszystkie zwracane notatniki, by ustalić, czy nie brakuje w nich kartek albo czy pozostały puste strony: to był jej obowiązek. Kiedy więc Rong Jinzhen przyniósł notatnik, wykonała swój obowiązek i przejrzała go. Rong Jinzhen powiedział:

– Ten notatnik nie zawiera żadnych związanych z pracą tajemnic, tylko moje prywatne sekrety. Jeśli ciekawi cię moja osoba, możesz go przeczytać. Mam nadzieję, że to zrobisz, mam też nadzieję, że udzielisz mi odpowiedzi.

Di Li powiedziała, że słońce zdążyło zająć, zanim skończyła czytać, i do siebie musiała wracać w ciemności. Wydawało się, jakby zły duch zajął pokój Ronga Jinzhen a. Di Li miała sypialnię w budynku numer trzydzieści osiem, podczas gdy Rong Jinzhen mieszkał w budynku dla specjalistów, po przeciwnej stronie kompleksu. Oba nadal stoją, pierwszy zbudowany z czerwonej cegły i dwupiętrowy, drugi piętrowy, z niebieskawozielonej cegły. Kiedyś stałem przed tym drugim, a teraz patrzę na swoją fotografię i w myślach słyszę jej głos:

– Kiedy wróciłam do siebie, on tam był i patrzył na mnie. Nie odzywał się, a chociaż siedział, nie zaproponował, żebym także usiadła. Stałam przed nim i powiedziałam, że przeczytałam jego notatnik. Poprosił, żebym przemówiła, on

mnie wysłucha. Zapytałam, czy pozwoli mi zostać swoją żoną. Odrzekł: „Tak”. Trzy dni później byliśmy małżeństwem.

Jakie to niewiarygodnie łatwe, jak opowieść z legendy – wręcz nie mieści się w głowie!

Opowiadając mi o tym, nie okazała żadnych emocji, ani smutku czy szczęścia, ani zaskoczenia czy zdziwienia; wydawało się, że nie ma w niej nawet tego sentymentalnego przywiązania, z jakim ludzie odnoszą się do wspomnień – było tak, jakby po raz nie wiadomo który relacjonowała sen. To utrudniło mi domyślenie się, co czuła wtedy i teraz, gdy wróciła do tej historii. Może zachowałem się arogancko, ale szczerze ją zapytałem, czy kochała Ronga Jinzhena. Oto jej odpowiedź:

– Kocham go tak, jak kocham swoją ojczyznę.

– Słyszałem, że niedługo po waszym ślubie przeciwnik zaczął stosować BLACK. Czy tak było?

– Tak.

– Jinzhen rzadko wracał do domu?

– Tak.

– Myśli pani, że żałował, iż się z panią ożenił?

– Tak.

– A pani, czy pani żałuje, że za niego wyszła?

To pytanie ją zaskoczyło; utkwiała we mnie szeroko otwarte oczy i z podnieceniem odrzekła:

– Czy żałuję? Kiedy kocha pan ojczyznę, jak może pan tego żałować? Nie! Odpowiedź zawsze będzie brzmiała: nie!

Jej oczy wypełniły się łzami i zaczęła pociągać nosem, jakby miała wybuchnąć płaczem.

*Rozpoczęto w lipcu 1991 roku*

*w Pekinie, Haidian, Weigongcun*

*Ukończono w sierpniu 2002 roku*

*w Chengdu, Qingyang, Luojiang*

12 To zdanie było podkreślone w oryginalnej angielskiej wersji, podobnie jak inne poniższe fragmenty.

13 Pamiętajmy, Weinacht i Liseiwicz to jedna i ta sama osoba. W tamtym okresie Rong Jinzhen jednak o tym nie wiedział.

14 To opowieść biblijna. Apostoł Paweł podróżował do Jerozolimy, by tam nauczać. Pewnego dnia spotkał rolnika, który klęcząc, rozpaczliwie lamentował, i przeprowadził z nim rozmowę.

15 Fragment wzięty z Księgi Koheleta 5.

16 Karl Johannes, z pochodzenia Niemiec, był sławnym kryptografem w czasie drugiej wojny światowej. Umarł w 1948 r.

17 To prawda, ponieważ po tym, gdy został szefem sekcji, brał udział w odszyfrowaniu każdego szyfru, z jakim się zetknął.

18 *Pismo Boga*, Wydawnictwo Chunghwa, 1945; przekład nosił tytuł *Zagadka*. Nie ulega wątpliwości, że Ronga Jinzhena gniewało, iż służby specjalne szukały tej książki, lecz nie potrafiły jej znaleźć.

19 John Nash, amerykański matematyk, odegrał kluczową rolę w stworzeniu teorii gier, za którą w roku 1994 został jednym z laureatów Nagrody Nobla z ekonomii. Jego osiągnięcia na polu czystej matematyki były równie imponujące: był jednym z twórców równań różniczkowych cząstkowych. Niestety, w wieku trzydziestu czterech lat poważnie zachorował na schizofrenię paranoidalną. Choroba spowodowała, że przedwcześnie stracił niezwykły geniusz.

20 Ponieważ jest to napisane po angielsku, mogę tylko spekulować, że to cytat, ale nie potrafię znaleźć źródła.

21 W połowie lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku małżeństwo pracowników Jednostki 701 podlegało surowym regulacjom. Na przykład kobietom zakazano romantycznych związków z partnerami spoza jednostki. Jeśli mężczyzna pragnął związać się z kobietą spoza jednostki (choć oficjalnie popierano równość płci, w rzeczywistości mężczyźni cieszyli się większymi przywilejami niż kobiety), musiał o tym powiadomić stosowne władze. Następnie organizacja zlecała agentom zbadanie pochodzenia kobiety. Jeżeli udzielono zgody, związek mógł przejść na wyższy etap. Później, jeśli ktoś nie chciał zrobić określonej rzeczy albo pojawił się „problem” trudny do rozwiązania, mężczyzna mógł zażądać interwencji partii. Kwestia małżeństwa Ronga Jinzhena była dla władz trudnym problemem, ponieważ lata mijały, a on nic w tym kierunku nie zrobił. Nie podejmował inicjatywy ani nie prosił władz o pomoc. Kiedy skończył trzydzieści lat, partia zajęła się potajemnym i sprytnym zaaranżowaniem jego małżeństwa. Najpierw wybrali odpowiednią kobietę, a następnie zatrudnili ją jako osobistą ochroniarzkę Ronga Jinzhena. Kobieta nie tylko musiała mieć absolutne zaufanie partii, ale też z determinacją trwać przy jego boku i liczyć na małżeństwo z nim. Jeśli to jej się nie udało, musiała odejść i ustąpić miejsca następnej – może tej bardziej się poszczęści. Z powodu tej skomplikowanej intrygi osobista ochrona Ronga Jinzhena ciągle się zmieniała; obecna ochroniarzka była czwartą z kolei.

22 To z całą pewnością pochodzi z Biblii, chociaż nie wiem dokładnie, z której księgi.

23 Panna Jiang była jego pierwszą osobistą ochroniarką.

24 Chitony to morskie mięczaki; żyją pomiędzy górami a skałami i są odmianą żółwi z miękką skorupą. W porównaniu z innymi mięczakami ich powłoka jest bardziej szorstka i przerażająca. Są niezwykle rzadkie i mają bardzo wiele właściwości leczniczych.

25 W rzeczywistości tak nie jest, są odmianą żółwia z miękką skorupą.

26 Z Pieśni nad pieśniami, 4,6.

27 Źródło nieznane.

28 Wzięte z Księgi Koheleta, 5 (Przekład za Biblią Tysiąclecia. Przep. tłumaczki).

29 Ta stronica była zapełniona, ale na kolejnej nie było nagłówka; podejrzewam, że jakaś część została usunięta.

30 Wymazał to, co tu napisał; udało się odczytać tylko kilka słów.

31 Podejrzewam, że jakaś część została usunięta.

32 Wzięte z Pieśni nad pieśniami, 2 (Przekład za Biblią Tysiąclecia).

33 Źródło nieznane.

34 Ta strona była kompletna, usunięto natomiast następne. Nie wiem, ile kartek brakuje.